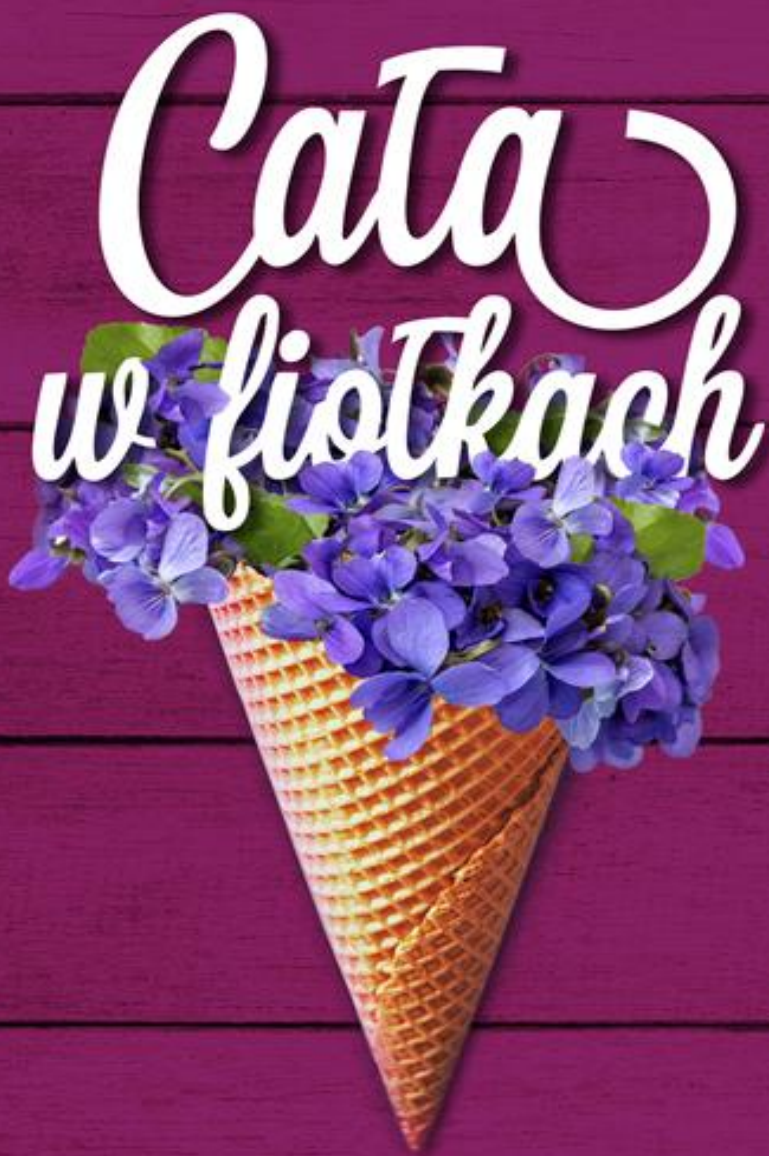


*Wspaniale napisana!
Pogodna, optymistyczna i mądra!*
Sylvia Trojanowska



AGNIESZKA OLEJNIK



Cata w fiolkach

AGNIESZKA OLEJNIK



Część I

Jesień

Szlaban na miłość

Kobieta, która otworzyła mi drzwi opatrzone wizytówką z lakonicznym komunikatem: „W. Grubiak”, miała na głowie coś w rodzaju turbanu z wielobarwnej chustki z frędzlami. Jej twarz była poorana bruzdami i zmarszczkami, a siateczka popękanych naczynek krwionośnych na policzkach świadczyła o tym, że ich właścicielka albo zażywała za mało witaminy C, albo za dużo popijała. Ewentualnie i jedno, i drugie.

— Dzień dobry — zaskrzeczała. Barwa jej głosu upewniła mnie, że kobieta nie stroniła też od papierosów. — Właz, dzieciно.

Dzieciną się od dawna nie czułam, ale owszem, włazłam. Ostrożnie, jakby miało się okazać, że skoro jest wróżka, to będą i krasnoludki, przeszłam przez zabałaganiony korytarz, pełen butów i miseczek na kocie żarcie. Naliczyłam ich chyba pięć (miseczek, nie butów).

W życiu bym nie poszła do wróżki, słowo daję. Nie zrobiłabym tego, gdyby nie Iga. To znaczy Iga też by w życiu nie poszła, gdyby nie jej przyjaciel i zarazem pracownik, Rafał Mościcki — on z kolei, jak go znam, nie poszedłby za żadne skarby, gdyby nie jego mama. I tak dalej. Gdyby tak wędrować w tych rozważaniach wstecz i wstecz, dotarłoby się zapewne do samej pani Grubiak, która poleciła komuś swoje usługi.

W każdym razie dla mnie wszystko zaczęło się od mamy Rafała. Otóż owa mama dowiedziała się od koleżanki z pracy, że jest w Bydgoszczy taka wróżka, która zmienia ludziom życie. Naprawdę i dosłownie. W dodatku nigdzie się nie ogłasza — i to jest właśnie dowód, że ona jest tą PRAWDZIWĄ wróżką. Bo nieprawdziwe muszą się reklamować w prasie, telewizji albo Internecie, inaczej nikt by o nich nie usłyszał. Natomiast wróżka prawdziwa, w sensie taka, która naprawdę DZIAŁA (jak to określiła Iga, od której tę relację usłyszałam — zupełnie jakby mówiła o pralce albo suszarce do włosów), nie potrzebuje reklamy. O jej umiejętnościach zaświadczać bowiem klienci, którzy jeden drugiemu, na zasadzie marketingu szeptanego, przekazują rewelacje na temat tego, co też wróżka wywróżyła i jak bardzo okazało się to trafne.

Oczywiście ani trochę nie wierzyłam w podobne bzdury. A do tej wróżki poszłam wyłącznie w ramach eksperymentu. Dzięki otwartemu umysłowi i ciekawości świata zawsze lubiłam eksperymentować, niczego nie przyjmowałam na słowo honoru, wołałam powiedzieć „sprawdzam”. Skoro ktoś mi opowiadał o osobie, która potrafi przeniknąć człowieka na wskroś, rozmawia z nim tak, jakby znała wszystkie jego tajemnice, udziela trafionych w dziesiątkę porad, a w dodatku przewiduje jego przyszłość — to po prostu chciałam to zobaczyć na własne oczy.

Wracając do mamy Rafała: co jej dokładnie wróżka o przepalonym głosie wywieszczyła, tego oczywiście nie wiem i zresztą nie jest to aż tak istotne. Wiem natomiast, że wielkie poruszenie w całej rodzinie Mościckich wywołał fakt, że w owej wizji pojawił się pędzel. Konkretnie: dziewczyna z pędzlem. Galeria sztuki albo po prostu wystawa. Sukces, międzynarodowa sława i pieniądze. „Kto by nie chciał takiej wizji”, pomyślałam w pierwszej chwili; każdy uznałby, że skoro sukces i pieniądze, to przepowiednia obowiązkowo musi być prawdziwa. Właśnie tak się oszukuje klientów. Potem musiałam jednak przyznać, że zapewne tkwi w tym jakiś haczyk, bo niby skąd wróżka wiedziała, że siostra Rafała, Kornelka, jest uzdolniona plastycznie i precyzyjnie maluje...

Próbowałam do sprawy podejść na chłodno, dedukcyjnie, niczym Sherlock Holmes. Może pani Mościcka miała na przykład przybrudzone farbami ubranie? Może z kieszeni wystawał jej paragon ze sklepu z materiałami dla artystów? Może nieświadomie się wygadała, że ma utalentowaną córkę? Rafał twierdził jednak, że odpowiedź na te wszystkie pytania jest przecząca.

Potem doszła do tego opowieść samego Rafała, który także wybrał się do wróżki Grubiak.

— Powiedziała, że widzi, jak przesiadam się z eleganckiego czerwonego samochodu do terenówki. Nie umiała podać marki, ale sama powiedz: Skąd mogła wiedzieć, że u Igi jeżdżę czerwona mazda?

— Pewnie stąd, że podjechałeś nią pod jej dom — błysnęłam inteligencją.

— No coś ty! — Rafał się oburzył. — Przecież tylko w pracy używam auta Igi. W wolnym czasie, niestety, nadal zasuwasz moim pierdzi grosikiem.

Rafał rzeczywiście miał motorek, do którego idealnie pasowało to dziwaczne określenie. Szans na to, żeby zarobić na terenówkę, raczej nie posiadał, choć ostatnio powodziło mu się lepiej niż kiedykolwiek. Pozostawała jeszcze opcja, że wywróżona terenówka będzie należała do Igi, a Rafał będzie jedynie kierowcą. Tak czy owak, fakt, że wróżka знаła kolor mazdy, rzeczywiście był zastanawiający.

— A co ci jeszcze wywróżyla? — chciałam wiedzieć. — Bo chyba nie tylko sprawy motoryzacyjne.

— Nie tylko. — Rafał zarumienił się jak panna na wydaniu. — Ale to były takie prywatne wróżby.

— Sercowe? — domyśliłam się.

— Tak. Bardzo sercowe.

To mnie zaciekawiło, nie powiem. To znaczy, nie sekrety Rafała; od takich wad, jak nadmierne zainteresowanie sprawami bliźnich, byłam na szczęście wolna. Interesowały mnie tylko własne sprawy sercowe.

Z moim życiem uczuciowym miałam bowiem pewien kłopot. Wynikał on z cechy, której u siebie nie znosiłam. Mowa o kochliwości. Wiele bym dała, żeby to zmienić, ale póki co żadna z metod nie działała. Zakochiwałam się średnio trzy razy do roku (naprawdę, kiedyś to z Igą obliczyłyśmy). I nie były to miłostki — wręcz przeciwnie, za każdym razem głęboko wierzyłam, że tym razem miłość będzie prawdziwa, najprawdziwsza, aż po grób. Począwszy od pierwszego razu, od -Przemka, za którego gotowa byłam natychmiast wyjść za mąż, choć oboje mieliśmy zaledwie po szesnaście lat — aż do ostatniego, Krzyśka, który odszedł ode mnie tego lata, prosto w objęcia swojej poprzedniej ukochanej Złej Pameli.

Na ogół trafiałam na przyzwoitych facetów. Raz czy dwa zdarzył się emocjonalny popapraniec, a poza tym z takich ciekawszych przypadków: jeden damski bokser, jeden kleptomani i dwóch kryminalistów (oczywiście, zakochując się w nich, nie miałam pojęcia, że byli na bakier z prawem, w przeciwnym razie odpadliby w przedbiegach). Na ogół uczucie wygasało samo, zaledwie trzy razy zerwałam ja, może z pięć przypadków skończyło się tak, że zostałam porzucona.

Rozstanie z Krzyśkiem przeżyłam zupełnie inaczej niż wszystkie poprzednie. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że jego zdrada odmieniła w moim życiu niemal wszystko. Po pierwsze, jako osoba bardzo towarzyska zdążyłam przedstawić Krzysia moim niezliczonym znajomym — oczywiście za każdym razem sugerowałam, że to mój przyszły mąż (rozmawialiśmy o ślubie, choć prawdę mówiąc, pierścionka mi nie dał). Po drugie on, jako osoba równie towarzyska, zaprzyjaźnił się z moimi przyjaciółmi. Tak więc teraz, kiedy zostałam zdradzona, bywanie w tych miejscach, w których przedtem bywaliśmy razem, spotkanie się z ludźmi, o których wiedziałam, że spotykają się także z nim — przestało mi sprawiać przyjemność. Dlatego postanowiłam zerwać dawne kontakty.

Poszłam na całość: usunęłam niemal wszystkich znajomych na Facebooku i skasowałam konto na Instagramie, gdzie przedtem z radością umieszczałam nasze wspólne zdjęcia. Kilkakrotnie odmówiłam, gdy ktoś z dawnych przyjaciół zadzwonił, by wyciągnąć mnie do kina albo na drinka. W końcu przestali dzwonić. Zostałam niemal zupełnie sama. Nadmiar czasu zabijałam pracą i rajdami rowerowymi.

Zasami się zastanawiałam, czy to już depresja. Nie miałam ochoty na spotkania z nikim poza Igą — a kiedy już wpadałam do niej z wizytą, użalałam się nad sobą. Czułam żal do całego męskiego rodu. Odnosiłam wrażenie, że nigdy wcześniej nie zraniono mnie tak głęboko, choć gdy zastanawiałam się nad tym wszystkim na chłodno, nie rozumiałam, skąd takie odczucia — przecież nie kochałam Krzyśka bardziej niż poprzednich narzeczonych. Kochałam go zupełnie po prostu. Do utraty tchu, szczerze i prawdziwie. Jak zawsze.

Iga twierdziła, że po prostu się starzeję i że w sumie to był najwyższy czas, aby wyrosnąć z

szalonych spotkań towarzyskich, które przeciągały się do świtu. Może tkwiło w tym ziarenko prawdy, ale znacznie większe znaczenie miał fakt, że zwyczajnie czułam się upokorzona. Rozstania i zawody miłosne? Owszem, znałam je doskonale. Ale pierwszy raz w życiu zostałam najpierw prostacko oszukana, a potem porzucona dla innej kobiety. Pierwszy raz się wstydziłam. Czułam się nieatrakcyjna, gorsza, moje poczucie kobiecości zostało podeptane. Stałam się płaczliwa, nerwowa i wciąż miałam muchy w nosie. Bywały dni, kiedy nie mogłam wytrzymać sama ze sobą. Nigdy przedtem — a miłości mojego życia liczyłam już w dziesiątkach — nie było ze mną tak źle.

Uprzedzając nasuwające się pytanie (à propos tych dziesiątek): nie, nie byłam łatwą panienką. Nie chodziłam do łóżka z każdym, kto mi się spodobał. Tuż przed maturą przeżyłam swój średnio spektakularny pierwszy raz, po którym, niestety, ukochany zabrał się i poszedł w diabły. Wówczas właśnie, po całonocnym szlochaniu w słuchawkę, przerywanym celnymi uwagami Igi i moimi mniej celnymi ripostami, wypracowałyśmy wspólnie z przyjaciółką pewną strategię: seks jest dozwolony po sześciu miesiącach. Wcześniej, choćbym była nie wiem jak zakochana, absolutnie nie ma mowy.

— Może właśnie dlatego Krzysiek cię zdradził — zauważyła niedawno Iga, podczas jednej z naszych pseudoterapeutycznych rozmów. — Może te sześć miesięcy to było dla niego za długo.

— W takim razie dochowanie mi wierności przez całe życie byłoby wyzwaniem ponad jego siły — orzekłam trzeźwo, bo prowadziłyśmy tę rozmowę już jakiś czas po tym, gdy przestałam beczeć na samą myśl o nim i byłam w stanie w ogóle o tym porozmawiać. — Pomyśl, końcówka ciąży i połóg to może być w sumie kilka miesięcy wstrzemięźliwości. A gdyby na przykład doszły jakieś problemy zdrowotne, to co wtedy? Zrobiłby mnie w trąbę? Chromolę mężczyzn, którzy myślą nie tą częścią ciała, co trzeba.

— Bardzo słusznie — zgodziła się Iga i uniosła lampkę wina (wtedy jeszcze mogła pić wino). — Na pohybel tej części ciała!

Podniosłam swój kieliszek, ale zawahałam się na moment.

— Jesteś pewna? — zapytałam. — Bo jednak wiesz, czasem się przydaje do różnych... życiowych czynności.

Iga zastanowiła się, zerknęła w stronę tarasu, na którym jej ukochany czytał jakieś czasopismo ogrodnicze, a potem łaskawie skinęła głową. W jej spojrzeniu pojawiła się czułość.

— No dobrze — powiedziała. — Niech sobie ta część ciała będzie cała i zdrowa, nie róbmy jej krzywdy. Ale do myślenia niech nasi panowie używają mózgu. Za to wypiję.

— Ja też — zgodziłam się z entuzjazmem, bo co jak co, ale wino lubię pasjami.

Wtedy Iga jeszcze mogła pić trunki lżejsze i cięższe. Zaś fakt, że potem przestała móc, miał bezpośredni związek z moją decyzją, aby jednak pójść do wróżki. Otóż sprawy wyglądały tak, że odkąd pamiętam, różniłyśmy się z moją przyjaciółką pod pewnym zasadniczym względem. Ja pragnęłam założyć rodzinę: wyjść za mąż i mieć dzieci, najlepiej troje. Byłam jedynaczką, w dodatku z rozbitego małżeństwa; być może dlatego tęskniłam za ogniskiem domowym, jakiego sama nie doświadczyłam.

Iga — choć także jedynaczka i też nieszczególnie szczęśliwa w kwestii rodzinnej — odkąd pamiętam, zarzekała się, że za mąż się nie wybiera, nie zamierza się zakochać, a o dziecku nawet nie chciała rozmawiać. Tymczasem nie dosyć, że to właśnie ona pierwsza znalazła sobie kogoś na stałe, to — co więcej — dwa tygodnie po wizycie u wróżki przyjechała do mnie do zakładu z prawdziwą bombą. Metaforyczną na szczęście.

— Pamiętasz, co mi przepowiedziała ta wróżka od Rafała? Ta cała Tłuszczak? — zapytała od drzwi.

Robiłam właśnie sesję zdjęciową starszemu panu, który nieśmiało wyznał, że zamierza kandydować na radnego i będzie potrzebował kilku dobrych portretów na plakaty wyborcze. Moim zdaniem nie nadawał się do brudnego świata polityki, nawet tej lokalnej, bo był zbyt łagodny, nieśmiały i sprawiał wrażenie kryształowo uczciwego.

— Pamiętam — mruknęłam. — Dzień dobry, tak w ogóle. A wróżka była Grubiak, nie Tłuszczak.

Robię tu właśnie przyszłego prezydenta, nie przeszkadzaj. Panie Romanie, proszę się wyprostować, pierś do przodu, to zawsze wizualnie dodaje pewności siebie.

— Dzień dobry — odpowiedziała Iga, najwyraźniej bardzo czymś zaaferowana, skoro nie zauważyła, że naprawdę mi przeszkadza. — No więc przypomnę ci, oprócz takich tam bzdur, że podróże, góry i dużo zieleni, to ona mi jeszcze przepowiedziała maleńkie buciki. Że będę wybierać w sklepie te buciki, rozumiesz. I ja ci wtedy powiedziałam, że niedługo zajdziesz w ciążę, pamiętasz?

Pan Roman spojrział na mnie badawczo i przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał się zerwać i ustąpić mi miejsca. Uśmiechnęłam się do niego uspokajająco.

— Pamiętam, oczywiście, ale póki co twoja wiedźma strzela kulą w płot, bo jakoś nie zaszłam — odparłam. — Panie Romanie, broda wyżej, usta trochę bardziej zacisnąć, stanowczo, choć sympatycznie. O, teraz jest idealnie!

Do Igi najwyraźniej dotarło, że cokolwiek ma mi do powiedzenia, to ta rewelacja będzie musiała poczekać — ucichła i zajęła się przeglądaniem albumów na zdjęcia, które wystawiłam w gablotce (choć mówiąc szczerze, zupełnie niepotrzebnie, ponieważ od dawna nikt ich już nie kupował). Wykonałam jeszcze kilka fotografii, umówiliśmy się na obróbkę i odbiór nazajutrz, klient zapłacił, pożegnał się i poszedł. Teraz mogłam poświęcić uwagę przyjaciółce.

— Mów — zażądałam, nie kryjąc kpiny w głosie. — Co się dzieje? Co z tą twoją szeptuchą? Sprawdziła ci się wróżba z bucikami? Inwestujecie z Wojtkiem w biznes obuwniczy czy jak?

— Gorzej — wyznała Iga niby ponuro, ale oczy świeciły jej dziwnym blaskiem. — Z inwestycją to nawet trafiłaś, ale w nieco innym sensie. Genetyczna inwestycja w ideę przedłużenia gatunku. Jestem w ciąży.

No i to był grom z jasnego nieba. W przenośni na szczęście, bo taki dosłowny to już kiedyś w Ige strzelił i słowo honoru — nie chciałabym, żeby to spotkało także mnie.

Po pierwsze, ona naprawdę nigdy nie chciała mieć dziecka. I kiedy mówię „nie chciała”, mam na myśli NIE CHCIAŁA. Serio. Po drugie, Wojtek, jej facet, także nie chciał. W każdym razie tak twierdził, a widząc jego obojętność na dzieci wszelkiej maści i w każdym wieku, byłam skłonna uwierzyć, że nawet nie powinien być ojcem.

Po trzecie, ja dla odmiany CHCIAŁAM. Bardzo. Rozpaczliwie. Coraz częściej, odkąd skończyłam trzydziestkę, rozmyślałam o tym, jak by to było cudownie nosić pod sercem maleństwo. Obserwować, jak rośnie. Pewnego dnia poczuć jego delikatne ruchy, usłyszeć przy badaniu bicie serduszka. Czekać, aż się urodzi, ciesząc się każdym dniem, kiedy ono jest tak blisko, że bliżej już się nie da. Zadbać o wszystko, o każdy śliczny szczegół — przygotować pokój, łóżeczko i wianek, ubranka, cudownie miękką szczoteczkę do jedwabistych włosów. Same zdrobnienia, jak widać. Jednym słowem, zaczynało mi trochę odbijać.

Do oferty naszego (mojego i ojca) zakładu fotograficznego „Babette” wprowadziłam fotografię ciążową. Klientki lubiły sesje u mnie nie tylko dlatego, że — co nieskromnie przyznaję — potrafiłam wydobyć magiczne piękno z zaokrąglonego kobiecego ciała, ale także z tego powodu, że mogłam godzinami słuchać o ich odczuciach i dolegliwościach. Potem wracały na sesje ze swoimi maluszkami; wahałam dziecięce główki i stópki, po czym robiłam setki zdjęć w kocykach i wełnianych szalach, wśród piórek, kwiatów, maskotek. Nauczyłam się uciszać niemowlęta, zabawiać je i huścić w specjalny sposób, sprawiając, że zasypiały. Uwielbiałam to.

Kiedy zakochałam się w Krzysku, bardziej niż kiedykolwiek przedtem uwierzyłam, że to już. Że znalazłam tego jedyne: przyszłego męża i ojca moich dzieci. Będziemy razem aż do pogodnej starości, którą zgodnie z moimi wyobrażeniami spędzimy, wysypiając się za wszystkie czasy oraz siedząc w bujanych fotelach, czytając dobre książki, sącząc nastawioną własnoręcznie nalewkę i obserwując, jak bawią się nasze wnuki. W naszym ogrodzie z niewielkim sadem. Za naszym domem gdzieś na wsi. No dobrze, przyznaję, że to była wizja nieco barokowa — w sensie rozbudowanej formy, ale przecież jak najbardziej realna. Krzysiek był budowlańcem, mógł dla nas zbudować piękny dom, ja natomiast całkiem nieźle radziłam sobie w biznesie fotograficznym; pieniędzy na realizację tego marzenia wystarczyłoby w zupełności. Oczywiście nie od razu, ale łączyłoby się po kilku latach. Kilkunastu. No, ostatecznie

kilkudziesięciu.

— Przecież masz jeszcze osiem milionów wygranych w Lotto — przypominała mi Iga, kiedy z nią o tym rozmawiałam. — Nie sprawiaj mi przykrości, obiecałaś, że weźmiesz tę połowę.

Mniej więcej dwa lata wcześniej Iga i ja postanowiłyśmy zagrać w Lotto na spółkę. Spółka polegała na tym, że idziemy razem do kolektury, każda z nas skreśla swoje liczby, gramy, a w razie wygranej dzielimy się po połowie. Naturalnie były to wygłupy, ale ku obopólnemu zdumieniu okazało się, że moja przyjaciółka zgarnęła dwadzieścia milionów. Po odjęciu podatku zostało osiemnaście do podziału — tyle że mnie się już wówczas odwidziało. Bo właściwie, jak się na to patrzyło chłodnym okiem, to niby z jakiej racji miałyby się ze mną dzielić? Gdybyśmy te liczby wybierały razem, to jeszcze rozumiem. Gdyby trzy należały do niej, a trzy do mnie. Ale nie, każda z nas miała swój kupon, a jedynym, co mnie w jakikolwiek sposób z wygraną Igi łączyło, był fakt, że to ja wymyśliłam, abyśmy w ogóle zagrały.

— No i masz wyjaśnienie, dlaczego uważam, że te pieniądze są wspólne — perorowała Iga. — Gdyby nie ty, wcale bym nie skreśliła żadnych liczb, zignorowałabym tamtą kumulację, tak jak ignorowałam dziesiątki wcześniejszych. Agata, dlaczego jesteś uparta jak zwierzę?

Iga miała szczególny talent do tworzenia oryginalnych powiedzonek oraz przekręcania nazw, imion, tytułów i tak dalej. W zasadzie nie był to talent, lecz skutek wspomnianego uderzenia pioruna; w każdym razie ta jej cecha dostarczała mi mnóstwa uciechy.

— Nie jestem uparta jak zwierzę. Ani jak osioł. Przecież podjęłam z konta okrągły milion, prawda? Więc o co ci właściwie chodzi?

— Dobrze wiesz o co. Ten milion się nie liczy, przeznaczyłaś go na leczenie oka Kornelki i od tamtej pory nie wzięłaś ani złotówki.

— A może ja mam właśnie taki pomysł? — Wzięłam się pod boki. — Skoro te pieniądze zesłał mi przypadek, to będę je wydawać w sposób przypadkowy. Jeśli coś mnie złapie za serce, jeżeli znajdę gdzieś coś, co moim zdaniem jest tego warte, wydam choćby pięć milionów bez mrugnięcia okiem. Ale codzienne życie? Bułki i masło? Na takie rzeczy przecież zarabiam w zakładzie fotograficznym.

— Nie musisz pracować.

— Ale chcę! Ja kocham moją pracę, nie rozumiesz tego?

Chyba rzeczywiście nie rozumiała. Ona sama nigdy nie pracowała w zawodzie, który zdołałaby polubić. Chciała być redaktorką w wydawnictwie, marzyła jej się nawet kariera pisarska, lecz po uderzeniu pioruna i lekkim przemeblowaniu w jej głowie te marzenia legły w gruzach. Uznała, że jest skazana na salon urody swojej matki, a jako że nawet po kursie fryzjerskim nie nauczyła się dobrze strzyć, przez kilka lat pełniła tam funkcję kogoś w rodzaju „przynieś-wynieś-pozamiataj”. Koszmar. Zwłaszcza dla osoby tak inteligentnej i ambitnej jak Iga.

— Kiedyś znajdziesz sobie coś, co będziesz robiła z prawdziwą pasją — powiedziałam — a wtedy zrozumiesz, dlaczego nie tylko nie zamierzam zamykać studia „Babette”, ale przeciwnie: chcę je rozbudować. To znaczy nie w sensie dosłownym, przestrzennym... — Tu posmutniałam, bo przypomniała mi się zdrada budowlańca Krzyśka. — W przenośni. Chcę dodać do fotografowania usługę wizażu. Nauczę się robić profesjonalny makijaż, wyposażę szafę w jakieś fantazyjne kiecki, szale i tak dalej i będę robić sesje w atelier i w plenerze. Będę spełniać marzenia, realizować najdziksze pomysły. U mnie będziesz mogła na chwilę stać się kowbojką z Dzikiego Zachodu, damą z czasów Jane Austen albo na przykład rzymską kurtyzaną. Tak to widzę.

W każdym razie tak to widziałam do tej pory. Bo kiedy Iga przyszła do mnie i oznajmiła, że jest w ciąży, zaczęła mnie prześladować myśl o tym, że być może skupiam uwagę nie na tym, co trzeba. Odkąd Krzysiek mnie rzucił, pracuję od rana do nocy. Nigdzie nie zatrzymuję się na długo; nie miewam postojów, wciąż gnam dalej. Tymczasem najlepszy czas na to, by założyć rodzinę i spełnić marzenie o byciu matką, mija. Zwyczajnie. Płynie niczym rzeka. Nie wróci, nie da się go cofnąć.

Właśnie dlatego, prześladowana myślą o swoim starzejącym się ciele, które niedługo stanie się krucho i bezużyteczne jak opuszczona przez ślimaka muszla (nie wiem, dlaczego właśnie takie porównanie wciąż przychodziło mi do głowy), postanowiłam udać się do tej nieszczęsnej wróżki i

zapytać ją, czy przewiduje dla mnie zamążpójście i macierzyństwo. Bo jeśli nie, to...
No to właśnie nie wiedziałam co.

— Usiądź sobie, kochana — zaskrzypiała wróżka, wskazując mi miejsce przy niewielkim okrągłym stoliku. — Jesteś zdenerwowana. Niepotrzebnie.

„Nie jestem zdenerwowana, tylko nie wiem, co tu robię”, chciałam powiedzieć. „Nie wierzę, że ma mi pani cokolwiek ciekawego do powiedzenia. I już zdążyłam zapomnieć, co mi właściwie strzeliło do głowy, żeby tu przyjść”.

— Nawet jeśli nie wierzysz w przepowiednie, czasem warto po prostu porozmawiać — rzekła gospodyni, przygotowując mnie o dreszcze, bo przez chwilę miałam wrażenie, że czyta w moich myślach.

Dopiero po paru sekundach dotarło do mnie, że zapewne mówi to wszystkim klientom. Sprawdza się — tak obstawiałam — w osiemdziesięciu procentach. Pozostałe dwadzieścia, czyli ci, którzy wierzą we wróżby, z pewnością natychmiast gorliwie zaprzeczają. Ja nie zaprzeczyłam, ale także nie potwierdziłam. Po prostu przysiadłam na niewygodnym krzeselku przy stole nakrytym czarnym koronkowym obrusem. Nijak mi ta koronka nie pasowała do pseudohinduskiej chusty na głowie wróżki, nie mówiąc już o cygańskiej spódnicy w kwiaty, którą dopiero teraz zauważyłam. Jednym słowem, panował tu czysty eklektyzm.

Kobieta usiadła naprzeciwko i przez dłuższą chwilę po prostu patrzyła na mnie badawczo, co wprawilo mnie w okropne zakłopotanie. Odnosiłam wrażenie, że mam wypisane na twarzy wszystkie najskrytsze myśli i że Wróżka Grubiak je bez trudu odczytuje. (Doskonale wiedziałam, że litera W na jej wizytówce musi oznaczać na przykład Wandę albo Wioletę, nic nie mogłam jednak poradzić na to, że wdrukowała mi się w umysł jako Wróżka Grubiak).

Postanowiłam się jak najmniej odzywać, żeby nie zdołała ze mnie wyciągnąć żadnych informacji na mój temat. To ona ma mówić, za to właśnie zapłacę jej tę nieszczęsną stówę.

— Zaczniemy od tego, że obowiązują pewne zasady — rzekła po chwili. — A właściwie jedna. Brzmi ona tak: wolno ci rozmawiać o wszystkim, co ode mnie usłyszałaś, z wyjątkiem tego, czego dowiesz się o swojej śmierci.

— O śmierci? — Wybałuszyłam oczy. — Co pani za głupoty opowiada! Ja mam dopiero trzydzieś...

— Umiera się w każdym wieku, przez cały czas — przerwała mi spokojnie Wróżka Grubiak. — Umierasz powolutku już od chwili narodzin. A ja potrafię ci powiedzieć, kiedy konkretnie pożegnasz się z tym światem.

— Ale ja wcale nie chcę wiedzieć! Nie życzę sobie wiedzieć!

— Oczywiście. Wydaje ci się, że nie chcesz. Tylko że zanim stąd wyjdiesz, zechcesz. Zapytasz.

Pokręciłam głową. Miałam zamiar uciec, podniosłam się nawet, ale wróżka wykonała dziwny ruch ręką — dziwny dlatego, że była w nim jakaś ukryta siła. A ja, zupełnie jakbym została zahipnotyzowana, nie byłam w stanie się przeciwstawić; usiałam i milczałam, patrząc na panią Grubiak.

— Szukasz czegoś — powiedziała. — Albo kogoś.

„Niezwykle odkrywcze”, pomyślałam, resztką woli przywołując skąpe zasoby ironii, jakie jeszcze miałam w zanadrzu. Przecież zapewne nie przychodzą do niej ludzie, którzy właśnie kogoś lub coś znaleźli.

— Daj mi rękę — poprosiła, a ja posłusznie wyciągnęłam dłoń.

Pogładziła ją po wierzchu, każdą kostkę, lekko wystające żyłki i ścięgna; wbrew temu, czego bym się po sobie spodziewała, nie było to dla mnie niemiłe. Trochę jakbym siedziała u kosmetyczki, która wklepuje mi krem po manicurze.

— Bardzo chcesz już dotrzeć do bezpiecznego portu, zakotwiczyć się — usłyszałam. Wróżka odwróciła moją dłoń i powiodła palcem po liniach wyrysowanych w jej wnętrzu. — Ale nie możesz; nie uda ci się to, kochanie, dopóki nie załatwisz tych kilku spraw z przeszłości. Musisz wyprostować swoje ścieżki.

Wpatrywałam się w nią jak, nie przymierzając, stroka w gnata. Po pierwsze, okropnie mieszała

metafory. Najpierw marynistyczne, teraz znów turystyczne. Porty i ścieżki? A po drugie, miałam to niby zapisane na ręce?

— Skąd pani może wiedzieć o moich sprawach z przeszłości? — zapytałam i dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem spięta, niby przed jakimś egzaminem. — Jakim cudem? Przecież nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam. Zresztą to nie ja muszę pozalać sprawy z przeszłości, to nie ja odeszłam od rodziny, tylko moja mama. Ja natomiast zrobiłam jedyną przyzwoitą rzecz w tej sytuacji: po prostu zostałam z ojcem! Więc niby co ja miałabym zalać?! Nie będę prostować cudzych ścieżek, nie ja je poplątałam.

I rozpląkałam się z nerwów, świadoma, że właśnie zrobiłam to, na co ona, zdaje się, liczyła od początku: powiedziałam jej coś o sobie. Wróżka patrzyła na mnie w milczeniu, a potem puściła moją rękę i wstała, by podać mi papierowe ręczniki, które stały na niewielkiej komódce. Zapewne były niezbędnym sprzętem w jej pracy.

— Nie ty poplątałaś ścieżki, to prawda, ale przecież właś-nie ty nimi wędrujesz, takimi zagmatwanymi — powiedziała w końcu, kiedy osuszyłam policzki i wydmuchałam nos. — Nie widzisz tego? Idziesz krętymi drogami, które ktoś inny wytyczył. To jest pójście na łatwiznę. Może pora wydeptać własny szlak?

— No dobrze — odparłam, bo to wszystko zaczęło mnie irytować w najwyższym stopniu. — Wydepczę. A pani niech mi powie, od czego zacząć.

Po co ja tu przyszłam?! Przecież ta „wróżka” rzucała takimi ogólnikami, że równie dobrze te jej mądrości można było odnieść do kogokolwiek! A ja chciałam usłyszeć coś o sobie — i nie to „coś”, co sama, jak ostatnia kretyńka, jej powiem. Chciałam, żeby okazała się prawdziwą wróżką. Albo ewentualnie żeby się właśnie nie okazała i żeby udało mi się ją zdemaskować.

— Zaczniź od pogodzenia się z matką, w ten sposób zawrzesz pokój także ze sobą. Potem po prostu zastanów się, czego chcesz, i powoli zrealizuj swoje pragnienia. Krok po kroku.

— I tyle? To jest pani wizja na temat mojej przyszłości? — Nie kryłam rozczarowania. — A mężczyzna? Coś odnośnie do mojego... mojego życia osobistego... — plątałam się, bo nie chciałam jej podpowiedzieć, że chodzi mi o dziecko.

Zamknęła oczy i przez chwilę wydawała się podobna do rzeźby z brązu. Chyba oprócz innych życiowych przyjemności nadużywała też solarium.

— Wizja? Miewam wiele wizji. Ale bardzo trudno jest odróżnić, które z nich to przyszłość, a które pochodzą z przeszłości, marzeń, lęków albo ze snów. Zwykle potrafię dostrzec dwie alternatywne wersje. Tym razem także. Jedna, ta mniej wyraźna, bardziej odległa, ale jaśniejsza, może się ziścić tylko wtedy, gdy zboczysz z drogi, wyznaczysz sobie własną. Widzę tam jakiegoś mężczyznę, to prawda. Mówiąc szczerze, widzę ich przy tobie wielu. Ale jeden z nich jest bardzo blisko ciebie, bliżej niż pozostali.

— Niech mi pani coś o nim powie!

— Nie mogę, kochana. Jest zamazany, jakby za mgłą. Oni zawsze są za mgłą. Tak zimno, a on nie nosi szalika.

— A ja? Jestem tam, w tej wizji? Jak wyglądam?

Chciałam usłyszeć, że mam okrągły brzusek albo nawet dziecko w objęciach. Nie przeszkadzało mi, że nie wierzyłam w całe to jasnowidzenie. Tak bardzo pragnęłam, żeby przepowiedziała mi macierzyństwo.

— Fiolki, to chyba fiołki — powiedziała wróżka i śmiesznie pociągnęła nosem, jakby poczuła ich zapach. — Cała w fiołkach. Robisz zdjęcia. Chyba kwiatom. Albo komuś niskiemu, tuż przy ziemi. Może jakiemuś dziecku.

Ale choć pytałam, prosiłam i zaklinałam, nie umiała albo nie chciała mi powiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka, czy to moje dziecko i czy jestem w tej wizji szczęśliwa.

— Nie rozumiesz, kochanie — tłumaczyła mi cierpliwie. — To, co udało mi się zobaczyć, to tylko jeden z możliwych scenariuszy. Przyszłość nie istnieje w określonym kształcie, ona się dopiero tworzy. Wyobraź sobie dwie leśne polanki: jedna z nich jest pogrążona w cieniu, druga zalana słońcem.

Jeżeli powędrujesz dalej najkrótszą drogą, najłatwiejszą, nie dotrzesz do słonecznej polany. Nie będzie mężczyzny bez szalika ani tych fiołków. Stanie się za to coś zupełnie innego. Twoja dróżka powiedzie cię wprost na polanę znajdująca się w cieniu. Tam będzie czekała twoja śmierć.

— Przecież umrę tak czy owak — powiedziałam filozoficznie. — Sama pani mówiła, że umieramy cały czas. Na końcu każdej drogi czeka nas śmierć.

— Ale nie tak prędko. Ja widzę tę cieniłą łąkę już bardzo niedaleko. I teraz tylko od ciebie będzie zależało, czy ta wizja się ziści. Jeżeli zmienisz coś w swoim życiu, zmienisz także tę wizję.

— Czyli według pani ile czasu mi zostało? — zapytałam w końcu, bo po prostu nie mogłam się powstrzymać. — Niby kiedy miałabym umrzeć według tej... ciemniejszej wersji?

Wróżka jeszcze raz sięgnęła po moją rękę. Umieściła ją płasko między swoimi dłońmi i zamknęła oczy.

— Sześć lat — orzekła. — Masz jeszcze sześć lat. To będzie coś nagłego. Albo szybko postępująca choroba, albo wypadek.

Prawie krzyknęłam, wyrwijając dłoń z jej rąk. Bzdury! Przecież nie zdążę! Muszę wyjść za mąż! Zresztą do diabła z zamążpójściem — muszę zostać matką! Ale urodzić dziecko tylko po to, by je osierocić w dzieciństwie?!

— Oto, co się stanie, jeśli będziesz bezmyślnie wędrować wytyczoną ścieżką — dodała jeszcze Wróżka Grubiak. — Od ciebie zależy, czy zmienisz ponurą wizję, czy pozwolisz jej się spełnić. Już ci mówiłam, powinnaś pójść inną drogą, może na przelaj, a może właśnie naokoło. Próbuj szukać nowych tras. Jeśli się dobrze przyjrzyysz, zauważysz, że od każdego głównego traktu odchodzą w bok niepozorne ścieżynki. Często są to trudne szlaki, wysokogórskie. Ale właśnie idąc nimi, znajdziesz się w zupełnie innym miejscu niż ci, którzy poszli prosto. I zazwyczaj jest to znacznie piękniejsze miejsce.

Wróciłam do domu wystraszona, rozczarowana i zła jak osa. Był październikowy wieczór. Oczywiście wcześniej, niż bym chciała, zrobiło się ciemno i bardzo zimno, a ja nie miałam rękawiczek, więc łapska prawie mi odpadły. „Trzeba będzie przesiąść się z roweru do samochodu”, pomyślałam. Pedalując zawzięcie ulicami Bydgoszczy, starałam się nie oglądać za wszystkimi mijanymi facetami bez szalików. Zwłaszcza że mimo jesiennego chłodu, obiektywnie rzecz biorąc, to jeszcze nie był sezon na szaliki.

Tata próbował wypytywać, o co chodzi, czy to znowu sprawy sercowe, ale rozdrażnił mnie tym pytaniem jeszcze bardziej. Zamknęłam się w pokoju, poklęłam chwilę pod nosem, po czym zadzwoniłam do Igi.

— Po co ja do niej poszłam? Bez sensu wydałam stówę — oznajmiłam z udawaną pretensją w głosie.

— No, wal śmiało — odparła; od razu się domyśliła, że muszę to po prostu z siebie wyrzucić.

— Nic konkretnego mi nie powiedziała, rozumiesz? Myślałam, że usłyszę jakiś konkret. A ona mi jakieś dyrdymały sady, że wyprostować ścieżki, że wydeptać własne szlaki, zawrzeć pokój ze sobą. Cała w fiołkach i on nie nosi szalika, też coś! — prychałam i syczałam jak rozeźlona kotka.

— Zaraz, Agata. Mów po kolei, bo mi się kręci w głowie.

Sama tego chciała. Opowiedziałam po kolei, nie skąpiąc, oczywiście, własnych komentarzy. Pominęłam tylko te głupie teksty o śmierci. Po pierwsze dlatego, że nie wierzyłam w nie ani trochę, a po drugie, bo wróżka zabroniła o tym rozmawiać.

— Nie wiem, czego ja się właściwie spodziewałam — podsumowałam.

— Pewnie tego, że babina ci powie: szukaj bruneta wieczorową porą, będzie miał goździk w klapie i odezwie się tymi słowy: „Najlepsze kasztany są na placu Pitagorasa”, a wtedy będziesz miała pewność, że to na pewno on; pokochacie się i będziecie szczęśliwi, sukienkę ślubną kup kremową, a w maju urodzą wam się bliźniaki, więc od razu załatw podwójny wózek.

— Nie Pitagorasa, tylko Pigalle — poprawiłam cierpliwie. — A poza tym wiem przecież, że nie mogła mi dać takich wskazówek.

— Nie mogła — zgodziła się Iga. — Bo wtedy nie dałabyś szansy żadnemu blondynowi ani

rudemu. Albo na przykład takiemu, co będzie miał w klapie różę.

— Nabijasz się ze mnie, a ja mam poważny problem.

W słuchawce zapadła cisza.

— Jaki ty niby masz problem? — zapytała po chwili moja przyjaciółka zupełnie innym tonem.

— Taki, że nie chcę się już zakochiwać — powiedziałam żałośnie. — Nie chcę. To znaczy właśnie chcę, ale tak raz a dobrze. Co jest ze mną nie tak, dlaczego jestem wybrakowana? Dlaczego nie potrafię nikogo przy sobie zatrzymać? I dlaczego nic mnie nie cieszy? Moje życie stało się puste. Nie budzę się już z radością, jak dawniej. Teraz każdy dzień zaczynam od starań, żeby się nie rozbeczeć.

Iga milczała przez chwilę, po czym odezwała się podejrzenie wilgotnym głosem:

— Przyjechać?

— Nie, gdzież tam. Jesteś w ciąży, nie będę cię ciągała po nocach.

— Zwariowałaś? Do nocy jeszcze daleko.

— Tak czy owak, jesteś w ciąży, niezależnie od pory dnia.

— Cięża to nie kalectwo. Tylko powiedz, że chcesz pogadać, a przyjadę.

— Nie, Iguś. Nie potrzebuję pogadać. To znaczy... przecież właśnie gadamy.

— A co, jeśli masz depresję? Może powinnaś porozmawiać z kimś, no wiesz, profesjonalnie?

— Co masz na myśli?

— No nie wiem, psycholog jakiś? Psychoterapeuta?

Zamyśliłam się. Może to nie był taki głupi pomysł. Wróżka, owszem, była niezbyt mądrym pomysłem, teraz już wiedziałam to na pewno, ale specjalista od popaprańców emocjonalnych? Kto wie, może pomógłby mi rozwiązać zagadkę moich nietrwałych związków. I wyprostować te ścieżki, o których mówiła Wróżka Grubiak. A wtedy jej ponura wizja się nie ziści i nie umrę za sześć lat, zdążę ze wszystkim, co sobie w życiu wymarzyłam.

— Chyba masz rację — zakończyłam. — Jutro się rozejrzę. Wygooglam sobie i umówię się na spotkanie.

— Ja mogę zapytać Wojtka. Po rozwodzie przez jakiś czas chodził do psychologa...

— Wiesz co? — przerwałam jej. — Postaram się znaleźć coś sama. Jeśli mi się nie uda, zwrócimy się do twojego Wojtka. Tymczasem przestań się martwić moimi wydumanymi problemami, pogłaskaj dzidziusia i śpij dobrze.

— Srata tata, dzidziusia. Nie ma jeszcze dzidziusia. Na razie jestem ja — odparła Iga z urazą. — Wszyscy mnie traktują jak inkubator. Liczy się tylko zawartość. Ja mam dobrze działać, nie zepsuć się, broń Boże, i tyle.

— Kto cię tak traktuje?! — oburzyłam się.

— Mama. I Wojtek. A teraz ty.

— Coś ty, przestań się wygłupiać! — zaprotestowałam.

Co też jej przyszło do głowy?

— Dobrze, nie kłóćmy się. Tymczasem szukaj tego psychologa. — Nagle zmieniła ton. Nie nadążałam za jej wahaniami nastroju. — Pa, idę do wanny, bo Wojtek mi zrobił kąpiel z pianką.

Rozłączyła się. Westchnęłam, próbując wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby ktoś dbał o mnie tak, jak Wojtek dbał o moją przyjaciółkę. Gdyby wszyscy piali nade mną z zachwytem, że noszę pod sercem maleństwo. Że jestem inkubatorem. I przede wszystkim — gdybym nosiła je naprawdę.

Następnego ranka wyszukiwarka zaproponowała mi chyba z pięćdziesięciu psychologów. Postanowiłam nie sugerować się opiniami w Internecie — a było ich mnóstwo, zarówno tych pozytywnych, jak i mieszających z błotem. O tej samej pani doktor jeden pacjent pisał, że jest delikatna i taktowna, a ktoś inny — że łąduje się z butami w bardzo osobiste sprawy. Uznałam, że jest to kwestia preferencji — jeden lubi, gdy terapeuta nazywa rzeczy po imieniu, drugi woli, gdy się obchodzi problem dookoła i próbuje go ugryźć z każdej strony. Jakim pacjentem byłam ja, nie miałam pojęcia.

Po namyśle stwierdziłam, że zastosuję stary jak świat sposób na podjęcie decyzji — dziecięcą wyliczankę. *Torbe, borbe, ósme, smake* i tak dalej. Skopiowałam sobie do dokumentu w Wordzie piętnastu pierwszych psychologów, jakich podsunął mi wujaszek Google. Następnie ustaliłam, które wyliczanki zadecydują o moim zdrowiu psychicznym. Poza wspomnianą *eus deus kosmateus* przypomniałam sobie jeszcze tę o bombie, co wpadła do piwnicy, oraz *Na ulicy Leja* (dopiero jako nastolatka dowiedziałam się, że powinno być Reja, ale że wyliczanek uczymy się w bardzo wczesnym dzieciństwie, utrwalił mi się ten Lej i nic już nie mogłam na to poradzić).

A zatem — do roboty. Wyliczanka po wyliczance, sylaba po sylabie, psycholog po psychologu. *A Polacy cacy cacy, wy-chodź-ty!* Padło na Grzegorza Kapinosa. Ha, cóż. Powiem szczerze, że sugerując się nazwiskiem, nigdy bym akurat tego terapeuty nie wybrała. W mojej wyobraźni pojawił się obraz człowieka zakatarzonego, z malowniczym glutem wiecznie wiszącym u czubka nosa. Postanowiłam jednak nie być dziecinna i nie kierować się czymś tak mało istotnym (w sensie: mało istotnym jak nazwisko, bo glut u nosa uznałabym jednak za dość znaczący szczegół).

Weszłam na stronę internetową rzeczonego Grzegorza Kapinosa i uważnie przestudiowałam jego ofertę. *Wykształcenie, szkolenia, kursy doskonalące, pracowałem w szpitalu, współpraca z policją, zdobywałem doświadczenie...* bla bla bla. Zainteresowało mnie dopiero zdanie: *Skutecznie pomagam osobom odczuwającym brak wpływu na własne życie osobiste i zawodowe, mającym trudności w radzeniu sobie ze stresem oraz w nawiązywaniu satysfakcjonujących znajomości, relacji i związków.*

Przecież to było o mnie! Idealnie! Może z wyjątkiem tego stresu, bo w zasadzie nie odczuwałam niczego, co mogłabym określić tym słowem. Ale cała reszta — jak najbardziej. Brak wpływu na własne życie osobiste, no wypisz wymaluj — ja. Trudności z tworzeniem satysfakcjonujących związków — trafiłeś w sedno, Grzegorzu Kapinosie! Bo związki jako takie? Nic prostszego. Ale sa-tys-fak-cjo-nu-ja-ce — to było słowo klucz.

Dobrze więc. Przy pomocy formularza na stronie internetowej zaklepałam sobie wizytę w środę o osiemnastej i zanotowałam w kalendarzu, żeby nie umawiać nikogo na sesję w tym dniu, bo ze zdjęciami do dokumentów tata radził sobie beze mnie. Odetchnąwszy z ulgą, gdyż nic tak nie poprawiało mi nastroju jak działanie, dopiłam kawę, wrzuciłam w siebie jakieś szybkie śniadanie, po czym wsiadłam na rower i popedałowałam do pracy, korzystając z tego, że dzień był piękny, a październikowe słońce grzało zupełnie jak latem.

We wtorek po południu miałam umówione dwie sesje: jedną ciężową i jedną szczeniackową. Iga kpila ze mnie, że zaczynam przesadzać — moja miłość do dzieci przekracza już granice gatunkowe i zaczynam dostawać bzika na punkcie wszelkich maluchów. Tylko patrzeć, kiedy zacznę fotografować kijanki albo larwy much.

Prawda była jednak taka, że kocięta i szczeniaki rozczulały mnie do łez. Zapewne tak samo rozczulałyby mnie źrebaki, cielaczki i inne jagniątka, tyle że hodowcy nie zamawiali im sesji zdjęciowych. Jak uświadomił mi w długiej rozmowie właściciel hodowli „Wielokropek”, specjalizującej się w dalmatyńczykach, takie hodowanie to ciężki kawałek chleba. Kiedy chciałam poznać szczegóły, odpowiedział:

— Wie pani, widziałem kiedyś na Facebooku taką zabawną grafikę, która idealnie to ilustruje. Proszę sobie wyobrazić: facet, właśnie hodowca, mizia psa za uchem. Komentarz: oto co robię całymi

dniami według moich znajomych. Drugie zdjęcie: facet liczy pieniądze. Komentarz: oto co robię całymi dniami według moich krewnych. Zdjęcie trzecie: facet zbiera gówienka. Podpis? Oto co robię w rzeczywistości.

— Niech pan nie przesadza — zaoponowałam. — Przecież to takie słodziaki... Tuliłabym przez cały dzień. A że zrobią kupkę? Posprząta się i już.

— Taaa. Gdyby jeszcze robiły jedną dziennie i gdyby wszystkie na raz, toby się posprzątało o określonej godzinie i rzeczywiście: już. Ale one się nie znają na zegarkach. Zresztą co ja będę pani tłumaczył... To trzeba zobaczyć, a najlepiej przeżyć. Po odchowaniu jednego miotu jeszcze się tę robotę uwielbia, ale już przy drugim i trzecim człowiek myśli: Po kiego diabła mi te małe potwory, które zaczynają dzień o czwartej?

Nie uwierzyłam mu, w każdym razie nie do końca. Aż do dnia, w którym zgodziłam się na sesję zdjęciową w hodowli seterów irlandzkich. Cudne to było, rudokasztanowe, kosmate. Dwanaście maluchów. Hodowczyni uparła się na zdjęcia w ogrodzie. Przyjechałam, wyciągnęłam sprzęt z samochodu i ruszyłam przed siebie, żeby poobserwować szczeniaki. Zawsze najpierw trzeba poznać fotografowany obiekt, nawet jeśli jest to pies.

— Niech pani zaczeka — zawołała hodowczyni ze zgrozą. — Kalosze!

„Jakie znów kalosze”, pomyślałam. Przecież był piękny, słoneczny dzień, a ja chciałam tylko wejść do psiego kojca i przywitać się z puszystymi kuleczkami.

Cóż, kiedy już byłam w środku, zrozumiałam. Po pierwsze, na moich nogawkach zawisło kilka psich mordek, które zaczęły się ostrymi jak szpileczki ząbkami o tkaninę. Po drugie, jedna z uroczych kuleczek właśnie zrobiła kupę, a pięć innych kuleczek wdepnęło w nią i zaraz potem postanowiło się ze mną przywitać, skacząc na moje kostki i łydki. Było to doznanie jedyne w swoim rodzaju, zwłaszcza że miałam sandały i drobinki nie-powiem-czego dostały mi się między palce u stóp.

Sesja oczywiście się odbyła, w końcu jestem profesjonalistką. To nic, że do kolan pokrywały mnie psie ekskrementy, a nogawki cygaretek zamieniły się w postrzępione chorągiewki. Hodowczyni miała znakomity pomysł, żeby zabrać maluchy do ogrodu, po dwa, ewentualnie po trzy, bo w takiej liczbie były jeszcze do ogarnięcia. Kiedy robiło się ich więcej, po prostu człowiek miał wrażenie, że wdepnął w mrowisko.

Nie zmieniało to jednak faktu, że rzeczywiście lubiłam fotografować maluchy wszelkiej maści. W studiu fotograficznym „Babette” na co dzień stały miska na wodę i kocia kuweta ze świeżym żwirkiem, a w szafkach leżały podkłady higieniczne dla szczeniaków, a także przemięte kocyki, koszyki wiklinowe i inne tego typu akcesoria.

Po pracy pojechałam do Igi. Nasza rozmowa z poprzedniego wieczora aż się prosiła o dalszy ciąg. Po pierwsze, musiałam opowiedzieć przyjaciółce o Grzegorzu Kapinosie (nawet jeśli na razie nie bardzo było o czym opowiadać). Po drugie, w jej niby żartobliwych skargach między wierszami wyczytałam, że coś jest nie tak. Niezależnie od tego, że sama byłam w dołku, nie mogłam pozwolić, by moja przyjaciółka wykopała sobie własny.

— Jestem skonana — sapnęłam, opadając na narożnik w salonie i z wdzięcznością przyjmując od Wojtka kubek z herbatą podrasowaną odrobiną likieru malinowego. — Na szczęście sesja ciężowa poszła dobrze, bo szczeniaki były hardcorowe.

— Dlaczego? Mówiłaś, że to lubisz — zdziwiła się Iga, skulona pod pledem, z termoforem na stopach.

— Bo zasadniczo tak jest. Ale dziś trafiły mi się jakieś wyjątkowo nierozgarnięte pudle. Teoretycznie to jest bardzo inteligentna rasa, no ale te dzisiejsze... Makabra.

— A konkretnie? — zainteresował się Wojtek. — Co było takie makabryczne?

— Już pomijam te sprawy fizjologiczne, w końcu to maluchy — odparłam. — Ale tak: było ich sześć. Hodowca przynosił z samochodu po trzy. Zanim ustawiłam światło i tak dalej, miałam już zjedzoną sznurówkę u jednego buta i nadgryzione kable przy lampie, a jeden szczeniak zwymiotował, bo miał spóźnioną chorobę lokomocyjną.

— Dobra, już nie opowiadaj — poprosiła Iga, która wyglądała dość blado. — Bo mnie się robi kiepsko w żołądku.

— Bez przesady — powiedziałam. — Musisz się uodpornić. A jeśli twoje dziecko będzie chorować w samochodzie?

— Nie o to mi chodzi — powiedziała ponuro. — Po prostu wyobraziłam sobie, jak to jest zjeść sznurówkę. Wiesz, ta ciągutka w gardle.

Po minie Wojtka, który także zrobił się lekko zielony, poznałam, że najwyższa pora na zmianę tematu.

— À propos jedzenia dziwnych rzeczy, znalazłam sobie psychologa — oznajmiłam. — To znaczy, oczywiście w moim przypadku nie chodzi o jedzenie czegokolwiek, tylko o brak kontroli nad własnym życiem i takie tam sprawy. W każdym razie jutro mam pierwszą wizytę.

— Poważnie? I co mu właściwie powiesz? — zainteresowała się Iga.

Wojtek taktownie uznał, że pora zmienić lokal; poszedł na górę, a po chwili usłyszaliśmy szum wody pod prysznicem.

— Wszystko — stwierdziłam odważnie. — Wszyściutko, o co tylko zapyta. Że stałam się nadmiernie impulsywna, że beczę przy byle okazji i bez okazji. Że najpierw coś robię, a potem myślę. Opowiem mu o tych moich wszystkich nieudanych miłościach, o seksie i jego braku, o tym, że mi odbija na punkcie dzieci... Wiesz, w terapii szczerłość to podstawa.

Dobrze wiedziałam, o co naprawdę chciała zapytać. Gdyby się odważyła, jej pytanie brzmiałoby: Czy powiesz mi o swojej mamie? Potrafisz o tym mówić?

Rzecz w tym, że sama nie znałam odpowiedzi. Dawno temu, kiedy byłam nastolatką, podjęłam jedyną próbę szczerzej rozmowy z moją matką. Wiedziałam, że nie panuję nad emocjami, a jednak chciałam spróbować. Skończyło się tak, że zapłakana wybiegłam z jej domu w Dęblinie, jakimś cudem dotarłam do dworca PKP (a naprawdę zupełnie nie znałam miasta), następnie jeszcze większym cudem udało mi się wrócić do Bydgoszczy. Z pociągu wysłałam esemesa do Igi i do ojca, że wracam. Nie przestałam płakać ani na moment, aż do chwili kiedy Iga wzięła mnie na dworcu w swoje kościste ramiona. Wtedy zrozumiałam, że świat istnieje nadal, nawet jeżeli przez chwilę sprawiał wrażenie, że się wali. Obiecałam sobie nigdy, przenigdy nie opowiedzieć nikomu, co usłyszałam wtedy od matki. Zwłaszcza tacie. Ale Idze też. Po prostu podjęłam decyzję, że o tym zapomnę. I jak dotąd, dotrzymywałam słowa. Ale przecież terapeuta to zupełnie inna sprawa.

— Zejdźmy już ze mnie — zmieniłam szybko temat. — Powiedz lepiej, jak się czujesz, opowiadaj! Przyjdzie taki dzień, że będę twoje opowieści porównywać z własnymi przeżyciami.

— Cóż — odparła Iga, która najwyraźniej bardzo czekała na to pytanie. — Czuję się dziwnie. Budzę się i od razu pawik. Wyobrażasz sobie? A ponieważ Wojtek jest raczej miękki żołądkowo, zaczął mi wtórować i puszczał mi sobie duety.

— Rany koguta.

— No właśnie. Wiem, co masz na myśli. Opracowaliśmy więc taki system: kiedy się budzę, klepię go, ale nie podnoszę głowy, żeby żołądek spał nadal. Rozumiesz. Wojtek podaje mi wtedy ciasteczko owsiane i nalewa wody z miodem. Mam w termosie, stoi obok łóżka. Mówię ci, to nasz prywatny rytuał. Ja wtedy wreszcie podnoszę głowę, no bo nie mam innego wyjścia, przecież bym się utopiła. Zjadam ciacho, popijam i znów się kładę. Nakładam sobie na oczy skarpetkę i udaję, że jest jeszcze noc. Wtedy nie łapią mnie mdłości, poziom cukru się wyrównuje i jest okej.

— Ale dlaczego skarpetkę? — zapytałam z bezbrzeżnym zdumieniem. — Z powodu hipnotycznego zapachu czy co?

— Nie, daj spokój. — Iga machnęła na mnie ręką. — Miałam specjalną maseczkę na oczy, ale gdzieś mi się zapodziała. No więc biorę Wojtkową skarpetkę. Brązowa, z takiej miękkiej bawełny. Bardzo dobrze się nadaje.

— Rozumiem. Jak chcesz, to ci kupię maseczkę do spania. Widziałam takie z jedwabiu.

— Szkoda pieniędzy, skoro skarpetka działa równie dobrze. To i tak jest taka bez pary. Zauważyłaś, że faceci mają problemy z parami do skarpetek?

Posmutniałam.

— Nie zauważyłam — stwierdziłam ponuro. — Niby kiedy miałabym zauważyć? Nigdy nie mieszkałam z żadnym facetem poza ojcem. A nad jego skarpetkami mam ścisłą pieczę. Nic nie ma się prawa zawieruszyć.

— Jesteś dobrym materiałem na żonę — mruknęła Iga. — Nie to, co ja. Mnie wiecznie coś ginie.

— I popatrz, jakie to niesprawiedliwe. Ja jestem poukładana, ty chaotyczna. Ja od zawsze chciałam wyjść za męża, ty się przed tym broniłaś. W dodatku tak bym chciała zajść w ciążę... A ty zaszłaś i się wcale nie cieszysz.

— Cieszę się, cieszę. Tylko trochę udaję.

— Dlaczego? Albo raczej: po co? — zainteresowałam się.

— Na przekór — wyjaśniła Iga. — Bo widzisz, trochę mnie wkurza, że wszyscy mnie brali pod włos.

— Jacy wszyscy?! Ja też? Nic nie wiem o braniu pod włos.

— No tak, ty nie. Ty jedna byłaś szczerą. Ale reszta świata... skandal po prostu. Wyobraź sobie, że Wojtek przez cały czas marzył o tym, żeby zostać ojcem.

— Dlaczego ci nie powiedział?

— Bał się, że mnie spłoszy. Zaraz na początku naszej znajomości wyznałam mu, że nie planuję macierzyństwa, i on się wystraszył, że mnie do siebie zniechęci, rozumiesz.

— Rozumiem — odparłam ponuro. — Mnie akurat by zachęcił jak jasny gwint.

— Ciebie tak. Mnie nie. Ale potem wpadłam jak śliwka w kisiel i już cokolwiek by mi powiedział, to i tak bym go kochała po uszy.

— Boziu, wszystko powiedziałaś nie tak — westchnęłam, ale nie chciało mi się poprawiać tych jej koszmarnych wygibasów językowych. — Ale wracając do tematu... Nie nazwałabym tego braniem pod włos.

— Wojtek to jeszcze nic! — Iga machnęła ręką. — Moja mama z Beniem uknuli prawdziwy spisek. Wyobraź sobie, że oni się zmówili. Mama usłyszała kiedyś w zakładzie, jakoby teraz panowała taka moda wśród młodych ludzi, że z wygodnictwa mieszkają z rodzicami. Rozumiesz, wiecni single podpięci pod mamusiną kuchnię i portmonetkę. Jakaś klientka jej powiedziała, że jest na to tylko jeden sposób: trzeba tak obrzydzić dziecku wspólne mieszkanie, żeby ono zaczęło marzyć o samodzielności.

Chyba zaczynałam rozumieć.

— Więc te dowcipy Benia... — zaczęłam.

— No, nie do końca — zaśmiała się Iga. — On naprawdę uwielbia suchary. Ale niewątpliwie nie wplatałby ich w rozmowę przy każdej okazji, gdyby nie przykaz mamy. Zresztą mama też dawała czadu. Całe to jej trajkotanie o kolorach szminki i tak dalej, Boże mój. To było obliczone na wygonienie mnie z domu, wyobrażasz sobie? Przyznała mi się do tego dopiero niedawno, kiedy upewniła się, że jestem w ciąży, dom należy do mnie, a Wojtek nie zamierza mnie puścić w saksofon.

Zamyśliłam się.

— Ciekawe, bo z jednego strony twoja mama jest nadopiekuńcza, a z drugiej...

— Rzecz w tym, że chyba udawała tę nadopiekuńczość. Zobacz, jak my w gruncie rzeczy niewiele wiemy o swoich rodzicach. Ciekawe, czy twój tata chciałby, żebyś się wyprowadziła.

— W życiu! — oburzyłam się. — Przecież on by sobie beze mnie nie poradził! On beze mnie... Absolutnie! Iga, przecież ja jestem dla niego wszystkim!

— Jesteś pewna?

Spojrzałam na nią z pobłażaniem. Co jak co, ale są takie rzeczy, za które dałabym się pokroić.

Całe szczęście, że „dałabym się pokroić” to tylko takie głupie powiedzonko. I że chętnych na krojenie mnie nie było. A jeszcze większe szczęście, że na środę miałam umówionego psychologa. Bo bez pomocy specjalisty chyba bym sobie nie poradziła.

— Agatko — zagadnął mnie ojciec przy śniadaniu, na które jak zwykle wyjadałam jakieś resztki z lodówki (nigdy nie zwracałam uwagi na to, co wrzucam do żołądka). — Chciałbym z tobą porozmawiać.

— Tak, tato. O co chodzi?

Spodziewałam się tej rozmowy od jakiegoś czasu. Tata miał już pięćdziesiąt siedem lat, w ostatnich tygodniach chodził jakiś zamyślony, jakby nieobecny. Podejrzywałam, że jest zmęczony, może coś mu dolega albo chce wreszcie trochę odpocząć od pracy. Dwa razy w tygodniu chodził na szachy, w weekendy robił sobie wycieczki rowerowe — i to była cała jego rozrywka. Przez wszystkie lata jego jedynym zajęciem była praca, praca i praca. Wprawdzie brakowało mu trochę do wieku emerytalnego, ale postanowiłam, że jeśli oznajmi mi, że chce nieco zwolnić i przerzucić na mnie część swoich obowiązków, zgodzę się bez mrugnienia okiem.

— Chciałbym w ten weekend kogoś ci przedstawić — powiedział tato i spiekł konkursowego raka.

Zakrztusiłam się bułką z pasztetem.

— Co takiego?

— Przedstawić — powtórzył, wyraźnie speszony. — Bo widzisz, już od dłuższego czasu chciałem ci powiedzieć... Poznałem kogoś. Na szachach. Dwa lata temu do naszej sekcji szachowej dołączyły dwie panie i właśnie jedna z nich... Tak czy owak, jesteśmy z Zojecką już od roku razem i pomyślałem...

— Jak od roku? Jak od roku? — zapowietrzyłam się. — Chcesz powiedzieć, że masz kobietę i ja nic o tym nie wiedziałam?

— Ależ Agatko... Ja nawet próbowałem ci powiedzieć, ale ty byłaś ciągle tak bardzo zajęta swoimi sprawami — mówił tato przepraszającym tonem, a jego policzki wciąż były czerwone jak u chłopca, którego przyłapano na oglądaniu gołych bab. — Miałem nadzieję, że może urządzimy podwójny ślub, ale wam się z Krzysiem nie poukładało, a wtedy z kolei głupio było poruszać ten temat...

— Ślub?! — wrzasnęłam, zdając sobie sprawę, że zachowuję się nieco zbyt histerycznie. — Tato! Ty masz prawie sześćdziesiątkę! Ślub?!

— Tak — potwierdził z potulną miną. — My się z Zoją bardzo kochamy i postanowiliśmy się pobrać. Ona ma malutkie mieszkanie, więc zamieszka u nas, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Ty jesteś przecież bardzo zgodna i kochasz ludzi, a Zoja jest absolutnie niezwykła, sama zobaczysz. Nie cieszysz się?

*

Oto dlaczego o godzinie osiemnastej wkroczyłam w formie rozdygotanej galarety do gabinetu Grzegorza Kapinosa. Nie byłam w stanie zebrać myśli; wszystko, co zamierzałam wcześniej powiedzieć terapeutce, wydało mi się teraz mało ważne, wręcz trywialne w obliczu tego, że mój tata... mój tata, który mnie potrzebował, który przecież beze mnie nie dałby sobie rady... No właśnie. Że mnie wcale nie potrzebował.

Rozpłakałam się, kiedy tylko usiadłam w bladożółtym, miękkim, najwygodniejszym na świecie fotelu. Naprzeciwko mnie, w fotelu identycznym pod względem kształtu, ale ciemnozielonym, siedział, jak się inteligentnie domyśliłam, pan Grzegorz Kapinos i nerwowo pocierał kciukiem o kciuk. Cały gabinet został urządony w tych właśnie dwóch kolorach: jasnej żółci oraz ciemnej, butelkowej zieleni. Połączenie tych barw wydało mi się ciepłe, a zarazem świeże i kojące. Kojący był też nieśmiały uśmiech siedzącego naprzeciwko mężczyzny. To znaczy, sam Kapinos nie uśmiechał się, oczywiście, kiedy

beczałam, ale zrobił to natychmiast, gdy tylko wytarłam oczy i wytrąbiłam się porządnie w chusteczkę (chusteczki w ozdobnym pudełku stały na ciemnozielonym stoliku).

— Pani Agata Kosecka? — zapytał.

Potwierdziłam.

— Dzisiejsza wizyta będzie trwała dwa razy dłużej niż normalna — powiedział. — Zazwyczaj będziemy się spotykać raz w tygodniu na pięćdziesiąt minut, chyba że zażyczy sobie pani częściej, oczywiście. Ale zasadniczo tak wygląda terapia. Natomiast ten pierwszy raz zazwyczaj trwa półtorej godziny. Musimy się dobrze poznać, to znaczy ja muszę poznać panią.

— A ja pana nie? — mruknęłam. — Moim zdaniem lepiej by się rozmawiało.

Grzegorz Kapinos wyraźnie się stropił. Kiedy pochylał głowę, widać było kółeczko łysinki na czubku jego głowy.

— Nie, właśnie nie. Widzi pani, ja powinienem być w tym wszystkim niczym anonimowy słuchacz. Ktoś, kogo na przykład spotyka pani w pociągu i może mu pani powiedzieć wszystko, bo doskonale pani wie, że nie spotkacie się nigdy więcej.

— Rozumiem. W sumie ma to sens.

— Oczywiście.

— Czyli mam opowiedzieć o sobie?

— Tak. Zanim przejdziemy do konkretów, to znaczy, do tego, z czym pani do mnie przyszła, chciałbym usłyszeć, jak by pani siebie scharakteryzowała.

Przyglądałam mu się przez chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć. Scharakteryzowała, hmm. Pamiętałam jeszcze ze szkoły, jak się charakteryzuje postać literacką. Więc chyba po prostu zrobię to samo, pomijając jedynie wygląd, bo to przecież widzi czarno na białym. Albo raczej czerwono na żółtym, bo założyłam tego dnia dzianinową kieckę w kolorze malinowym. „W przyszłym tygodniu ubiorę się w coś zielonego, żeby pasować do otoczenia”, postanowiłam i z jakiegoś idiotycznego powodu ta myśl poprawiła mi nastrój. Odrobinę, ale jednak.

— Pani Agato? — ponaglił mnie Kapinos.

Wziął do ręki elegancki brązowy notes i długopis; najwyraźniej zamierzał robić notatki.

— Dobrze. Zatem po kolei. Mam trzydzieści dwa lata. Pracuję... Prowadzę z ojcem studio fotograficzne „Babette”, mieszkam także z ojcem... — zaszlochałam krótko na myśl o tym, że tata zamierza się ożenić z tą jakąś Zoją (kto w ogóle słyszał takie imię!!!), ale zdołałam się opanować.

— Czy praca jest źródłem pani frustracji? — przerwał mi psycholog.

— Co takiego?

— Bo prawie się pani rozplakała, mówiąc o zakładzie fotograficznym...

— A nie, nie, zupełnie nie. Lubię swoją pracę. Chociaż wie pan, czasem bywa ciężko. Ale to tak w każdym zawodzie, prawda?

Pokiwał głową i zamyślił się, a ja miałam chwilę, by się mu przyjrzeć. Był chyba najbardziej nijakim i najmniej atrakcyjnym facetem, jakiego w życiu widziałam. Miał lekko odstające uszy, wspomnianą łysinkę, a wokół niej przeredzone już włosy tego nieokreślonego koloru, do którego najlepiej chyba pasuje przymiotnik „mysi”. Nawet kiedy siedział, widać było, że jest zbyt wysoki i zbyt chudy. Żal mi się go zrobiło. Jediną ładną rzeczą, jaką miał, były oczy — wielkie, okolone długimi, ciemnymi rzęsami. Zupełnie jakby sobie te oczy od kogoś pożyczył; nie pasowały do tej jego nijakości. Miały kolor piwa Guinness, kiedy się na nie patrzy pod słońce (wiem, bo jeden z moich ukochanych był wielkim amatorem guinnessa).

Oczywiście nie miał na sobie szalika. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ po pierwsze, już ustaliłam, że w październiku nie nosi się jeszcze szalików, po drugie, siedział w ciepłym pomieszczeniu, więc niby jakim cudem miałby go mieć, a po trzecie — był moim terapeutą, a jako taki nie wchodził w grę. Zakochać się w terapeutce to jak zakochać się w ginekologu — w ogóle nie do zrobienia.

— Czy pana obowiązuje tajemnica? — zapytałam nagle. — No wie pan, jak na spowiedzi albo u lekarza?

— Tak — zapewnił mnie. — Oczywiście.

— To dobrze — odetchnęłam. — Bo wie pan, świat jest mały, Bydgoszcz jeszcze mniejsza, a może się tak zdarzyć, że będę opowiadała o kimś, kogo pan zna.

Po czym nabrałam głęboko powietrza i — uznawszy, że w ten sposób scharakteryzuję samą siebie najpełniej — zaczęłam opowiadać mu o wszystkich swoich miłościach.

— Chwileczkę, pani Agato — przerwał mi nieco oszołomiony pan Grzegorz, kiedy byłam mniej więcej w połowie opowieści. — Chyba musimy coś ustalić.

Odczekał chwilę, aż obetrę łzy (bo mówiłam właśnie o wyjątkowo spektakularnym rozstaniu z chłopakiem, którego poznałam zaraz po brodatym Pawle z Torunia, a przed Adamem, który miał prawie białe włosy). Pokiwałam głową na znak, że jestem gotowa na wszelkie ustalenia.

— Czy jest pani pewna, że trafiła pani do właściwego specjalisty? — zapytał cichutko. — Bo sam nie wiem, może to by jednak trzeba do seksuologa...

Zatkało mnie na dłuższą chwilę.

— Ale co pan ma na myśli? — zapytałam wreszcie. — Czy pan sobie wyobraża, że ja jestem jakąś nimfomanką? Że, nazywając rzecz dosadnie, pukam się jak króliczek na prawo i lewo?!

Kapinos zaczerwienił się jeszcze bardziej niż mój tata przy śniadaniu. Nawet uszy miał czerwone niczym dwa plasterki młodego buraczka.

— Proszę pana, ja się zakochuję. Nie mam problemu z rozwiązłością, tylko z kochliwością — wyjaśniłam raz jeszcze, już łagodniej.

— Czy to znaczy, że pani z nimi... Że wy nie...

Rany, tego mi tylko było trzeba: nieśmiałego terapeuty.

— Z większością nie — przerwałam litościwie, bo przecież wiedziałam, o co chce zapytać. — Widzi pan, jakieś czternaście lat temu, kiedy przeżyłam inicjację seksualną i zaraz potem zostałam porzucona, wypracowałyśmy z koleżanką taki system: wolno mi iść do łóżka z chłopakiem dopiero po pół roku od pierwszej randki.

W skupieniu zapisał coś w swoim notesie (po raz pierwszy od początku naszej rozmowy). Postanowiłam zaczekać, aż skończy.

— Ale randki w jakim sensie? — zapytał jakoś niespokojnie. — Co pani nazywa randką?

— Wiem, o co panu chodzi — uśmiechnęłam się pobłaźliwie. — To też przewalkowałyśmy z moją przyjaciółką Igą we wszystkie strony. Otóż, proszę pana, randką w tym naszym systemie nie jest zwykłe spotkanie w kinie czy w kawiarni. Randka się liczy od pierwszego pocałunku. I to nie takiego cmok, cmok w policzek, tylko...

— Rozumiem — przerwał mi; najwyraźniej nie chciał, żebym wchodziła w szczegóły.

— No dobrze. W każdym razie w sumie przez te czternaście lat miałam czterech partnerów seksualnych. Sam pan widzi, jak na trzydziestodwulatkę... szału nie ma, niczego nie urywa.

— To prawda. Nie urywa.

Znów się zamyślił, a te jego brązowe oczy dziwnie się zamglily. Dałabym głowę, że na chwilę zatopił się we wspomnieniach. Może przeliczał swoje partnerki. Ciekawe, czy dużo miał tego liczenia.

— Żeby nie przedłużać — podjęłam, bo zdałam sobie sprawę, że doszłam dopiero do połowy, a wkrótce skończy się nam czas. — Mój problem polega na tym, panie Grzegorzu, że zakochuję się średnio trzy razy do roku. Obliczyłam to, naprawdę. Nie jestem niewierna, nie o to chodzi. Po prostu nie umiem utrzymać znajomości. Wszystko mi się rozsypuje, rozłazi. On przestaje dzwonić, ma dla mnie coraz mniej czasu, a czasem ja mam go mniej, ale wie pan, to nie jest tak, że się kimś bawię, że nie traktuję tego poważnie. Przeciwnie, za każdym razem naiwnie wierzę, że tym razem będzie to miłość aż po grób.

Telefon mojego rozmówcy zapiknął cichutko, dając nam znać, że moja wizyta dobiegła końca. Grzegorz Kapinos westchnął.

— Zaczniemy od tego miejsca w przyszłym tygodniu — powiedział. — Choć niezupełnie o to mi chodziło, kiedy prosiłem panią o autoprezentację. Chciałem raczej usłyszeć coś o pani charakterze, zajęciach, pasjach, zainteresowaniach, upodobaniach, niepokojach, poglądach i tak dalej. O pani życiu towarzyskim... choć w zasadzie o tym ostatnim usłyszałem całkiem sporo. No dobrze, w każdym razie następne spotkanie zaczniemy od grobu... To znaczy od miłości aż po grób. Do zobaczenia.

Sama nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić. Cóż, chciałam wierzyć, że sesja z

psychologiem miała więcej sensu niż wizyta u wróżki, ale chwilowo nie potrafiłam wskazać żadnego konkretnego argumentu potwierdzającego tę tezę. Pocięszała mnie myśl, że kolejne spotkania będą bardziej owocne.

Tymczasem wróciłam do domu z bijącym sercem, bo przecież czekała mnie jeszcze rozmowa z ojcem. Rano nie ustaliliśmy nic ponad to, że ta cała Zoja ma nas odwiedzić (albo opcjonalnie my ją), zaś w pracy mijaliśmy się niemal bez słowa, każde zajęte własnymi obowiązkami. Podejrzywałam, że teraz szykuje się nam wieczór szczerych wyznań.

Miałam rację. Tata czekał na mnie z kolacją: kupił na ryneczku trzy dorodne kanie i usmażył kapelusze w panierce z bułki tartej. Doskonale wiedział, że tym prostym daniem kupi sobie moją uwagę; uwielbiałam grzyby pod każdą postacią. Kiedy usiadłam i zabrałam się za pałaszowanie, ojciec zajął miejsce naprzeciwko, spojrzał na mnie poważnie i powiedział:

— Wróćmy do naszej porannej rozmowy. To jest dużo głębszy temat, niż ci się wydaje.

Przełknęłam z rozkoszą kawałek kani i pokiwałam głową. Jedzenie było pyszne; w sam raz soczyste, w sam raz wysmażone. Niebo w gębie.

— Tato, ustalmy na wstępie jedną zasadę: nie opowiadaj mi o szczegółach. Bardzo cię proszę.

— Ale jakie szczegóły masz na myśli? — stropił się. — Przecież nie miałem zamiaru mówić ci o tym, jak nam się układa w łóż...

— Tato! — krzyknęłam. — Błagam!

— Ale co? Nawet nie wolno powiedzieć wyrazu „łóżko”?

— Nie. Nie, kiedy ma się tyle lat co ty.

Ojciec zamilkł na moment. Wyglądał na urażonego. Wreszcie wstał i zasunął po sobie krzesło.

— Zdaje się, że masz jakieś dziwne wyobrażenie o tym, co się z człowiekiem dzieje po pięćdziesiątce — powiedział wreszcie. — Otóż zanim rzeczywiście wrócimy do tej rozmowy, musisz przyjąć do wiadomości... nie, nie przyjąć: musisz zaakceptować fakt, że po przekroczeniu tego magicznego punktu nie zaczyna się obumierać. Ani ciało, ani cała reszta nie stają się martwe. Żyje się pełnią życia. Tak samo jak w twoim wieku, pragnie się miłości, dotyku i bliskości.

— Tato, przestań — sapnęłam. — Nie o dotyku, naprawdę cię proszę. Nie wiem, może ja mam jakiś problem...

— Tak, właśnie ci to powiedziałem. Masz jakiś problem, Agata.

Po tych słowach tata odwrócił się i zwyczajnie wyszedł. Myślałam, że po prostu idzie do kuchni, ale nie, pokręcił się chwilę w przedpokoju, po czym drzwi naszego mieszkania zamknęły się nieco głośniejsz niż zwykle, a po następnych kilku sekundach dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku. Tata mnie zostawił. Ze zdumieniem zauważyłam, że założył ciepłą kurtkę, zabrał portfel z dokumentami i kluczyki od swojego auta. Oszalał? Zamierzał nie wrócić na noc?!

Tak oto świat, który znałam i rozumiałam, którego kształtu byłam pewna, zachwiał się leciutko w posadach i pojawiły się na nim pęknięcia. Mam jakiś problem. No tak, mam masę problemów, w końcu właśnie dlatego poszłam do wróżki, a potem do psychologa. Ale to nie dotyczyło taty — nigdy nie miałam scysji z ojcem.

Tej nocy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że być może mam tych problemów znacznie więcej, niż do tej pory sądziłam. Że moja dziwaczna kochliwość może nie być jedynym, z czym powinnam sobie poradzić — albo inaczej: że ona może być tylko wierzchołkiem góry lodowej.

Czy naprawdę, jak powiedział tata, miałam jakieś głupie wyobrażenie o tym, że po pięćdziesiątce już się nie potrzebuje miłości? Nie, to nieprawda. Żadnego wyobrażenia na ten temat nie miałam, bo zwyczajnie nigdy o tym nie rozmyślałam. Natomiast tej nocy, zwinęta w fotelu pod kraciatym kocem, po wielu godzinach spędzonych w pustym pokoju nad kubkiem wystygłej dawno herbaty — zrozumiałam, że owszem, miałam głupie wyobrażenie. O ojcu. Niezależnie od tego, ile miał lat, nie dostrzegałam, że jest mężczyzną. Zupełnie jakby było oczywiste, że komuś takiemu jak on do szczęścia potrzebna jest tylko córka, czyli ja.

Wpadłam do Igi przed pracą, żeby pogadać. Po drodze widziałam całą masę facetów bez szalików — tak wielu, że postanowiłam przestać zwracać na nich uwagę.

— Ale o co ci właściwie chodzi? — zapytała przyjaciółka, kiedy postawiła przede mną kawę.

— No wiesz, głównie o to, że miałas rację. To po pierwsze.

— Ja często mam rację — potwierdziła Iga, zadzierając nos tak wysoko, że o mały włos stłukłaby nim żyrandol w swoim pięknym salonie.

— Nie przesadzajmy — mruknęłam. — Ale rzeczywiście, zdarza ci się. A po drugie, zaczynam dostrzegać, że moje kłopoty, nazwijmy je „sercowe”, mogą być symptomem czegoś poważniejszego.

— Czego?

— Nie wiem, Iga. Mam nadzieję, że dowiem się tego od mojego psychologa. Może na przykład jakoś mi wyjaśni, skąd ta moja impulsywność. Dlaczego na niektóre sytuacje reaguję tak histerycznie, od razu beczę albo się obrażam.

— Czy ty nie przesadzasz? Jest ci po prostu trudno zaakceptować fakt, że nie jesteś już jedyną kobietą w życiu ukochanego tatusia. Czy uświadomienie sobie tego naprawdę wymaga terapii? Przecież to kompleks Energii, tylko mocno odsunięty w czasie.

— Chyba chodzi ci o kompleks Elektry.

— No przecież tak powiedziałam, nie czepiaj się. Wracając do sprawy: kiedyś trzeba przez to przejść. W dodatku ta Zoja ma się do was wprowadzić, co z pewnością nie ułatwia sytuacji. Doskonale pamiętam mój bunt, kiedy w życiu mojej mamy pojawił się Benio.

Mogła mieć rację. Ale mogła jej też nie mieć.

— To nie ma żadnego związku z twoim życiem uczuciowym — ciągnęła Iga bardzo pewnym tonem. — Jeśli chcesz, to ja ci postawię diagnozę, nie musisz wykładać grubej kasy na psychologa. Proszę bardzo: moim zdaniem wcale nie jesteś szczególnie kochliwa. Po prostu szukasz, bo nie chcesz być sama. Nie twoja wina, że faceci nie wytrzymują długo w związkach i że boją się zobowiązań. Na szczęście zakochujesz się powierzchownie. Nie kochasz prawdziwie żadnego z tych mężczyzn, to za każdym razem tylko zauroczenie.

— Specjalistka się odezwała. Od kiedy ty niby odróżniasz zauroczenie od miłości? I w ogóle jakie masz doświadczenia w tym temacie? — Przyjaciółka próbowała mi przerwać, ale niezrażona ciągnęłam: — Jedyną twoją miłością, powtórzę, JEDYNĄ, jest Wojtek, a na wypadek, gdybyś już zapomniała: kompletnie nie zauważyłaś, kiedy właściwie zaczęłaś się w nim zakochiwać. Ja to doskonale pamiętam. Więc nie pouczaj mnie, żółtodziobie.

— Okej — wycofała się natychmiast. — Nie mam dużego doświadczenia, to fakt. Ale faktem jest także to, że ty zakochiwałaś się zawsze byle jak.

Zamyśliłam się. Może tak to wyglądało z boku. We mnie, w środku, na dnie serca, każda z tych miłości była głęboka, szczerza i prawdziwa. W każdą z nich naprawdę wierzyłam i poza tymi nielicznymi przypadkami, kiedy to ja chciałam się rozstać — niemal każdą oplakałam rzewnymi łzami.

— Istnieje kilka możliwości — powiedziałam powoli, dopijając kawę i wstając, aby zrobić sobie dolewkę. — Pierwsza jest taka, że ja zwyczajnie nie znam miłości i wszystko to, co nią do tej pory nazywałam, było w gruncie rzeczy szczeniacką fascynacją.

— Zgadza się. — Iga kiwnęła łaskawie głową, po czym pokazała oczami, żebym zaparzyła jej jeszcze bezglutenowej cykorii.

Odkąd zaszła w ciążę, ciągle miała ochotę na cykorię. I śledzie w oleju. Ale na szczęście nie poprosiła, żebym dała jej śledzia, bo chyba odeszłaby mi ochota na kawę. Zapach śledzi nie komponował mi się z kofeiną.

— Po drugie — kontynuowałam — jest taka opcja, że podświadomie się boję wzajemnej zależności, bycia w związku. I dlatego wypłaszam tych wszystkich facetów.

Iga nie skomentowała, z czego wywnioskowałam, że istnieje, do diabła, możliwość, że mam

rację.

— I wreszcie być może coś robię źle. Popelniam jakiś błąd, coś psuję w każdej znajomości.

— Wiesz, to nawet ciekawe — zainteresowała się moja przyjaciółka. — Może gdybyśmy ten twój błąd wytropiły, to i mnie udałoby się w przyszłości uniknąć takich potknięć. No więc co by to mogło być? Sprawy łóżkowe?

— Nie, daj spokój.

— Ale dlaczego? Sama mi zawsze powtarzałaś, że to bardzo ważne. Może fakt, że każesz im czekać pół roku, działa odstręczająco?

Myślałam o tym przez chwilę, przy okazji próbując kawy i niestety, parząc się w język. Syknęłam, bardziej ze złości niż z bólu. Kiedy miałam oparzony język, nic mi już nie smakowało.

— Gadasz głupoty — obwieściłam. — Jaki by to miało sens? Mówię chłopakowi, że do łóżka pójdziemy dopiero po sześciu miesiącach, a on odchodzi ode mnie po prawie pięciu? Przecież już miał bliżej niż dalej. Nie, to się kupy nie trzyma. Jeśli nawet przestał mnie kochać, to gdyby seks był dla niego taki piekielnie ważny, zaczekałby jeszcze miesiąc z haczykiem, bzyknąłby i dopiero mnie rzucił.

— Fakt. — Iga zamyśliła się na moment. — Właściwie kiedy ty ostatnio uprawiałaś seks? Z Krzysiem zdążyłaś?

Zarumieniłam się, choć na ogół nie miałam problemów z rozmowami na takie tematy. Wręcz przeciwnie, zwykle to ja byłam odważniejsza niż Iga.

— Nie zdążyłam. Ostatni raz był ponad rok temu, z Sebastianem — mruknęłam. — Pamiętasz, w Portugalii.

Na pewno pamiętała. Sebastian był jednym z tych, których się nie zapomina. W naszych rozmowach otrzymał ksywkę „damski bokser”. Po rozstaniu z nim (i tym razem to ja odeszłam!) bardzo długo lizałam rany na duszy (bo na ciele mi na szczęście żadnych nie zostawił) i nawet postanowiłam sobie, że nigdy więcej nie zakocham się w facecie atrakcyjnym fizycznie. No ale potem poznałam Krzysia, który był jednym wielkim muskułem, a przy tym ukończył polonistykę i recytował mi z pamięci wiersze Szymborskiej oraz Herberta.

— W porządku — podjęła Iga. — Jeśli nie chodzi o seks, to o co? Może jesteś zbyt zaborcza. Za dużo chcesz od razu? Może to trzeba stopniowo, po troszku?

Nie wiedziałam, czy jestem zaborcza. Gdyby człowiek wiedział, że jest zaborczy, toby przestał taki być, prawda? Cały problem z wadami i ze słabościami polega na tym, że na ogół nie wie się, że się je posiada.

— Albo ewentualnie za szybko mówisz o ślubie.

— Daj spokój! — prychnęłam. — Przecież ja w ogóle nie mówiłam o tych sprawach. Mówiąc szczerze, ślub jest mi do niczego niepotrzebny.

— Więc pewnie mówiłaś o dziecku! — Iga triumfalnie wycelowała we mnie palec wskazujący. — I tu cię mam. Większość facetów nie jest na to gotowa! — Tu posmutniała wyraźnie. — Albo tylko udaje, że nie jest.

— Naprawdę myślisz, że Wojtek udawał? — wróciłam do jej wyznania sprzed dwóch dni. — A nie przyszło ci do głowy, że mogło być zupełnie inaczej? Może on naprawdę nie chciał, zwłaszcza że ta jego pierwsza żona nie planowała rodzicielstwa i jemu się wdrukowało, że nigdy nie zostanie ojcem. A potem, kiedy zaszłaś w ciążę, mogły mu się pootwierać jakieś zepchnięte w podświadomość drzwiczki i zapragnął mieć dziecko.

— Wiesz... To, że ja sadzę kwiatki językowe, wszyscy wiemy. Ale że ty? Drzwiczki zepchnięte w podświadomość? Co ty wygadujesz?

— To jest taka dziwna metafora — naburmuszyłam się. — A ty się czepiasz. Ważne, że obie rozumiemy, co mam na myśli. A teraz muszę jechać do pracy. Brr, aż mnie ciarki przechodzą, jak pomyślę, że tam będzie tata. Taki obrażony, chłodny, obcy.

— Więc się do niego przytul i przeproś. Wtedy przestanie być obrażony.

— Ale za co ja mam go przeproszać? — Naprawdę tego nie rozumiałam. — Za to, że nie życzę sobie, żeby opowiadał mi o seksie z tą... tą...

— Zoją — odpowiedziała Iga. — No to go nie przepraszaj, skoro nie chcesz, ale przytulić i tak możesz. A przede wszystkim jak najprędzej umów się na kolejną wizytę u tego Kapigluta, bo chyba naprawdę pilnie potrzebujesz fachowej porady.

Tata nie gniewał się długo. Po przyjeździe do pracy przed dobrą godzinę zerkałam na niego spod grzywki, a stwierdziwszy, że jego uraza jest głęboka i prawdziwa, podeszłam i zgodnie z radą Igi przytuliłam się do niego bez słowa. Obojgu nam spoczęły się nieco oczy, ale rozmowę musieliśmy odłożyć na później, ponieważ akurat weszła klientka — mocno wymalowana pani z dwójką dzieci w wieku przedszkolnym. Zazyczyła sobie ładnych zdjęć, żeby móc wysłać znajomemu z Anglii. Kiedy fotografowałam dzieci, akcent był na anielskość i niewinność, natomiast kiedy pozowała pani, miało być przede wszystkim sexy. Z czego wywnioskowałam, że cel sesji był niewątpliwie matrymonialny.

Ta myśl naprowadziła mnie na temat związków damsko-męskich, co oczywiście przypomniało mi o tym, jak bardzo jestem sama i że nie mam widoków na spełnienie marzeń o założeniu rodziny.

Czekanie do następnej środy, aby porozmawiać z psychologiem, absolutnie nie wchodziło w grę. W głowie kłębiło mi się tyle pytań, że czym prędzej zatelefonowałam do Grzegorza Kapinosa i poprosiłam o wizytę awaryjną, jak ją nazwałam. Zasugerował sobotnie przedpołudnie, ale miałam umówioną sesję ślubną w plenerze, ostatecznie więc zgodził się na spotkanie w piątek wieczorem.

Tymczasem wciąż był czwartek, a po pracy, nawet jeśli wstępnie pogodziliśmy się z tatą, czekał mnie dalszy ciąg rozmowy o Zoi. Postanowiłam jakoś się przed tym uchronić, ponieważ najpierw chciałam przedyskutować całą sprawę z terapeutą.

— Posłuchaj — oznajmiłam, wychodząc do przedpokoju, kiedy tylko tata wrócił z szachów. — Mam do ciebie prośbę. Odłóżmy rozmowę o twoim związku na kilka dni. Potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić, muszę pewne rzeczy przemielić, a poza tym to wszystko jest bardzo emocjonalne, mało w tym argumentów logicznych, mam problem z uczuciami, więc sam rozumiesz... Niech to sobie trochę ostygnie.

— Teraz mówisz mądrzej — zauważył ojciec. — Zoja zresztą też poprosiła o więcej czasu. Ona ma z kolei problem z synem.

— Z synem?! Ma syna?

Byłam szczerze zaskoczona. Nie wiedzieć czemu, wyobraziłam sobie tę Zoję jako starą pannę, której nikt nigdy nie chciał, więc teraz capnęła pierwszego faceta, jaki jej się nawinął. Nadal nie docierało do mnie, że tata jest całkiem przystojnym mężczyzną i że fakt, iż skończył pięćdziesiąt siedem lat, naprawdę nie oznaczał jeszcze, że musi stać się staruszkim, którego poza szachami interesują jedynie pomidory na działce.

Przyglądałam mu się, kiedy szykował kolację. Ja sama nie miałam apetytu, usiadłam jednak w kuchni z kubkiem herbaty, żeby podtrzymać wracającą bliskość między nami. Rozwiązywałam krzyżówkę, co jakiś czas pytając tatę o jakieś trudniejsze hasło i zerkając na niego ukradkiem. Musiałam przyznać, tak obiektywnie, że miał niezłą sylwetkę. To on zaraził mnie miłością do roweru — potrafił przez weekend wydeptać dwieście kilometrów. Był szczupły, składał się tylko z kości i mięśni. No dobrze, jeszcze z odrobiną pomarszczonej skóry.

Ubierał się na sportowo, co niewątpliwie odejmowało mu lat. No i nie łysiał, jego czupryna wciąż była bujna niczym u maturzysty. Podobnie jak ja, miał jasne włosy, dzięki czemu obecna tu i tam siwizna nie rzucała się w oczy.

— Co mi się tak przyglądasz? — zapytał tata, nakładając sobie jajecznicę na talerz. — Może jednak zjesz trochę?

— Nie, dziękuję — odparłam. — I wcale się nie przyglądam, tylko mi się myśli zawiesiły. Próbuje rozwiązać tę głupią krzyżówkę. — W popłochu poszukałam wzrokiem pierwszego hasła z brzegu i odczytałam, udając, że nie znam odpowiedzi. — Ślepy do rur.

— Kret — rzucił tata po sekundzie namysłu.

Wpisałam w milczeniu.

— Coś jeszcze? — zapytał po chwili. — Jakies pytania?

— Ile ona ma lat? — palnęłam, bo to mi nie dawało spokoju. — To znaczy... to oczywiście nie jest hasło do krzyżówki. I w ogóle podtrzymuję to, co mówiłam wcześniej, nie chcę o tym teraz rozmawiać, ale to jedno mi powiedz.

Ojciec spojrział na mnie uważnie. Przez kilka sekund mieszał na talerzu jajecznicę, jakby chciał ją wystudzić, choć dobrze wiedziałam, że lubił gorącą.

— Zoja ma pięćdziesiąt lat — powiedział wreszcie na pozór spokojnie, ale przecież słyszałam, że głos mu leciutko drży. — Zaraz powiesz, że jest za młoda na związek z takim starszakiem jak ja.

Oczywiście, że dokładnie to chciałam powiedzieć, ale w porę zrozumiałam, jakie by to było absurdalne. Najpierw twierdzę, że pięćdziesięciosiedmiolatek jest za stary na miłość, a chwilę potem pięćdziesięciolatka wydaje mi się za młoda. Co za głupota.

— Jej syn jest nieco starszy od ciebie — dodał tata, widząc, że postanowiłam się nie odzywać. — Ma trzydzieści cztery lata.

Tego także nie skomentowałam, choć oczywiście natychmiast obliczyłam, że Zoja musiała urodzić dziecko jako nastolatka. Niezła musiała z niej być wygibuska, podsumowałam w myślach nie bez złośliwości.

— O syna nie pytałam — powiedziałam chłodno, udając, że wcale mnie to nie interesuje. — Może to będziesz wiedział: straszy w halce.

— Co takiego? A, już wiem, upiór. Kto wymyśla takie idiotyczne krzyżówki?

— Też bym chciała wiedzieć. Ale dlaczego upiór?

— A co, nie pasuje? — zaniepokoił się tata.

— Pasuje. Tylko nie widzę w tym logiki.

— *Halka* to opera. A tytuł *Upiór w operze* pewnie znasz.

— Oczywiście — odparłam z pewną wyniosłością, choć mówiąc szczerze, nie byłam pewna, czy ten cały upiór to książka, film, czy musical. Kojarzyło mi się ze wszystkimi trzema. — W porządku, mam już wszystko, teraz tylko wypiszę literki i wyślę hasło esemesem.

— Co można wygrać?

— Nawóz do pelargonii.

Tata chrząknął znacząco, bo żadnych pelargonii nie mieliśmy. Nasze mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze bloku na bydgoskich Bartodziejach. Nie mieliśmy nawet balkonu. Mimo to wysłałam wiadomość i dopiłam herbatę.

— Idę się położyć — powiedziałam w końcu, ponieważ rozmowa nam się nie kleiła.

Wzięłam błyskawiczny prysznic i wskoczyłam pod kołdrę, skupiając się na tym, że nazajutrz spotkam się z psychologiem, który powie mi, co jest ze mną nie tak, skoro na samą myśl o niejkiej Zoi dostawałam gęsiej skórki.

Niestety, nie powiedział. W ogóle był jakiś małomówny ten Grzegorz Kapinos. Za to mnie kazał gadać nieustannie. Zresztą już pierwsze jego pytanie doprowadziło mnie do wyjawienia długo skrywanej tajemnicy (a w rezultacie także do płaczu). W sumie i tak zmierzałam mu o tym powiedzieć. Pomyślałam, że do korowodu moich ukochanych oraz do problemu nietrwałych związków możemy wrócić następnym razem. Tę wizytę poświęcimy sprawom rodzinnym, bo one obecnie nurtowały mnie najbardziej.

— Mama odeszła, kiedy miałam czternaście lat — odpowiedziałam, gdy zapytał o rodziców. — To znaczy, odeszła od ojca. Wyprowadziła się do innego miasta i zamieszkała z innym mężczyzną. A ja nie chciałam odejść razem z nią.

— Matka chciała panią zabrać? — zapytał Kapinos, marszcząc czoło i czekając z długopisem uniesionym nad swoim notesem, zupełnie jak drapieżny ptak czający się na ofiarę. — Proponowała, żeby pani także wyjechała?

— Oczywiście — zachnęłam się. — Właściwie to było tak: mama oznajmiła ojcu, że odchodzimy. My. Rozumie pan, my dwie. Ja byłam wtedy dojrzewającą pannicą, apogeum tego okresu buntu, kiedy człowiekowi się wydaje, że całe zło tego świata stworzyli dorośli. Zresztą jak się tak zastanowić, to faktycznie jakieś dziewięćdziesiąt procent należy do nich, zauważył pan?

— No, nie wiem — odparł Grzegorz Kapinos w jakimś dziwnym roztargnieniu. — Ja sporo pracuję z dziećmi oraz nastolatkami i powiedziałbym... — Urwał i otrząsnął się niczym mokry pies. — I jak pani zareagowała? — Sprowadził naszą rozmowę na właściwe tory.

— Powiedziałam, że mowy nie ma. — Zamyśliłam się na moment, bo przed oczami stanęła mi scena sprzed lat. — Tamtego dnia mama przyszła z pracy jakaś podenerwowana... Jest stomatologiem, od razu uprzedzę kolejne pytanie. No więc wróciła poirytowana, ale to była norma, ona często chodziła rozdrażniona. Potem zrozumiałam, że po prostu już miała ten swój romans, ale jako dziewczynka wierzyłam, że to pacjenci ją wkurzają. No wie pan, zawsze narzekała, że przychodzą z nieumyтыми zębami.

— Rozumiem.

— Więc przychodzi zła jak osa, staje w przedpokoju i oznajmia: odchodzimy. Ogarnia pan? Bo ja nawet dziś, po tylu latach, nie ogarniam.

Patrzył na mnie przepraszająco. Chyba nie rozumiał, o co tyle hałasu.

— Nie uzgodniła tego ze mną. W ogóle nic mi nie powiedziała — wyjaśniłam. — Oczywiście, że byłam z nią znacznie bliżej niż z ojcem. Zwierzałyśmy się sobie z babskich spraw, uczyła mnie, jak się malować, jak dobierać kiecki do butów. Wie pan, taka pierwsza prawdziwa przyjaciółka. Aż tu pewnego dnia po prostu przychodzi i stwierdza fakt: odchodzimy.

I właśnie w tym momencie się rozbeczałam. Naprawdę nie miałam zamiaru, nie sądziłam, że jeszcze mogę płakać z jej powodu, a jednak. Zdrada mamy — i wcale nie chodzi o to, że zdradziła ojca, lecz mnie — bolała tak samo jak wtedy, nawet po osiemnastu latach. Podejrzywałam, że nigdy nie przestanie.

— Więc powiedziała pani „nie”? — upewnił się Kapinos, tym samym szybko sprowadzając mnie na ziemię i osuszając moje głupie łzy. — Została pani z tatą?

— Tak. Matka próbowała mi coś tłumaczyć, tyle że nie chciałam jej słuchać. Zamknęłam się w pokoju i nie wyszłam, dopóki nie wyjechała.

— Czyli to jest taka trochę niedokończona historia... — Zapisał coś w swoim tajemniczym kajecie. — Ciekawe, ciekawe...

— Jakie tam ciekawe, proszę pana! — Pochyliłam się, żeby wyznać mu resztę, a on, chyba bezwiednie, zrobił to samo; omal nie stuknęliśmy się czołami. — Historia jest dokończona, jak najbardziej. Otóż dwa lata później, czując się już bardzo dojrzałą pannicą, pojechałam do mamy, do Dębina.

— Dublina? — upewnił się mój terapeuta. — Mama wyjechała do Irlandii?

— Nie, skądże. Dębin. Między Warszawą a Lublinem. Szkoła Orląt i te sprawy, kojarzy pan?

— A tak, tak — przytaknął. — Przepraszam. Teraz wszyscy walą drzwiami i oknami za granicę, zresztą ja mam sporo do czynienia z eurosierotami, więc wszędzie się spodziewam emigrantów, takie skrzywienie zawodowe.

— Rozumiem.

Zagapiłam się na niego. Ładne miał te oczy, wielkie, brązowe i wilgotne jak u młodej jałówki. W każdym razie tak mi się skojarzyło. Choć z drugiej strony, nie byłam pewna, czy istnieją stare jałówki.

— Zatem do Dębina... — powiedział zachęcająco, wrywając mnie z zadumy nad krowimi oczami.

— Właśnie. Pojechałam.

Pamiętałam to doskonale. Każdą chwilę, począwszy od trudnej rozmowy z tatą, bo przecież musiałam mu powiedzieć, dokąd jadę. Mama pisała do mnie list za listem, prosząc o spotkanie, a ja, choć trudno było mi się do tego przyznać, coraz rozpaczliwiej za nią tęskniłam. Wreszcie, jak zwykle pod wpływem impulsu, podjęłam decyzję.

Sama nie wiedziałam, na co właściwie liczę. Bo przecież nie na to, że mama powie: popełniłam błąd, żałuję, chcę wrócić do ciebie i ojca. I nie na to, że w jakiś magiczny sposób przekona mnie, że jej nowy facet dorasta choćby do pięt mojemu tacie. Może nie liczyłam w ogóle na nic — po prostu bardzo

chciałam znów przytulić się do mamy, poczuć jej ciepło i zapach i choć na chwilę przenieść się w świat dzieciństwa, w którym wszystko było tak, jak należy. Bo dla dziecka świat „jak należy” składa się z trzech elementów: mama, tata, dom. Nic więcej mu nie trzeba.

Naprawdę wydawało mi się wtedy, że jako szesnastolatka jestem wystarczająco dojrzała, by stawić czoła własnym impulsywnym reakcjom i pokręconym emocjom. Chłodno przywitam się z tym facetem, który rozbił moją rodzinę, będę uprzejma (choć może odrobinę wyniosła), pozwolę mamie, by przedstawiła swoją wersję wydarzeń (mój nauczyciel od historii zawsze powtarzał: *Audiat et altera pars*, co znaczyło, że należy wysłuchać także drugiej strony), a potem z godnością wrócę do taty, bo przecież jedno było oczywiste: kto jak kto, ale JA nie zostawię go NIGDY.

— Oczywiście, jedź, Agatko — powiedział tata tamtego styczniowego dnia (trwały właśnie ferie zimowe). — Ja już dawno myślałem, że ty się niepotrzebnie tak na mamę obraziłaś. Dzieci nie powinny się mieszać w sprawy dorosłych.

— Sprawy dorosłych? — oburzyłam się. — To była także moja sprawa, nie uważasz? Mama zostawiła nie tylko ciebie, odeszła także ode mnie.

— Nie mów tak. Doskonale wiesz, że zamierzała cię ze sobą zabrać. Pokrzyżowałaś jej plany. Miała tam nawet pokój dla ciebie, w tym Dęblinie.

— Nawet gdyby miała cały pałac — fuknęłam — i tak bym z nią nie pojechała. Też coś, pokój! Mnie się nie przekupi pokojem!

— Tu nie chodzi o przekupstwo — tłumaczył cierpliwie ojciec. — Mam na myśli to, że Krysia naprawdę zaplanowała wszystko dla was obu. Pamiętasz? Nawet znalazła dla ciebie liceum w Puławach.

— Dobra, skończmy ten temat — ucięłam. — Mówisz tak, jakbyś chciał mnie przekonać, że powinnam była z nią wyjechać.

Tata spojrzał na mnie smutno, ale nic nie odpowiedział. Wspomnienie tego wzroku, pełnego niewypowiedzianych słów, towarzyszyło mi później, kiedy już jechałam pociągiem do mamy.

Dęblin przywitał mnie śniegiem. Weszłam do niewielkiego budynku dworca, żeby zapytać o połączenia powrotne do Bydgoszczy. Nie spodziewałam się jedynie, że tak prędko będzie mi to potrzebne — zamierzałam przecież zostać u mamy kilka dni. Dowiedziawszy się, o której odjeżdżają pociągi i ile razy muszę się przesiąść, udałam się na osiedle zwane Lotniskiem. Nie chciałam brać taksówki, choć tata dał mi na drogę sporo pieniędzy. Kiedy potem analizowałam w myślach swoje postępowanie, doszłam do wniosku, że prawdopodobnie próbowałam odwlec moment, w którym stanę na progu mieszkania mojej matki, a ona przedstawi mi obcego faceta.

Słońce świeciło, z drzew spadały wielkie płyty mokrego śniegu. Nad moją głową schodziły do lądowania odrzutowce. Znałam ich widok i ten charakterystyczny huk, bo w Bydgoszczy także było lotnisko wojskowe, ale nigdy nie widziałam samolotów w locie z tak bliska. Chwilami mogłam dostrzec wyraźnie profile pilotów; zastanawiałam się, czy jeden z nich to kochaś mojej mamy.

Zanim doszłam na osiedle, minęła dobra godzina. Okazało się, że krótsza droga prowadzi przez teren lotniska i aby tamtędy przejść, trzeba mieć przepustkę. Przez chwilę rozważałam, czy nie użyć uroku osobistego, ponieważ wartownik okazał się niezwykle przystojny i bardzo sympatyczny, a ja przecież miałam szesnaście lat i akurat, zupełnie przypadkiem, nie byłam w nikim zakochana. Ostatecznie jednak powlekłam się okrężną drogą, którą wskazali mi uczynni przechodnie. Obeszłam ogrodzony teren należący do wojska, zboczyłam nieco z drogi, żeby przejść się po urokliwym parku, w którym znalazłam elegancki pałac oraz willę zamieszkaną niegdyś przez Marię Pawlikowską-Jasnorzewską, by wreszcie zdobyć się na odwagę i pomaszerować wprost do jednego z trzech wieżowców, pod adres wskazany przez mamę w listach.

Winda zbyt szybko zawiozła mnie na ósme piętro. Z mocno bijącym sercem zapukałam do drzwi, na których — na szczęście, bo nie chciałam zobaczyć inicjału mamy przy obcym nazwisku — nie było wizytówki. Osoba, która otworzyła mi drzwi, była moją mamą; miała tę samą twarz, te same włosy, nawet uczesane tak samo jak przed dwoma laty. Tylko nie pachniała tak samo. Mieszkanie, w progu którego stała, nie pachniało jak dom. To było obce miejsce, a mama nosiła na sobie ten sam obcy zapach.

Na mój widok rozszlochała się i wzięła mnie w ramiona. Co do mnie, zapewne zrobiłabym to

samo, gdyby nie to, że z pomieszczenia na końcu przedpokoju wyszedł mężczyzna. Wysoki, przystojny brunet w tym włoskim typie, który od tamtej pory szczerze znienawidziłam. Drugi mąż mojej mamy.

— Kochanie, poznaj Karola — powiedziała matka, nieomylnie wyczuwając obecność tego typu za plecami. — Karolu, to jest Agatka. Moja córka. Moja córeczka.

Jeśli odczuwałam jakiegokolwiek wzruszenie, to właśnie w tym momencie zostało ono ukatrupione na amen. Rzeczony Karol podszedł do mnie, błyskając w uśmiechu białymi jak śnieg zębami, i wyciągnął rękę. Udałam, że tego nie widzę, wyswobodziłam się z ramion mamy, po czym przykucnęłam i całą uwagę skupiłam na zdejmowaniu butów. Na szczęście były to wysoko sznurowane traperki (w tamtych czasach nosiłam się nieco punkowo). Zanim rozwiązałam i zdjęłam obuwie, panowałam już nad mimiką i byłam gotowa podjąć walkę. Bo tak to właśnie traktowałam, zupełnie jakbym przyjechała tu walczyć o mamę.

— Na pewno jesteś głodna po podróży. — Mama najwyraźniej próbowała pokryć zdenerwowanie gadaniną. — Ugotowałam kapuśniak na kościach wędzonych, taki jak zawsze lubiłaś.

— Już nie jemy z tatą kapuśniaku — odpowiedziałam. Z twarzy Karola zniknął uśmiech, mama natomiast wciąż jeszcze była pogodna. — W ogóle odkąd odeszłaś, sporo się w moich upodobaniach kulinarnych zmieniło.

— Na pewno sobie przypomnisz. Takie smaki z dzieciństwa wracają nawet po wielu latach.

— Ja nie chcę pamiętać dzieciństwa. Nienawidzę tych wspomnień.

Gadałam bzdury. Powiedziałabym w tamtej chwili wszystko, żeby ją zranić. Chciałam, żeby płakała. Żeby zaczęła błagać o wybaczenie. I jeszcze o to, byśmy z ojcem pozwolili jej wrócić. Tymczasem uśmiechała się, szukając wzrokiem wsparcia u swojego gogusia o śnieżnobiałym uśmiechu.

— W takim razie może sama coś przygotujesz — odezwał się goguś. — Po swojemu. Według gustu swojego i taty.

Wkurzyło mnie, że się odezwał. I że śmiał wypowiedzieć słowo „tata”. W ogóle wkurzało mnie absolutnie wszystko. W tamtym strasznym momencie nie miałam zielonego pojęcia, po co w ogóle przyjechałam. Zapomniałam o tęsknocie za maminy ramionami, bo przecież ona już nie przytulała jak mama, nie czułam w jej objęciach bezpieczeństwa, dziecięcej radości i całego dobra tego świata.

— Nie jestem głodna — odparłam, ale uszła ze mnie cała energia i tak w głębi duszy marzyłam, żeby mama jednak naląła tego kapuśniaku. — Chcę tylko porozmawiać przy herbacie i już. Nic więcej mi nie trzeba.

Mama rzuciła rozpaczliwie spojrzenie mężowi, on odpowiedział wzruszeniem ramion. Potem wszystko potoczyło się samo: weszłam do małego pokoiku, w którym stał jedynie ozdobnie rzeźbiony kredens, dwa skórzane fotele i stolik ze sprzętem grającym oraz imponującą kolekcją płyt CD. Pomyślałam, że Karol musi być melomanem. Tata niespecjalnie lubił muzykę, w każdym razie nie słuchał jej na co dzień, w domu nie pozwalał mi włączać radia, bo to go rozpraszało. Mawiał, że ze wszystkich stylów muzycznych najbardziej kocha ciszę.

Ostatecznie dostałam kubek herbaty z cytryną i kawałek ciasta, w którym rozpoznałam szarlotkę znaną z dzieciństwa. Oczywiście doprowadziło mnie to do łez, których bardzo nie chciałam — aby nie okazać słabości, błyskawicznie zamieniłam wzruszenie na agresywny ton i nieprzyjemne słowa.

— Zamknij drzwi — poprosiłam, gdy mama przyniosła mi poczęstunek. — Nie chcę, żeby ten twój amant nas podsłuchiwał.

— To nie jest amant, tylko mój mąż — poprawiła mnie. — A poza tym trudno tu chyba mówić o podsłuchiwaniu. On jest u siebie w domu, mieszkanie jest małe...

— Wiem, to ja nie jestem u siebie — podjęłam. — Choć można by pomyśleć, że skoro znajduję się w domu własnej matki...

— Agata! — przerwała mi mama ostrym tonem. — Dość tego! Sądziłam, że przyjechałaś, bo chcesz, żeby między nami było lepiej.

— Między nami nie może być lepiej. A przyjechałam, bo... — Nie przeszłoby mi przez gardło zwyczajne „bo cię kocham” albo „bo tęskniłam”. — Bo pomyślałam, że powinnam dać ci szansę. Nie chciałam cię wysłuchać wtedy, kiedy odchodziłaś. Może bardziej nie umiałam, niż nie chciałam. Dziś

chyba jestem wystarczająco silna.

— Czyli oczekujesz ode mnie, że będę się przed tobą tłumaczyć? — szepnęła mama.

— Nie, po prostu powiedz to, co wtedy zamierzałaś powiedzieć.

Milczała bardzo długo, błędząc wzrokiem po błękitnym niebie za oknem. Kiedy wreszcie się odezwała, zauważyłam, że nerwowo wyłamuje palce.

— Nie pamiętam już, jaką sobie wtedy przygotowałam przemowę — rzekła. — Bo coś na pewno przygotowałam.

— Zaczynało się od „Aguś, musisz zrozumieć...” — podpowiedziałam.

Spojrzała na mnie uważnie.

— Pamiętasz takie rzeczy? — zapytała niepewnie.

— Tak, mam. Pamiętam wszystko. Także to, że w najbliższy weekend mieliśmy w planach wyjazd do Trójmiasta, chcieliście mnie z tatą zabrać do Teatru Muzycznego. I to, że obiecałaś mi kupić nowe dzinsy.

Nie odpowiedziała. Nie patrzyła na mnie, znów wpatrywała się w błękit.

— Nie można tak ni stąd, ni zowąd powiedzieć: odchodzę — podjęłam. — Wszystko, co działo się wcześniej, staje się nieważne, nieprawdziwe. Następuje koniec świata, w którym się dorastało i który był bezpieczny, taki znajomy. Nagle nie kocham mężczyzny, którego kochałam...

— To nie było nagłe.

— Dla mnie było.

— Może gdybym powiedziała ci wcześniej...

— Co miałabyś mi powiedzieć? Na przykład coś w stylu: nie kocham już twojego ojca, a ciebie tylko trochę, bo znacznie ważniejszy stał się dla mnie nowy facet?

— To nie tak, Agata. Kiedyś mnie zrozumiesz, kiedyś sama...

— Jeśli masz na myśli to, że kiedyś sama pokocham jakiegoś mężczyznę bardziej niż własne dziecko, to nie, nie chcę! — przerwałam podniesionym głosem. — Wolę cię nigdy nie zrozumieć!

Mama wstała z fotela i przez chwilę myślałam, że podejdzie, przykucnie i mnie przytuli, ale ona tylko uchyliła okno. Przez chwilę stała, patrząc na coś lub kogoś za oknem. Wreszcie odwróciła się z westchnieniem.

— Nie dogadamy się — powiedziała zupełnie innym tonem, już nie tak ciepłym. — Nie rozumiesz albo nie chcesz zrozumieć. Może to błąd, że nie powiedzieliśmy ci od razu, bo nasze rozchodzenie się trwało latami. Agata, nic nie stało się nagle, już ci mówiłam. Kiedy pojawia się taka wielka namiętność...

Nie mogłam tego znieść. Gdyby mama mówiła o mnie, o tym, jak za mną tęskni, jak jej brakuje tej naszej matczyno-córczynej przyjaźni, wówczas wybaczyłabym jej wszystko. Ale ona chciała opowiadać tylko o swoim Karolu.

— Nie będę tego słuchać! Teraz widzę: to był błąd, że przyjechałam. Chyba w swojej naiwności sądziłam, że będziesz chciała rozmawiać o nas. O tobie i o mnie.

— Tak, chcę o tym mówić. Ale ty ciągle wspominasz o ojcu! W prawie każdym zdaniu używasz słowa „tata”!

— To źle? Chyba łatwo zrozumieć, dlaczego stał się dla mnie najważniejszym człowiekiem po tym, jak nas zostawiłaś!

— Agata, przecież chciałam cię zabrać...

— Sądzisz, że jestem taka jak ty? Nigdy bym nie zostawiła taty! Nigdy! Ja nie przestałam go kochać, nie zapominaj o tym!

— Ja też nie przestałam — powiedziała mama, patrząc na mnie jakoś tak współczująco, co rozwścieczyło mnie do reszty. — Coś, co nigdy się nie zaczęło, nie może się skończyć. Po prostu nigdy go nie kochałam. Ani przez chwilę.

Zerwałam się z fotela, wybiegłam do przedpokoju i zaczęłam zakładać buty, tym razem przeklinając w duchu cholerne sznurowadła. Wreszcie udało mi się je zawiązać. Mama stała w drzwiach pokoju, oparta o futrynę. Wyprostowałam się, założyłam kurtkę i sięgnęłam po leżący na podłodze

plecak.

— Zostań chociaż do jutra — powiedziała jeszcze. — Jeśli nie chcesz posłuchać o prawdziwym uczuciu, może posłuchasz o pewnym udawanym małżeństwie. Takim, w którym nigdy nie było miłości, a które było rodzajem układu dającego obopólne korzyści. Coś w rodzaju handlu wymiennego. Wtedy mnie zrozumiesz.

— Nienawidzę cię! — wrzasnęłam i wyszłam.

*

Do tego miejsca pamiętałam wszystko dokładnie, zupełnie jakbym oglądała kilkanaście razy ten sam film i mogła cytować z pamięci dialogi. Co było potem, nie umiałabym odtworzyć. Jakimś cudem znalazłam się na stacji, kupiłam bilet i wsiadłam do pociągu. W Warszawie miałam przesiadkę; czas oczekiwania na pociąg do Bydgoszczy spędziłam na szwendaniu się bez celu po centrum. Zjadłam coś w najtańszym barze w przejściu podziemnym — ale co zamówiłam, tego nie pamiętałam. Popłakiwałam przez cały czas. Kiedy wreszcie siedziałam w pospiesznym do Bydgoszczy, schowałam twarz pod kurtkę i udawałam, że śpię. Zawiadomiłam Igę, że wracam, a na jej pytanie, co się stało, dlaczego tak szybko, odpisałam tylko: „Nigdy więcej ani słowa o tym, że w ogóle tam byłam”. Iga była mądra; wiedziała, że nie ma sensu mnie przekonywać. Wyszła po mnie na stację, przytuliła, a potem zabrała do herbaciarni na Gdańskiej, gdzie w ponurym milczeniu wyłopałam dwie filiżanki czegoś obrzydliwie cierpkiego i dopiero wówczas zauważyłam, że na spodeczku podano mi konfiturę do posłodzenia naparu. Wtedy wylizałam talerzyk i od razu zrobiło mi się lepiej.

Grzegorz Kapinos wysłuchał mnie w milczeniu, nie przerywając ani razu. Trzykrotnie coś zanotował: raz, gdy wspomniałam o wyglądzie Karola, oraz dwa razy, kiedy przytaczałam słowa mamy. Gdy zakończyłam swoją niewesołą opowieść, potarł podbródek i po chwili namysłu zapytał:

— Powtórzyła pani ojcu słowa mamy? Rozmawiała pani z nim o tym wszystkim?

— Nie. Absolutnie.

Kapinos przekrzywił głowę i przyglądał mi się przez chwilę. Wyglądał jak sympatyczny psiak, tylko oczywiście był mniej kosmaty.

— Sądzi pani, że mogła mówić prawdę? Jakie ma pani wspomnienia z dzieciństwa? Jakim małżeństwem, według pani, byli rodzice?

— Nie mam pojęcia — odparłam bezradnie. — Chyba dobrym. Oni się w zasadzie nie kłócili... Ale czy się kochali? Skąd miałabym to wiedzieć?

Terapeuta patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a ja miałam absurdalne wrażenie, że chce mnie przytulić. Ale dokładnie w tym momencie zapikał jego telefon.

— No cóż, pani Agato, czas nam się kończy. Zresztą może to i lepiej, bo muszę przemyśleć pani opowieść, przejrzeć zapiski... — W tym momencie szybkim ruchem przycisnął do piersi notatnik, jakby chciał ukryć, jak niewiele w nim nabaz-grał. — Spotykamy się w środę, tak?

— Tak. Jeśli nie możemy wcześniej — odparłam z żalem.

Prawda wyglądała tak, że to zwierzanie się Grzegorzowi Kapinosowi zaczynało mi się bardzo, ale to bardzo podobać.

Weekend spędziłam w większości poza domem, a to dlatego, że po rozmowie z terapeutą moje stare rany pootwierały się i w obecności taty czułam się bardzo zakłopotana. W sobotę rano ojciec wydał mi się jakiś rozswiergolony, całkiem jak nie on. Tak mnie to zdenerwowało, że postanowiłam się nie odzywać, co było w sumie niewykonalne, bo pewnych rzeczy nie da się ustalić na migi. Tak czy owak, o czternastej zamykaliśmy zakład, więc z ulgą udałam się najpierw na poprawiające humor zakupy, a następnie do Igi. Już od wielu tygodni sobotnie popołudnia spędzaliśmy, grając w jedną z gier planszowych. Początkowo byliśmy zagorzałymi fanami *Osadników z Catanu*, ale pewnego dnia Rafał podarował Idze *Carcassonne* i od tej pory przepadliśmy zupełnie. Potrafiliśmy rozegrać zapamiętane cztery partie z rzędu, by ze zdumieniem stwierdzić, że zaczyna świtać, bo nastał niedzielny poranek.

Kiedy przyjechałam do przyjaciółki, okazało się, że Rafał już jest, czekali więc tylko na mnie.

— Jesteś wreszcie! — zawołał Wojtek. — Grasz żółtymi czy różowymi?

Różowe nie cieszyły się popularnością, nikt ich nigdy nie wybierał, było to więc pytanie retoryczne. Pionki w *Carca-s-sonne* prezentowały bowiem róż najbardziej prosiaczkowy z możliwych.

— Moja Kornelka wzięłaby różowe — westchnął Rafał, dobierając żeton z zakolem rzeki. — Ona ma teraz fazę na ten kolor.

— Ja nigdy przez to nie przechodziłam — zauważyła Iga. — Agata, a ty? Nie pamiętam cię w majtkowych odcieniach.

— Nie, majtkowych nigdy nie lubiłam. Ale ostry róż, taki, wiesz, co to wali po oczach, to jak najbardziej.

— Fuksja — odezwał się Wojtek. — Prawda? To jest ten odcień?

Jakiś czas temu Iga stwierdziła, że mężczyźni nie rozróżniają odcieni. Wojtek postanowił jej udowodnić, że się myli i że jeżeli rzeczywiście niektórzy panowie sobie z tym nie radzą, to jest to wyłącznie objaw braku zainteresowania. Albo lenistwa, co w sumie na jedno wychodzi. W każdym razie od tamtej pory Wojtek uczył się nazw wszelakich barw. I odnosił na tym polu sukcesy.

— Teoretycznie tak, fuksja — odpowiedziała Iga. — Chociaż jak już wiemy, fuksje bywają różne, nawet biało-czerwone.

— À propos — odezwał się Rafał, z niesmakiem obserwując, jak Wojtek rozbudowuje miasto z

katedrą, zyskując w ten sposób szansę na wygraną. — Robicie ten biznes z kwiatkami czy nie robicie?

Nie zostałam wtajemniczona w „biznes z kwiatkami”, więc natychmiast zapytałam, o co chodzi. Jak się okazało, jakiś tydzień temu Iga (zapewne pod wpływem ciężowych hormonów) poczuła przemożną chęć działania i rozwijania się zawodowo. Wykupiła sobie internetowy kurs projektowania terenów zielonych oraz jakiś profesjonalny program komputerowy, po czym wraz z Wojtkiem postanowili rozszerzyć ofertę jego firmy (noszącej staropolską nazwę Dream Garden) o projektowanie, zakładanie i pielęgnację rabat kwiatowych. Wiedziałam, że Wojtek nosił się z takim zamiarem już od dawna, lecz jego była żona nie chciała w tym uczestniczyć, a on sam nie dałby rady. Teraz trafił na prawdziwą wariatkę, bo Iga — odkąd z pieniędzy wygranych w Lotto kupiła dom z ogrodem — dostała kompletnego bzika na punkcie swoich roślin.

Oczywiście początkowo Wojtek nie miał pojęcia o wielkiej fortunie, jaką dysponowała moja przyjaciółka. Powiedziała mu o pieniądzach dopiero, kiedy się oświadczył. Wiadomość ta sprawiła, że obraził się śmiertelnie (za to, że tak długo go okłamywała), i omal nie zerwali ze sobą. Iga nawet się ucieszyła, bo to dowodziło, że nie zależy mu na jej wielkiej forsie, tylko na niej samej. Na szczęście w porę się zorientowała, że jeśli nie zabierze się za ratowanie związku, to wkrótce może być za późno.

— W każdym razie ja w to wchodzę, gdybyście potrzebowali pracownika — oznajmił Rafał. — Wszystko biorę. Kopanie, sadzenie, podlewanie, strzyżenie żywopłotów i koszenie trawy.

— To oczywiste, że jesteś w ekipie — odparł Wojtek. — Tylko pamiętaj, w tym fachu trzeba być bardzo dyspozycyjnym. Ktoś dzwoni, że ma mszyce na kalinie, i ty zasuwasz, nie ma, że boli.

— Ale on nie może tak na każde zawołanie — wtrąciła Iga z wyrzutem. — Przecież jest tata. I Kornelka.

— Tata to chwilowo nie problem, na razie jest z nim lepiej — odparł chłopak. — Teraz ma remisję, w stwardnieniu rozsianym okresy pogorszenia często następują między takimi fajnymi miesiącami lub nawet latami, kiedy wszystko wydaje się wracać do normy... No więc ojciec chodzi samodzielnie, jest właściwie zupełnie sprawny, nawet obiad podgotuje; tyle że czuje się niepewnie, miewa jeszcze problemy z równowagą, więc rozumiecie, że do opieki nad dzieckiem nie bardzo się rwie. Natomiast z Kornelią rzeczywiście jest kłopot, bo jej opiekunka, pani Jasia, się rozchorowała i nie może już przychodzić. Szukaliśmy kogoś na zastępstwo, ale te młode dziewczyny chcą, żeby im płacić dwa razy tyle, ile brała pani Janina, zwłaszcza kiedy słyszą, że w domu jest dodatkowo dorosły z problemem zdrowotnym. Nie stać nas. Spróbowaliśmy jeszcze raz z przedszkolem, ale to kompletna klęska. Dopóki mała jest z nami, wszystko jest okej: rozmawiamy, w co się może pobawić, jakie miłe są panie przedszkolanki. Ale gdy tylko mama próbuje wyjść z sali, zaczyna się nawet nie histeria, co po prostu jednostajne wycie.

W gardle zawiązało mi się coś w rodzaju ciasnego supełka. Nigdy nie mogłam słuchać opowieści o tym, że jakieś dziecko płacze z tęsknoty.

— A ty albo tata? — zapytałam. — Może gdybyście wy próbowali ją odprowadzać, byłoby jej łatwiej.

— Nie, daj spokój! — Machnął ręką. — My jesteśmy zupełnie do bani. Beczmy razem z nią. Mama radzi sobie najlepiej z nas wszystkich, w tym sensie, że jest najbardziej stanowcza. Ale i tak wymięka, widząc te łzy jak grochy.

Kornelka sporo wycierpiała; najpierw zmagając się z siatkówczakiem i przechodząc kolejne chemie w Polsce, a potem podczas wyjazdu do Stanów, gdzie była leczona przez doktora Abramsona. Nikogo z nas nie dziwiło, że przy jej delikatnej osobowości wszystkie te przeżycia dały takie, a nie inne rezultaty.

— Może ja się nią zajmę? — zaproponowała Iga, która jednocześnie przeliczała punkty za zakończoną drogę z karczmą (oczywiście pomyliła się na swoją korzyść). — Mógłbyś mi ją tutaj przywozić.

— Przecież ty nie lubisz dzieci.

— Wkrótce będę musiała polubić, nie uważasz?

— Ale to zupełnie co innego, własne się kocha i już — powiedział Rafał. — Myślisz, że ja

lubilem dzieci, zanim urodziła mi się siostra? Wręcz przeciwnie. Chyba nawet trochę się ich bałam. A potem... wpadłem po uszy.

— Ja też na pewno wpadnę. — Iga westchnęła z nadzieją. — A wracając do Kornelki, to mam taki pomysł: po prostu zatrudnimy nową opiekunkę na mój koszt. Jako twój pracodawca w ramach pomocy socjalnej zafunduję ci nianię dla siostry.

Doskonale wiedziałam, co odpowie Rafał. Był zbyt ambitny, żeby po raz kolejny przyjąć pomoc. Ubzdurał sobie, że powinien odpracować dług wdzięczności, jaki zaciągnął u mnie i Igi, przyjmując od nas pieniądze na leczenie Kornelii za oceanem. Na nic zdało się tłumaczenie, że cała ta gruba forsa spadła nam jak z nieba, więc dzielenie się nią jest czymś oczywistym.

— Mowy nie ma! — Spełnił moje przewidywania co do joty. — Ja już i tak zbyt wiele wam zawdzięczam. Pomoc pomocą, życzliwość życzliwością, ale przecież nie o to mi chodzi, żeby żebrać. Zresztą ja znajdę opiekunkę, to tylko chwilowe kłopoty.

— Mam pewien pomysł — wtrąciłam się. — Sprawa wygląda następująco: trochę się poprzytykałam z ojcem i atmosfera w pracy stała się dla mnie nie do zniesienia. Może wypożyczyłbyś mi Kornelkę do zakładu? Chociaż na parę dni, a może ze dwa tygodnie? Porysowałyby sobie, w czasie sesji szczeniackowych pobawiłaby się z maluchami... Jest taka grzeczna i cichutka, że na pewno by mi nie przeszkadzała, a może pomogłaby rozładować napięcie.

Rafał taktownie nie zapytał, o co pokłóciłam się z tatą. W ogóle nigdy nie zadawał zbyt wielu pytań, sam też niewiele o sobie mówił. Był skromny, pracowity i niesamowicie dobry. Uwielbiałyśmy go obie z Igą i tylko żałowałam, że jest taki smarkaty. O całe siedem lat młodszy ode mnie.

— Przemyśl to — poprosiłam. — Wiesz przecież; wszyscy wiecie, jak uwielbiam dzieci.

— Nie wiem, czy ona by się ciebie nie bała — mruknął chłopak. — Jest bardzo nieśmiała w stosunku do obcych.

— No, ale ja nie jestem taka całkiem obca — przypomniałam. — Pamiętasz, jak kiedyś bawiłam się z nią na huśtawkach? Dogadałybyśmy się. Zresztą przecież nie mówię, że na stałe... Ale dopóki nie znajdziesz opiekunki za przyzwoite pieniądze, pamiętaj, że dla mnie to będzie sama przyjemność.

Rafał zgodził się w końcu, przedyskutował sprawę z rodzicami, którzy także wyrazili zgodę — i tak oto w poniedziałkowy poranek przed pracą pojechałam na Osiedle Leśne, by zabrać z mieszkania państwa Mościckich malutką, chudziutką Kornelię o czarnych jak węgielki i na szczęście już całkiem zdrowych oczach. Mała popatrzyła na mnie poważnie, zapięła czerwony płaszczyk, samodzielnie zasnurowała buciki (po wielu dziecięcych sesjach wiedziałam, że to wcale nie takie oczywiste u dziewczynki w tym wieku), a potem capnęła mnie za palec i nie puściła aż do chwili, gdy znalazłyśmy się w samochodzie.

— Dzisiaj, niestety, nie mamy do fotografowania nic ciekawego, czeka nas tylko jedna sesja ślubna, ale za to jutro będzie coś szczególnego — powiedziałam, patrząc na jej odbicie w lusterku wstecznym. — Zgadniesz?

Kornelia pokręciła głową. Wiedziałam, że nie ma sensu jej namawiać. Odezwie się dopiero wtedy, gdy poczuje się pewnie.

— Kotki! — obwieściłam, a wówczas w oczkach dziewczynki na moment pojawiło się niesamowite światło. — Będziemy fotografować kocięta! Pomożesz mi?

Pokiwała z powagą ciemnowłosą główką, a potem zapatrzyła się na migające za oknem budynki, ale po jej nieruchomych tęczęwkach poznałam, że wcale ich nie widzi. Może wyobrażała sobie te kocięta, kto wie.

Tak jak się spodziewałam, nie przeszkadzała mi zupełnie. Najpierw w skupieniu obejrzała sprzęt i rekwizyty, które przygotowałam z myślą o sesji ślubnej, potem zjadła zabrane z domu kanapki, a wreszcie usiadła w kąciку i przyglądała się przyszłej pannie młodej (bo prawdę mówiąc, była to sesja przedślubna). Kiedy nikt nie zwracał na nią uwagi, podeszła cichutko i delikatnie dotknęła tiulowego welonu, czym wzruszyła mnie niemal do łez.

Okolo czternastej wyskoczyłam z nią do baru na zupę. Rafał uprzedzał, że jego siostrzyczka je

niewiele, ale ku mojemu zdumieniu wtrząchnęła cały talerz pomidorowej z ryżem. Po południu posadziłam ją przy komputerze i pozwoliłam jej trochę porysować w programie Paint, a na koniec wydrukowałam cudny portret rodzinny, który stworzyła.

Kiedy odwiozłam ją na Osiedle Leśne, Rafała jeszcze nie było. Drzwi otworzył mi dość tęgi mężczyzna przed pięćdziesiątką, którego widywałam już kilkakrotnie, ale zawsze w pozycji leżącej albo siedzącego na wózku. Musiało mu się naprawdę poprawić, bo wyglądał dużo zdrowiej.

— Nareszcie — powiedział, uśmiechając się, a wówczas w jego miłej twarzy ukazały się dołeczki. Zaprosił mnie gestem do środka, ale pokręciłam głową, pokazując na zegarek. — Tęskniłem za moją córeczką. Jak tam? Nie płakałaś?

— Nie — odezwała się Kornelia zupełnie innym głosem niż przy mnie; znacznie śmieiej. — I jutro też nie będę płakać. Jutro będą kotki.

Po czym, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, pomaszerowała do swojego pokoiku.

— Dziękuję pani bardzo — powiedział mężczyzna. — Franciszek Mościcki jestem. Ojciec Rafała. Nie mieliśmy dotąd okazji się poznać.

— Agata Kosecka. — Wyciągnęłam do niego rękę i uściśniłam szeroką dłoń. — Bardzo mi miło. Kornelia była zupełnie niekłopotliwa i pięknie zjadła zupę na obiad.

— Ale w takim razie muszę się z panią rozliczyć! — zaniepokoił się pan Franciszek. Dopiero teraz dostrzegłam, że stoi dość niepewnie i przytrzymuje się futryny. — Już idę po portfel.

— Nie trzeba — zaprotestowałam. — Umówiliśmy się z Rafałem, że będziemy mu takie koszty potrącać od zarobków u Igi. Zna pan Igę?

— Tak, tak, oczywiście. Wy obie... My o was... Sporo się o was rozmawia w naszej rodzinie.

W jego ciemnych oczach pokazały się łzy wzruszenia, ale zamrugał szybko kilka razy i po chwili udało mu się opanować.

— Przyjadę jutro o tej samej porze — powiedziałam szybko, bo i mnie zaszczypało pod powiekami. — Nie mogę się doczekać reakcji Kornelki na te kocięta. Do widzenia.

Po czym odwróciłam się i uciekłam czym prędzej, obawiając się, że mogę się rozbeczeć i opowiedzieć temu obcemu przecież facetowi, jak bardzo chciałabym mieć własną córeczkę i obserwować jej reakcję na szczeniaki, kociaki, pluszowe misie, lody waniliowe albo czerwone baloniki. I jak bardzo się boję, że jeśli nie zmienię czegoś w swoim życiu, to przepowiednia tej głupiej wróżki się ziści i ja zwyczajnie nie zdążę.

Tak jak się spodziewałam, spotkanie Kornelii z puchatymi kuleczkami było czymś absolutnie niesamowitym. Najpierw dość długo siedziała w kucki, patrząc roziskrzonym wzrokiem na baraszkuje kociaki, potem nieśmiało zaczęła ich dotykać. Jak zwykle w takiej sytuacji, zdarzyło nam się kilka wpadek „higienicznych”, poza tym maluchy rozłaziły się, nie mogły usiedzieć w miejscu; nawet hodowczynie zaczynała się już niecierpliwic. Wszystko to jednak w tym samym stopniu zachwycało Kornelię. Po kilkunastu minutach dotykania kociąt zaczęła mówić — i nie przestała aż do osiemnastej, kiedy zamknęłam zakład i zawiozłam ją do domu.

Dowiedziałam się więc, jakie miała lalki i co się z nimi stało, że w przedszkolu lubiła jedną panią, która miała na imię Basia, ale pani Basia zachorowała i potem już jej nie było; że na zajęciach w domu kultury też jest pani Basia, ale zupełnie inna, bo tamta miała białe włosy, a ta ma czarne. Ponadto Kornelia opisała mi jednorożca, którego chciałaby mieć, i opowiedziała o pewnej dziewczynie, którą Rafał bardzo lubił; miała na imię Gabryś, ale potem ta Gabryś przyszła na obiad, a tata miał akurat pogorszenie i już więcej nie widzieli Gabrysi, a Kornelka wie, że jej brat płakał, chociaż tylko w łazience, i zabronił komukolwiek mówić, że podsłuchiwała, co mówił sam do siebie.

Zostałam poinformowana także o ulubionych książeczkach, kredkach, pędzelku, który łysieje i potem na malunku zostają brzydkie, zaschnięte włoski, oraz o tysiącu innych rzeczy, którymi dziewczynka uznała za stosowne się ze mną podzielić, po czym odstawiłam ją do domu, wprost w ramiona stęsknionej mamy, która wróciła tuż przed nami i nie zdążyła nawet zdjąć butów.

— O, jesteście! — Uśmiechnęła się na nasz widok. — A ja się już martwiłam, bo Franek powiedział, że wczoraj byliście dużo wcześniej.

— Dziś jest szczególny dzień — powiedziałam. — Było tyle wrażeń, że musiałyśmy jeszcze wstąpić na ciastko do kawiarni. Prawda?

Kornelka spojrzała na mnie i z powagą pokiwała głową.

— Było białe i czarne — wyjaśniła matce, w ten prosty sposób podsumowując wysiłki cukierników, którzy stworzyli coś, co nazwali „kokosowym murzynkiem”. — Jutro wcześniej wrócę, bo Agatka musi jechać do pana, który ma katar. Do widzenia.

Dopiero siedząc w samochodzie, skojarzyłam, że miała na myśli Kapinosa. No tak, jutro sesja. Przedtem nie mogłam się doczekać, a teraz — dzięki tej małej, ciemnowłosej dziewczusi — omal nie zapomniałam.

Grzegorz (bo zaczynałam już myśleć o moim terapeutę po imieniu, jak o dobrym znajomym) tym razem nie tylko słuchał, lecz także mówił.

— Po pierwsze, pani Agato — rzekł stanowczo — ja tu widzę kilka zupełnie odrębnych spraw, ale one wszystkie wyrastają w gruncie rzeczy z jednego pnia. Przyszła pani do mnie z problemem, który nazwała pani kochliwością. Cóż, według mnie to określenie nie oddaje istoty rzeczy. Pani nie jest kochliwa. Gdyby pani była, wówczas po kilku miesiącach pani związki rozpadałyby się z powodu niewierności. Tak, właśnie pani niewierność stanowiłaby skutek owej, jak to pani określa, kochliwości.

Chciałam powiedzieć, że gdybym nie była kochliwa, nie rzucałabym się od razu po rozstaniu z jednym facetem w kolejny związek, ale Grzegorz uniesionym placem pokazał mi, że bym nie przerywała.

— Tak więc nie jest to *sensu stricte* kochliwość. Nazwałbym to raczej uzależnieniem od motyli w brzuchu, od tego stanu emocjonalnego, który sprawia, że chce się pani żyć. Musi się pani nauczyć znajdować radość i energię do działania w innych odczuciach niż samo tylko euforyczne zakochanie. Wie pani, ludzie potrafią żyć szczęśliwi i pełnią życia bez miłości. W każdym razie bez tego typu miłości, o jakim rozmawiamy. Jedynie w komediach romantycznych związek jest warunkiem dobrego życia. Będziemy nad tym pracować.

Pokiwałam potulnie głową.

— Po drugie — kontynuował — odrobinę niepokoi mnie pani impulsywność. Nieczęsto zdarzają

mi się pacjenci, którzy tyle płaczą, tak często się unoszą, przeżywają wszystko tak, jakby albo fruwali kilka metrów nad ziemią, albo wręcz przeciwnie, konali w męczarniach na samym dnie przepaści.

„Ładnie mówi”, pomyślałam. „Metaforycznie. Może to jest niespełniony poeta”.

— I wreszcie pani sprawy rodzinne. Mam na myśli przeszłość, konflikt z matką. Będziemy nad tym pracować. Takie nierozwiązane sprawy ranią jak drzazga, która utknęła gdzieś głęboko. Niby z wierzchu się zagoiło, ale pod skórą wciąż zbiera się ropa.

Wzdrygnęłam się. Wolałabym, żeby używał innych przenośni, jakichś spożywczych na przykład.

— Ale co pan nazywa drzazgą? — zapytałam. — Jak pan to rozumie?

— Słowa mamy. Co właściwie znaczyło, że ich związek był rodzajem układu? Handlu wymiennego?

— To nic nie znaczyło. Chciała, żebym do niego nie wracała — odpowiedziałam i bardzo się starałam, żeby to brzmiało pewnie. — Plotła od rzeczy, byle tylko mnie zatrzymać.

Sama w to nie wierzyłam. Przez te wszystkie lata usiłowałam zepchnąć słowa matki gdzieś w głąb czeluści zwanej zapomnieniem, bezskutecznie jednak, jak widać. „Udawane małżeństwo”, to określenie wracało najczęściej. „Ale moje dziecięce szczęście nie było udawane”, chciałam wykrzyknąć mamie w twarz, „moja miłość do was obojga nie była”.

— Dlatego uważam, że powinniśmy zadziałać jak wprawny chirurg. — Grzegorz Kapinos najwyraźniej nie zamierzał porzucić stylistyki medycznej. — Przeciąć ranę i usunąć drzazgę. Oczyścić panią ze złych emocji, które się tam głęboko zbierają od... Od ilu lat? Ile ma pani w tej chwili?

— Prawie trzydzieści dwa — powiedziałam. — Jestem dokładnie dwa razy starsza niż wtedy.

— I o tyle samo dojrzała oraz mądrzejsza — dodał terapeuta, a ja przez chwilę zastanawiałam się, czy nie było to pytanie, bo intonację miał jakąś dziwną, jakby sam nie wierzył w to, co mówi.

Na wszelki wypadek pokiwałam głową. Doskonale rozumiałam, o co chodzi. Grzegorz usiłował wmówić mi, że tym razem potrafiłabym wysłuchać matki ze spokojem i z chłodną uprzejmością. Bez emocji, wyłącznie w celach informacyjnych.

— Ale właściwie w jaki sposób miałabym usunąć tę, jak to pan określił, drzazgę? — zapytałam. — Tylko niech pan nie mówi, że powinnam do mamy zadzwonić i zapytać, co miała wtedy na myśli.

Kapinos patrzył na mnie przez kilka sekund, zanim odpowiedział:

— Znacznie więcej niż zadzwonić. Uważam, że powinna pani tam znowu pojechać. Stawić temu czoła. Ale tym razem tak porządnie. Wysłuchać jej, lecz także wyartykułować swoje żale, nazwać uczucia. Pani Agato, bez tego się nie obejdzie.

Nasza rozmowa trwała jeszcze długo — o wiele za długo, jeśli wziąć pod uwagę czas, jaki odmierzyła dla nas komórka Grzegorza.

— Nie chcę, nie dam rady tam pojechać — tłumaczyłam płacząco. — To mi w niczym nie pomoże. A zwłaszcza teraz, kiedy mam problemy z ojcem.

— Jakie problemy? — chciał wiedzieć Kapinos, opowiedziałam mu więc o Zoi, choć przecież póki co niewiele miałam do opowiadania.

— Tym bardziej, pani Agato, trzeba pozatlatwiać sprawy z dzieciństwa — odezwał się po tym, kiedy w skupieniu wysłuchał moich skarg oraz kazał sobie szczegółowo opisać uczucia, jakie wzbudziła we mnie nowina, że tata kogoś ma. — Pani jest, że tak powiem, pokaleczona emocjonalnie. Nawet nie pani, lecz dziecko, które wciąż pani w sobie nosi. Pani reakcja była zupełnie nieadekwatna do sytuacji. Mam na myśli tę rozpacz, że ojciec ośmielił się kogoś sobie znaleźć. Według mnie to jest trochę powtórzenie sytuacji sprzed lat. Nikt z panią nie porozmawiał, prawda? Nikt niczego nie ustalał. Pani po raz kolejny poczuła się pominięta.

Pokiwałam głową, powstrzymując chlipnięcie, żeby znów nie powiedział, że w życiu nie miał takiej płaczącej pacjentki.

— Trzeba rozwikłać stare sprawy, porozwiązywać supelki, żeby się w pani życiu wszystko wyprostowało.

— Mówi pan zupełnie jak moja wróżka — stwierdziłam ponuro, co z kolei, jak można się było spodziewać, sprawiło, że Kapinos zażądał opowieści o Wróżce Grubiak.

Opowiedziałam, choć niechętnie (oczywiście pominęłam wizję dotyczącą mojej śmierci). Trochę wstyd mi było przyznać się do takich głupot.

— Czy pani w to wierzy, pani Agato? — Wydawało mi się, że jest nieco zaniepokojony. — Traktuje pani poważnie tę „przepowiednię”?

— Sam pani widzi, że żadnej przepowiedni w gruncie rzeczy nie usłyszałam — odparłam. — Bo co to właściwie znaczy „cała w fiołkach”? Że ja będę w tych fiołkach? Czy że taką sesję będę robić? Wie pan, w moim zawodzie to by nie było nawet specjalnie dziwne. Robiłam już zdjęcia w płatkach róż, robiłam z łebkami tulipanów, z jaśminem... W kwiatach wychodzą piękne fotografie.

— Stokrotki — przerwał mi nagle, a te jego krowie oczy zamglily się jeszcze bardziej niż zwykle. — Tylko takie większe. Jak to się nazywa?

— Nie mam pojęcia. — Zamyśliłam się i przez chwilę oboje zapatrzyliśmy się na siebie. — Rumianek może? Margerytka?

— O, właśnie! Margerytka! — zawołał z radością. — Gdyby to ode mnie zależało, to cały świat bym przystroił w margerytki.

— Ale dlaczego? — zapytałam z urazą. — Przecież hortensje, na ten przykład, są jak maleńkie dzieła sztuki. Albo miniaturowe róże. Albo kwiatuszki konwalii.

— Konwalia jest trująca — odparł poważnie. — Wiedziała pani? Ja też nie wiedziałem — dodał, widząc, że kręcę głową. — Ale w zeszłym roku miałem pacjenta, który chciał otruć swoją żonę konwaliami.

Aż się zapowietrzyłam.

— Naprawdę — ciągnął Grzegorz. — Fantazjował na ten temat. Miał jeszcze kilka innych pomysłów, między innymi muchomor sromotnikowy albo tojad mocny, to są takie śliczne niebieskie kwiatki. Rosną na przykład w Tatrach.

— O, Tatry. Moi przyjaciele są miłośnikami Tatr — powiedziałam słabym głosem, bo trochę mi się zakręciło w głowie od różnorodności tematów, a bardzo chciałam wrócić do tego właściwego. — Panie Grzegorzu... Więc pan naprawdę uważa, że powinnam pojechać do mamy?

— Tak. Uważam. Oczywiście jeśli pani stanowczo odmówi, będziemy próbowali obejść pani blokady i bariery jakoś inaczej. Ale dziś jestem niemal pewien, że taka wizyta i szczerza rozmowa byłyby bardzo oczyszczające.

— Mimo to odmawiam. Przepraszam. Po prostu nie dam rady — odparłam.

Było już zupełnie ciemno, kiedy wyszłam z gabinetu Grzegorza Kapinosa. Wprawdzie nie czułam się ani trochę mądrzejsza niż przed wizytą, ale przynajmniej miałam jakiś plan. Zapisaliśmy go w punktach. Wyglądało to mniej więcej tak:

1. Zebrać się na odwagę i zawrzeć znajomość z Zoją.
2. Spróbować ją polubić, bo to ważne dla taty, a tata jest ważny dla mnie.
3. Nauczyć się odczuwać coś w rodzaju radości, że tata sobie kogoś znalazł. To znacznie lepiej, niż gdyby miał zostać sam po tym, jak ja sobie kogoś znajdę. („Bo przecież w końcu pani znajdzie” — zapewnił mnie Kapinos żarliwie).
4. Pomyśleć o spotkaniu i pojednaniu z mamą. Myśleć o tym codziennie, aż się oswoję z tym pomysłem.
5. Wyciszyć się, trenować powściągliwość, nie fruwać emocjonalnie nad ziemią i nie spadać potem na dno przepaści.
6. I już. Po kłopotcie. Odnalazłszy swoje miejsce w skomplikowanej i delikatnej siateczce powiązań rodzinnych, uspokoję się, dojrzeję i stanę się zrównoważoną, pewną siebie kobietą, gotową nawiązać satysfakcjonującą relację. Wtedy bez problemu rozwiążemy drugą część moich problemów, tę związaną z uzależnieniem od bycia zakochaną.

Tak mi obiecał Grzegorz Kapinos.

Postanowiliśmy z Grzegorzem, że przyjmiemy taktykę stopniowego zwiększania trudności.

— Proszę zacząć od tego, co dla pani najłatwiejsze — powiedział po kolejnej sesji, ściskając mi dłoń na pożegnanie. — I jeszcze jedno. Chciałbym, żeby pani robiła notatki. Jeśli chce pani, by były intymne, to oczywiście proszę prowadzić dziennik tylko dla siebie. Jeżeli jednak woli się pani podzielić swoimi obserwacjami, to może pani prowadzić bloga albo na przykład pisać do mnie listy.

— Ale na jaki temat miałabym pisać? — nie zrozumiałam.

— Na swój. Proszę obserwować własne reakcje, emocje, odczucia. O czym pani myśli, zasypiając. Co panią w danym dniu wzruszyło, co rozśmieszyło. Kiedy już pozna pani partnerkę ojca, proszę zapamiętać, jak się pani czuła, rozmawiając z nią. Proszę ocenić jej wygląd i zachowanie. I tak dalej. Rozumie pani? Analizując potem te zapiski, dojdziemy do tego, jak należało zareagować w danej sytuacji, co panią wyprowadza z równowagi, jakie były inne możliwe reakcje... No, chyba że będzie to jednak rodzaj pamiętnika...

— Nie będzie — przerwałam. — Nie mam w sobie za grosz systematyczności. Wydaje mi się, że najlepsze wyjście to mejle do pana. Bo wtedy będzie coś zewnętrznego, co mnie zmotywuje do pisania. Czyli pan, konkretnie.

— Jak pani uważa, pani Agato. W takim razie proszę napisać mi swój adres mejlowy. — Tu podsunął mi karteczkę i długopis. — Założę specjalne konto, będzie przeznaczone tylko dla pani, aby moi współpracownicy nie mieli wglądu do tych listów. Prześlę pani adres. Umawiamy się, że codziennie, a w ostateczności co drugi dzień pisze pani coś w rodzaju dziennika i przesyła zapiski do mnie.

— Dobrze. Oprócz tego nadal spotykamy się w środy i piątki? — upewniłam się.

— Oczywiście — potwierdził, wprawiając mnie w dobry humor, bo dzięki tym wizytom czułam się znacznie spokojniejsza.

Naprawdę zaczynałam wierzyć, że wszystkie moje problemy wkrótce się rozwiążą, poukładałam sobie życie osobiste, a w przyszłym roku Iga będzie mi pożyczać niepotrzebne już kiecki ciążowe. Jednym słowem — dotrę na słoneczną polankę z wizji Wróżki Grubiak.

Następnego dnia, kiedy po pracy odwiozłam Kornelię na Osiedle Leśne, mama Rafała zaprosiła mnie do środka. Usiłowałam wymówić się późną porą, ale tak nalegała, że w końcu weszłam. W dużym pokoju na ławie czekał poczęstunek, na widok którego Kornelia aż klasnęła w dłonie. Był tam tort czekoladowy ozdobiony płatkami migdałowymi i tęczowa galaretka w szklankach po nutelli.

— To takie skromne podziękowanie — powiedział pan Franek Mościcki. — Nie ma pani pojęcia, pani Agato, jak nam pani pomogła. Nie chcemy jednak nadużywać pani uprzejmości.

— Ależ w ogóle nie ma o czym mówić... — zaczęłam, ale nie dali mi dojść do słowa.

— Jest o czym mówić i właśnie musimy porozmawiać.

— Naradziliśmy się i wpadliśmy na kilka pomysłów. — Zarumieniony Rafał wszedł ojcu w słowo. — Wiem, że ty lubisz dzieci i że mała była zachwycona sukienką z welonem i kotkami. Nie możemy jednak dłużej korzystać z twojej dobroci. Pewnie jeszcze się zdarzy, że poprosimy cię o pomoc, ale przecież Kornelia nie może przesiadywać całe dnie u ciebie w pracy. Dlatego postanowiliśmy zrobić tak: mama bierze urlop od poniedziałku, cztery tygodnie, bo w tym roku jeszcze nie brała. Ja już ustaliłem z Igą, że jeżeli przez ten czas nie znajdziemy opiekunki, to biorę urlop zaraz po mamie. Musimy poszukać kogoś, kto jednocześnie trochę by z małą popracował, bo wiesz, w przyszłym roku szkoła.

Oczy Kornelki zrobiły się jeszcze większe niż zwykle.

— Będiesz już taaaka duża — zwrócił się do niej ojciec, który najwyraźniej także zauważył przerażenie dziewczynki. — Pomyśl, tyle zakupów, tornister, zeszyty, piórnik z jednorożcem, no i kredki, farby, w szkole będą przecież zajęcia plastyczne... Chyba pora zacząć się rozglądać.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza; wszyscy wstrzymali oddech w obawie przed reakcją Kornelii.

— Rafałek zrobi listę — szepnęła wreszcie mała z przejęciem. — I pojedziemy wybierać farbki. Nagle poczułam się jak niepotrzebny sprzęt, odstawiony w kąt, bo nie ma już dla niego zastosowania. Wiedziałam, że to z mojej strony samolubne, nie mogłam się jednak oprzeć, by nie zapytać:

— Ale gdy będzie sesja z kotkami albo pieskami, to mi pomożesz?

Kornelka z powagą pokiwała główką, a potem natychmiast pobiegła umyć ręce, ponieważ nie mogła się doczekać degustacji kolorowych galaretek. Wszyscy odetchnęli z ulgą, a mama dziewczynki dyskretnie wytarła oczy.

Zjadłam kawałek tortu, wypiliśmy herbatę, wykręciłam się od lampki wina, bo przecież przyjechałam samochodem, a potem pożegnałam się z państwem Mościckimi.

— Odprowadzę cię na parking — oświadczył Rafał.

Zarzucił na siebie kurtkę (szalika nie — ale przecież tylko mnie odprowadzał, a w dodatku to nie był jakiś szczególnie zimny dzień, więc to o niczym nie świadczyło), zesłaliśmy na dół i bez pośpiechu poszliśmy w stronę samochodu.

— Wiesz, Agata — powiedział Mościcki. — Ja nawet nie miałem pojęcia, że można mieć takich przyjaciół. Wiadomo, jak to jest, człowiek ma kumpli, spotka się czasem, piwo wypije czy na mecz pójdzie, ale tak jak teraz, żeby móc polegać jak na Zawiszy, to chyba nigdy...

Urwał, a potem bardzo nieśmiało dotknął rękawa mojej kurtki.

— Iga i ty, i teraz jeszcze Wojtek... Jesteście dla mnie jak druga rodzina. Dziękuję.

Wzruszyłam się okropnie i pewnie bym trochę popłakała, ale w porę przypomniałam sobie, co mówił Grzegorz. Impulsywność i płaczliwość. Muszę stać się dojrzałą, zrównoważoną kobietą.

— Nie przesadzaj — powiedziałam w końcu, gdy już jako tako panowałam nad głosem. — Pamiętaj, że nie jesteś nam nic winien. To jest, że tak powiem, układ pełen korzyści obopólnych. A Kornelki odebrać sobie nie dam. Polubiłam ją i ona mnie polubiła. Będę ją porywać na sesje ze zwierzakami. Gdybyś zobaczył, jaka ona się zrobiła rozmowna, kiedy zaczęła głaskać te kocięta... To była zmiana o sto osiemdziesiąt stopni, z cichej myszki w rezolutną gadułę. Cudownie mi z nią mijał czas. I uwielbiam, jak ona mnie tak ufnie chwyta za rękę. No, uciekam, bo się zaraz zacznę wzruszać. Dobranoc. Ucałuj siostrzyczkę.

Drogi Panie Grzegorzu!

Wczoraj nie pisałam, bo przecież rozmawialiśmy, dziś też właściwie nie czuję potrzeby, bo przecież spotkamy się już jutro. Ale umowa jest umową, a Pan powiedział wyraźnie: codziennie, najwyżej co drugi dzień. Dlatego jednak piszę.

Rozumiem, że idea tych zapisków nie jest taka, żebym opisywała Panu swoje dni, bo przecież co interesującego jest w tym, że robiłam dziś zdjęcia aspirującej aktoreczce, która koniecznie chciała, aby widać jej było pępek. Wyobraża Pan sobie?! Zupełnie jakby było coś ponętne w pępku! W dodatku ona miała ten typ wypukły, bo nie wiem, czy Pan zauważył, że pępki bywają bardzo rozmaite; na przykład istnieją takie wklęsłe, jakby maciupkie lejki i one są całkiem estetyczne, ale wypukłe, okrągłe? No proooszę...

Wracając na właściwe tory — nie o tym mam przecież Panu opowiadać. Mam natomiast pisać o sprawach, które zdiagnozował Pan jako moje problemy, prawda?

Podzielił je pan na trzy grupy, tak przynajmniej rozumiałam. Pierwsza to moje relacje z rodzicami. Do tego zaraz wrócę, bo muszę zrelacjonować, co się wydarzyło po moim powrocie z pracy. Druga grupa problemów to moja osobowość, rozchwiana, emocjonalna i chyba trochę... infantylna (?) — nie użył Pan tego słowa, ale wyczytałam je gdzieś między wierszami. Dobrze. Bardzo chcę dorosnąć, obiecuję, że się będę starała. Dziś jednak nie mam nic do opowiedzenia w tej sprawie.

Trzecia sfera — że się tak mądrze wyrażę — naszych rozważań to moje sprawy damsko-męskie. W tej kwestii zdarzyła się tylko jedna rzecz, więc szybko o niej napiszę i będę miała z głowy.

Jak Pan wie, niedawno rozstałam się z ostatnim z moich ukochanych, Krzysztofem. Bardzo to przeżyłam, zresztą nadal przeżywam — temu wątkowi nie zdążyłam poświęcić odpowiednio dużo uwagi

w naszych rozmowach, ponieważ zapikala Pana komórka. Tak czy owak, rozstanie to różniło się od wielu poprzednich tym, że odbyło się w paskudny sposób. Krzysiek mnie okłamywał, zdradzał, a wreszcie odszedł do swojej poprzedniej dziewczyny. I nie o to odejście, lecz o kłamstwa mam największy żal.

Jak się Pan domyśla, jeśli się teraz zakocham (a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i prozaicznej statystyki, stanie się to już bardzo niedługo), to chciałabym, aby obiektem moich uczuć był ktoś do bólu szczery. Otwarty, może nawet naiwny w tej otwartości. I dziś właśnie serce mi drgnęło, kiedy rozmawiałam z kimś takim i ów ktoś dotknął rękawa mojej kurtki.

Widzi Pan? Tak to się właśnie odbywa. To jest moje przekleństwo. Jednego dnia skarżę się na nadmierną kochliwość i szczerze pragnę się zmienić. Przychodzi kolejny dzień, spotykam sympatycznego chłopaka, który mówi mi coś miłego i patrzy tymi swoimi ciemnymi oczami, a we mnie serce topi się jak wosk. I już wiem, że się zacznie. Najpierw będę o nim myślała wieczorami, tuż przed zaśnięciem. Pewnej nocy może mi się nawet przyśni. Potem zacznę, pod byle jakim pretekstem, szukać jego towarzystwa, wynajdować sprawy niecierpiące zwłoki, aby go zobaczyć, porozmawiać z nim. Później wpadnę po uszy. Z doświadczenia wiem, że on także wpadnie i czeka nas kilka miesięcy sielanki. Tylko... przestałam już wierzyć, że mam szansę utrzymać ten związek, zwłaszcza że chłopak, o którym opowiadam, jest ode mnie młodszy o siedem lat. Zapewne ostatnie, czego by chciał, to założenie rodziny, ustatkowanie się, dzieci. A ja pragnę właśnie tego. Cała reszta wydaje mi się teraz pusta i bezwartościowa.

Jak się ratować, Panie Grzegorzu, przed kolejną niechcianą miłością? Co robić?

Teraz ta druga sprawa, o której chciałam napisać: zgodnie z Pana sugestią oznajmiłam Tacie, że jestem gotowa, by poznać jego nową partnerkę (tfu, jeszcze z trudem przychodzi mi pisanie tych słów). Był zdziwiony, ale chyba nie tym, że to w ogóle nastąpiło — raczej faktem, że tak szybko. Innymi słowy, doskonale wiedział, że zmięknę. Mówił pan, że powinnam zapisywać, co czuję. Mam z tym problem w tej chwili, bo jestem chyba... poirytowana. Wiem, że to niedojrzale (więcej — dziecinne!), ale oczekiwałam chyba, że tata szczerze się ucieszy, spadnie mu kamień z serca i tak dalej. Tymczasem on przyjął moją wyciągniętą do zgody rękę jako oczywistość.

Widzi Pan, jaka jestem szczerą? Przyznaję się przed Panem do uczuć, których się wstydzę. Sam fakt, że nazywam je po imieniu, zakrawa na cud. Może to pierwszy objaw poprawy. Może zgodnie z Pana obietnicą zaczynam wreszcie dorosnąć?

Do jutra, Panie Grzegorzu!

Agata

W sobotę po obiedzie leżałyśmy z Igą na wygodnych leżakach, przykryte nieco gryzącymi szarymi kocami z wełny. Iga miała wielkie okulary muchy, choć o tej porze jesienne słońce bardzo niemrawo oświetlało taras Domu Nad Rzeką. Wojtek musiał pojechać po coś do biura, Rafał skończył pracę o piętnastej, mogłyśmy więc swobodnie pogadać.

— I co? Odpisał ci? — zainteresowała się moja przyjaciółka, kiedy streściłam jej list do Grzegorza.

— A skądże! Idea jest taka, że ja do niego piszę, a potem omawiamy te listy na kolejnym spotkaniu. Ale on nie będzie do mnie pisać, nic z tych rzeczy. Wyjaśnił mi, że to ma być taki układ, jakbym mówiła do pasażera w pociągu. Jest ciemno, nie widzę jego twarzy, nie wiem, jak reaguje. Opowiadam szczerze, bo wiem, że nigdy więcej tego człowieka nie spotkam. Podobno wtedy najłatwiej się otworzyć.

— Nie rozumiem tego. — Iga wzruszyła ramionami. — Czyli na przykład jeśli zadasz mu jakieś pytanie, to ono pozostanie bez odpowiedzi.

— Tylko do czasu kolejnej sesji.

— Ale niekiedy chce się od razu, rozumiesz? Są takie sytuacje, w których natychmiast potrzebujesz rady albo uspokojenia, albo właśnie żeby ktoś cię mentalnie kopnął w zadek i zmusił do działania.

— Jak ty ładnie mówisz. „Mentalnie”! — powiedziałam z przekąsem. — Skąd ci się biorą takie słowa?

— Ze słownika — odparła Iga zupełnie poważnie. — Codziennie przed snem czytam sobie jedną stronę encyklopedii roślin i jedną z Górnikiewicza. Po kolei, alfabetycznie. Mówię ci, idealne.

— Na co? Na twoje przekręcanie nazw? — zapytałam, chwytając w lot, że chodzi jej o *Słownik wyrazów obcych* Kopalińskiego (od kopalni do górnik jest tylko rzut beretem).

— Nie, na to, niestety, nie pomaga. Ale idealne w sensie sposobu na bezsenność.

— Czyli znów masz ten problem? Nie sypiasz po nocach?

— No nie, aż tak źle nie jest. Koszmarne trzygodzinne drzemki przeszły na szczęście do niepamięci. Teraz przesypiam jakieś sześć, czasem nawet siedem godzin, ale pod warunkiem, że w ogóle uda mi się zasnąć.

— Zdecyduj się: albo „przeszły do historii”, albo „odeszły w niepamięć” — poprawiłam ją. — Ale właściwie dlaczego nie możesz zasnąć? Martwisz się czymś?

— Jeszcze jak! Pomyśl tylko: będę matką! Ja?! Najbardziej chaotyczna osoba, jaką znasz?! Czy jesteś w stanie sobie to wyobrazić?

— Bez przesady, są gorsze nieszczęścia niż zakręcona matka.

— No nie wiem. Ostatnio na przykład zrobiłam spore zakupy w Rossmannie. Nakupowałam sobie kremów, maseczek i takich tam różnych... Zgadniesz, co zrobiłam wczoraj wieczorem?

— Oczywiście. Umyłaś zęby maseczką z gliną z Morza Martwego, a na twarz nałożyłaś pastę do zębów.

— Pudło. Chociaż to też byłoby interesujące.

— No to już powiedz, bo zżera mnie ciekawość.

— Nałożyłam krem na twarz, wklepałam i zaczęło mnie trochę szczypać.

— Może masz uczulenie?

— Też tak pomyślałam. Czym prędzej go zmyłam, tyle że... razem z nim zeszła mi część brwi.

— Co takiego?!

Iga zsunęła na czubek nosa wielkie okulary, odsłaniając połowę brwi nad prawym okiem. Tę grubszą połowę. Cieńsze włoski zniknęły. Gdybym nie leżała, pewnie bym się przewróciła ze śmiechu.

— To był krem do depilacji — wyjaśniła. — Do diabła, miał prawie taką samą tubkę jak kojący krem na noc. Wojtek niemal się udusił, kiedy mnie zobaczył.

— Nie dziwię się.

Przyjaciółka odczekała, aż dojdę do siebie.

— Dobrze, że nie pomyliłam go z kremem na powieki — powiedziała ponuro. — Mam taki specjalny przeciw obrzękom. Bez rzęs wyglądałabym jeszcze głupiej.

— A gdybyś umyła nim zęby? — rzuciłam. — To byłoby zapewne doznanie jedyne w swoim rodzaju.

— Śmieję się, śmieję. Ale teraz sama widzisz, że nie mogę spać spokojnie. Co będzie, jeśli zrobię coś takiego dziecku? Jeżeli zamiast oliwki do pupci zastosuję... No nie wiem... Płyn do demakijażu? Albo mąkę ziemniaczaną zamiast mleka w proszku?

— To pierwsze pewnie nie zrobiłoby dziecku wielkiej krzywdy — orzekłam. — A to drugie w ogóle nie wchodzi w grę, bo przecież będziesz karmiła piersią. To dla ciebie jedynie wyjście. Cycka nie pomylisz z niczym innym. Nie można go za bardzo ani za słabo podgrzać. No i nigdy nie zapomnisz zabrać go ze sobą na spacer albo w podróż.

— Ty wiesz? — Iga zerknęła na mnie znad okularów, ponownie doprowadzając mnie do ataku śmiechu. — Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam. Rzeczywiście, karmienie piersią zostało wynalezione chyba specjalnie dla mnie. Tym bardziej że wreszcie coś mi wyrosło na klatce piersiowej. Po raz pierwszy mój biust osiągnął w ogóle jakiś rozmiar.

— A więc możesz spać spokojnie — pocieszyłam ją. — Delektuj się snem, dopóki jeszcze możesz, bo z tego, co mi opowiadają klientki podczas sesji, po porodzie ta przyjemność na długi czas stanie się tylko wspomnieniem.

— Skoro już o spaniu mowa — podjęła moja przyjaciółka — to nie masz pojęcia, jakie miewam absurdalne sny. Czytałam o tym, że to norma w ciąży, kobietom się śnią jakieś dziwne zwierzątka zamiast dziecka, rozumiesz, te wszystkie ukryte lęki...

— Tak, ja też o tym słyszałam.

— Ale nikt nie przebije mnie — oznajmiła Iga nieco zarozumiale. — Nigdy byś nie zgadła, co mi się przyśniło przedwczoraj.

— Dawaj! — Miałam świadomość, że jakiegokolwiek próby odgadywania nie mają sensu.

— Moim dzieckiem był dywanik łazienkowy — rzuciła. — Wyobrażasz sobie? Prałam go, to znaczy, oczywiście kąpałam w wanience, potem delikatnie suszyłam, przeczesywałam szczoteczką. Tuliłam do snu, a gdy zasnął, układałam delikatnie pod umywalką.

— Jaki znów dywanik? — zapytałam lekko skołowana.

— W paski. Różowo-białe. Myślisz, że to jakaś wróżba? Będzie dziewczynka? — zaniepokoiła się Iga.

— A to byłoby źle, gdyby dziewczynka?

— Nie, skądże. Tylko wydaje mi się, że Wojtek wolałby chłopca. Któregoś dnia wyciągnął album ze zdjęciami i zaczął mi pokazywać, na które szlaki tatrzańskie zabierze swojego syna.

— Córkę też zabierze, nie martw się — uspokoiłam ją. — Ale wracając do dywanika, to jest zdecydowanie... najbardziej... naj... — Nie mogłam znaleźć właściwego słowa.

— Dokładnie to samo czułam po przebudzeniu — przyznała Iga. — A wiesz, co mnie w tym śnie najbardziej martwiło? Że jeszcze nie mówi. To dziecko.

Złapałam się za głowę.

— Chcesz powiedzieć, że nie dziwił cię sam fakt, że urodziłaś dywanik... Tylko martwiłaś się, że nie mówi?

Przytaknęła z bardzo ponurą miną.

— Może podpytaj o to swojego terapeutę, co? — poprosiła. — Bo nie wiem, czy to się jeszcze mieści w normie. A skoro o terapii mowa, to czy on jest chociaż przystojny?

— Daj spokój! — Machnęłam ręką. — Nigdy w życiu. Najmniej atrakcyjny facet, jakiego widziałam. Te uszy, ta łysinka, ta jego chudość okropna. Ładne ma tylko oczy i w sumie to wystarczy, bo on ma przecież słuchać ze zrozumieniem.

— Do słuchania są uszy — przypomniała mi Iga. — Mówisz od rzeczy.

— Ale akcent był na „ze zrozumieniem”. Zrozumienie okazuje się oczami, nie wiesz?

— No wiem. Ale właściwie nie o to chciałam zapytać, tylko o jego reakcję na twoje rewelacje w liście.

— Żadnych rewelacji tam przecież nie było.

— Jak to nie było?! Dla mnie to, że zaczynasz się zakochiwać w Rafale, to właśnie rewelacja!

— A, to — mruknęłam niechętnie. — Jeśli o to ci chodzi, to mam szlaban.

— Co takiego?

— Szlaban — powtórzyłam cierpliwie. — Grzegorz zabronił mi się zakochiwać, póki nie ogarnę punktu pierwszego. A punkt pierwszy to rodzice.

— Ale jak można zabronić...?! Przecież to się dzieje samo!

— No właśnie on twierdzi, że nie. Że ja to robię specjalnie, bo bronię się przed stanem ciszy uczuciowej. Tak to określił. Że szukam wrażeń, chcę czuć coś, co mnie nakręca, jestem uzależniona od motyli w brzuchu i tak dalej.

Rzeczywiście tak powiedział. Kiedy przyszedłam do niego nazajutrz, po wysłaniu pierwszego listu, był wyraźnie wzburzony.

— Pani Agato, tak nie wolno, wszystko pani zepsuje! — rzekł kategorycznie. — Proszę posłuchać: w mojej ocenie pani ciągle nie przepracowała tamtej sytuacji z odejściem matki. Poczula się pani niekochana, a w każdym razie kochana niewystarczająco. I uznała pani, że swoją miłość także powinna pani ulokować gdzie indziej. Postanowiła pani przestać kochać mamę. To była taka podświadoma kara, wymierzana jej za to, że rozbiła bezpieczny kloz, który panią otaczał w dzieciństwie. Niestety, wszystko wskazuje na to, że ten kloz był już jedynie pustą, glinianą skorupką. Pani Agato... On sam zaczynał pękać. Pani musi w to uwierzyć, zaakceptować. Dopiero wtedy wybaczy pani matce i ośmieli się ją kochać tak samo jak ojca.

Chciałam krzyknąć, że tak się nigdy nie stanie, ale się powstrzymałam. Chyba podskórnie czułam, że facet ma trochę racji. W każdym razie kiedy mówił, brzmiał szalenie mądrze i wierzyłam w każde jego słowo.

— No i właśnie ojciec — kontynuował Grzegorz. — Jego próbę znalezienia miłości odebrała pani jako kolejną sytuację, w której ktoś coś pani odbiera. Tymczasem musi pani zrozumieć, że miłością można się dzielić i że wcale jej wtedy nie ubywa. Pani kocha pazernie, łapczywie; nie nauczyła się pani, że dojrzała miłość nie znika, gdy się na chwilę odwróci wzrok. Myślę, że to dlatego, że mama odeszła w bardzo niefortunnym momencie: akurat kiedy nadszedł dla pani czas na naukę wyfruwania z gniazda. Tak więc zamiast opanować tę trudną sztukę, została pani w gnieździe porzucona i to panią zakotwiczyło, przywiązało do tego rodzica, który z panią został.

Boże mój, jak on pięknie tłumaczył, ten mój terapeuta. Mogłabym go słuchać godzinami. Był taki mądry, że aż zaczynał wydawać się ładny.

— Musimy teraz pozwolić odfrunąć ojcu. I choćby symbolicznie pogodzić się z decyzją matki. Potem już powinno pójść z górki — dodał jeszcze Kapinos. — Człowiek pogodzony ze swoją rodziną to człowiek pogodzony z samym sobą. Kiedy odważy się pani na nowo pokochać mamę, przestanie pani odczuwać potrzebę, by bez przerwy szukać tego uczucia gdzie indziej. Skończy się uzależnienie od motyli w brzuchu i strach przed ciszą uczuciową. Bo to nic złego, nie być zakochanym przez jakiś czas. Oczywiście to także nic złego, że się szuka. Ale trzeba rozważnie, powoli. Nie tak na łeb na szyję...

Potakiwałam potulnie. „Nic złego”, myślałam, „ale przecież nic złego także w tym, że podoba mi się Rafał. Że lubię z nim rozmawiać i przebywać. Gdybym na przykład dziś wieczorem zajrzała do Mościckich, mogłabym porysować z Kornelką, a potem Rafał by mnie odprowadził i może znów dotknąłby mojego rękawa...”

— Dlatego ma pani kategoryczny zakaz! — zagrzmiał Grzegorz Kapinos, wrywając mnie z tych przyjemnych marzeń. — Proszę postępować zgodnie z ustaleniami z poprzedniej sesji. Najpierw ojciec i jego partnerka. Potem rozmowa z mamą. Przepracujemy to, wyciągniemy wnioski. Do tego czasu żadnych miłostek, ja panią bardzo proszę. Odwyk. Proszę to potraktować jak zalecenie dla narkomana.

— Ale to jeszcze nie jest miłość — powiedziałam cichutko. — Rafał to mój przyjaciel. Spotykam się z nim u mojej przyjaciółki Igi, gramy w *Carcassonne*...

— Ile macie rozszerzeń? — ożywił się nagle Grzegorz. — Gracie księżniczką i smokiem?

— Nie — odparłam. — Ale mamy świnie.

— O, tak, świnie są świetne. Ale księżniczka wprowadza taki element... jakby romanty... — zawiesił głos, a potem nagle spiekł raka. — Magiczny — wykrztusił wreszcie.

— Może kiedyś zagramy w piątkę — rzuciłam, zanim się zorientowałam, że przecież on ma być dla mnie tylko „anonimowym pasażerem z pociągu”. — Kiedy już zakończę terapię — dodałam prędko.

Grzegorz Kapinos pochylił się nad swoim notesem i udawał, że coś zapisuje. Byłam pewna, że udaje; poznałam to po ruchu końcówki długopisu. Najwyraźniej po prostu przez chwilę bazgrał nim w górę i w dół. Kiedy podniósł na mnie wzrok, zmienił temat i od tej pory rozmawialiśmy już jedynie o tym, jak powinnam się zachować podczas spotkania z Zoją.

Zaprosiła nas na wtorkową kolację. Mnie i tatę. Zdziwiłam się, że nie na przykład w sobotę, bo przecież takie spotkania tradycyjnie odbywają się właśnie w weekendy. Kiedy powiedziałam o tym ojcu, zaśmiał się dziwnie i zapytał, czy planuję kaca.

— Wiesz, o co mi chodzi — zachnęłam się. — Większość ludzi spotyka się towarzysko w soboty. Ewentualnie w piątki.

— Żeby móc w spokoju odchorować — wyjaśnił ojciec. — A Zoja nie pije ani nie serwuje alkoholu, więc nie musi przestrzegać tego zwyczaju.

Oczywiście nie miałam nic przeciwko temu, że Zoja „nie pije ani nie serwuje”. To znacznie lepiej, niż gdyby za dużo piła i na przykład natrętnie serwowała. Ale jako wielkiej miłośniczce wina zrobiło mi się trochę nieswojo. Pomyślałam, że dziwna jakaś ta Zoja. Żeby tak ani kropelki do kolacji?

Słowo „dziwna” miało nabrać dla mnie zupełnie nowego znaczenia już we wtorek. Życie ma dla nas niejedną niespodziankę.

Po pierwsze, wybranka ojca była malutka — jakieś metr pięćdziesiąt pięć — i niemal łyśa. I nie, nie mam na myśli utraty włosów wskutek choroby. Po prostu miała głowę ogoloną prawie przy skórze, tylko z czubka głowy zwisały trzy długie, siwe dredy. Majtała nimi na wszystkie strony, jak kilkuletnia dziewczynka z wysoko upiętym końskim ogonem. Włosy, które odrastały dookoła dredów, też były w większości siwe, choć przetykane czernią. Wyglądało to dość malowniczo, trzeba przyznać. Miałam nawet ochotę dotknąć tego kilkumilimetrowego języka, żeby się przekonać, czy jest taki miękki, na jaki wygląda.

Ponadto Zoja miała ciemną cerę i lekko skośne, zupełnie czarne oczy, jakby ktoś pomalował jej tęczę markerem. Gdyby owinąć jej głowę jakąś chustą i zakryć siwiznę, nie wyglądałaby na pięćdziesiąt lat — cera wciąż była młoda. Miała delikatnie umalowane usta (rzęs i brwi nie musiała malować, szczęściara — bo były gęste i czarne jak smoła) i była ubrana na białe, w zwiewną tunikę i luźne spodnie z czegoś podobnego do lnu. Zupełnie nieodpowiednio jak na tę porę roku, ale musiałam przyznać, że w bieli było jej ślicznie. Tata najwyraźniej też tak uważał, bo rozpromienił się na jej widok i przez cały wieczór nie mógł oderwać od niej oczu.

Zoja bezczelnie pocałowała go w usta, a potem podeszła do mnie z wyciągniętą dłonią. Przypomniałam sobie słowa Grzegorza, który na odchodnym nakazał mi obiecać, że będę akceptować wszystkie serdeczne gesty (sama nie muszę ich inicjować, jeśli nie chcę) i nie zrobię niczego, co by sprawiło przykrość tacie. Przyjęłam więc uścisk dłoni, nie spodziewałam się jednak, że Zoja z siłą rzadko spotykaną u takich drobnych kobiet pociągnie mnie ku sobie i, chcąc nie chcąc, wpadnę w jej ramiona. Uściskała mnie, ucałowała soczyście w oba policzki, a potem dźwięcznym głosem powiedziała:

— Witajcie! Czujcie się jak u siebie, a jeśli się wam spodoba, to zostańcie na zawsze.

Rzuciłam zdziwione spojrzenie ojcu, ale on tylko się uśmiechnął i zdjął kurtkę, najwyraźniej rzeczywiście czując się jak u siebie. Zoja wzięła go za rękę i tanecznym krokiem poprowadziła do pokoju, w którym nie było innych mebli poza drewnianymi skrzyniami, regałami pełnymi książek i bardzo niską, prostokątną ławą na środku. Dopiero kiedy także się rozebrałam i podeszłam bliżej, przekonałam się, że ława to w rzeczywistości dwie drewniane palety, takie jakich używa się do transportu materiałów budowlanych. Zostały pomalowane na białe i chyba polakierowane, ale niezbyt dokładnie, bo tu i ówdzie farba odłaziła. Sprawiało to wrażenie jednocześnie artystyczne i niechlujne i nie mogłam zdecydować, czy mi się podoba.

Ściany były białe, a podłoga wyłożona jasnymi panelami. Zamiast foteli oraz kanapy wokół ławy ułożono mnóstwo większych i mniejszych poduszek w różnych kolorach. Był tam na przykład ognisty pomarańcz, srebrzysty popiel, pudrowy róż i głęboki granat. Tata bez namysłu klapnął na błękitnej poduszce i skrzyżował nogi po turecku. Co do mnie, podeszłam do jednego z regałów. Jak to mówią: pokaż mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś (albo jakoś tak).

Na półkach znalazłam chyba wszystkie książki z dziedziny parapsychologii i rozwoju

duchowego, jakie do tej pory wydano. Był tam *Dar przemiany*, *Przewodnik po wróżbach* oraz *Rok cudów*, były *Listy z zaświatów* i *Niebiańskie znaki*, a także cała masa innych książek, niektóre po angielsku, większość jednak po polsku — nie znalazłam natomiast nic, co w moim pojęciu nadawałoby się do czytania.

— Rozglądasz się za czymś konkretnym? — zapytała gospodyni, który tymczasem wróciła z kuchni, niosąc sporą tacę z dzbankiem pełnym parującego płynu, filiżankami i dużym talerzem nakrytym ściereczką w kratkę.

— Nie, skądże — odparłam. — Po prostu patrzę, co pani lubi czytać.

— Co lubię? — Zaśmiała się perliście. — Lubię wszystko. Ale książki beletrystyczne nie chcą tkwić uwięzione na półkach, pragną lecieć dalej niczym ptaki. Dlatego je uwalniam. Przeczytaną książkę zanoszę w miejsce, gdzie może trafić w czyjeś spragnione ręce. Na dworzec kolejowy, do holu biblioteki, na parapet w szpitalu... Niech pofruną w świat.

Zerknęłam na tatę. Wydawał się absolutnie zachwycony wszystkim, co robiła i mówiła Zoja. Gdyby powiedziała, że zbuduje dla tych uwolnionych książek karmniki na zimę, też by się pewnie zachwyił. Zwariował zupełnie.

— Dlatego nie znajdziesz tu romansów, komedii ani powieści obyczajowych. Zatrzymuję tylko te pozycje, które chcą ze mną zostać. One potrzebują mnie, a ja ich. Mają mi coś jeszcze do powiedzenia.

Postanowiłam nie ciągnąć tej rozmowy, ponieważ z każdą chwilą czułam się coraz bardziej skołowana. „Podobno nieszkodliwym wariatom nie należy się sprzeciwiać”, pomyślałam. „Wówczas pozostaną właśnie nieszkodliwi. Ale gdy wejść z nimi w dyskusję, mogą stać się groźni”.

Usiadłam na jednej z poduszek.

— Wybrałaś żółtą. — Zoja się rozpromieniła. — To dobrze. Jesteś pełna ciepła i dobrej energii.

— A gdybym usiadła na popielatej? — zainteresowałam się. — To by znaczyło, że jestem szara w środku? Nudna i emocjonalnie siwa jak gołąbek?

— To by znaczyło, że jesteś pełna spokoju — odparła poważnie Zoja, nie wychwytyjąc (albo nie chcąc wychwycić) ironii. — Szarość jest dobra. Poważna, ale łagodna, zrównoważona. W każdym razie ja tak ją widzę. Ty możesz mieć inną percepcję.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu czarnej poduszki, ponieważ okropnie mnie kusilo, żeby zrobić tej całej Zoi na przekór. Zachowywałam się jak mała, rozkapryszona dziewczynka — i co gorsza, zdawałam sobie z tego sprawę. Na szczęście czarnych poduszek nie było. Kiedy przyjrzałam się wnętrzu, zorientowałam się, że nie ma w nim w ogóle nic czarnego, oczywiście poza okładkami niektórych książek.

Zoja usiadła na limonkowej poduszce bardzo blisko taty i nachyliła się w jego stronę. Chyba zamierzała się przytulić.

— Czy mogę obejrzeć mieszkanie? — zapytałam i nie czekając na odpowiedź, ruszyłam w stronę kuchni.

Tata rzucił mi zdziwione spojrzenie. Wiedziałam, że zachowuję się nietaktownie, ale potrzeba, by przeszkodzić w czułościach tym dwojgu, była silniejsza. Nie panowałam nad sobą. „Kompleks Elektry”, zadźwięczały mi w głowie słowa Igi. Nagle poczułam pokusę, żeby wygarnąć ojcu: że poświęciłam się dla niego, zostałam z nim, choć tak bardzo tęskniłam za mamą... Że przecież dla niego, w imię solidarności z nim, zerwałam z mamą wszelkie kontakty.

— Chodź, kochanie — odpowiedziała Zoja, wstając, uśmiechając się promiennie i łagodząc moje agresywne myśli.

Wprowadziła mnie do sporej kuchni. W naszej klitce na Bartodziejach mieliśmy znacznie mniej miejsca. Dlaczego więc tata mówił, że Zoja wprowadzi się do nas z powodu ciasnoty w mieszkaniu?

— To jest moje roślinne królestwo. Zrezygnowałam z drugiego pokoju, żeby mieć przestronną kuchnię połączoną z jadalnią — pochwaliła się gospodyni. — Wyburzyliśmy ściankę działową. Dzięki temu można się tu poczuć naprawdę swobodnie, bez przepychania się, trącania łokciami i nerwów. Nie masz pojęcia, jak wiele znaczy przestrzeń dla czystego, niczym nieskrępowanego umysłu.

Rozejrzałam się. Nazwała kuchnię „roślinnym królestwem”, a tymczasem na parapecie stały

jedynie trzy malutkie doniczki z ziołami.

— Czujesz dobrą energię? — zapytała Zoja, rozkładając szeroko ręce, jakby miała na myśli otaczające nas powietrze. — Tu nie ma śmierci. Jest tylko życie.

Byłam coraz bardziej zdezorientowana. Z jednej strony czułam coś w rodzaju fascynacji, bo jednak nieczęsto spotyka się takie barwne osoby. Z drugiej zaś — ta „barwna osoba” pocałowała w usta mojego ojca! Miała z nami zamieszkać! Wciąż jeszcze nie byłam w stanie myśleć o tym spokojnie, nie mówiąc o zaakceptowaniu faktu, że tych dwoje miało wziąć ślub, co nadawało wszystkiemu ponurego odcienia nieodwracalności.

Zamierzałam chyba zapytać, co gospodyni ma na myśli, mówiąc o „roślinnym królestwie”, ale przeszkodził nam dzwonek u drzwi.

— To Igor! — zawołała radośnie Zoja, klasnęła w dłonie niczym dziecko, obróciła się na pięcie i pobiegła do przedpokoju. Po chwili dał się słyszeć szcęk zamka, trzaśnięcie drzwi i kilka szybkich cmoknięć.

— O, jest już pasożyt — usłyszałam głęboki męski głos. — Nie mówiłaś, że przyjdzie.

— Co takiego? A, nie, to buty Agaty. Chodź, kochanie. Czuj się jak u siebie, a jeśli ci się spodoba, to...

— Tak, wiem. Mam zostać na zawsze — odparł ironicznie nowo przybyły. — Ale nie skorzystam.

Byłam ciekawa, co to za nieprzyjemny typek. To znaczy, oczywiście domyśliłam się, że był to syn Zoi, ale interesował mnie jego wygląd. Powoli, starając się zachowywać zupełnie swobodnie, wyszłam z kuchni.

Przy drzwiach zdejmował właśnie kurtkę (szalika nie miał, chyba że pozbył się go wcześniej i na przykład schował do kieszeni) najpiękniejszy facet, jakiego nosiła ziemia. Gorączkowo usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie widziałam podobną twarz, i wreszcie mi się to udało. *Wakacje w Rzymie!* Gregory Peck! Tylko sto razy przystojniejszy. Niestety, także znacznie niższy, musiałam przyznać; najwyraźniej drobną posturę odziedziczył po mamie, nie był jednak niższy ode mnie, a ja na szczęście rzadko nosiłam wysokie obcasy (przy mojej pasji rowerowej były trochę niewygodne).

Po chwili złapałam się na tym, że po pierwsze, myślę o jego wzroście tak, jakbym już planowała randkę i co najmniej wspólny taniec, a może nawet pocałunki — a po drugie, że milczymy oboje, gapiąc się na siebie, zaś całej scenie przygląda się z uśmiechem Zoja.

„Mam szlaban na miłość”, przypomniałam sobie. Grzegorz kategorycznie zabronił. Muszę najpierw wydorośleć. Muszę iść dokładnie tą drogą, którą... To znaczy nie, stop, właśnie muszę sobie wytyczyć nową drogę. Wtedy odmienię wizję wróżki, nie umrę za sześć lat i wszystko dobrze się skończy. Jak w baśni.

— Agata jestem. — Wyciągnęłam rękę, przypomniawszy sobie o dobrym wychowaniu. — Córnka... eee...

— Córnka Mariuszka — wtrąciła się Zoja, ratując mnie z opresji, bo słowa „twojego przyszłego ojczyrna” nie chciały mi przejść przez gardło. — Przedstawiam ci, Agatko, mojego syna Igora. Jesteście prawie równolatkami. Wkrótce będziecie bratem i siostrą, powinniście się lepiej poznać.

— Bratem i siostrą! — prychnął Igor, nie zważając na to, że jego reakcja nie jest zbyt sympatyczna. — Już mi załatwiłaś jedną siostrę, dziękuję bardzo.

Nie miałam pojęcia, o co chodzi z tą siostrą, ale z tonu wywnioskowałam, że do pomysłu związku Zoi z moim ojcem ma dokładnie taki sam stosunek jak ja. Teoretycznie byliśmy więc sprzymierzeńcami. W praktyce — trudno było poczuć to przymierze, skoro facet zachowywał się antypatycznie. Moją rękę uściśniętą tak, jakby to był mokry śledź.

Zoja, która najwyraźniej brała wszystko za dobrą monetę, uśmiechnęła się szeroko, błyskając białymi jak śnieg zębami, i objęła nas oboje. Zareagowaliśmy identycznie — odsunęliśmy się odrobinę, ale ona, nic sobie z tego nie robiąc, cmoknęła w czoło najpierw mnie, a potem swojego syna.

— Chodźmy do pokoju — powiedziała uroczyście. — Mariusz czeka, herbata stygnie.

Poszliśmy do taty. Zauważyłam, że Igor wybrał jasnofioletową poduszkę i przez chwilę

zastanawiałam się, jak to o nim świadczy. Coś mi się kiedyś obilo o uszy, że fiolety są psychodeliczne i depresyjne, ale mogłam się mylić. Ja sama zrezygnowałam z żółtej, na której siedziałam poprzednio, i tym razem umościłam się na wściekle czerwonej. Z naciskiem na „wściekle”. Zoja jednak zrozumiała to po swojemu, bo szepnęła do mnie:

— Czerwień to miłość.

Zignorowałam ją i sięgnęłam po filiżankę z herbatą, która pachniała jaśminem. Miała kolor rozcieńczonego moczu, lecz na szczęście okazała się zaskakująco smaczna. Gospodyni podniosła ściereczkę z talerza, na którym ułożone były kawałki czegoś w rodzaju ciasta. Nie wyglądało zbyt apetycznie; szczerze mówiąc, kojarzyło się z przyschniętymi grudami błota.

— Murzynek z buraków — wyjaśniła, nakładając nam po dwie porcje. — Samo zdrowie. W dodatku bez glutenu.

Oboje z Igozem prychnęliśmy w tym samym momencie. Spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo. Oczy miał tak samo czarne jak jego matka, podobnie zarysowane brwi i leciutko wystające kości policzkowe.

— Mój ulubiony — powiedział tata z pełnymi ustami. — Dobrze, że dzisiaj nie zrobiłaś tej glazury z cytryny.

— Pamiętałam, że ci nie smakowała — odparła Zoja z taką ilością słodyczy w głosie, że omal mnie nie zemdlilo. A ona tymczasem uśmiechnęła się i delikatnie dotknęła dłoni ojca, i w tym geście było tyle czułości, że zazdrość niczym rdza prawie przeżarła moje serce na wylot. — Ale mnie z kolei nie pasuje taki suchy, więc będziemy szukać innych rozwiązań. Spróbujemy galaretki z gruszki i pomarańczy.

— Galaretki? — wtrącił kpiąco Igor. — Przecież żelatyna jest z kopytek i skór, prawda? Sama mówiłaś, że to zwierzęce wargi i powieki.

— Oraz wymiona i odbyty — dodała Zoja z uśmiechem, a mnie tym razem naprawdę zemdlilo.

— Więc jak zrobisz galaretkę?

— Agar-agar — odparła, żując porcję ciasta, którą właśnie ugryzła.

Mówiła niewyraźnie, dlatego sądziłam, że powiedziała „Igor, Igor”, ale najwyraźniej się myliłam, bo po chwili mówiła dalej:

— Agar-agar jest z wodorostów i doskonale zastępuje żelatynę.

Skosztowałam ciasta, które naprawdę nie wyglądało jak ciasto, i nie było w tej ocenie za grosz złośliwości. Musiałam zrobić zdziwioną minę, bo tata i Zoja się roześmiali.

— Trudno uwierzyć, prawda? — powiedział ojciec. — Nie wygląda na takie smaczne.

Rzeczywiście było pyszne: ciężkie jak brownie, wilgotne i bogate w smaki, których nie potrafiłam rozpoznać. Gdyby gospodyni nie zdradziła, że w tym „murzynku” są buraczki, na pewno bym się nie domyśliła. Nie umiałam także określić, co nadawało mu smak ciasta czekoladowego — na pewno nie było to kakao. Wyczułam natomiast cynamon i znalazłam kilka rodzynek.

— Może wpadniesz w sobotę po południu na wegańskie warsztaty kulinarne? — zagadnęła mnie Zoja, która przez cały czas uważnie mi się przyglądała (i odniosłam wrażenie, jakby czytała w moich myślach). — O szesnastej. Będziemy piec, gotować, miksować, lepić, rozmawiać...

— My, czyli kto? — zapytałam niepewnie.

— Nasz krąg kobiet — wyjaśniła spokojnie. — Wiedzmy i te, które dopiero chcą się nimi stać.

Sploszylam się nieco. Zerknęłam na tatę. Siedział nieporuszony, jakby to, że ktoś tworzy „krąg kobiet” czy też „wiedzmy”, było dla niego najzupełniej oczywiste i normalne. Co do mnie, nie bardzo wiedziałam, jak się zachować. Czy powinnam udawać, że nic mnie nie dziwi, że na co dzień widuję wiedzmy przelatujące na miotłach na wysokości mojego okna? Czy też może należy się zdziwić i poprosić o wyjaśnienie? Tak, zdecydowanie to drugie. Przynajmniej nie będę udawać, zachowam się naturalnie.

Zanim jednak zdążyłam zapytać, co gospodyni rozumie przez bycie „wiedznią”, do ręki wciśnięto mi wizytówkę.

— Tu masz adres mojego sklepu. „Miska mocy”, zdrowa żywność i zioła. Zapraszam serdecznie.

Nawet jeśli nie na warsztaty, to może po prostu zajrzyć któregoś dnia na zakupy?

Pokiwałam głową, ponieważ uznałam, że to będzie uprzejmy gest, a przypomniało mi się, że Grzegorz kazał mi uprzejmie reagować na dowody sympatii. Zdrowa żywność nie interesowała mnie w najmniejszym stopniu, nie mówiąc już o weganizmie.

Reszta wieczoru upłynęła mi na przysłuchiwaniu się rozmowom Zoi z jej synem i moim tatą. Nie wtrącałam się, ponieważ nie czułam się swobodnie w żadnym z poruszanych tematów. Igor dyskutował z matką o podróży do Rumunii. Z tego, co mówili, wywnioskowałam, że chociaż syn Zoi pracuje w biurze (zdaje się, że coś z rachunkowością), to jego pasją jest podróżowanie i prowadzenie bloga na ten właśnie temat. Czerpał z tego nawet jakieś profity, miał umowę z wydawnictwem na przygotowanie rozdziału o południu Europy. Niewiarygodne, jak bardzo mu zazdrościłam.

Z kolei z tatą Zoja dyskutowała o szachach i uprawie ziół w ogródku. Wiedziałam, że ojciec ma na działce głównie warzywa; nigdy dotąd nie interesował się ziołami. Teraz z pasją opowiadał o lubczyku, który podobno „rósł jak szalony, widocznie miał dobre miejsce”, i bazylii, której Zoja nie ścięła przed kwitnieniem („W przyszłym roku nie zapomnimy, kochanie!”) — z czego wywnioskowałam, że od jakiegoś czasu uprawiali tę działkę razem.

Pożegnaliśmy się jakoś po dwudziestej. Igor jeszcze został u matki, pewnie mieli rodzinne sprawy do obgadania. Wychodząc, uchwyciłam jego spojrzenie, lekko kpiące, jakby zaczepne. Odwróciłam wzrok. Już nie miałam ochoty na flirt. Byłam przygaszona, czułam się nieciekawa i bezbarwna, jakby osobowość Zoi odebrała mi wszystkie kolory.

Bez słowa poszliśmy do samochodu, wsiedliśmy i zapięliśmy pasy. Zanim tata zapalił silnik, spojrzał na mnie i zapytał:

— I jak?

— W porządku — odparłam, bo wiedziałam, że czeka na coś pozytywnego. — Bardzo dobre ciasto. Herbata też. I w ogóle miła ta twoja Zoja.

Ruszył w milczeniu.

— Wiem, że jest inna niż wszystkie kobiety, jakie dotąd poznałaś — odezwał się, kiedy stanęliśmy na światłach. — I może w tej chwili czujesz się nieco oszołomiona tą jej in-nością. Ale czy to wszystko stałoby się łatwiejsze, gdybym znalazł sobie elegancką bizneswoman? Albo pulchną gospodynię domową?

Niechciane łzy nabiegły mi do oczu.

— Nie, tato — szepnęłam. — Nie stałoby się łatwiejsze.

— A czy to w ogóle musi być trudne? I dlaczego musi? Myślałem, że się ucieszysz... Przecież kiedy wyjdiesz za męża, byłoby ci ciężko zostawić mnie samego. Co bym ze sobą zrobił? Zamieszkałbym z wami jako piąte koło u wozu?

Chciałam mu powiedzieć, że być może wcale nie zdążę wyjść za męża. Nie żebym wierzyła w ponurą przepowiednię Wróżki Grubiak, a jednak... No wiadomo, trochę się przecież bałam. I chyba chciałam też opowiedzieć tacie całą resztę, wszystko to, co uświadomiły mi rozmowy z Grzegorzem Kapinosem. Ale zamiast tego pokiwałam głową i uśmiechnęłam się sztucznie.

— Tak, tato, masz rację — powiedziałam jeszcze, zanim podjechaliśmy pod nasz blok. — Super, że nie będziesz sam, kiedy już pójde na swoje.

— Ja bym na pani miejscu skorzystał z zaproszenia — doradził Grzegorz, kiedy podczas środowej sesji opowiedziałam mu o spotkaniu i pokazałam wizytówkę Zoi. — Będą same kobiety, powiada pani?

Pokiwałam głową.

— Tak. Krąg kobiet, tak to nazwała Zoja. Czy też krąg wiedźm.

— W takim razie niech pani idzie, pani Agato. To, co się teraz wydaje dziwne, może okazać się zupełnie naturalne, a w każdym razie akceptowalne po bliższym poznananiu.

— Akceptowalne? Bycie wiedźmą? — Nie mieściło mi się to w głowie. — W ogóle, wie pan, odniosłam wrażenie, że ona jest kompletnie nieświadoma, jakie wywołuje reakcje. Bez przerwy się uśmiechała. Kiedy ten jej synalek usiłował być złośliwy, obdarzyła go takim samym uśmiechem jak mnie, gdy zachowywałam się jak rozkapryszone dziecko, i tak samo jak ojca, gdy chwalił jej ciasto.

— Może po prostu nie umie się inaczej uśmiechać — wtrącił terapeuta.

— Pan nie rozumie. Ona była... jak na haju. A jeśli tata wpadł w sidła jakiejś sekty?

— Niech się pani zdecyduje. Albo na haju, albo sekta — rzekł stanowczo Kapinos. — A to nie może iść w parze?

— Teoretycznie może... — Zamyślił się na moment. — Ale mało prawdopodobne. Werbowanie nowych ofiar to poważna sprawa, tego się nie robi na haju. Miałem kiedyś pacjentkę wyrwaną z sekty. — Chyba troszeczkę pobladł; wspomniana pacjentka musiała go mocno przeczougać. — No, ale wróćmy do tematu. Spotkanie w kręgu kobiet traktujemy jak ćwiczenie terapeutyczne. Dojrzałość, spokój, wyważone reakcje. Brak obawy przed zmianami, przed tym, co nieznanne. A teraz proszę jeszcze opowiedzieć o tym „synalku”. Co pani czuła? Polubiła go pani?

— Trudno to tak nazwać — odparłam. — Jest piekielnie przystojny, ale antypatyczny.

Grzegorz poruszył się niespokojnie.

— Co pani rozumie przez „przystojny”? — zapytał. — Każdy rozumie to słowo inaczej. Dla mnie na przykład „przystojny” jest Janosik. No wie pani, Perepeczko z młodości.

„Czyżby był gejem?”, przemknęło mi przez głowę. Ta myśl sprawiła mi dziwną przykrość, choć nie umiałabym wyjaśnić, dlaczego. Nie miałam nic przeciwko osobom o odmienniej orientacji niż moja; miałam kilku znajomych homoseksualistów, a dwóch z nich uważałam kiedyś za przyjaciół. Niestety, nasza przyjaźń nie przetrwała próby czasu, gdy chłopcy wyjechali na stałe do Anglii.

A poza tym... Janosik? Nie, zdecydowanie nie mój typ.

— To już bardziej Janek z *Czterech pancernych*. Albo -Grigorij — powiedziałam z uczuciem. — Pan, zdaje się, lubi szeroką klatę u mężczyzn...

— Ja? Nie, skądże — Kapinos zarumienił się gwałtownie. — Tylko... Przeważnie pacjentki tak mówią. Ramiona, tors, muskulatura... Tak mi się wdrukowało, że przystojny oznacza, no wie pani... kulturystę.

— Absolutnie, nie dla mnie.

— Więc jaki mężczyzna jest dla pani pociągający? — Terapeuta pochylił się w moją stronę, jakby to miało sprawić, że moje wyznania będą szczere. Poczułam się jak królik doświadczalny albo inne małe zwierzątko poddawane wnikliwej obserwacji. — Co według pani oznacza „przystojny”?

— Nie mam konkretnych wymagań.

— Ale każdy ma jakieś preferencje — upierał się.

— Musi być szczupły — rzuciłam po chwili namysłu. — To raz. Nie mogłabym się zakochać w tłuściutkim mężczyźnie. Po drugie, musi mieć zdrowe zęby. Szczerby i dziury odpadają.

Pokiwał głową i westchnął głęboko. Zastanawiałam się nad innymi cechami, które łączyły wszystkich facetów, jakich w życiu kochałam. Każdy z nich był inny, ale rzeczywiście, wszyscy byli szczupli i mieli ładne uzębienie.

— Musi się dużo uśmiechać — dodałam wreszcie. — I być czysty, zwłaszcza mieć czystą skórę

i włosy. To tyle.

— Niemożliwe — powiedział Kapinos z niedowierzaniem. — A kolor oczu, karnacja, fryzura? Sylwetka, proporcje? Bary szerokie, biodra wąskie i te rzeczy?

— Nie, naprawdę. To nieistotne. To znaczy, w jakiś sposób na pewno... Ale mówiąc szczerze, znacznie ważniejsza wydaje mi się inteligencja, no i sposób bycia. Mój mężczyzna powinien być ujmujący, sympatyczny, swobodny. Potrafić mnie rozśmieszyć, reagować na moje żarty. I dobrze musi się nam ze sobą rozmawiać.

Kapinos patrzył na mnie jak na jakiś dziwaczny okaz zoo-logiczny. Chyba nie do końca wierzył w to, co słyszy.

— Wie pan, ja sędzę, że większość ludzi wcale nie ma ustalonych preferencji. To się tylko tak mówi: lubię blondynów albo kręcą mnie rudzi. — Grzegorz poruszył niespokojnie głową, jakby chciał o coś zapytać, ale ja mimo to ciągnęłam dalej: — A w gruncie rzeczy wszyscy Igniemy po prostu do sympatycznych osób, które mają podobne zainteresowania albo przynajmniej wierzą w to samo co my. Nie uważa pan?

Pokiwał głową, ale jakoś niepewnie. Pomyślałam, że kiedy już zakończę terapię, zaproszę go na kawę i w rewanżu za pomoc spróbuję wypytać o sprawy sercowe. Bo coraz bardziej wydawało mi się, że ten chudzielec z odstającymi uszami w równym stopniu co ja potrzebuje szczerzej rozmowy.

Środowa sesja zakończyła się przypomnieniem, że po pierwsze — żadnego zakochiwania się, czyli mam unikać spotkań z Rafałem sam na sam, Boże broń nie szukać kontaktu z Gregorym Peckiem (czyli Igorem), po drugie — uprzejmie rozmawiać z tatą o Zoi, jeśli będzie inicjował temat (ale nie szukać takich rozmów, bo wciąż mam negatywne nastawienie), i po trzecie — wybrać się na sobotnie warsztaty wegańskie. Ale o tym, zapowiedział Grzegorz, porozmawiamy jeszcze w piątek podczas sesji.

— No i ostatnia sprawa: kontakt z mamą — rzekł na koniec. — Myślała pani o tym?

— Myślałam — skłamałam gładko. — Ale nie jestem jeszcze gotowa. Nie mam mamie nic do powiedzenia. Przykro mi.

— Ale może ona ma. Może gdyby wyjaśniła tamto zdanie: że nigdy taty nie kochała, coś by się w pani odblokowało? Bo tak się zastanawiam, pani Agato, czy te pani powierzchowne zakochania nie biorą się właśnie z tego, co pani wówczas usłyszała. Może intuicyjnie kroczy pani tą drogą, którą szła mama. Nie kocha pani prawdziwie, ponieważ podświadomie próbuje naśladować negatywny wzorzec. Nie wiem, czy wyrażam się dość jasno. Tak czy owak, czas wypuścić mamę z Tartaru.

Wzdrygnęłam się, ponieważ zabrzmiało to złowieszczo, zupełnie jakbyśmy mieli uwolnić jakiegoś cyklopa. Obiecałam jednak, że jeszcze przemyślę sprawę, pożegnałam się z pewnym żalem — bo mogłabym tak rozmawiać z Grzegorzem choćby przez całą noc — i wróciłam do domu.

Zgodnie z przewidywaniami terapeuty musiałam wysłuchać peanów na cześć Zoi, która zadzwoniła do taty, żeby mu powiedzieć, że ma absolutnie cudowną córkę o ciepłej aurze, choć może nieco rozedrganej.

— Co to niby znaczy? — mruknęłam, szykując sobie kolację. — Rozedrgana aura? Aurę to mają ludzie cierpiący na migrenę. Ja nie miewam migren.

— Nie wiem dokładnie — stropił się tata. — Zoja, jak pewnie zauważyłaś, posługuje się takimi dziwnymi kategoriami w opisywaniu ludzi i rzeczy. Ale zupełnie mi to nie przeszkadza — zastrzegł od razu. — Przeciwnie, bardzo mnie interesuje. Człowiek się jednak uczy przez całe życie.

— Pytanie brzmi, czy ty się na pewno chcesz nauczyć tego wszystkiego — powiedziałam. — Na przykład czy jesteś gotów przejść na dietę roślinną?

— Tak, myślałem o tym — przyznał ojciec. — Wiesz, póki co nadrabiam, gdy ona nie widzi: boczuś, jajeczko, maślanka do ziemniaków. Ale zdaję sobie sprawę, że kiedy się pobierzemy... — westchnął jak skazaniec. — No, nie będzie lekko.

— Więc dlaczego się na to godzisz? — zapytałam, zgodnie ze wskazaniem Grzegorza bardzo się pilnując, żeby w moim głosie nie zabrzmiała ani jedna krytyczna nutka. — Dlaczego ona nie może dostosować się do ciebie?

— Widzisz, kochanie... To nie takie proste. W jej przypadku to nie jest tylko kwestia wyboru: zjem kotleta albo pieczarki. Dla Zoiki weganizm to manifestacja dobra. Zaczęło się od względów zdrowotnych, ale później chyba ważniejsze stały się te etyczne. Ona po prostu w ten sposób przeciwstawia się zabijaniu, krzywdzeniu, wykorzystywaniu zwierząt i tak dalej. Uwierz mi, przedyskutowaliśmy o tym wiele godzin...

— Ale jakoś nie zdołała cię przekonać — zauważyłam ironicznie, spoglądając na podsmażoną kaszankę z cebulką, którą tata miał na talerzu.

— I tu się mylisz. — Spojrzał na mnie bardzo poważnie. — Przekonała mnie. Mówiąc szczerze, nie wiem, jak ktokolwiek mógłby wątpić w zalety diety roślinnej, jeśli zna historię Zoi. Widzisz, ona jeszcze kilka lat temu była monstrualnie otyła. Schorowana samotna matka, która zalewała smutki alkoholem. Miała kłopoty z poruszaniem się, trafiła do szpitala, potem na rehabilitację... Nie znam szczegółów. W każdym razie rehabilitantka praktykowała jogę i zachęciła Zojkę, aby spróbowała. Z kolei nauczycielka jogi była wegetarianką. I tak się zaczęła jej przemiana, krok po kroku...

Nie słuchałam zbyt uważnie. Usiłowałam wyobrazić sobie poznaną niedawno kobietę w wersji cięższej o kilkadziesiąt kilogramów — i nie potrafiłam.

— Tyle że nadal jesz mięso — odezwałam się, ponieważ ojciec zamilkł. — Czyli niby jej historia cię przekonuje, ale...

— Ale przejście na dietę roślinną nie jest takie łatwe — wszedł mi w słowo. — To chyba zrozumiałe. Przez całe życie synonimem dobrego żarcia były dla mnie pieczone żeberka, bigos, rosół... Nie od razu uwierzyłem, że jestem w stanie najęść się posiłkiem złożonym jedynie z roślin.

— Ja nadal nie wierzę, że jesteś w stanie — powiedziałam, ostentacyjnie wsuwając do ust plasterek szynki zwinięty w rulonik.

Tata nie odpowiedział. Dokończył swoją porcję kaszanki, zgarnął resztki cebulki do kosza i włożył talerz do zmywarki, po czym poszedł się kąpać, zostawiając mnie z dziwnym poczuciem, że przestałam mieć jakikolwiek wpływ na to, co się dzieje wokół mnie.

W czwartek miałam sesję z dziadziusem i przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Mościckich. Byłam pewna, że Kornelii spodobałby się różowy bobasek zawinięty w wełniany szal z pomponikami. Poza tym, do czego niechętnie przyznawałam się sama przed sobą, MNIE podobałoby się mieć ją tu, w pracy. Ta mała, cichutka dziewczynka sprawiała, że czułam się pełna, kompletna, spokojna. Jakbym znalazła coś, co zgubiłam — albo jakbym ułożyła wreszcie jakieś piekielnie trudne puzzle. Odkąd spędziła ze mną kilka dni w zakładzie „Babette”, bardziej niż kiedykolwiek przedtem pragnęłam się kimś opiekować.

Grzegorz Kapinos powiedziałby pewnie, że ma to związek z faktem, iż wkrótce miałam zostać zupełnie sama, bo przecież było dla mnie jasne, że nie zostanę w mieszkaniu, w którym zamieszka Zoja. Nie mówiąc nic tacie, zaczęłam planować zakup mieszkania, oczywiście za pieniądze z wygranej Igi. Tak oto musiałam się przeprosić z wielką fortuną, do której we własnym odczuciu nie miałam żadnych praw. Najgorsze jednak było to, że odczuwałam przy tym wyłącznie smutek. Mieszkania nie powinno się szukać samotnie. Powinno się mieć kogoś, do kogo się człowiek przytuli i szepnie: „Jak myślisz?”. A on odpowie: „Jeśli tobie się podoba, to bierzemy”. Albo coś w tym rodzaju.

Ostatecznie nie zadzwoniłam do Mościckich i nie „wypożyczyłam” Kornelki na sesję z dwóch powodów. Po pierwsze, mogłabym się natknąć na Rafała, a przecież Grzegorz stanowczo nakazał mi odwyk od jego ciemnych oczu i ewentualnych ciepłych gestów w stylu dotykania rękawa. A po drugie, zadzwonił Igor. Igor Wróblewski, syn Zoi. No proszę, poznałam przy okazji jej nazwisko.

— Słuchaj, chciałbym z tobą pogadać — powiedział bezceremonialnie, choć właściwie nie przeszliśmy na „ty”. W ogóle przez cały wtorkowy wieczór nie zwracaliśmy się do siebie bezpośrednio.

— Skąd masz mój numer?

— Od matki. Poprosiłem, żeby zapytała twojego ojca... Ucieszyła się, chyba pomyślała, że wpadłaś mi w oko.

W jego głosie było tyle kpiny, że gdyby stał blisko, chyba bym nie wytrzymała i przyfasoliła mu

prosto w nos. Albo znacznie niżej. Co za prostak!

— O czym chcesz porozmawiać? — zapytałam chłodno, postanawiając traktować go wyniośle.
— Bo na bzdury nie bardzo mam czas.

— Ja też. Ale sądzę, że oboje myślimy to samo o chorym pomysle naszych starych, więc uważam, że powinniśmy się sprzymierzyć i jakoś przyblokować tę dziecinadę.

Przyblokować? Co mógł mieć na myśli? I co mu właściwie przeszkadzało, że mój ojciec zamierzał ożenić się z jego matką? Mnie to, owszem, mogło przeszkadzać z powodów bardzo osobistych, które były tak pokręcone, że tylko Grzegorz Kapinos potrafił ubrać je w słowa. Ale on, ten cały Igor? Niech się odczepi.

— Kończę pracę o osiemnastej — powiedziała, bo mimo wszystko chciałam usłyszeć, na jaki pomysł wpadł. — Gdzie chcesz się spotkać?

— Może w „Fanaberii” na Gdańskiej? — zaproponował. — Będę parę minut po szóstej. Pasuje ci?

— Pasuje — potwierdziłam.

— Przyjedź tramwajem — poprosił. — Bo do tej rozmowy dobrze byłoby się napić.

Po namyśle uznałam, że chłopak ma rację. Obiecałam być w miarę możliwości na czas, rozłączyłam się i czym prędzej wróciłam do pracy, bo lada moment miała przyjść klientka z dzidziusiem.

Kiedy przyjechałam do kawiarni (swoje auto zostawiłam pod zakładem, a tata podrzucił mnie na Gdańską, oczywiście kompletnie nieświadomy, z kim mam się spotkać), Igor już siedział przy stoliku w głębi lokalu i przeglądał kartę dań.

— Pierwsza rzecz — powiedział, wstając i ściskając moją dłoń na przywitanie. — Tego spotkania nie ma. Rozumiesz? Przyrzeknij, że nikomu nie powiesz, że się spotkaliśmy i rozmawialiśmy o tej sprawie. Matka by to okropnie przeżyła.

— Przyrzekam — powiedziałam dla świętego spokoju, bo raczej nie zamierzałam nikomu o tym opowiadać (poza Kapinosem, ale jego obowiązywała tajemnica, więc się nie liczył).

— Na co?

— Co: na co? Nie rozumiem.

— Na co przyrzekasz?

— A trzeba na coś?

— Oczywiście — potwierdził Igor z całkowitą powagą. — I to musi być coś, na czym ci zależy.

— Dobrze, więc przyrzekam na mojego ukochanego kotka — skłamałam gładko, ponieważ przyszło mi do głowy, że może jednak zechcę opowiedzieć o wszystkim Idze. — Nie powiem...

— ...mojej matce ani Mariuszowi. — Igor wszedł mi w słowo. — I nie na kotka, na coś innego. Na zdrowie swojego taty.

A więc oto kolejny wariat stanął na mojej drodze. Zaczynałam się przyzwyczajać. Złożyłam przyrzeczenie, po czym wreszcie usiadłam.

— Chyba coś zjem, będę miał z głowy kolację — powiedział Igor.

— A dają tu wegańskie żarcie? — spytałam kpiąco.

Prychnął.

— Matka chyba sobie wyobraża, że wszyscy wokoło chcą się odżywiać paszą. Nigdy w życiu. Kiedy jestem u niej, jem, co mi daje, ale na co dzień nie robię z siebie durnia.

Choć to nie ja byłam weganką i nie ja bajdurzyłam o „rozedrganej aurze”, poczułam się dotknięta.

— Dlaczego zaraz durnia? — Zbuntowałam się. — Niech każdy robi, na co ma ochotę, dopóki nie krzywdzi innych. Przeszkadza ci, że twoja mama nie je mięsa? Słyszałam, że dzięki temu odzyskała zdrowie...

— Wcale nie dzięki temu. Po prostu przestała pić.

— Rozumiem.

Pojęłam, że siedzący naprzeciwko mnie facet ma tyle samo do wybaczenia swojej matce, ile ja swojej. Albo i więcej. Sama nie wiedziałam, co lepsze: dorastanie bez matki czy z matką, która nie

zachowuje się, jak na nią przystało.

— Zresztą mniejsza z tym — podjął Igor. — Niech sobie je, co jej się żywnie podoba. I niech prowadzi ten swój głupi sklep i głupie warsztaty. Niech gromadzi wokół siebie wariatki i nawet niech je nazywa duchowymi córkami. Ale do cholery, wychodzić za mąż w wieku pięćdziesięciu lat? Powinna zacząć myśleć o niańczeniu wnuków, a nie o...

— A ma wnuki? — przerwałam mu bezceremonialnie, ponieważ to, co mówił, było paskudnie seksistowskie. — W dodatku osierocone, żeby trzeba je było niańczyć?

— Co takiego? — Nie rozumiał.

— Niańczyć cudze dziecko trzeba wtedy, gdy ono nie ma rodziców — wyjaśniłam spokojnie. — W przeciwnym razie można ewentualnie pomóc w opiece nad nim. Na wyraźną prośbę. I z konkretnego powodu.

— O czym ty mówisz? — warknął Igor. Nie wydawał mi się już taki przystojny. Właściwie nie był ani trochę podobny do Gregory'ego Pecka. — Pomożesz mi czy nie? Chcesz, żeby nasi starzy wygłupili się na stare lata?

Nie, przecież nie chciałam. I jeszcze niedawno w myślach sama używałam takich sformułowań. No, może nie aż takich, ale w sumie na jedno wychodziło: uważałam, że to niestosowne ze strony taty, żenić się tuż przed sześćdziesiątymi urodzinami. Czy teraz moje poglądy uległy zmianie? „Może troszkę”, przyznałam w duchu. Po kilku szczerych rozmowach z ojcem zrozumiałam, że uczucia nie mają metryki. Z drugiej strony przypominałam sobie pocałunek w usta, którym obdarzyła ojca Zoja, i to natychmiast dodało mi energii.

Zamówiliśmy wino, a po chwili niezręcznego milczenia (i całkiem zręcznego picia) Igor poprosił kelnera, żeby nalał nam jeszcze. Podejrzywałam, że będzie potrzebna cała butelka.

— Więc co proponujesz? — zapytałam. — Jak mielibyśmy zapobiec tej rodzinnej katastrofie?

Igor myślał przez chwilę, po czym nachylił się do mnie i konspiracyjnym szeptem oznajmił:

— Jedyne, co moim zdaniem ma sens, to ustawka. Myślałem o bardziej wyrafinowanych sposobach, wiesz, żeby mamie obrzydzić twojego ojca, a jemu obrzydzić ją, ale nie bardzo wiem, jak trzeba by się do tego zabrać.

— Co masz na myśli? Jaka ustawka? — Nie rozumiałam.

— Na przykład połać trochę alkoholu, podstawić jakąś atrakcyjną panią w odpowiednim wieku i zrobić parę zdjęć — wyjaśnił. — Wiem, że wątpliwe moralnie, ale wierz mi, czasami cel uświęca środki.

Wino już odrobinę szumiało mi w głowie, ale zdecydowanie nie aż tak, żeby ten pomysł mógł mi się spodobać.

— Czyli zakładasz, że mój ojciec jest niewiele wart? — zaczęłam powoli, przeciągając samogłoski, żeby do mojego rozmówcy dotarło, jakim jest okropnym dupkiem. — Że po pierwsze, upije się jak świnia, a po drugie, niczym króliczek rzuci się na wypiętą w jego kierunku dupkę i zacznie ciupciać?

Moja odwaga językowa wywołała, zdawało się, spore zmieszanie. Zawsze waliłam prosto w oczodoły, co myślę — a już szczególnie po winie.

— Jezu, Agata... Ostro pojechałaś... — wyjąkał Igor. — Nie to miałem na myśli. A już na pewno użyłbym takich słów.

— Ale na jedno wychodzi, niezależnie od tego, jakich słów użyjesz — upierałam się, kiwając głową, bo samym spojrzeniem zapytał, czy chcę jeszcze wina. — Jeśli chcesz wiedzieć, to mój tata nawet nie spojrział na żadną kobietę przez prawie dwadzieścia lat, bo tyle mniej więcej mija od rozwodu.

— A jesteś tego pewna? — zapytał kpiąco Igor.

— Jestem — odparłam wyniośle, chociaż wcale nie byłam. — Mogę ci o nim opowiedzieć wszystko, każdy szczegół z jego życia. Znam go na wylot.

I opowiedziałam. Jak to po winie, język mi się rozwiązał i stałam się niezwykle elokwentna. Na pozór mówiłam z pełnym przekonaniem, ale prawda była nieco inna. Przyszło mi bowiem do głowy, że w gruncie rzeczy rzeczywiście niewiele wiedziałam o życiu uczuciowym ojca. Jako nastolatka przyjmowałam za pewnik, że on jest tak samo wściekły na mamę jak ja — i że tak samo pragnie, aby

ona do nas wróciła. Oczywiście musiałyby najpierw zrobić te wszystkie rzeczy, które dla niej wymyśliłam: błagać o wybaczenie, klęczeć i szlochać, wyznać, że ani przez chwilę nie była szczęśliwa z tym swoim Karolem, bo bez nas nie umie żyć... I takie tam.

Przestałam czekać na powrót matki, odkąd skończyłam osiemnaście lat. W dniu urodzin nie urządziłam, jak większość moich przyjaciół, hucznej imprezy, tylko poszłam samotnie nad Brdę z małą zakorkowaną buteleczką, w której znajdowała się kartka z wypisanymi największymi marzeniami mojego życia. Między innymi znalezienie wielkiej miłości, założenie udanej i TRWAŁEJ rodziny, fotografowanie dla „National Geographic” (w domyśle: na krańcach świata i za kosmiczne pieniądze) i takie tam głupotki. Nie było natomiast punktu: żeby mama wróciła. Już nie.

Kiedy tata przestał czekać? I czy w ogóle czekał? Może było tak, jak wykrzyczała mama wtedy w Dęblinie: że z tego małżeństwa już dużo wcześniej były same wióry. Może on nie tylko nie czekał, lecz na swój sposób także odetchnął z ulgą, że to koniec?

Nie miałam pojęcia, jakim cudem te wszystkie sprawy wróciły do mnie dopiero teraz, po tylu latach, i nagle stały się jednym wielkim ciągiem znaków zapytania... Dlaczego, zamiast skupić się na swoim życiu i zbudować je według własnych wyobrażeń, zaczęłam grzebać w cudzych nieszczęściach?

Takie właśnie pytanie zadałam mojemu terapeutce w liście opisującym spotkanie z Igorem. Odpowiedzi udzielił mi w piątek, kiedy weszłam do jego żółto-zielonego gabinetu. Przywitaliśmy się niczym starzy przyjaciele.

— Są dwa możliwe wyjaśnienia — powiedział Grzegorz, ważąc każde słowo. — Pierwsze jest takie, że dojrzała pani do pewnych spraw. Mam całkiem sporo takich pacjentek — dodał — które do trzydziestki żyją jak nastolatki, od imprezy do imprezy, bez zobowiązań. Traktują życie jak wielkie wakacje. Pewnego dnia dociera do nich, że większość koleżanek jest już w związkach, niektóre mają dzieci, ustabilizowaną sytuację zawodową... I nagle zaczynają się bać dorosłości.

— Ja się nie boję — odparłam ponuro. — To znaczy, boję się, ale nie „dorosłości”, tylko tego, że zostanę sama. Niby zawsze miałam powodzenie, rozumie pan, nie chcę się chwalić, ale naprawdę łatwo zawierałam nowe znajomości, tylko że w gruncie rzeczy, tak na całe życie, to... nikt mnie nie chce.

Kapinos spojrział na mnie z jakimś dziwnym wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: „Pani to jeszcze nic, co ja mam powiedzieć, z takimi uszami” — albo coś w tym guście.

— Ale wspomniał pan także o drugim wyjaśnieniu — zagałam.

— Tak. Drugie jest bardzo proste: mianowicie ta sprawa przez cały czas w pani tkwiła, a teraz plany matrymonialne ojca stały się niejako zapalnikiem, który wywołał eksplozję. I trup wypadł z szafy.

Wzdrygnęłam się.

— Niemożliwe, panie Grzešku — powiedziałam, a on uśmiechnął się sympatycznie, słysząc tę formę swojego imienia. — Bo jeśli już zostać przy pańskiej metaforze, ten trup wysunął z szafy siłą rączkę już wcześniej, gdy odwiedziłam Wrózkę Grubiak. Pamięta pan? Wówczas jeszcze nie wiedziałam o istnieniu Zoi.

— No tak — zafrasował się Kapinos. — W takim razie albo przyjmujemy pierwsze wyjaśnienie, albo dajemy sobie spokój i nie szukamy przyczyn, tylko rozwiązań.

— Pewnie ma pan rację, że to ma więcej sensu — przytaknęłam, żeby go pocieszyć, bo wydawał się przytłoczony liczbą pytań, którymi go zasypywałam przy każdej wizycie (i tym, że nie potrafi udzielić mi jednoznacznej odpowiedzi). — Zresztą powiem panu szczerze, że po tych kilku sesjach już się czuję znacznie spokojniejsza, bardziej zrównoważona i... chyba mniej się boję tych wszystkich zmian...

Uśmiech rozjaśnił nieładną twarz Grzegorza.

— Ale, ale... pani Agato — przerwał mi zupełnie innym tonem, wyraźnie pokrzepiony i bardziej pewny siebie. — A -propos zmian. Napisała mi pani w liście, że syn Zoi zaproponował chytry plan uniemożliwienia małżeństwa waszych rodziców. Co w końcu ustaliliście? Bo tego nie było w mejlu. Zgodziła się pani na tę „ustawkę”?

— Ależ skąd! — oburzyłam się. — Za kogo pan mnie bierze?

— Więc co pani odpowiedziała?

— Że nie biorę w tym udziału. Że szanuję mojego ojca. Poza tym, powiem panu szczerze... Nikomu bym tego nie zrobiła, nie tylko tacie. To po prostu świństwo. Mnie, osobie, która szuka miłości i która niedawno została oszukana, takie metody wydają się szczególnie obrzydliwe.

— Czy to znaczy, że zaczyna pani akceptować plany ojca? I jego partnerkę?

Zamyśliłam się.

— Partnerkę...? Nie jestem pewna, być może uda mi się ją nie tylko zaakceptować, ale nawet polubić. Ja generalnie lubię ludzi. Jak się tak zastanowić, to nie mam żadnego wroga, nigdy nie miałam... A ta Zoja, przyznaję to zupełnie wbrew sobie, chyba da się lubić. Natomiast co do planów, to póki co nie potrafię się przemóc. Nie rozumiem, dlaczego oni nie mogą po prostu się spotykać! Niechby sobie hodowali bazylię na działce, niechby grali w szachy. Jeśli tata chce, niech zostaje u Zoi na noc i uprawia seks tantryczny, czy jaki tam uprawiają ci wszyscy jogini i weganie...

Rumieniec na twarzy (i uszach) Grzegorza Kapinosa uświadomił mi, że zapuszczam się w niebezpiecznej rejon.

— Á propos wegan — przerwał mi szybko terapeuta. — Proszę pamiętać o jutrzejszym spotkaniu. Pani Agato... — Widząc mój niechętny wyraz twarzy, zmienił ton na bardzo ciepły, wręcz pieszczotliwy. — Jeśli czegoś nie znamy i nie rozumiemy, boimy się tego znacznie bardziej. Proszę przynajmniej spróbować.

— Pan by chciał? — zapytałam. — Naprawdę miałby pan ochotę wziąć udział w spotkaniu kobiet, które określają siebie jako wiedźmy?

Nie patrząc mi w oczy, Grzegorz wzruszył ramionami i powiedział cicho:

— W sumie... Dlaczego by nie? — Końcówki uszu znów zaróżowiły mu się zdradziecko, z czego wywnioskowałam, że ma zupełnie inne skojarzenia związane z czarownicami. — Ale nie o mnie mowa, lecz o pani. Proszę pamiętać o zasadzie otwartości na serdeczne gesty. Niech ich pani nie inicjuje, jeśli nie będzie pani miała na to ochoty, proszę jednak spróbować się na nie otworzyć. Nie musi pani niczego, ale wszystko może, pani Agato. Ma pani prawo stać z boku i się przyglądać, jeżeli jednak spodoba się pani atmosfera tego spotkania, proszę pozwolić jej się porwać. Niech pani ufa intuicji i nie boi się szansy na spróbowanie czegoś nowego.

— Zasadniczo tak właśnie postępuję — uspokoiłam go. — Proszę mi wierzyć, zawsze byłam dość otwartą osobą i nigdy nie bałam się inności. Tylko teraz... Chyba przez to, że za dużo rzeczy dzieje się jednocześnie...

— Tak, już to ustaliliśmy — uciął Grzegorz. — Co przypomniało mi o tej najważniejszej sprawie. Miała się pani oswajać z myślą o kontakcie z matką. Zadanie domowe wykonane?

Minęło bardzo dużo czasu, odkąd chodziłam do szkoły. Termin „zadanie domowe” zupełnie wyleciał mi z pamięci. Może dlatego teraz, kiedy go usłyszałam, aż się spociłam z nerwów. Jednocześnie musiałam przyznać, że Grzegorz Kapinos w roli surowego nauczyciela był piekielnie seksowny. O ile seksowny może być ktoś o posturze kija od szczotki. Z uszami.

— Wykonane — powiedziałałam drżącym głosem. — W tym sensie, że myślałam, owszem. Jeszcze nie jestem gotowa, ale obiecuję, że nie będę się zamykać na tę możliwość. Tylko potrzebuję jeszcze trochę czasu.

— Dobrze. Proszę sobie często wyobrażać to spotkanie. O co by pani zapytała, co powiedziałaaby pani mamie. Może pani na próbę napisać wiadomość, którą wysłałaby mamie na przykład na Facebooku. Jeśli będzie pani miała wątpliwości, proszę przesłać ją do mnie, potem razem się zastanowimy, czy napisała pani to, co trzeba. Ale oczywiście — zastrzegł natychmiast — jeżeli chciałyby pani zawrzeć w liście sprawy bardzo osobiste, to proszę mi ich nie zdradzać. Tak czy owak, nie należy się spieszyć. Treść musi być wyważona, przemyślana. To trochę jak z pierwszym wrażeniem, kiedy kogoś poznajemy. Od tego, co i jakim tonem pani napisze, zależy w dużej mierze dalszy ciąg korespondencji i być może także atmosfera waszego spotkania, jeśli do niego dojdzie.

Nie wiedziałam, co chciałabym napisać mamie. Nie, zaraz, od nowa. Przecież nic w ogóle nie chciałabym jej napisać. To był pomysł Grzegorza, a zatem to on powinien mi powiedzieć, co właściwie powinnam zawrzeć w takiej pojednawczej wiadomości.

Myślałam o tym przez cały piątkowy wieczór i sobotni poranek. Ostatecznie nie napisałam ani słowa, natomiast w pracy zdobyłam się na szczerą rozmowę na ten temat z ojcem. No, prawie szczerą.

— Tato, jak to właściwie było między tobą a mamą? — zagaiłam, obrabiając zdjęcia pewnego starszego małżeństwa, któremu zamarzyła się prawdziwa sesja na czterdziestą różnicę ślubu. Tak naprawdę zamarzyła się mężowi, bo żona najwyraźniej miała problem z obiektywem. Może słyszała w życiu za mało komplementów i zwyczajnie nie wierzyła, że może ładnie wyglądać?

— Ale o co konkretnie pytasz? I dlaczego?

— No... — Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić bez złamania złożonej samej sobie obietnicy, że nigdy nie zdradzę mu, co usłyszałam wtedy w Dęblinie. — Wiesz, tak sobie myślę o twoim związku z Zoją... To chyba naturalne, że zaczynam się zastanawiać nad pewnymi sprawami. Właściwie dlaczego wam nie wyszło, tobie i mamie?

— Tak się zdarza — odparł tata jakoś niedbale. — Nie ma o czym opowiadać.

— Ale dla mnie to jest bardzo ważne — upierałam się. — Powiedz: kochałeś mamę? I czy ona ciebie kochała?

— Dlaczego zadajesz takie pytania?

Chciałam powiedzieć coś w rodzaju „Bo chciałabym mieć pewność, że jestem owocem miłości”, ale uznałam, że to zabrzmiało zbyt patetycznie.

— Zastanawiam się, skąd człowiek wie, że to ten właściwy, no wiesz, jedyny, na całe życie — wyjaśniłam. — Skąd ty teraz masz pewność, że powinieneś związać się z Zoją?

— Nie mam pewności, Agatko. Chyba nigdy się nie ma. Przecież miłość może się okazać za słaba, zbyt smarkata, nawet gdy się ma na karku sześćdziesiątkę. A może być i tak, że z miłością jest wszystko w porządku, tylko przychodzi w nieodpowiednim czasie. Zawsze ma się tylko nadzieję, nie pewność. Zresztą ty chyba znasz się na przemijaniu uczuć, prawda? — Trącił mnie żartobliwie łokciem. — Pomyśl tylko, gdybyś wyszła za Sebastiana, tego, co to cię wziął do Portugalii...

— Ale Sebastian okazał się łachudrą, był agresywny, bałam się go. Po prostu trafiłam na drania. Z tobą i mamą to chyba jednak zupełnie inna historia? Tato?

Podeszłam bliżej i zajrzałam mu w oczy, bo wydało mi się, że unika mojego wzroku.

— Inna, Agatko — przyznał. — To było małżeństwo z rozsądku. Bez awantur, bez wrzasków, ale za to całkiem wyprane z miłości. I pożądania.

Przestraszyłam się, że opowie mi o nieudanym życiu erotycznym. Na przykład jaka mama była oziębła albo wręcz przeciwnie — wyuzdana. Że nie układało im się, bo byli zwyczajnie niedopasowani. Zresztą sama już wiem, czego się przestraszyłam. W każdym razie nie ciągnęłam go dłużej za język. Wystarczyło mi to, co powiedział: „całkiem wyprane z miłości”. Więc to nie było tak, że tata kochał i cierpiał, a mama go zdradzała. Nawet jeśli rzeczywiście była niewierna, to ogólny obraz rysował mi się teraz zgoła inaczej. Nie kochali się. A nie, że to „mama go nie kochała”.

Postanowiłam oznajmić Grzegorzowi Kapinosowi, że owszem, zgadzam się. Napiszę do mamy, a jeśli ona zechce, to się z nią spotkam. Jeżeli to ma mnie uleczyć z przelotnych miłostek, jeśli to sprawi, że dojrzeję i stanę się gotowa do prawdziwego uczucia — to owszem, jestem gotowa. Żeby nie być gołosłowną, natychmiast przystąpiłam do poszukiwań w mediach społecznościowych (bo adresu mamy w Dęblinie już nie pamiętałam; oczywiście nie znałam też jej numeru telefonu). Nie było jej na Instagramie, Naszej Klasie ani Twitterze, ale miała konto na Facebooku. Bingo!

Po pracy zjadłam ogórkową ugotowaną poprzedniego wieczoru przez tatę i przebrałam się w luźną, wściekle kolorową tunikę z frędzlami. Był to ciuch, który ku uciesze Igi wygrałam kiedyś na loterii fantowej podczas dożynek, na które zabrał mnie jeden z moich ukochanych. Iga prawie umarła ze śmiechu, kiedy zaprezentowałam się jej w stylu etno, czy też — jak to określiła — w stylu „wieś tańczy i śpiewa”. Naprawdę wyglądałam w tym dziwnie, a czułam się jeszcze gorzej. Tego dnia postanowiłam jednak zaszaleć. Uznałam, że robiąc coś tak sprzecznego z moimi upodobaniami, jak uczestnictwo w sabacie czarownic (czy też wegańskich warsztatach wiedźm, na jedno wychodzi), powinnam się przebrać. Potraktowałam to jako rodzaj zabawy, balu kostiumowego albo innego wariactwa.

Bez trudu znalazłam sklep „Miska mocy”; gorzej było z miejscem parkingowym, więc dotarłam odrobinę spóźniona. Kiedy weszłam do środka, na podłodze w kręgu siedziały kobiety, ubrane w większości tak barwnie, że moja tunika wydała mi się nagle zupełnie szara i bardzo skromna. Spłoszyłam się i chyba bezwiednie wykonałam ruch, jakbym zamierzała uciec, bo jedna z uczestniczek spotkania natychmiast zerwała się i wyciągnęła do mnie rękę. Ku mojemu zdumieniu nie była to Zoja, lecz jakaś starsza pani z siwym warkoczem, cała w czerni. Tylko w uszach miała olbrzymie drewniane kolczyki, pomalowane we wzory, które kojarzyły mi się z łowickimi.

— Wejdz, kochana — zawołała ciepłym, mocnym głosem. — Jestem Joanna. Czekamy na ciebie.

Nie sądziłam, żeby akurat na mnie; musiała mnie z kimś pomylić. W lekkiej panice omiotłam wzrokiem twarze obecnych, ale nie wyłapałam wśród nich Zoi. Tymczasem Joanna ucałowała mnie w oba policzki, pomogła mi zdjąć kurtkę (właściwie po prostu zdjęła ją za mnie) i niemal siłą posadziła

mnie między pulchną brunetką w okularach lenonkach a suchą, rudowłosą i śmiertelnie bladą (ale uśmiechniętą) kobietą po czterdziestce.

Ledwie zdążyłam usiąść, zza zasłony oddzielającej sklep od zaplecza wyłoniła się dobrze mi znana sylwetka. Tym razem Zoja miała na sobie kolory ziemi, w których było jej równie ładnie, jak w bieli. Zauważyła mnie i jej spojrzenie się rozjaśniło. Przy całej niechęci, jaką dla niej miałam, musiałam przyznać, że to przyjemne uczucie, kiedy ktoś się cieszy na nasz widok.

— Zaczynajmy — odezwała się Joanna. Jej głos kojarzył mi się ze studnią o omszałej cembrowinie, pełną cudownie czystej wody. Miała kurze łapki, które nadawały jej twarzy serdeczny wygląd. — Połóżcie ręce na ziemi, siostry.

Wszystkie obecne umieściły rozczapierzone dłonie na podłodze w taki sposób, że ich kciuki się złączyły, natomiast małe palce dotykały palców kobiet klęczących obok. Czułam się dziwnie, ale uczyniłam to samo — pamiętając o słowach Grzegorza: niczego nie muszę, ale wszystko mogę. Co mi tam, to przecież nie boli.

Nie było żadnego dreszczu wtajemniczenia ani przeżyć metafizycznych — co to, to nie. Przez moment po prostu kobiety milczały, niektóre z zamkniętymi oczami, inne — tak jak ja — rozglądając się niepewnie dokoła, z czego wywnioskowałam, że nie jedyna przyszłam tu po raz pierwszy. Po chwili Joanna zaczęła mówić:

— Jesteśmy tu, żeby się podzielić. My, starsze, które już wiedzą, z tymi, które jeszcze nie wiedzą. Wiedzmy z nie-wiedźmami. Te, która znalazły, z szukającymi. Pełne spokoju z tymi, które się boją. Niech przepływa przez nas dobra energia. Energia miłości i dobra. Niech wraz z nią wejdzie do waszych umysłów pradawna mądrość kobiecości. Zamknijcie oczy, siostry, i oddychajcie głęboko. Nie przerywajcie kręgu. Słuchajcie.

Posłusznie zamknęłam oczy. Przez długą chwilę nic się nie działo i nie byłam pewna, czy nie robię czegoś źle. Może na przykład palce mi się rozłączyły z sąsiadką i zakłóciłam przepływ energii. Kusiło mnie jak diabli, żeby otworzyć jedno oko i zerknąć, ale wytrzymałam. Wreszcie odezwała się jakaś inna kobieta. Nie Joanna, ale też na pewno nie Zoja. Miała znacznie młodszy, niemal dziewczęcy głos.

— Jesteśmy takie same. Jesteśmy tym samym, czym są ptaki i drzewa, motyle i delfiny. Istotami czującymi. Chcemy żyć i mamy do tego prawo. Chcemy, żeby było nam dobrze, szukamy przyjemności i wygody w taki sam sposób, w jaki kwiat obraca się do słońca. Popelniamy błędy i robimy rzeczy szlachetne. Niszczymy i tworzymy. W każdej z nas jest piękno i w każdej jest brzydota.

Poruszyłam się niespokojnie, bo nie wiedzieć czemu pomyślałam o mojej tunice.

— Ale też każda z nas ma swoją drogę i swój czas. Aby stać się wiedźmami, tymi, które wiedzą, musimy z pokorą pochylić się nad tym, co było przed nami. Musimy przyjąć z szacunkiem przeszłość. Uszanować ją. To wszystko, co minęło, stworzyło świat, w którym żyjemy. Bądźmy za to wdzięczne. Musimy też nauczyć się szanować każdą roślinę, każde zwierzę i każdego człowieka, a wówczas będziemy umiały szanować także siebie.

Ku własnemu zdumieniu zaczęłam wsłuchiwać się w ten monolog. Czy ta kobieta mówiła o mnie? Czy tylko mi się wydawało, że w tym, co początkowo brzmiało jak nawiedzony bełkot, pojawiły się słowa pasujące jak ulał do mojej sytuacji? Teraz już nie myślałam o tunice i nie odczuwałam pokusy, by otworzyć oczy. Słuchałam i starałam się rozumieć.

— Tylko akceptując przeszłość, możemy się otworzyć na przyszłość — ciągnęła nieznajoma. — Trzeba nauczyć się wdzięczności za każdą lekcję, jaką w życiu otrzymałyśmy. Nawet jeżeli były to lekcje gorzkie. To dzięki nim osiągniemy stan, w którym nie będziemy już musiały szukać odpowiedzi na żadne pytanie, ponieważ wszystkie odpowiedzi będą w nas. One już tam są. Wystarczy, że zajrzemy w głąb.

Zapadła cisza. Wiedziałam, że za chwilę otworzymy oczy, przerwiemy krąg z naszych dłoni, a otaczające mnie kobiety zapewne zaczną ze sobą rozmawiać. Czułam dziwne skrępowanie, jakbym była niekompletnie ubrana — chciałam pozostać niewidzialna; pragnęłam, żeby nikt na mnie nie patrzył. I bardzo chciałam słuchać nadal, nawet jeśli nie rozumiałam wszystkiego, co mówiła nieznajoma, i tylko podskórnie czułam, że to w jakiś sposób odnosi się do mnie.

— Dziękuję wam wszystkim, że tu jesteście. — Tym razem odezwała się Zoja, z tym swoim entuzjazmem i niczym nieskażoną ufnością, że wszyscy wokół są jej przychylni. Rozchyliłam powieki i zobaczyłam jej szeroki uśmiech. — Ogromne podziękowania również dla Joanny oraz dla mojej duchowej córki Basi za przygotowanie nauk na dziś. Bardzo się cieszę, że mogę was gościć w „Misce mocy”. A teraz zapraszam na warsztaty kulinarne, połączone oczywiście z degustacją.

Podniosłyśmy się z kolan. Niektóre kobiety stanęły w grupce, objęły się i zaczęły rozmawiać półgłosem, większość jednak zgromadziła się przy ladzie, którą Zoja zamieniła w wielki blat kuchenny. Stała tam miska z czymś lekko obrzydliwym zalanym wodą, na powierzchni której unosiła się szarawa pianka. Była też malutka Kuchenka turystyczna, patelnia i całkiem przyzwoity blender. Ponadto — elegancko poustawiane w małych miseczkach — na blacie znajdowały się pokrojone pieczarki, drobno posiekana cebula i coś, w czym ze sporą dozą prawdopodobieństwa domyśliłam się powideł śliwkowych.

— Pokażę wam dziś niezwykle właściwości kaszy gryczanej — powiedziała Zoja radośnie. — Mam na myśli grykę białą, niepaloną. Ma ona fantastyczną cechę, mianowicie po namoczeniu staje się miękka, a po zblendowaniu z wodą tworzy elastyczne ciasto. Odkryłam to zupełnie przypadkowo, kiedy namoczyłam kaszę na noc, a rano o niej zapomniałam i stała tak prawie do wieczora.

— Tylko po co moczyć kaszę? — zdziwiła się jedna z kobiet.

— Ja moczę albo przynajmniej porządnie płuczę wszystkie ziarna — wyjaśniła cierpliwie Zoja. — A to ze względu na kwas fitynowy, którego chcemy się pozbyć, ponieważ blokuje wchłanianie większości minerałów i niektórych witamin.

Zapadła cisza. Najwyraźniej nie tylko ja nie miałam zielonego pojęcia o kwasie fitynowym. W ogóle nieszczególnie znałam się na kwasach.

— Tak czy owak — podjęła moja przyszła macocha — niechcący zostawiłam tę kaszę na bardzo długo, a wieczorem, kiedy sobie o niej przypomniałam i chciałam ją ugotować, okazało się, że zmiękła i rozlaży się w palcach. Wpadłam więc na pomysł, żeby ją przepłukać, aby usunąć piankę, dolać troszkę świeżej wody i zmiksować to na papkę. Z tej papki, w zależności od gęstości, można usmażyć placuszki albo naleśniki. Zaraz wam to zademonstruję.

Zajęła się odlewaniem wody z pianką do drugiej miski, co ze względu na brak zlewu było utrudnione; mimo to Zoja szczyrzyła zęby w uśmiechu pełnym zapału i wiary w to, że właśnie uczestniczy w czymś absolutnie cudownym. Zaczynałam jej szczerze zazdrościć entuzjazmu, z jakim angażowała się w każdą drobną czynność.

— Powinnam ją teraz porządnie przepłukać — powiedziała, demonstrując odcedzoną kaszę. — Ale oczywiście tego nie zrobię, bo nie mam tu kranu. Nie martwcie się, przemyłam ziarenka przed namoczeniem. Teraz umieszczam je w blenderze, dolewam troszkę świeżej wody i rozdrabniam na ciasto. — Włączyła urządzenie, które narobiło trochę hałasu, toteż chcąc nie chcąc, musiała zamilknąć.

Poczułam, że ktoś leciutko trąca mnie w ramię. Obejrzałam się i ujrzałam drobną twarz eterycznej rudowłosej dziewczyny, która uśmiechała się do mnie, jakbyśmy znały się od lat.

— Ty musisz być Agata — powiedziała delikatnym głosem, który natychmiast rozpoznałam. To ona mówiła chwilę wcześniej o szacunku, wdzięczności i zagładaniu w głąb. — Mam na imię Baśka, jestem duchową córką Zoi.

Czy one nie mogły zachowywać się normalnie? Córka duchowa, siostry, wiemy... Wystarczyłoby używać zwykłych słów i wszystko to stałoby się lżej strawne.

— Wiem, że wkrótce będziesz należeć do naszej rodziny — ciągnęła serdecznie Basia, a ja otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia. A więc ona także? Może jeszcze się wprowadzi i we trzy (plus tata, oczywiście) stworzymy szczęśliwe stadło w naszym niewielkim mieszkanku? — Bardzo się cieszę, że tu dzisiaj przyszłaś, bo to oznacza, że jesteś otwarta.

— Otwarta? — powtórzyłam. — Niby na co?

— Na to, czego nie rozumiesz.

Aż tak to było widać?

— I proszę, mamy aksamitną masę — rozległ się tymczasem głos Zoi, która wyłączyła blender. — Można dodać więcej wody, wtedy uzyskamy ciasto jak na naleśniki. Zaraz to zrobimy i zobaczycie,

jaka jest różnica. Na razie przyrządę wersję gęstszą. Teraz dorzucam podsmażone pieczarki i cebulkę... W smaku wychodzi podobne do placków ziemniaczanych.

— A nie prościej po prostu usmażyć sobie placki ziemniaczane? — burknęła znowu ta sama kobieta, która przedtem kwestionowała sens namaczania kaszy. Najwyraźniej, podobnie jak ja, czuła, że znajduje się w nieodpowiednim miejscu.

— Prościej — odparła Basia zamiast Zoi. — Ale gryka jest znacznie zdrowsza.

Tamta wzruszyła ramionami, a ja miałam ochotę powtórzyć ten gest. Zauważyłam jednak, że Zoja patrzy na mnie z uśmiechem, a w uszach zadźwięczał mi głos Grzegorza: serdecznie przyjmować ciepłe gesty. Wprawdzie uśmiech to nie gest, pomyślałam, ale co mi tam. Wyszczrzyłam zęby i udałam, że jestem niesamowicie ciekawa smaku gumowatego placuszka, który właśnie smażył się na niewielkiej patelni.

Panie Grzegorzu!

Chyba udało mi się zrealizować wszystkie Pana sugestie. Po pierwsze, nie robiłam nic na siłę, zresztą nikt nie próbował mnie do niczego zmuszać (poza skosztowaniem gryczanego placka z pieczarkami, przed którym dość długo się broniałam, bo był szaro-bury; muszę jednak przyznać, że okazał się bardzo smaczny). Sama zaś z zapalem — umiarkowanym, ale wciąż zapalem — dałam się porwać specyficznej atmosferze tego „sabatu czarownic”. Wyznam Panu, że niektóre zdania z monologu jednej z „wiedźm” (choć akurat to była raczej „aspirująca” do tego miana dziewczyna) wydały mi się niezwykle mądre i pasujące do mojej sytuacji. Nie umiałabym ich jednak powtórzyć.

A przy okazji — z owego monologu wywnioskowałam, że wyraz „wiedźma” oznacza po prostu „tę, która WIE”, czyli kogoś w rodzaju dawnej znachorki, tak zwanej szeptuchy, babki, mądrzychy czy jak się jeszcze mówiło.

Przy okazji poznałam „duchową córkę” Zoi, Baškę. To właśnie owa wiedźma w stopniu aspirantki. Wyjaśniła mi, że Zoja przygarnęła ją po ucieczce z domu, pomogła ukończyć szkołę i w ogóle potraktowała jak córkę. Zaczynam, zdecydowanie wbrew sobie, lubić tę całą Zoję. Basia też wydała mi się przesympatyczna i sądzę, że potrafię się z nią zaprzyjaźnić, nie ukrywam jednak, że wolalabym, żeby się do nas nie wprowadziła po ślubie taty. Może nam być za ciasno we czwórce.

Zartuję, przecież planuję ewakuację. Nie będę z nimi mieszkała.

Na temat Basi nie mam nic więcej do opowiadania, ponieważ rozmowę przerwała nam degustacja naleśników. Zapowiedziała (Basia, nie degustacja), że wpadnie któregoś dnia do mojego zakładu fotograficznego i wyciągnie mnie na kawę. Chyba mnie lubi.

Teraz ostatnia sprawa. Zdziwi się Pan zapewne, że zaszła we mnie tak ogromna zmiana, ale zdecydowałam się i napisałam list do mamy. Nie wiem, czy nie będzie Pan ze mnie niezadowolony, bo przecież miałam działać roztropnie i najpierw omówić z Panem, co powinnam napisać, ale po spotkaniu z wiedźmami byłam jakoś tak nastrojona... Basia mówiła o tym, że aby móc prawdziwie dojrzeć i korzystać z mądrości, trzeba pochylić się nad przeszłością i być za nią wdzięcznym... I wzięłam to do siebie, wie Pan? Zrozumiałam to w ten sposób, że powinnam poznać doświadczenia mamy, nauczyć się czegoś na jej błędach, a wówczas zrozumieć wszystko, co spotyka mnie. Może to głupie i może wcale nie o to chodziło. Ale na swój sposób poczułam, że mam prawo do własnej interpretacji, te kobiety mówiły także o tym: o własnym rytmie, o szacunku do samej siebie. Gubię się, nie umiem tego ubrać w słowa.

Kiedy wyszłam z „Miski mocy”, najedzona po dziurki w nosie naleśnikami z gryki, usiadłam na pobliskim murku, wyciągnęłam telefon i napisałam wiadomość na Facebooku: „Mamo, myślę, że powinniśmy dać sobie jeszcze jedną szansę na porozumienie. Jestem chyba dość dorosła, żeby spojrzeć w przeszłość bez złych emocji. Czy zechcesz się ze mną spotkać i porozmawiać?”. Tylko tyle. Co Pan o tym sądzi?

Idę teraz do przyjaciół. Pogramy w gry planszowe, jak zwykle w soboty. Szkoda, że nie może Pan wybrać się ze mną, nauczyłyby Pan nas tego rozszerzenia z królewną. No i pilnował, żebym nie flirtowała z Rafałem.

Pozdrawiam ciepło

Agata

Ku mojemu zdumieniu, w sobotni wieczór, kiedy już wróciłam do domu po trzech przegranych partiach w *Carcassonne*, z policzkami pałającymi od ognistych spojrzeń Rafała (nie mogłam się powstrzymać od zerkania na niego, a on odpowiadał mi tym samym), znalazłam w skrzynce pocztowej odpowiedź od Kapinosa. Umawialiśmy się przecież, że nie będzie mi odpisywał.

Pani Agato!

Gratuluję! Bardzo się cieszę, że się Pani odważyła. Treść listu do mamy także mi się podoba. Jest wyważona, stanowi zapowiedź spokojnych rozmów, otwiera pole do dalszych kontaktów. Cieszę się również, że podjęła Pani samodzielnie decyzję o wysłaniu tej wiadomości, bo świadczy to o Pani rosnącej pewności siebie.

Równie wspaniałą nowiną jest to, że zaczyna Pani lubić Zoję. Brawo!

Mam nadzieję, że wygrała Pani w Carcassonne. I w ogóle, że wszystko poszło dobrze. I że Pani nie flirtowała.

Do zobaczenia w środę

Grzegorz

Już sama nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Dlaczego odpisał? Dlaczego nie jest anonimowym podróżnym z pociągu? Jego list nie wnosił nic nowego, nie zawierał żadnych konkretów, poza pochwałą. Może właśnie o to mu chodziło, może to był list motywujący...

Mama nie odpisała ani w niedzielę, ani przez kolejny tydzień, co w sumie wcale mnie nie dziwiło, bo z częstotliwości zamieszczanych przez nią zdjęć kwiatów, kotków i upieczonych ciast wywnioskowałam, że rzadko zagląda na Facebooka. Uznałam, że nigdzie mi się nie spieszy i mogę poczekać. Tymczasem nie miałam czasu się nudzić, bo już w poniedziałek odwiedziła mnie w zakładzie Basia, moja przyszła „duchowa siostra”, tfu! tfu! Nie żebym miała coś przeciwko niej. Naprawdę wydawała się sympatyczna. Przeszkadzała mi tylko ta aura dziwności, którą otaczały się obie z Zoją. Nie mogłyby wyglądać i zachowywać się normalnie, jak na przykład my z Igą?

Po namyśle uznałam, że to nie był dobry przykład. Miałyśmy z Igą na koncie tak idiotyczne pomysły, że nikt i nic nie mogło nas przebić. Choćby ten z mewimi jajkami. Kończyłam wówczas technikum fotochemiczne; byłam już po maturze pisemnej, ale jeszcze przed ustną. Iga właśnie zaliczyła piekielnie trudny egzamin — z literatury staropolskiej (kończyła pierwszy rok polonistyki). Żeby trochę odpocząć od nauki, wybrałyśmy się na wycieczkę rowerową nad Wisłę, w stronę Solca Kujawskiego. Po drodze mijałyśmy wielkie rozlewiska, nie byłyśmy pewne: Brdy czy właśnie Wisły. Niebo było wściekle niebieskie, woda też. Nad naszymi głowami krążyły mewy, pokrzykując na nas nerwowo. Postanowiłyśmy zrobić sobie piknik w tamtym miejscu. Jakiś wędkarz, sympatyczny starszy pan, zaprowadził nas w miejsce, gdzie były dziesiątki mewich gniazd.

— Zobaczcie, jakie piegowate jajka. — Podał nam po jednym nagrzanym od słońca jajeczku.

Wzięłyśmy, zachwyciłyśmy się, że takie malutkie i ciepłe, obejrzałyśmy i chciałyśmy delikatnie odłożyć z powrotem.

— Nie, to trzeba wywalić — machnął ręką starszy pan. — Mewa już nie przyjmie takiego jajka, co pachnie człowiekiem. Rozdziobie, wywali z gniazda.

Patrzyłyśmy z Igą na trzymane w rękach owalne coś, co mogłoby stać się ptakiem, ale z powodu głupoty tego wędkarza już nie miało na to szans. Iga odezwała się pierwsza.

— W takim razie po co pan to wyjmował te jajka z gniazda?

— Żeby panią pokazać — odparł mężczyzna, wyszczerzając w uśmiechu niepełne uzębienie.

Przedtem wydawał mi się sympatyczny, teraz stał się odpychający. W ogóle nie widział problemu w tym, że bez sensu uśmiercił dwa pisklaki.

— Ja tego nie wyrzucę — stwierdziła Iga. — Nie mogę. A jakby tak podrzucić jakiejś kurze?

— A skąd tu pani kurę weźmie? — zapytał facet lekko his-teryicznie (pewnie się wystraszył, że ma przed sobą wariatki).

— Rodzice mojego chłopaka mają kury — palnęłam. — W Cekcynie.

— Gdzie?

— Cekcyn — powtórzyłam. — To jest w Borach Tucholskich, podobno bardzo ładna okolica.

— A jest tam jakaś woda? — zapytała sceptycznie Iga. — Bo do wychowania mewich dzieci kura będzie potrzebowała wody.

— Chyba sobie kpisz — rzuciłam przemądrzale, choć sama nie byłam pewna. — W Borach Tucholskich są tylko dwie rzeczy: las i właśnie woda.

Moja przyjaciółka pokiwała głową.

— W takim razie trzeba będzie tam pojechać — oznajmiła. — Ale to już przecież nie dziś. Tylko co trzeba zrobić, żeby takie jajko przeżyło do jutra?

— Panny sobie żartują? — próbował się upewnić speszony wędkarz.

Coś w naszym wzroku musiało go przekonać, że jesteśmy tak skore do żartów jak, nie przymierzając, wigilijny karp czekający w wannie na swoją kolej. Spojrzał ponuro na mewie gniazda.

— Jajka muszą mieć ciepło — mruknął. — Albo leżą na słońcu, albo mewa je ogrzewa, no... wysiaduje. Ale to się paniom chyba nie uda.

Rzuciłyśmy mu pełne pogardy spojrzenia, po czym od-daliłyśmy się z godnością. Nie mam

pojęcia, jakim cudem obie wpadłyśmy na bardzo podobne pomysły: ja postanowiłam umieścić moje jajko w biustonoszu, w rowku pomiędzy piersiami, zaś Iga (która nie dysponowała takim biustem, żeby posiadać rowek) włożyła sobie mewie dziecko pod pachę. To znaczy też w stanik, ale właśnie w okolicach pachy.

Jadąc bardzo ostrożnie, bo nagle wydało nam się, że droga jest niesłychanie wyboista, dotarliśmy w końcu do Bydgoszczy. Zadzwoiłam do mojego chłopaka, który, choć nieco zdziwiony, obiecał, że pojedzie ze mną do rodziców, ale niestety, dopiero za cztery dni, ponieważ załapał się do pracy w warsztacie samochodowym (kończył właśnie technikum mechaniczne). Tak więc musiałyśmy z Igą bawić się w wysiadywanie jajek jeszcze przez cztery doby. I było to najdłuższe dziewięćdziesiąt sześć godzin w moim życiu.

Prawie nie spałam, ponieważ umierałam ze strachu, że wierząc się we śnie, przygniotę mewie dziecko. Na egzamin ustny z chemii poszłam z jajkiem w biustonoszu. Kiedy brałam prysznic, umieszczałam jajo w nagrzanym żelazkiem ręczniku... Jednym słowem, dostałam kompletnego bzika. Z rozmów telefonicznych wiedziałam, że z Igą jest podobnie.

Wreszcie nadeszła sobota i Michał, mój chłopak, mógł wybrać się z nami do Cekcyna. Jego gościnną mama nalala nam natychmiast wielkie michy rosółu i nie mogła się nadziwić, że zamiast jeść, pobiegłyśmy do kurnika „przywitać się z ptactwem”, jak to określiła Iga (która tkwiła jeszcze w klimatach literatury staropolskiej). Udało nam się znaleźć tylko jedną wysiadującą kwokę (potem się dowiedziałam, że na ogół mama Michała zbiera wszystkie jaja, bo nie chce mieć tyle piskląt — no ale jako się rzekło, miałyśmy szczęście, bo jedna kwoka wysiadywała). Podłożyłyśmy jajka i zatroskane, czy kura aby sprawdzi się jako mewia matka, wróciłyśmy do stołu.

Niestety, podczas powrotnej drogi pociągami pokłóciłam się z Michałem i choć kłótnia była błaha, to zakończyła naszą znajomość. Dlatego nigdy się nie dowiedziałam, czy cokolwiek wyrosło z naszych podopiecznych. Lubiliśmy jednak rozmawiać z Igą o tym, że naprawdę zrobiliśmy co w naszej mocy, żeby uratować te mewiątki. Raz tylko, pod wpływem wypitego wina, moja przyjaciółka rozczuliła się, że należało je wysiedzieć do końca i wypuścić w świat.

— Zwariowałaś? — powiedziałam wtedy. — Czym byśmy je karmiły? Łapałabyś dla nich muchy i inne robale? A potem małe rybki? Przeżuwałabyś i wkładała im do dziobków? Poza tym jak nauczyłabyś je, że są ptakami, a nie ludźmi?

— Rzeczywiście — rzekła Iga już bardziej trzeźwo. — Masz rację, nie przemyślałam kwestii mewiej diety.

Opowiedziałam tę historię Baśce, mojej przyszłej „duchowej siostrze”, kiedy wyciągnęła mnie z pracy na szybką kawę. Sama nie wiem, skąd mi się to wzięło — chyba po prostu chciałam jej zaimponować, że też potrafię mieć kompletnie zwariowane pomysły.

Sądziłam, że ją zaskoczę albo rozśmieszę, ale ku mojemu zdumieniu powiedziała z całkowitą powagą:

— To tylko dowodzi, że człowiek ma potrzebę kochania wszystkich istot. Zabijanie wynika z kultury, a nie z natury.

— Co masz na myśli?

— No wiesz, wmawia się nam, że nasi przodkowie od zawsze jedli mięso, że już w najdawniejszych czasach polowali na mamuty i tak dalej. Owszem, polowali, ale tylko wtedy, gdy nie wystarczało im roślin. Nikt z nas nie ma instynktu mordercy. Wyobraź sobie, że jedziemy na wycieczkę za miasto. Jesteś bardzo głodna. Na polu pełnym młodziutkiej kukurydzy widzisz sarnę. Czy masz ochotę gonić ją, a potem wgryźć się w jej gardło? Czy raczej zerwiesz sobie kolbę kukurydzy i ją schrupiesz?

— Ale to jest absurdalne! — oburzyłam się. — Powinnaś inaczej postawić pytanie: co wybiorę, jeśli poda mi się na talerzu upieczoną sarninę i kolbę kukurydzy. Wybrałabym mięsko, nie gniewaj się, mówię szczerze.

— Absurdalne jest to, co powiedziałaś teraz — stwierdziła Basia, ale jakoś tak naturalnie, z uśmiechem, bez cienia złości. — W naturze nie ma upieczonych zwierząt. Nie ma zwierząt już

pozbawionych skór albo piórek, jelit i ich zawartości, krwi i tak dalej. Nie ma mleka, są tylko gruczoły mleczne samic ssaków.

Z żalem spojrzałam na ciastko z bitą śmietaną, które zamówiłam sobie do kawy. Jakoś opuścił mnie apetyt.

— A przecież ja mówię właśnie o tym: że zabijanie nie jest dla nas oczywiste, przyjemne ani nawet łatwe — podjęła Basia. — Porównaj na przykład ludzkie dziecko i młode jakiegoś drapieżnika. Nie wiem, kotka, szczeniaczka, cokolwiek. Wypuść małego gołębia i zobacz, co się stanie. Kotek i piesek będą usiłowały go upolować, zagryźć, złapią w pazury i ciach zębami! A dziecko zacznie się bawić. Może weźmie do buzi, ale żeby polizać albo possać, jak to dzieci.

Zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze, bo myśl o ssaniu gołębia nie należała do najbardziej apetycznych. Odsunęłam talerzyk z ciastkiem.

— Nie odczuwamy pokusy, by pogonić zająca albo złapać gołębia, gdy jesteśmy głodni — dokończyła moja „duchowa siostra”. — To nasza natura, rozumiesz? Natomiast kultura w sensie zbioru pewnych nawyków sprawiła, że sięgamy po mięso.

Patrzyłam na nią z powątpiewaniem. Nie chciałam wykładu na temat weganizmu. Chciałam zwyczajnie pogadać.

— Wiesz, ja jestem wsiowa dziewczyna — wyznała nagle Basia, jakby wyczuła, że pora zmienić temat. — Dorastałam wśród zwierząt. Nigdy nie mogłam pojąć, jak możemy zjadać te króliczki, które głaskałam i tuliłam, bo były najmilszą rzeczą, jakiej w życiu dotykałam. Pamiętam dzień, w którym to zrozumiałam. Mama mi powiedziała, że na obiad jest królik, a ja się zdziwiłam, że to takie śmieszne, mięsko nazywa się tak samo jak Łatek i Uszko. To były moje ulubione, Łatek był cały biały, tylko na zadku miał czarną kropę. A Uszko był jasnobrażowy z białym uchem. Ojciec zaśmiał się jakoś ponuro, akurat był trzeźwy, a wtedy stawał się bardzo okrutny. I powiedział, że Uszko został na przyszłą niedzielę. Pobiegłam do klatki i zobaczyłam, że Łatka już nie ma. Wyłam cały dzień i pół nocy, obudziłam się na mokrej poduszce i pobiegłam sprawdzić, czy Uszko jeszcze żyje.

Milczałam. W tej opowieści było tyle wątków, że w głowie miałam kompletny chaos. Basia wzięła łyk kawy i westchnęła.

— Wypuściłam go wtedy. Otworzyłam klatkę i wyciągnęłam nieboraka, a potem zaniiosłam go za łąkę za domem. Dostałam za to porządnie w skórę od ojca, ale nie żałowałam, nawet kiedy mama mi wytłumaczyła, że Uszko i tak zginie. Pewnie został zjedzony jeszcze tego samego dnia, upolował go jakiś jastrząb czy inny drapieżnik. A ja nie umiałam jej wyjaśnić, że to i tak lepiej, niż gdybyśmy my go zjedli.

Nie rozumiałam logiki jej wyводу. Króliczkowi o imieniu Uszko było zapewne wszystko jedno, kto go pożre. Natomiast mogło mu nie być wszystko jedno, że stracił bezpieczny dach nad głową. Zapewne był przerażony, znalazłszy się po raz pierwszy w życiu na bezkresnej łące. Chociaż w sumie — co ja wiedziałam o króliczkach? Może miał bogate życie wewnętrzne i przez tę krótką chwilę upajał się wolnością? Może trawa rosnąca za płotem smakowała mu niczym ambrozja w porównaniu z trawą skoszoną i wrzuconą do klatki? (Nie byłam tylko pewna, czy króliki jedzą trawę).

Moja myśl wracała jednak uparcie do zupełnie innej sprawy. Basia powiedziała, że jej „ojciec akurat był trzeźwy, a wtedy stawał się bardzo okrutny”. Musiała mieć bardzo trudne dzieciństwo. Ciekawe, czy całe to dziwaczne gadanie Zoi o „duchowej córce” miało z tym jakiś związek.

— Nadal mieszkasz na wsi? — zapytałam.

— Tak. Ale miałam swoje wielkomiejskie pięć minut. Uciekłam po śmierci mamy. Nie miałam jeszcze nawet matury. Ale myśl o tym, że miałabym prowadzić dom mojemu ojcu... To było nie do przyjęcia. Teraz już zdołałam mu wybaczyć, ale przez całe lata nie umiałam nawet powiedzieć o nim „ojciec”.

— Więc jak mówiłaś? — Zaciekawilo mnie to.

— Skur... No, różnie. Wiesz. Najłagodniejsze było „sukinkot”.

— Rozumiem.

— On pił i bił — wyjaśniła jeszcze Basia tonem wypranym z emocji. — Zwłaszcza mamę. Potem,

kiedy mama zmarła... Zresztą o tym już mówiłam. Zwiałam, znalazłam się w Bydgoszczy, Zoja zgarnęła mnie z ulicy, bo nie miałam się gdzie podziać. Nie lubię o tym opowiadać. W każdym razie dzięki Zoi wybaczyłam ojcu, mamie i samej sobie, tyle że jest już za późno na pojednanie, bo tata także zmarł.

Nie zapytałam o nic więcej, ale tylko dlatego, że musiałam wracać do pracy. Miałam sesję ciążową, a potem musiałam sama ogarnąć resztę, bo tata, jak zwykle w poniedziałek, kończył pracę wcześniej i siedł na swoje ukochane szachy. Basia pożegnała się ze mną słowami, które dźwięczały mi w uszach jeszcze długo po naszym spotkaniu.

— Każdy ma swój cień — powiedziała. — Zoja nauczyła mnie jednej rzeczy: cała sztuka w tym, żeby tego cienia nie karmić, nie pielęgnować. Bo wtedy urośnie.

— Cień? — powtórzyłam, wychodząc za nią z ciepłej kawiarni na ulicę.

— Tak. To ciemne, co się za tobą wlecze. Cień zawsze bierze się ze straty. Albo z pustki, z niedostatku czegoś ważnego.

Umówiliśmy się na telefon któregoś dnia, bez konkretnych terminów. Zaczynały mi się podobać te szurnięte „wiedźmy”, byłam coraz bardziej ciekawa Zoi i w duchu przyznawałam rację Grzegorzowi: kiedy się coś pozna bliżej, człowiek przestaje się bać.

A właśnie, Grzegorz. Nie mogłam się doczekać, kiedy usiądę przy komputerze i napiszę mu o Zoi oraz Basi. O tym, że zaczynam się cieszyć, bo jeśli ślub taty oznacza, że w mojej rodzinie pojawi się Basia, to może jakoś pogodzę się z tym, że nie jestem już jedyną kobietą w jego życiu. I o tym, że postanowiłam nie karmić swojego cienia ani chwili dłużej.

Ten tydzień minął mi jak szalony, całkiem inaczej, niż się spodziewałam. Zazwyczaj gdy się na coś czeka, czas ciągnie się jak rajstopy nieopatrznie włożone do pralki wraz z dzinsami. Tym razem — choć przecież czekałam na odpowiedź od mamy — dni mknęły jeden za drugim, a ja nie nadążałam z odnotowywaniem nowych wrażeń w listach do Grzegorza.

Przede wszystkim, we wtorek odwiedziła nas Zoja. Wpadła niezapowiedziana, zdenerwowana, z miną zupełnie niepasującą do tego, czego się o niej do tej pory dowiedziałam. Zdążyłam wytworzyć sobie obraz kobiety zawsze uśmiechniętej, optymistycznej aż do przesady, a tymczasem w drzwiach stała osoba o smutnych, wypełnionych łzami oczach i drżących dłoniach.

— Mariusz, poświęć mi chwilę — powiedziała do taty. — Mam tylko jedno pytanie.

— Wejdz, kochanie. Daj mi płaszcz.

— Nie, nie trzeba. Naprawdę tylko na chwilę.

Tata zrobił zdziwioną minę, ale wziął Zoję za rękę i weszli do kuchni. Zamknął drzwi. Poczułam się jak intruz, ale przecież rozumiałam, że chcą zostać sami. Za wszelką cenę starałam się nie słyszeć, o czym rozmawiają, poszłam więc do siebie i włączyłam radio. Po chwili jednak przyszło mi do głowy, że muzyka może im przeszkadzać. Ściszyłam, położyłam się na łóżku i nakryłam głowę poduszką. Przeleżałam tak kilka minut, a kiedy usłyszałam ciche trzaśnięcie drzwi wejściowych, wyskoczyłam z pokoju.

— Coś się stało? — zapytałam.

Ale tata nie chciał mi nic powiedzieć. Był smutny i milczący przez cały wieczór, nie zjadł nawet kolacji. Postanowiłam nazajutrz zadzwonić do Basi i spróbować ją wybadać. Bardzo się martwiłam o ojca — właściwie dopiero teraz zrozumiałam, że miłość do Zoi, nawet jeśli odbierałam ją jako zagrożenie mojej pozycji w rodzinie, dodawała mu skrzydeł i odmładzała go o kilka lat. Sama przed sobą musiałam przyznać, że lepiej widzieć ojca szczęśliwego i dzielić się nim z inną kobietą, aniżeli mieć go na wyłączność i bezradnie patrzeć na jego smutek.

W środę nie zdołałam spotkać się z Basią ani nawet do niej zadzwonić, ponieważ w pracy mieliśmy ostrą jazdę bez trzymanki. Tata podpisał umowę na fotografie dla dzieci z jednego z bydgoskich przedszkoli. Wybraliśmy się tam z planszami, rekwizytami i aparatami — tata robił portrety i zdjęcia grupowe, a ja tak zwane towarzyskie. Urwanie głowy! To był chyba pierwszy raz w moim życiu, kiedy poczułam, że mimo całej mojej miłości do dzieci dobrze się stało, że nie muszę z nimi pracować na co dzień. Czterolatek, który w pojedynkę jawi się jako aniołek, w grupie staje się rozpuszczonym potworem. Byłam spocona jak mysz, rozdrażniona i nieludzko zmęczona.

— Mój wujek też ma taki aparat — poinformował mnie jeden z chłopców, z imponującym guzem na czole.

— A moja mama była w Ameryce. Kupiła mi groszki czekoladowe.

— W Ameryce ci kupiła? Kłamiesz? Tam nie ma groszków. Tam są humbungery.

— Harbungery — poprawiła błada dziewczynka z trójkątną buzią. — A groszki to na pewno kupiła na lotnisku, mój tata zawsze kupuje różne rzeczy na lotnisku, bo mówi, że nie opłaca się wozić samolotem.

— A jak płynąłem statkiem, to jeden pan rzygał — oznajmił ten z guzem, który najwyraźniej lubił, żeby ostatnie słowo należało do niego.

Wzięłam się pod boki.

— Cicho, dzieciarnia! — zawołałam. — Kto się odezwie, temu zrobię takie brzydkie zdjęcie, że będzie wyglądał jak stara pieczarka.

Błada z trójkątną twarzą robiła buzię w podkówkę, więc mrugnęłam do niej wesoło, ale tak, żeby reszta nie widziała. Jakoś poustawiałam towarzystwo i w ciągu dwóch godzin udało mi się porobić fotografie we trójkach lub dwójkach — jak komu pasowało.

Wieczorem z ulgą opadłam na fotel w gabinecie Grzegorza Kapinosa.

— Nie wyobraża pan sobie, panie Grzegorzu, co to był za dzień — zaczęłam. — Ja naprawdę kocham dzieci i marzę, by zostać matką. Ale tak sobie myślałam, obrabiając te zdjęcia szczerb, kucyków i zadartych nosków, że natura to wszystko mądrze wymyśliła.

— W jakim sensie? — zainteresował się uprzejmie terapeuta.

— Że rodzi się jedno, sporadycznie dwoje. Troje i więcej to już możemy uznać za ewenement, prawda? No więc jedno jest według mnie optymalnie. W kupie dzieci stają się czymś w rodzaju owadów. Nie wiem, czy mnie pan rozumie.

— Rozumiem doskonale — ożywił się. — Ja pochodzę z licznej rodziny, to znaczy wszystkie moje siostry... Przepraszam, nie o mnie przecież rozmawiamy. Proszę opowiedzieć...

— Nie, panie Grzegorzu! — Złożyłam błagalnie ręce. — Proszę dokończyć. To mnie naprawdę ciekawi. Obiecuję, że już za chwilę przejdziemy do mojego pokręconego życia. Ale ja tak lubię słuchać o szczęśliwych, licznych rodzinach. No więc pan ma siostry...

Westchnął głęboko.

— Tak. Cztery — wyjaśnił. — Cztery starsze siostry. Czasem myślę, że to właśnie z ich powodu zostałam psychologiem. Trzy mieszkają w Bydgoszczy, a jedna w Solcu Kujawskim i choć do niej mamy dalej, to właśnie u niej wszyscy się zbieramy na rodzinne burze mózgów. Ja tam u niej właściwie pomieszkuję. Nasza rodzina jest taka... jak by to powiedzieć? Trochę nietypowa. Kłócimy się, dyskutujemy zawzięcie. Wszystko jest poddawane pod głosowanie, nawet kolor kwiatów wiązanki ślubnej każdej z nich. Ktoś mógłby powiedzieć, że to jakiś rodzaj tyranii, prawda? Bo niechby sobie miała taką wiązankę, jaką chce. Ale my to lubimy.

— Miałam kiedyś chłopaka z Solca Kujawskiego — westchnęłam. — Mieszkał przy rynku.

— Moja siostra z kolei zupełnie za miastem, w stronę Torunia. Taki żółty domek przy Topolowej. Scheda po babci. Nikt go nie chciał, bo był w kiepskim stanie, ale Gosia, najstarsza, ma męża budowlańca, więc wyremontował na cacy.

Powinno mnie zakłuć w okolicach serca na dźwięk słowa „budowlaniec”, ale nie zakłuło.

— A dlaczego pan powiedział, że z powodu sióstr został pan psychologiem? — dopytywałam się.

— Po pierwsze, Jagusia też jest psycholożką. A po drugie, odkąd pamiętam, wysłuchiwałam ich opowieści. O chłopcach, o przyjaciółkach, potem o mężach i dzieciach. Samo wyszło, że nauczyłam się słuchać, trzymać za rękę i ocierać łzy. Więc po liceum, kiedy przyszło wybierać kierunek studiów, cała rodzina uznała, że do tego nadaję się najlepiej.

— I tak jest — powiedziałam zupełnie szczerze. — Wie pan, mam serdeczną przyjaciółkę, ale nawet z nią nie rozmawia mi się tak dobrze jak z panem. Poza tym wiele rzeczy mi pan w głowie poukładał. Na przykład to z Zoją. Z tymi jej nieszkodliwymi dziwactwami. Naprawdę przestałam się bać, teraz zamiast strachu odczuwam głównie ciekawość.

— Dziękuję pani — rozpromienił się Kapinos, a ja już z przyzwyczajenia zerknęłam, czy zaróżowią mu się końcówki uszu.

A jakże, zaróżowiły się. Zabawne. Mój terapeuta stawał się dla mnie kimś w rodzaju kumpla — mądrzejszego w pewnych kwestiach, ale w innych nieporadnego, potrzebującego wsparcia. Przemknęła mi przez głowę myśl, że dobrze byłoby się z nim zaprzyjaźnić. Pasowałby do naszej paczki. Zaraz potem pomyślałam, że jeszcze niedawno w tej „paczce” był Krzysiek, ale — o dziwo! — nie poczułam smutku w związku z tą myślą, nawet mnie nie zabolęła. Po raz drugi w ciągu tej rozmowy przekonałam się, że już nie cierpię z powodu tamtej zdrady.

— I wie pan? Właśnie sobie uświadomiłam, że na dobre się odkochałam w moim poprzednim narzeczonym — kontynuowałam z radością. — Jak dobrze, jak cudownie! Teraz jeszcze tylko załatwię sprawy z mamą i już będę gotowa na poszukiwania prawdziwej miłości. Tej jedynej na świecie. Wierzę, że tym razem się uda.

— A na czym pani opiera tę wiarę? — zapytał Grzegorz bardzo poważnie.

— Na przekonaniu, że zaczynam się zmieniać — wyjaśniłam. — Spotkania z panem uświadomiły mi, że problem tkwi we mnie. Że, jak to określiła ta Basia, o której panu pisałam, mam swój cień i wciąż

go dokarmiam. Po pierwsze, karmię go negatywnymi myślami o tym, że nie mam wszystkiego, co chciałabym mieć. Basia powiedziała, że cień zawsze bierze się z pustki. Z jakiegoś braku. Myśli pan, że ten mój wyrasta z historii z matką?

— Nie wiem, co dokładnie pani rozumie przez „cień”, ale jeśli to samo, co ja, to owszem, ta ciemna strona może mieć swoje źródło w przekonaniu, że mama niewystarczająco panią kochała. Już to zresztą mówiłem na samym początku.

— Właśnie. A po drugie, byłam zaborcza i samolubna. Dopiero teraz to dostrzegłam, właściwie chyba dzięki temu, że pojawiła się Zoja. Zapewne po dziecięcemu chciałam, żeby świat trwał w takim kształcie, jaki mnie się podoba. Nie zważałam na uczucia innych. Panie Grzegorzu, tak bardzo chciałabym móc cofnąć czas.

— Naprawdę? — Kapinos pochylił się ku mnie, a jego ciemnobrązowe oczy zamigotały. — Do którego momentu? Co by pani zmieniła?

Zastanawiałam się przez dłuższą chwilę; zjrzałam na samo dno mojego spragnionego miłości serca.

— Wie pan — powiedziałam wreszcie. — Jak tak myślę... i myślę... To dochodzę do wniosku, że muszę się wycofać z tego, co powiedziałam.

— Dlaczego?

— Bo właśnie sobie uświadomiłam, że wcale nie cofnęłabym czasu. Podoba mi się chwila obecna. Znalazłam się w miejscu, z którego nie widać, co będzie dalej. Rozumie pan? Zupełnie jakbym stała na zakręcie jakiejś ścieżki w gęstym lesie. I zaskakujące jest dla mnie to, że nie boję się, nie martwię, tylko jestem ciekawa, co znajdę za tym zakrętem.

— A gdyby tak bez metafor? — zapytał Grzegorz, biorąc do ręki notatnik i bazgrząc w nim po swojemu. — Czego jest pani ciekawa? Co sprawia, że, jak to pani określiła, podoba się pani „chwila obecna”?

— Chyba zmiany. Dotąd się ich bałam, teraz zaczynam dostrzegać, że mają... potencjał.

Grzegorz Kapinos odchylił się w swoim fotelu. Wyglądał tak, jakby miał ochotę przeciągnąć się z ulgą, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

— Nareszcie — powiedział tonem człowieka bardzo z siebie zadowolonego. — Mam wrażenie, że dzisiejsze spotkanie można by zatytułować „Wychodzimy z czarnej du... dziury”.

Mama odpisała w czwartek. Znalazłam jej odpowiedź wieczorem, kiedy usiadłam do komputera, żeby opisać Kapinosowi spotkanie z Basią i opowiedzieć, czego się dowiedziałam. Otworzyłam Facebooka bardziej z przyzwyczajenia niż z realnej potrzeby i zdębiałam na widok maleńkiej jedyńki przy ikonce wiadomości. Drżącymi palcami kliknęłam na nią kursorem.

Córeczko! — pisała mama. — Bardzo się cieszę, że do mnie napisałaś. Często o Tobie myślałam, zastanawiałam się, czym się teraz zajmujesz, czy masz męża i rodzinę; czy udało Ci się stworzyć ciepły dom rodzinny. Bardzo chętnie się z Tobą spotkam. Może, żeby nie powtarzać sytuacji z przeszłości, gdzieś na neutralnym gruncie? Zaproponuj coś, a ja się dopasuję. Całuję, Mama

Nigdy bym się nie spodziewała, że wybuchnę takim płaczem. Dobrze, że tata po szachach pojechał do Zoi, bo gdyby był w domu, oszalałby z niepokoju. Sama się zdziwiłam własną reakcją. Przecież dawniej przez lata przychodziły listy od mamy. Ich treść nie tylko mnie nie wzruszała, ale gorzej: nie chciałam ich czytać, nie odpisywałam, a wreszcie za którymś razem odesłałam plik nieotwartych kopert, chyba dziesięć na raz. Wtedy listy przestały przychodzić, a ja odetchnęłam z ulgą. Tak mi się przynajmniej wydawało. Teraz zrozumiałam, że ani nie było w tym ulgi, ani moja chęć przerwania tamtej korespondencji nie była szczerą.

Panie Grzegorzu!

Usiadłam do komputera z zamiarem opowiedzenia Panu o Basi i jej rewelacjach, a tymczasem

mowa będzie o mojej mamie. Napisała! Odpowiedziała mi! Że chętnie się ze mną zobaczy! Mam zaproponować miejsce, ona się dostosuje!

Jak Pan widzi, ciężko mi zebrać myśli, słowa z trudnością układają mi się w zdania.

Gdzie mam się z nią spotkać? Bo Dęblin to chyba nie najlepszy pomysł, prawda? Z drugiej strony może nie wypada, żebym wyznaczyła miejsce, do którego mama miałaby daleko. Nie, na pewno nie wypada. To ja powinnam się do niej pofatygować. Tyle że nie czuję się na siłach znowu oglądać tego jej Karola.

Czy to będzie dobrze, jeśli pojedę do Dębłina i prześpię się w hotelu? Zjem z mamą obiad w jakiejś restauracji, wysłucham jej (sama niewiele będę mówić, bo przecież właściwie nie mam nic do powiedzenia, chcę po prostu usłyszeć, dlaczego właściwie wyszła za ojca, skoro go nie kochała), wybaczę jej, cokolwiek mi powie, pożegniam się i wrócę do domu?

Nie mogę się doczekać jutra, żeby mi Pan odpowiedział na te wszystkie pytania. Sama myśl o tym, że będę mogła z Panem o tym porozmawiać, bardzo mnie uspokaja.

Dobranoc

Agata

Nie spodziewałam się odpowiedzi, a tymczasem nadeszła ona już po kilku minutach. Tyle że zamiast odnieść się do nowin o mamie, Kapinos napisał:

Cieszę się razem z Panią, Pani Agato. Ale wspomniała Pani też o jakichś rewelacjach Basi. O co chodzi? Miała mi Pani opowiedzieć.

No miałam, rzeczywiście.

To było tak. Zadzwoiłam do niej przed południem, żeby zapytać, czy wyskoczymy gdzieś w porze lunchu, bo chciałabym pogadać.

— Świetnie się składa — powiedziała — bo mam do ciebie kilka pytań.

To mnie zaintrygowało, nie powiem. Że ja do niej mam pytania, to oczywiste. Ale ona do mnie? Podjechała pod zakład i zadzwoniła.

— Dlaczego nie wejdiesz? — zapytałam, bo biedziłam się właśnie nad obróbką zdjęć wyjątkowo nefotogenicznej damy. — Muszę jeszcze wygładzić kilka zmarszczek. Chodź, poczekasz chwilę.

— Wolalabym, żeby Mariusz mnie nie widział — odparła Basia, z czego z właściwą sobie lotnością wywnioskowałam, że po pierwsze, zdążyli z tatą zawrzeć znajomość (co było w sumie dość oczywiste), a po drugie, że jej pytania będą dotyczyły spraw Zojowo-ojcowych.

Bez wielkiego żalu zamknęłam folder z fotografiami starej gropy, która zażyczyła sobie sesji w nienaturalnym makijażu i wydekoltowanej bluzce, w związku z czym teraz musiałam „rozprasowywać” jej dekolt. Powiedziałam ojcu, że idę coś przegryźć, i wsiadłam do nieco zdezelowanej furgonetki, w której czekała na mnie Basia.

— Pierogi? — zapytała.

— Pierogi — zgodziłam się.

Ku mojemu niepomiernemu zdumieniu, nie zawiozła mnie do żadnej przytulnej pierogarni, tylko pojechała na najbliższy parking, wyciągnęła z reklamówki plastikowe trojaczki, otworzyła je i wręczyła jedną miseczkę mnie, a drugą wzięła sobie.

— Są różne — powiedziała. — Kilka z kapustą i grzybami, kilka z kaszą gryczaną i szpinakiem. Nie wiem, czy lubisz.

— Pewnie, że lubię — odparłam. — Znasz kogoś, kto nie lubi pierogów?

— No właśnie nie znam. Dlatego wzięłam dla nas po porcji; założyłam, że będziesz chciała.

W jej głosie zabrzmiała taka pewnością siebie, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

— Nie jest u mnie za różowo z finansami — wyjaśniła jeszcze, biorąc jednego pieroga w dwa palce i wgrzając się w niego ze smakiem. — Sorry, zapomniałam widelczyków. Ale nie są tłuste, można jeść paluchami.

Zrobiłam to samo co ona. Trafił mi się z kaszą i szpinakiem. Absolutna rewelacja.

— Nie mam pracy, więc zarabiam robieniem farszu do wrapów i lepieniem pierogów dla VegeSmaka. To taka mała wegetariańska knajpka. W sumie całkiem fajne mam zajęcie. Po pierwsze, lepię wcześniej rano, a potem mam już wolne — mówiła dalej Basia, mlaskając cichutko. — Po drugie, zostawiam sobie trochę i mam codziennie na obiad. No, chyba że już nie mogę patrzeć na pierogi, wtedy mrozę i mam na zapas.

— A właściwie kim jesteś z zawodu? — zainteresowałam się między jednym pierogiem a drugim. Tym razem z rozkoszą wgrzyłam się w farsz z grzybów i kapusty.

— Nikim. — Wzruszyła ramionami. — Skończyłam liceum, zdałam maturę i przez dwa lata próbowałam zarobić trochę pieniędzy, żeby móc studiować. Mieszkałam u Zoi, już ci chyba mówiłam; gdyby nie to, nie udałoby mi się odłożyć ani złotówki. Wreszcie miałam już trochę grosza, dostałam się na studia, bo akurat otworzyli kierunek moich marzeń: zielarstwo i fitoterapia. A potem wszystko diabli wzięli, bo ojciec zachorował i wszystkie zaoszczędzone pieniądze poszły na leczenie.

Zamilkła, wpatrzona w jakiś punkt za oknem. W palcach trzymała na wpół zjedzonego pieroga.

— Ale umarł? — odezwałam się po chwili, nie wiedząc czemu szeptem.

— Tak. W ubiegłym roku we wrześniu. Wiesz, przez tyle lat go nienawidziłam i bałam się jak samego diabła... A potem, kiedy zachorował, to już nie umiałam ani się bać, ani nienawidzić. Zoja tłumaczyła mi, że to dobrze. Że ta jego choroba ma choć tę jedną dobrą stronę: pozwoliła nam się pojednać. Ale ja myślę, że to wcale nie było pojednanie.

— Dlaczego?

— Pojednanie — powtórzyła. — Wsłuchaj się dobrze w to słowo. Pojednać się, stanąć po jednej stronie, być jednością. To coś więcej niż powiedzieć: „Przepraszam, córko, że tłukłem ciebie i matkę, że byłem toksyczny, że przeze mnie budzisz się zrana potem i chcesz uciekać”. To też coś więcej niż wybaczyć. Rozumiesz?

Zrobiło mi się okropnie wstyd. Zawsze mi się wydawało, że miałam nieszczęśliwe dzieciństwo, że zostałam tak bardzo skrzywdzona przez matkę. Co ja mogłam o tym wiedzieć? Czym był wlokący się za mną cień w porównaniu z cieniem tej młodziutkiej dziewczyny, która siedziała obok mnie z nadgryzionym pierogiem?

— Ale przecież nie o tym chciałam z tobą pogadać. — Basia otrząsnęła się z zamyślenia. — I ty ze mną chyba także nie o tym. Wspominałaś, że masz kilka pytań. To która z nas zaczyna?

— Ty — poprosiłam, bo jeszcze nie mogłam dojść do siebie po jej wyznaniach i szczerze mówiąc, nie mogłam sobie przypomnieć, po co właściwie chciałam się spotkać.

— Dobrze, ja. A zatem chodzi o to, że Zoja wciąż płacze...

— Właśnie! — zawołałam. — O to samo mi chodziło! O tym chciałam pogadać. Że któregoś dnia przysłała do nas wieczorem i chyba płakała, a potem tata był smutny.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie, wreszcie Basia odzyskała głos.

— Zoja, jak pewnie wiesz, ma za sobą nieudany związek. Jeszcze do niedawna lizała rany po tych wszystkich rozstaniach i powrotach ojca Igora. Wytargał ją emocjonalnie i nie tylko, bo dochodziło też do rękoczynów, pewnie dlatego Zojka tak się mną zaopiekowała... ona dobrze знаła sińce pod oczami i kiedy zobaczyła mnie po raz pierwszy, nie musiała o nic pytać. W każdym razie oprócz poczucia bezpieczeństwa bardzo ważna jest dla niej pewność, że partnerowi można zaufać, że on jej nigdy nie okłamie...

— Tak? — zapytałam w oczekiwaniu na ciąg dalszy, bo moja rozmówczyni dziwnie zawiesiła głos.

— Tymczasem w ostatnich dniach dotarły do niej pewne... hm... rewelacje na temat twojego taty...

O mały włos nie huknęłam zuchwą o deskę rozdzielczą, tak mi opadła z impetem.

— Jakie znów rewelacje? — zapytałam z niedowierzaniem. — Na temat mojego ojca? Czy wyście poszalały? Na temat taty nie można opowiadać rewelacji, bo ma on tak bujne życie, jak... jak... — Zabrakło mi odpowiedniego porównania, więc rozglądałam się bezradnie, szukając wzrokiem czegoś, do czego można by porównać żywot mojego taty. — Jak pedał gazu. — Palnęłam. — To znaczy nie, w ogóle nie pasuje! Mój Boże, co ja opowiadam, jaki znów pedał! Po prostu wcale nie ma bujnego życia!

— No nie wiem — odparła Basia, przyglądając mi się z zainteresowaniem. — Z Zoją to oni mają całkiem interesujące pomysły i są dość otwarci na eksperymenty...

— Co to, to nie, o tym nie będziemy rozmawiać! — przerwałam jej stanowczo. — Ja to już prawie przepracowałam z moim terapeutą. Ale nie do końca. W każdym razie o Zoi nauczyłam się mówić bez nerwów, zaczynam ją lubić, wybaczyć, że tak otwartym tekstem, ale przyznaję, że miałam problem z faktem, że w życiu taty pojawiła się inna kobieta. Ale nie jestem gotowa na te inne tematy. Nie i już.

Dokończyłam pieroga i dyskretnie oblizyłam palce. Basia zrobiła to samo, popatrując na mnie z ukosa.

— Czy ja dobrze rozumiem? — zapytała wreszcie. — Wolalabyś, żeby twój tata był samotny?

— Nie, nie wolalabym. — Westchnęłam, bo ten temat, przewalkowany tyle razy w mojej głowie, zaczynał mnie już męczyć. — Ja wszystko wiem, pokaleczona w dzieciństwie, powtórka z rozrywki, znów nikt mnie nie pytał o zdanie i tak dalej. Kompleks Elektry i te klimaty, rozumiesz. Wszystko wiem, wszystko rozumiem. Już mi przeszło, zaczęłam się cieszyć, a Zoja okazała się naprawdę w porządku. Tylko nadal nie mogę sobie wyobrazić ojca w sytuacjach, że tak powiem, łóżkowych. Nie mogę i nie chcę.

— Okej. Przepraszam, że potrąciłam tę strunę.

— Wróćmy do tego, co najważniejsze. Jakich to niby rewelacji mogła się dowiedzieć twoja

„duchowa mama” na temat nudnego faceta, który poza szachami, działką i rowerem niczym się nie zajmuje?

— Nie wszystko zapamiętałam. Ale w skrócie to szło tak: podobno ktoś go widział z taką jedną blondyną z pieprzykiem w okolicach brwi. Całował ją i tulił, i wyglądał na zakochanego.

— To nie był tata.

— No właśnie to samo powiedziała Zoja. Ale ten ktoś, kto podobno widział, opisał Mariusza dość dokładnie i to na pewno był on.

— W takim razie to nie mogła być ta blondyna!

— Znasz ją? — Basia stała się czujna. — Cycata, pieprzyk koło brwi?

— Nie, daj spokój, źle się wyraziłam! — Machnęłam ręką. — Nie znam takiej blondyny, mam na myśli to, że takiego spotkania w ogóle nie było. Nie mogło być. Znam mojego ojca na wylot... No, prawie. W każdym razie niemożliwe. To plotka. Złośliwa plotka.

— Nie wiem. Może plotka, a może nie plotka. Bo na tym się nie kończy.

— A na czym się kończy, do licha?! — uniosłam się trochę, bo naprawdę nie mogłam już znieść głupot.

— Może wyśiądźmy i przejdźmy się trochę — zaproponowała Basia. — Widzę, że jesteś zdenerwowana. A w zamkniętym samochodzie ta zła energia się kłębi, nie ma ujścia i siłą rzeczy wejdzie we mnie. Skoczmy sobie do oczu.

Miałam powyżej uszu tych nawiedzonych teorii o dobrej i złej energii, cieniach, pradawnej kobiecości i tak dalej, ale posłusznie wysiadłam. Rzeczywiście od razu zrobiło mi się lepiej. Odetchnęłam głęboko i choć był to tylko parking przed Lidlem, z trzema rachitycznymi drzewkami, poczułam się jak na spacerze w parku.

— Opowiem wszystko po kolei — odezwała się Basia, kierując się w jakąś boczną uliczkę za sklepem. Poszłam za nią. — To było tak: na jodze taka jedna Grażyna powiedziała Zojce, że podobno któraś z jej przyjaciółek widziała ją z Mariuszem i zdziwiła się, że Zoja utleniła włosy. Zoja na to: „Nie, nie utleniłam, przecież widzisz, że są czarno-siwe”. „No widzę”, odpowiada Grażyna, „to w takim razie ta przyjaciółka musiała się pomylić, bo twierdzi, że widziała Mariusza z kobietą, bardzo zakochanego, i nawet chciała ci pogratulować, że masz taki udany związek...” Zoja pobladła i powiedziała dokładnie to samo co ty, no wiesz, że to nie mógł być Mariusz. Ale tamta na to, że to było w Myślęcinku, o ławkę oparty był żółty rower, Mariusz miał na sobie jasne sztruksy i oliwkowy polar, wszystko pasowało.

— To jest niemożliwe, słyszysz? — wysyczałam. — Mój ojciec nie jest taki. Nie! Jest! Taki! Niemożliwe.

— Ale ma żółty rower, jeździ do Myślęcinka i chodzi w sztruksach i oliwkowym polarze?

— Tak.

Zapadła cisza. Szłyśmy przed siebie bezmyślnie; gdyby wykopano przed nami pułapkę, na bank byśmy w nią wpadły. Na szczęście akurat nikt nie umieścił pułapki za Lidlem.

— To jeszcze nic — kontynuowała Basia, unosząc otwarte dłonie w obronnym geście, z niemą prośbą, żeby jej nie atakować. Bałam się tego, co jeszcze mogę usłyszeć. — Następnego dnia Zoja przyszła do pracy nieco skołowana, a że akurat wpadłam do „Miski mocy” po zapas kaszy jaglanej, opowiedziała mi o wszystkim. Pobeczwała trochę, ale ją pocieszyłam, że facetów z żółtym rowerem i w sztruksach może być wielu, no bez przesady.

— Dokładnie — mruknęłam.

— I wtedy do sklepu przyszła Martyna. To jest taka... Jak by to określić, dawna przyjaciółka Zojki. Jeszcze z czasów małżeństwa z Bernardem, naprawdę stare dzieje. Zupełnie inne klimaty, nie joga, rozwój duchowy, weganizm i te sprawy, tylko raczej grill, centra handlowe i ulubiona telenowela. Chwytasz różnicę?

— No jasne, chwytam.

— Więc Martyna wchodzi, rozgląda się niepewnie i mówi: „Słuchaj, Zoja, w imię dawnej przyjaźni muszę ci coś powiedzieć. Podobno masz faceta, tak?”. „Tak”, potwierdza Zoja, choć już przecież wcale nie jest pewna, czy go nadal ma. I patrzy na mnie tymi zażawionymi oczami, a ja już

wiem, że to będzie coś złego. Wiesz, czasem się to wyczuwa.

Przytaknęłam, zerkając na Basię. Ja też właśnie wyczuwałam coś podobnego.

— Już wal prosto w oczodoły — powiedziałam. — Chociaż wiem, że to też będzie jakaś bzdura.

— Mam nadzieję, że bzdura, że to się da jakoś wytłumaczyć — odparła Basia. — W każdym razie Martyna nie poznała nigdy Mariusza, więc nie mogłaby go opisać tak dokładnie, gdyby nie było w tej opowieści ziarna prawdy.

— Dawaj! — zażądałam. — Wykładaj kawę na ławę albo karty na stół, sama już nie wiem! Mów!

Ogarnął mnie wojowniczy nastrój, byłam gotowa się bić w obronie honoru mojego taty.

— Ktoś go widział w knajpie — rzuciła Basia. — Z facetem, do którego zwracał się per „Tadziu”.

Podobno obaj mieli już pająka. I twój tata zwierzał się temu Tadziowi, że ma dwie kobiety i nie może się zdecydować, bo jedna wprawdzie młodsza i bardziej w jego typie, ale ta druga, choć może starsza, a w dodatku nieco popieprzona, ma sklep ze zdrowym żarciem i mieszkanie, no i może to mieszkanie by się sprzedało, a jak nie, to przecież byłoby dla jego córki...

— Zaczekaj — powstrzymałam ją stanowczo. — Jakiego pająka? Ja nie rozumiem z tym pająkiem.

— Mieli pająka. No wiesz, kiedy przekroczysz pewien level w alkoholu i zaczyna ci się wydawać, że masz sześć odnóży i one są jakby giętkie...

— A, pająka. — Pokiwałam głową uspokojona. — Już rozumiem, sama czasem miewam. A teraz powolutku powtórz całą resztę.

Powtórzyła. Powolutku. Coś mi zaczynało świtać, choć jeszcze nie wiedziałam dokładnie, co by to miało być.

— Po pierwsze — odezwałam się po jakimś czasie, uświadomiwszy sobie, że moja rozmówczyni wpatruje się we mnie z nadzieją — to nie mógł być tata, bo tata nigdy nie mówi „popieprzona”. W naszej rodzinie ja jestem od brzydkich słów. Tata jest językowo łagodny jak baranek na rzeź prowadzony. Albo jakoś tak, wszystko mi się płacze z nerwów i mówię jak Iga. Iga to moja przyjaciółka, musisz ją kiedyś poznać.

W całym swoim zdenerwowaniu plotłam kompletnie bez sensu, a najgorsze było to, że nie umiałam tego opanować.

— A po drugie? — zapytała Basia.

— Po drugie, owszem, ojciec ma znajomego o imieniu Tadzio. Albo raczej miał. To był znajomy od łowienia ryb, a że rybka lubi pływać...

Umilkłam, bo nagle mnie olśniło. Od paru minut nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie, w jakiej rozmowie i w jakich okolicznościach wypłynął ostatnio temat Tadzia. I właśnie sobie przypominałam! To ja opowiadałam o Tadziu, że tata miał takiego kumpla i zdarzało im się zajrzeć do kieliszka, ale to już przeszłość... a mówiłam o tym nie komu innemu, jak... Igorowi!

Chwileczkę, musiałam to przemyśleć, żeby nie chlapnąć czegoś, z czego musiałabym się później tłumaczyć! Podczas naszego pamiętnego spotkania w „Fanaberii” opowiadałam sporo o tacie. Igor zadawał mi zresztą mnóstwo pytań; teraz dopiero uświadomiłam sobie, że po prostu ciągnął mnie za język. Po tym, jak odmówiłam udziału w jego „ustawce”, stał się bardzo rozmowny, a ja głupia sądziłam, że to skutek spożycia wina! Powiedziałam mu o wyjazdach do Myślęcinka, zapytał nawet o markę roweru, a potem o kolor, że niby miał podobny. A to dziad zafafluniony! A to dupek żołądny! Tak mnie podejść!

Nie mogłam zrozumieć, jak tego dokonał, w jaki sposób zdołał osiągnąć taki stopień nasycenia plotkami otoczenia Zoi, żeby te „wieści” dotarły do niej tak prędko.

I właściwie dlaczego? Teraz, kiedy już okazało się, że podły synalek Zoi zrealizował swój plan, a ja bezwiednie mu w tym pomogłam, zadałam sobie pytanie: właściwie dlaczego tak bardzo mu zależy, żeby mojemu tacie i Zoi się nie powiodło? Przecież to Zojka ma się wprowadzić do nas, a nie na odwrót. Logiczne byłoby, gdybym to ja znacznie bardziej buntowała się przeciw temu związkowi.

— Zaraz, zaraz — powiedziałam ostrożnie, pilnując się, żeby nie wypowiedzieć imienia „Igor”.

— Powiedz mi jedną rzecz. O co chodzi z tym mieszkaniem? Przecież nie ma takiej opcji, żeby

mieszkanie Zoi było dla mnie.

— No jak to? Oczywiście, że jest! — zawołała Basia. — Przecież oni cały czas się nad tym naradzają. Czekaj, a może to miała być niespodzianka? Ale nie, chyba nie — uspokoiła samą siebie. — Pamiętam na pewno, że była taka rozmowa, mieszkanie miało zostać wynajęte, a pieniądze miały dostawać kolejno dzieci. Czyli my. No wiesz, w jednym miesiącu Igor, w drugim ty, w trzecim ja. Ale ja wtedy zaprotestowałam, bo mogę sobie być duchową córką Zoi, ale rodzoną nie jestem; nie wezmę już od niej ani grosza, dość mi pomogła i ja nie zdołam spłacić tego długu do końca życia. Potem Zoja zapytała Mariusza, co będzie, jeśli się z Agatką nie dogada, jeśli źle wam będzie we trójkę pod jednym dachem. Twój tata powiedział, że w ogóle nie ma takiej możliwości, bo ty jesteś cudowna, dobra i generalnie zgodna, chociaż choleryczka. Ale że to lepiej, bo się nie obrażasz, tylko wybuchasz i od razu jest dobrze. Zoja na to, że trzeba być przygotowanym na różne sytuacje i że w razie czego mieszkanie będzie dla ciebie, a nie do żadnego wynajmu. I tyle.

Musiałam to wszystko w spokoju przetrwać. Rozumiałam już, dlaczego Igor był tak bardzo przeciwny małżeństwu matki. Zapewne nie miał, jak ja, milionów w zanadru. I właśnie ktoś mu chciał sprzątnąć sprzed nosa mieszkanko.

— A gdzie on właściwie mieszka? — zapytałam.

— Kto?! — Wytrzeszczyła oczy Basia.

Zorientowałam się, że ona nie ma pojęcia, co się kotłuje w mojej głowie.

— Syn Zoi — wyjaśniłam. — Bo powiedziałaś, że dostawalibyśmy te pieniądze na zmianę i to wydaje mi się sprawiedliwe. Natomiast gdybym ja miała dostać mieszkanie, to już nie bardzo.

— On ma kawalerkę — wyjaśniła ponuro Basia. — Matka mu kupiła na kredyt, w ubiegłym roku dopiero skończyła spłacać.

Zerknęłam na nią zdziwiona, bo zabrzmiało to naprawdę grobowo.

— To przeze mnie — wyjaśniła, widząc moje spojrzenie. — Kiedy Zoja mnie przygarnęła, zamieszkałam z nimi w tym mieszkanku... Widziałaś, jak tam jest? Kiedyś były dwa pokoje, ale Zoja nie znosiła swojej maleńkiej kuchni, więc wyburzyli ściankę, został im jeden pokój, no i ta wspaniała jadalnia-kuchnia. Spaliśmy na podłodze, na takich fantastycznych materacach, wszyscy troje w jednym pokoju. Dla mnie to miało niesamowity urok, ale rozumiem, że Igor mógł nie być zachwycony.

Wcale mnie to nie dziwiło. Mówiąc szczerze, uznałabym za nienormalne, gdyby facet w jego wieku...

— A właściwie kiedy to było? — zapytałam.

— Cztery lata temu. Rok przed moją maturą.

Zamyśliłyśmy się obie. Nie miałam pojęcia, o czym myśli Basia; co do mnie, usiłowałam sobie wyobrazić Igora, wówczas faceta w wieku lat trzydziestu, mieszkającego w jednym pokoju z matką i obcą osiemnastolatką. Po raz kolejny już pomyślałam, że synowi Zoi bardziej niż mnie przydałby się terapeuta. Było mi go trochę żal. Mimo że go nie lubiłam, bo okazał się kłamliwą szują.

— Nie gniewaj się, że o to zapytam — zaczęłam ostrożnie, zwracając w stronę samochodu. — Dorosły facet i podłotek, to się aż prosi o chemię... Nie było między wami... No wiesz?

— Było — potwierdziła i od razu zastrzegła: — Tylko nie mów Zoi, bo byłaby na niego wściekła. Igor mnie, no wiesz... rozdziewiczył.

A widząc moją zniesmaczoną minę, dodała uspokajającym tonem:

— Nie miałam nic przeciwko temu. Mówiąc szczerze, zakochałam się w nim po uszy. Wiesz, to był taki dziwny moment w moim życiu. Wyobrażałam sobie, że jestem już dorosła. Mama umarła, a ja podjęłam pierwszą samodzielną decyzję i była nią ucieczka z domu. Takie rzeczy naprawę dają kopa...

— To prawda. — Pomyślałam o moim trzaśnięciu drzwiami przed laty w Dęblinie. Ach, jakąż dorosła i niezależna się wtedy poczułam!

— Ale jak się pewnie domyślasz, z jego strony nie było w tym uczucia. Dobrze się bawił, bo byłam... jak to określił... ciepłutka i miła w dotyku. Mnie z kolei nie bardzo odpowiadała rola maskotki, szybko mi przeszła ta pierwsza miłość. Zaczęliśmy się ze sobą ścierać, chyba trochę rywalizowaliśmy o Zoję. Igor stał się bardzo wrogi w stosunku do mnie, zaczął na mnie mówić „Pasożyt”. Już miałam uciec,

gdy Zoja wymyśliła, że właściwie to bardzo dobrze się składa, bo najwyższa pora, żeby Igor się usamodzielniał. Kupiła kawalerkę na kredyt, ona spłacała raty, on sobie płacił tylko miesięczne opłaty, rozumiesz. Teoretycznie to jest jej mieszkanie, ale wiadomo, że przepisze je na syna. Natomiast to, w którym mieszka obecnie, ma być twoje.

— Dziękuję uprzejmie — odparłam, pilnując się, żeby nie chlapnąć o wygranej Igi, bo ślubowałam dochowanie sekretu. — Mnie żadnego mieszkania nie trzeba.

— Ale to też nie może być tak, że ty zostajesz z niczym — sprzeciwiła się Basia, co policzyłam jej bardzo na plus.

Przypomniałam sobie, jak Iga wybrnęła z pomysłu dalszego wspólnego mieszkania z rodziną, kiedy wygrała tę swoją fortunę. Wystarczy wymyślić sobie faceta.

— Nie martw się o mnie — powiedziałałam poufałym szeptem. — Ja mam kogoś, u kogo mogę zamieszkać. To już i tak była tylko kwestia czasu. Muszę im to powiedzieć, Zojce i tacie, żeby się o mnie nie martwili. O ile jeszcze będą razem.

Zasmuciłyśmy się obie, bo wróciła do nas szara rzeczywistość: oto dwoje ludzi, których kochałyśmy i którym po latach miłosnej posuchy zaczynało się układać w sprawach sercowych, miało kłopoty, a my nie miałyśmy pojęcia, jak im zaradzić. Przez chwilę zastanawiałam się, czy mogłabym wyznać Zoi prawdę, ale przypomniałam sobie, że przyrzekłam Igorowi zachować nasze spotkanie w tajemnicy.

— Pogadaj z tatą, dobrze? — poprosiła Basia, kiedy wsiadłyśmy do auta i ruszyłyśmy z parkingu. — Ja sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony nie bardzo rozumiem, po co ktoś miałby kłamać, wymyślać takie rzeczy. Z drugiej... powiem ci szczerze: polubiłam Mariusza i byłoby mi diabelnie żal, gdyby on okazał się draniem, a ta ich miłość miała się rozsypać w tym miejscu.

— Nie rozsypie się — zapewniłam ją. — Moja w tym głowa. I zapamiętaj: mój tata nie jest draniem.

Mój głos brzmiał bardzo pewnie, ale mówiąc szczerze, kompletnie nie wiedziałam, jak zabrać się za naprawianie tego, co zepsuł wredny Igor.

W piątek Grzegorz przywitał mnie ponurym milczeniem i spojrzeniem podpuchniętych oczu.

— Wiem — powiedziałam szybko. — Pan nie ma czasu na dyrdymały. Pewnie czytał pan mój list do czwartej nad ranem i dlatego teraz pan wygląda jak z krzyża zdjęty. Ale sam pan chciał, żebym opowiedziała, czego dowiedziałam się od Basi.

— Naprawdę tak źle wyglądałam? — zaniepokoił się Kapinos, wyciągnął komórkę, włączył aparat na tryb selfie i przejrzał się jak w lusterku.

Złapał moje zdziwione spojrzenie i zarumienił się gwałtownie.

— Siostry mnie nauczyły, że tak się teraz robi — wyjaśnił. — A co do pani listu, to rzeczywiście, był dość obszerny, ale to przecież bardzo dobrze, prosiłem, żeby pisała pani o wszystkim, co pani przeżywa.

— Ale jak ja to wszystko teraz odkręcę, panie Grzegorzu? — Załamałam rękę.

— Pani? A dlaczego pani miałaby cokolwiek odkręcać? To nie pani narozrabiała.

— Trochę także ja. W każdym razie maczałam w tym palce.

— Może odrobinę — przyznał. — Ale odkręcanie naprawdę nie należy do pani, pani Agato.

Przyjrzałam mu się uważnie. Zdecydowanie nigdy dotąd nie wyglądał tak źle.

— Pan jest chory? — zapytałam. — Coś się stało?

Patrzył na mnie przez chwilę i mrugał podejrzanie.

— Nie, nie — powiedział szybko. — To tylko nieprzespana noc. Synek siostry jest chory, a ja tam u nich akurat nocowałem. Ale wróćmy do sprawy Zoi i ojca. Jak pani sądzi, czy w tych opowieściach może być ziarno prawdy?

— Czy pan zwariował?! — zapytałam, kompletnie wstrząśnięta. — Absolutnie, nie i nie! Wyjaśnię to jeszcze raz: Igor wykorzystał informacje o ojcu, które mu sama, idiotka jedna, przekazałam. Oczywiście wygląd mógł opisać bez problemu, bo po prostu zna tatę, widywał go już wcześniej, natomiast wszystkie te rewelacje o Tadiusi, kolor roweru, Myślęcinek i tak dalej to już, niestety, pokłosie naszego spiskowania.

— Ale ja pytam o coś zupełnie innego — zauważył spokojnie Grzegorz. — Sama pani mówiła, podczas jednej z naszych pierwszych sesji, że wcześniej dałaby się pani pokroić za to, że ojciec nie poradziłby sobie bez pani. Więc teraz może dałaby się pani pokroić za to, że tata jest wierny Zoi, a tymczasem...

— To jest całkiem inna historia. Pan nie rozumie? Zupełnie jakby mnie pan pytał, czy istnieje możliwość, że Ziemia jest płaska jak naleśnik. To trzęsie fundamentami tego, co wiem o świecie, rozumie pan? Mój tata nie może być sukinsynem. Dla mnie taka opcja nie istnieje.

Kapinos zrobił duże oczy.

— Przepraszam za wyrażenie — dorzuciłam. — Ja jestem dość odważna językowo.

— Tak, wiem. Zauważyłem.

Przez kilka sekund mierzyliśmy się wzrokiem. Potem Grzegorz westchnął i spróbował się uśmiechnąć.

— Pani Agato droga — powiedział, a mnie zrobiło się ciepło w okolicach serca. — Rozumiem i szanuję pani stanowisko. Teraz ważniejsza sprawa: jak wybrnąć z tego galimatiasu. Jak już powiedziałem, pani tu niczego nie odkręci. A przede wszystkim absolutnie nie wolno pani rzucać nawet cienia podejrzenia na Igora. Zoja prawdopodobnie nie dostrzeże i być może nigdy nie dostrzeże, że jej syn to kawał rozpieszczonego bubka. A pani jest ostatnią osobą, która powinna jej otworzyć oczy. Gdyby pani to zrobiła, Zoja znenawidziłaby panią i już nigdy nie byłoby dobrze między nią a tatą.

— Dlaczego? — Nie mieściło mi się to w głowie.

— Tak działa tak zwany dysonans poznawczy — wyjaśnił Grzegorz strasznie przemądrzałym tonem. — Kochająca matka nie może przyjąć, że jej dziecko jest draniem, ponieważ to obniża jej samoocenę, a w konsekwencji prowadzi do złego samopoczucia. Dlatego nawet mając przed sobą

ewidentne dowody jego winy, rodzic zinterpretuje je na korzyść dziecka. Innymi słowy, jeśli stanie pani między nią a Igorem, Zoja zawsze podświadomie wybierze Igora, a panią będzie postrzegać jako mąciwodę.

— Czyli co? Zostawić sprawy własnemu biegowi?

— Tak. Moim zdaniem Mariusz... Przepraszam, może to nadmierna poufałość, ale przez te pani opowieści odnoszę wrażenie, jakbym doskonale znał całą pani rodzinę... No więc Mariusz musi sobie sam poradzić z oszczerstwami. Jeśli nie ma nic na sumieniu, to da radę.

Miałam co do tego pewne wątpliwości, ale Grzegorz mówił dalej:

— Tymczasem pani musi się skupić na własnych sprawach. A konkretnie na spotkaniu z matką.

Rozmawialiśmy ponad trzy godziny. Grzegorz zaparzył nam po kubku herbaty, a ja miałam akurat w torebce ciasteczka owsiane. Ustaliliśmy, co następuje: tak jak wcześniej zaplanowałam, pojedę do Dębina i prześpię się w hotelu. Następnie zaproszę mamę na obiad do restauracji. Pod żadnym pozorem nie przyjmę zaproszenia do niej do domu. To mi da, tak powiedział Kapinos, poczucie przewagi. Ja dyktuję warunki tego spotkania, ja jestem gospodarzem, a mama gościem. Idąc do mamy do domu, postawiłabym się w zupełnie odwrotnej roli: osoby, która niespecjalnie ma coś do powiedzenia, którą wprawdzie pyta się o zdanie, ale jedynie z czystej kurtuazji.

Nigdy bym o tym nie pomyślała; jak to jednak dobrze, że miałam Grzegorza. Napisałam do mamy, zaproponowałam datę, ona odpowiedziała, że jej nie pasuje, ponieważ jedzie do Warszawy na jakąś umówioną wizytę lekarską, zaproponowała inny dzień, ja się zgodziłam i już. Szybko, chłodno, bez emocji.

W domu zagadnęłam tatę, czy ma coś przeciwko temu, żebym w pierwszych dniach grudnia wzięła urlop i poszwendowała się trochę po Polsce. Nie miał, choć wyraził zdziwienie terminem. Widziałam jednak, że pochłaniają go problemy z Zoją i chyba nawet nieszczególnie przejął się tym, że będzie musiał sobie sam radzić w zakładzie. Poprosił jedynie, abym nie umawiała mu sesji ciężowych. Było to tak oczywiste, że aż się zaniepokoiłam o stan jego umysłu.

— Jak tam sprawy z Zoją? — zapytałam przy sobotnim śniadaniu. — Wszystko się wyjaśniało?

Rzucił mi takie nieprzytomne i smutne spojrzenie, że serce pokroiło mi się w talarki.

— A skąd ty właściwie wiesz, że jest coś do wyjaśniania? — zapytał.

— No, widziałam ją przecież, wiesz... — kręciłam. — Wtedy gdy przyszła wieczorem i prawie płakała.

Tata przyglądał mi się w milczeniu.

— Rozmawiałam z Basią — wyznałam w końcu. — Opowiedziała mi, o co cię oskarżają te głupie baby.

— Nie wiedziałem nawet, że znasz Basię — zdziwił się tata. — Ona rzadko teraz bywa u Zojki, ma dość roboty u siebie na wsi.

Teraz z kolei mnie ogarnęło zdziwienie.

— Na jakiej wsi? To ona nie mieszka w Bydgoszczy? Mówiła mi, że codziennie rano wozi gdzieś pierogi...

— Tak, lepi i rozwozi, ma chyba ze trzy takie miejsca... Ale mieszka na wsi, jakoś w stronę Szubina. To bardzo wartoś-ciowa dziewczyna, wiesz? Ale gdzie ty ją właściwie poznałaś?

— Na tych warsztatach kulinarnych — ucięłam, bo bałam się, że jeśli tata będzie mnie dłużej wypytywał, chlapnę coś o Igorze. — A wracając do tematu, wydaje mi się, tato, że ty powinieneś rozegrać tę sprawę niewzruszonym spokojem i godnością osobistą. Rozumiesz? To znaczy... o ile nie masz sobie nic do zarzucenia.

— Oczywiście, że nie mam! — oburzył się.

— W takim razie chyba powinieneś poprosić o konfrontację. Niech na przykład Zoja zaprosi na obiad tę koleżankę, co to niby widziała cię z blondyną.

— Z pieprzykiem — uzupełnił ojciec.

— No właśnie, z pieprzykiem. Niech ją zaprosi i niech ta koleżanka opowie dokładnie, kiedy to było, gdzie i tak dalej.

— Po co? — nie rozumiał tata.

— Bo skoro ty mówisz prawdę, to ona musi kłamać! — oświadczyłam, unosząc triumfalnie palec. — Więc albo zacznij kręcić co do miejsca, albo poda jakąś bzdurną datę i na przykład się okaże, że w tym dniu byłeś z Zojką na działce, albo ewentualnie ta kobieta widziała kogoś zupełnie innego, a wówczas powie: „O rety, przepraszam, to był ktoś strasznie podobny, ale jednak nie Mariusz”.

— A jeśli nie? — zapytał tata. — Jeśli ona powie: tak, nie myliłam się, to byłeś ty? I poda datę, która z niczym nie będzie się wiązała, no wiesz, nie będę miał alibi? Ja będę twierdził, że ona kłamie, a ona mi zarzuci kłamstwo. Słowo przeciwko słowu. To co wtedy?

— Nic wtedy — odparłam. — Bo to ty jesteś po jasnej stronie mocy. Więc przestań panikować. Prawda wyzwala, czy jakoś tak, to było w jednej książce, ale nie pamiętam tytułu.

— Chyba w Biblii — zauważył tata, prawdopodobnie jednak też nie był tego pewien, bo od razu zmienił temat.

Strasznie chciałam opowiedzieć Idze o całym tym cyrku z Igorem, ale po sobotnich rozgrywkach w *Carcassonne*, kiedy Rafał akurat zbierał się do wyjścia, rozległo się pukanie do drzwi. Okazało się, że z wieczorną wizytą wpadła do córki mama z nieodłącznym Beniemi. Natychmiast zerwałam się z fotela i udałam, że muszę wracać do domu. O ile nawet lubiłam panią Marzec z całym tym jej brakiem taktu i koszmarną gadatliwością, o tyle Benedykt działał mi na nerwy. Zarówno buldożkowatymi zębami, wечно wyszczerzonymi w uśmiechu, jak i zamięłowaniem do opowiadania dowcipów.

— Iguś! Jak ty pięknie wyglądasz! — zawołała mama Igi, całując córkę w oba policzki. — I piersi ci nareszcie urosły.

Iga rzuciła mi błagalne spojrzenie z gatunku „Zabierz mnie stąd”. Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się do niej na pocieszenie. Nie mogłam jej pomóc. Przecież to, że zostanę i razem z nią wysłucham paru sucharów, na nic się nie przyda. A jeśli ucieknę, to przynajmniej jedna z nas zachowa względną równowagę umysłową. Założyłam buty w nadziei, że zdążę wyjść, zanim Benio zdecyduje się, od czego zacząć wieczorne show.

— Przychodzi baba do lekarza — usłyszałam. Jak widać, nie zdążyłam. — I mówi: „Panie doktorze, co robić, żeby mieć większy biust?”. Lekarz na to: „Proszę wziąć kawałek papieru toaletowego i codziennie przez kilkanaście sekund pocierać w rowku między piersiami”. „A to pomoże?” „Nie wiem”, odpowiada lekarz. „Ale moja żona tak robi między pośladkami i działa”.

Wyszczerzył radośnie zęby, co niewątpliwie znaczyło, że czeka na naszą reakcję. Wojtek zakwiczał dziwnie, ale rzucił spłoszone spojrzenie Idze i czym prędzej oddalił się do kuchni, żeby przetrzeć kieliszki. Benio zawsze wpadał „na jednego” — z tego, co wiedziałam, była to tylko figura retoryczna, bo nigdy nie kończyło się na jednym.

— To my już pójdziemy — powiedział prędko Rafał, jakby w obawie, że za chwilę będziemy zmuszeni wysłuchać kolejnego dowcipu. — Do widzenia.

Wyszliśmy, a właściwie prawie wybiegliśmy.

— Przyjechałaś samochodem? — upewnił się.

— Tak. Zaparkowałam pod sklepem. — Wskazałam moje auto. Przed domem Igi nigdy nie było miejsca, bo parkował tam dostawczy samochód Wojtka.

— A ja dzisiaj autobusem — powiedział Rafał. — Mój pierdzigrosik zaczyna szwankować, poszedł do naprawy. Kumpel ma warsztat.

— Wsiadaj, podrzucę cię.

Uśmiechnął się, jakby zawstydzony, że przyjmuje moją propozycję. Kiedy wsiadał i zapinał pas, musiałam przywołać w myślach słowa Grzegorza Kapinosa: nie wolno mi flirtować, mam szlaban na miłość. Poza tym Rafał jest smarkaty, a ja szukam dojrzałego mężczyzny. No i ostatnie: to, co czuję, co zaczynam czuć, to nie jest zakochanie. Jestem po prostu uzależniona od motyli w brzuchu. Czy jakoś tak.

— Co tam u was? — zapytałam. — Znaleźliście opiekunkę dla Kornelki?

— Nie — odparł krótko. — Jest cała masa chętnych studentek, ale one mają na ogół czas po południu albo wieczorami. A ja właśnie potrzebuję kogoś między dziesiątą a na przykład szesnastą. Idealnie byłoby do osiemnastej, ale te dwie godziny mała już mogłaby spędzać pod opieką taty, poradziłby sobie. No ale nic, szukamy dalej. Tata jedzie do sanatorium, dobrze się stało, że mama wzięła teraz urlop. Problem w tym, że...

Urwał i potarł palcami powieki.

— Co się stało? — zapytałam. — No mów, przecież widzę, że masz zmartwienie.

— Nie wiadomo, czy będzie miała do czego wrócić — wyjaśnił. — No wiesz, mama.

Głos mu drżał, najwyraźniej od powstrzymywanych łez, nie pytałam więc o nic; pomyślałam, że gdy ochłonie, sam powie. Wiedziałam, że pani Mościcka pracuje w sklepie obuwniczym. Dlaczego miałyby nie mieć dokąd wrócić po urlopie?

— To jest zwykły sklep, nie żadna sieciówka — podjął Rafał, zupełnie jakby słyszał moje myśli. — I chodzą słuchy, że po pierwsze, właściciel chce wyprzedać obuwie i przerzucić się na kosmetyki, a po drugie, zamierza odmłodzić kadrę. Bo wiesz, do szminek i tych innych błyszczaków to moja mama nie bardzo się nadaje.

Pokiwałam głową.

— I co zrobicie? — zapytałam cicho.

— Nie wiem. Zawsze zostaje jeszcze kasa w Tesco albo Biedronce.

Nie miałam pojęcia, ile zarabia kasjerka, ale z pewnością nie tyle, ile potrzeba było tej rodzinie. Renta pana Mościckiego była symboliczna, a Kornelka rosła, jej potrzeby także. Dobrze chociaż, że Rafał nieźle zarabiał u Igi, a w związku z planowanym rozwojem firmy szykował mu się awans.

— Czym właściwie masz się zajmować u Wojtka? — zapytałam, żeby odwrócić jego uwagę od smutnych spraw. — I w ogóle kiedy to wszystko rusza, ta wasza rewolucja?

— To nie będzie rewolucja, raczej ewolucja — odparł z uśmiechem. — Będziemy projektować ogrody i realizować te projekty. Kompleksowo, już nie tylko meble ogrodowe, ale także ścieżki, fontanny, murki, no i rośliny. Wiesz, że Iga dostała kota na punkcie kwiatów. Całymi dniami siedzi i projektuje rabaty kwiatowe. Jakimś cudem prawie nie przekręca nazw.

— Nie wierzę.

— Serio.

Zaczęliśmy się śmiać, jakby to, że właśnie nie przekręca, było znacznie śmieszniejsze niż jej językowe wynalazki.

— Ale tytuły nadal zmienia — powiedział jeszcze Rafał. — Ostatnio mówi: „Musimy mieć budynek gospodarczy, będzie można robić rozsady, bawić się w zapyłanie pędzelkiem, może wyhodujemy nowe odmiany liliowców. Widziałam takie coś w telewizji”. Ja na to, że chętnie bym obejrzał taki program ogrodniczy, a ona mi podaje tytuł *Pszczola w sadzie*. Kojarzysz?

— No jasne — odpowiedziałam. — Zapominasz, że znam ją od dziecka. To musiała być *Maja w ogrodzie*, mam rację?

— Masz. — Usłyszałam podziw w jego głosie. — Dobra jesteś. Ja niektórych rzeczy za cholere nie mogę odgadnąć. Któregoś dnia rozmawialiśmy o książkach, wiesz, chciałem coś poczytać, a Iga mi poleca *Nic nowego*. O przyjaźni, powieść pacyfistyczna. Co ja się nachodziłem po wypożyczalniach. Wreszcie jedna bibliotekarka rozgryzła, że musi chodzić o *Na zachodzie bez zmian*. Coś niesamowitego, jaki skrót myślowy... Zresztą wiesz, jak to u niej działa.

— Wiem — roześmiałam się i zahamowałam, bo dojechaliśmy właśnie na Osiedle Leśne. — Nigdy nie zapomnę, jak mówiła, że jej ulubiona postać literacka to Shirley Cherlak. Rozumiesz, Sherlock Holmes. No, jesteśmy. Ukochaj ode mnie Kornelię. I pamiętaj, gdybym mogła na coś się przydać, to ja zawsze z dziką radością się nią zaopiekuję.

— Wiem. Pamiętam. — Rzucił mi takie spojrzenie, że niegdysiejsze muśnięcie rękawa zeskoczyło na drugie miejsce w kategorii najczulszych momentów naszej znajomości. — Do zobaczenia, Agata. Dziękuję za podwózkę.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłam, gdy weszłam do domu, było włączenie komputera i napisanie listu do Grzegorza. Czułam, że jeśli tego nie zrobię, pograżę się w myślach o Rafale — a tego przecież nie wolno mi było robić. Szlaban to szlaban.

Kiedy już opisałam wszystko: co robiłam i co czułam podczas spotkania z przyjaciółmi, wyłączyłam laptopa i wyteżyłam słuch. Za ścianą ktoś był. Kilku ktosiów. Pochłonięta własnymi sprawami, nie zauważyłam nawet, że drzwi od pokoju taty są zamknięte — a zwykle były otwarte na oścież.

Po cichutku wyszłam na korytarz. Nie, nie myliłam się — ktoś coś mówił, a ktoś inny płakał. I tym innym ktosiem był — o niebiosa! — mój ojciec! A przecież prawdziwy mężczyzna nigdy... Nie mogłam na to pozwolić!

Nie bacząc na to, że zachowuję się okropnie nietaktownie, wparowałam do ojcowskiej sypialni. Tata siedział przy swoim małym biurku, Zoja na łóżku. Byli kompletnie ubrani, na szczęście. Ona miała szaleństwo w oczach i okropnie potargane włosy, jakby je szarpała w nerwach, a on chlipał i z tymi czerwonymi oczami wyglądał zupełnie jak królik.

— Co się stało? — zapytałam, patrząc z wyrzutem na Zoję, bo nigdy jeszcze nie widziałam taty w takiej rozsypce.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Zresztą przecież wiedziałam, co się stało.

— Zostaw nas samych — poprosił miękko tata, ale nie posłuchałam.

Usiadłam obok Zoi na łóżku, gorączkowo zastanawiając się, jak im pomóc. Po pierwsze, przysięgłam na zdrowie taty, że nic im nie powiem o spotkaniu w „Fanaberii”. Po drugie, Grzegorz zabronił mi wyznać prawdę; ujawniając, że to podły Igor stoi za całą intrygą, mogłam tylko zrazić do siebie przyszłą macochę. Ale nagle niczym błyskawica przeleciało mi przez głowę, że mogłam przecież wziąć winę na siebie!

— To ja między wami namieszałam! — palnęłam, zanim jeszcze zdążyłam to przemyśleć. — To moja sprawa! Powinam się teraz cieszyć, ale wcale się nie cieszę, bo... Bo w międzyczasie zdążyłam cię polubić — zwróciłam się do Zoi, która patrzyła na mnie w osłupieniu, a z jej szeroko otwartych oczu po cichutku popłynęły łzy jak grochy.

— O czym tym mówisz, Agatko? — zapytał tata słabym głosem.

— Wymyśliłam to wszystko, nakłamałam — powiedziałam szybko, żeby nie zdążyć się rozmyślić. — Że masz jakąś blondynę i że się wahasz, którą wybrać, ale chyba wybierzesz Zoję, bo ma mieszkanie i ono będzie dla mnie. Rozumiecie? Byłam zazdrosna jak wszyscy diabli! Myślałam, że jestem dla ciebie najważniejsza na świecie, a tymczasem okazało się, że... jak... To jak z Królową Śnieżką. Pojawiła się zła królowa i...

— Ale Zoja nie jest jak zła królowa — wyszeptał tata w najwyższym zdumieniu. — Co ty wygadujesz, dziecko?

— Nie jest — potwierdziłam, poklepując dłoń Zoi, zaciśniętą kurczowo na rąbku narzuty zdobiącej łóżko taty. — Teraz już o tym wiem. Ale przedtem nie wiedziałam. Panicznie się bałam, że staniesz się dla mnie... Zresztą sama nie mam pojęcia, czego dokładnie się bałam. Ale przestałam się bać. Znalazłam dobrego psychologa, chodzę na terapię, wszystko sobie poukładałam. Już nawet zdążyłam zapomnieć o całej sprawie, chyba myślałam, że to nigdy nie wypłynie.

— Wypłynie — powtórzyła Zoja z odrazą. — Jak możesz tak lekko o tym mówić?

Wstała i poprawiła włosy. Nie patrzyła na tatę, a ja bardzo chciałam, żeby spojrzała. Wiedziałam, że on także na to czeka.

— Lepiej już pójdę — powiedziała. — Nie mogę... Nie mogę znieść myśli, że stałam się obiektem nienawiści. Z tym nie umiem sobie radzić. Ale może kiedyś... się nauczę.

Machinalnie zrobiła kilka kroków, podeszła do drzwi i delikatnie zamknęła je za sobą. Tata nadal siedział przy biurku.

— Idź za nią, tato — szepnęłam. — Na co czekasz?

Zerknął na mnie niepewnie.

— Naprawdę to zrobiłaś? — zapytał.

— Porozmawiamy później — rzuciłam, łykając łzy. — A teraz idź.

Pomysł, żeby wziąć wszystko na siebie, nie wydawał mi się już taki sprytny. Co więcej, zdawał się kompletnie idiotyczny. Tyle że chwilowo było za późno, aby się wycofać. Tata wyszedł, a ja padłam na jego łóżko i zanosłam się płaczem.

Żeby nie zwariować i nie udusić się od napięcia, które przepełniło mnie po wyjściu taty, popłakałam sobie trochę, po czym usiadłam do laptopa i opisałam całe zdarzenie Grzegorzowi. Jak mogłam kiedyś żyć bez tych listów? Teraz nie wyobrażałam sobie bez nich życia. „Pewnie tak samo by to działało, gdybym prowadziła pamiętnik”, pomyślałam; ale zaraz potem poprawiłam się w myślach: „Nieprawda, nie tak samo”. List to jednak list, ma adresata, z którym trzeba się liczyć. Siłą rzeczy starannie dobierałam słowa, pisząc do Grześka, bo przecież wiem, że wszystko, co napiszę, będziemy potem omawiać w jego gabinecie. Poza tym — nawet jeśli niechętnie przyznawałam się do tego sama przed sobą — starałam się okazać mądrzejsza i dojrzała, niż byłam w rzeczywistości. Z jakiegoś powodu zależało mi na dobrej opinii mojego terapeuty.

Bardzo nie chciałam być sama tego wieczoru, ale przecież nie mogłam zwalić się znowu Idze na głowę. Rafał także odpadał, już nawet nie dlatego, że Kapinos zabronił; po prostu doskonale wiedziałam, że chłopak ma w domu swoje obowiązki.

— Czy naprawdę nie mam więcej przyjaciół? — wyszeptalam do samej siebie w lustrze. — Co się ze mną stało? Kiedyś potrafiłam nie wracać do domu przed północą, a każdy wieczór spędzałam z inną paczką znajomych. Tylko co warte były te znajomości, skoro z taką łatwością zrezygnowałam z nich po rozstaniu z Krzyśkiem? Czy brakuje mi konkretnych osób, czy za kimś tęsknię? Nie. Grzegorz pewnie powiedziałby, że imprezując, zabijam pustkę. Miałby rację.

A jednak w owej chwili bardzo potrzebowałam zrobić dokładnie to: zabić pustkę. I nie miałam nikogo, kto by się ze mną napił wina. Nikogo, kto by mnie wysłuchał i powiedział: „Dobrze postąpiłaś”. Albo kto by mnie kopnął w tyłek, bo postąpiłam głupio, a potem pocieszył i powiedział, jak wszystko naprawić.

Gdybym była troszkę odważniejsza, z pewnością wybrałabym numer mojego uszatego terapeuty i poprosiła, żeby się ze mną spotkał w jakiejś knajpce. Na szczęście jednak uchowały się we mnie jakieś resztki dobrego wychowania i zamiast tego wybrałam numer Basi.

— Cześć. Mam kłopoty — oznajmiłam. — Jestem sama i bardzo potrzebuję rozmowy. A ty jesteś wiedźmą albo prawie wiedźmą, co w tej chwili na jedno wychodzi, więc będziesz wiedziała, co zrobić.

— Agata, to ty? — upewniła się Basia odrobinę zaspanym głosem. Widocznie bardzo wcześnie kładła się spać. — Coś się stało?

— Tak, stało. Ale musiałabym ci to opowiedzieć po kolei, powoli i z dygresjami... Bo przez telefon to nie bardzo.

— Okej — powiedziała spokojnie. — Albo ty przyjeżdżasz do mnie, albo ja do ciebie. Nie ukrywam, że wolałabym to pierwsze, bo jestem już w piżamie. Mieszkam sama, więc jeśli będziesz chciała, to możemy gadać choćby całą noc. Jutro nie pracuję.

— Dobrze, już jadę, tylko podaj mi adres, bo przecież nie mam zielonego pojęcia, gdzie cię szukać.

Basia podyktowała mi adres i opisała dom, który muszę znaleźć, jadąc w stronę Kruszyna Krajeńskiego, a następnie skręcając w pole między warsztatem samochodowym a przystankiem autobusowym. Nie lubiłam szukać drogi po ciemku, ale tym razem nie miałam wyjścia. Zostawiłam tacie kartkę, że być może nie wrócę na noc (nie byłam zresztą pewna, czy on wróci), kupiłam w naszej osiedlowej Biedronce gruzińskie wino, po czym wsiadłam w auto i ruszyłam. Nie było dużego ruchu, światła mi sprzyjały, poczułam się więc podniesiona na duchu. Dopiero na Błoniu troszkę postałam na czerwonym, ale to nie zbiło mnie z pantałyku. Wszystko będzie dobrze, powiedziałam sobie w myślach, bo Basia będzie wiedziała, jak mogę wypłatać się z tego bałaganu. Tak oto, niepostrzeżenie, moja „duchowa siostra” stała się dla mnie kimś ważnym.

Oczywiście spędziłam u niej całą noc. Wytrąbiłyśmy wino, opowiedziałam jej o wszystkim, ona na mnie nakrzyczała; opieprzyła mnie strasznie najpierw za spiskowanie z Igorem, potem zaś za to, że

wzięłam wszystko na siebie.

— A dlaczego ty nie powiedziałaś Zoi o tym, że jako nastolatka sypiałaś z Igorem? — zaatakowałam, kiedy już brakowało mi innych argumentów. — Pewnie zaraz mi powiesz, że chciałaś ją chronić. Ale prawda jest taka, że ona mogłaby ci nie uwierzyć. Albo uznałaby, że to twoja wina, nie jego. Że go kusiłaś, prowokowałaś i tak dalej. Mam rację czy nie mam?

— Trochę masz — odparła spokojnie, co sprawiło, że i ze mnie opadły emocje. — Ale tylko trochę.

— Mam całkowitą rację, bo to nie jest moja racja, tylko mojego terapeuty — powiedziałam. — On mi wszystko wytłumaczył. To się nazywa dysonans jakiś tam i oznacza, że... Zapomniałam. Ale to było bardzo mądre i idealnie pasowało do naszej sytuacji. Zoja nie przyjęłaby do wiadomości, że Igor może być sukindranem. Musi to odkryć sama. Bo jeśli my jej o tym powiemy, ty albo ja, albo nawet mój ojciec, ona odbierze to jako niesprawiedliwy atak na jej ukochane dziecko.

— Może masz słuszość — powiedziała Basia z namysłem. — Wiele razy mnie zastanawiało, dlaczego ona nie zauważa, jak źle jej syn mnie traktuje. Wiesz, Igor to jest wykapany tatuś. A jego tatuś to naprawdę... Jak to nazwałaś? Suko...

— Sukindrań — powtórzyłam.

— Jeszcze niedawno Bernard ją nachodził, wyobrażasz sobie? Groził jej, chciał zwrotu pieniędzy, bo rzekomo pożyczła od niego jakieś drobne kwoty. To był okropny bandyta, to znaczy nie w sensie dosłownym, bo nie popełnił żadnego przestępstwa, ale powiem ci szczerze, że ja się go okropnie bałam. Bardziej niż własnego ojca. W nim była niepohamowana agresja. Igor jest fizycznie podobny do Zojki, ale charakter ma po tacie.

— Coś nieprawdopodobnego. Czyli wychowanie na nic się zda, jeśli geny byle jakie?

— Możliwe, że tak — przyznała Basia. — Chociaż nie wiem, jak w tym wypadku było z wychowaniem. Pamiętaj, że Zoja do pewnego momentu nie bardzo radziła sobie ze sobą, a co dopiero z dzieckiem. Poza tym Igor miał dwadzieścia parę lat, kiedy jego ojciec wyprowadził się z domu. Dość długo był pod jego wpływem.

Pokiwałyśmy głowami w zadumie nad tym, jak dziwnie plotą się ludzkie losy. Chciałam zapytać, po co w ogóle Zoja wiązała się z kimś takim jak ten jej Bernard. W porę jednak przypomniałam sobie, że sama byłam kiedyś w związku z Sebastianem — typkiem, który omal nie zrobił mi krzywdy tylko dlatego, że w restauracji wybrałam z menu nie to, czego on sobie życzył.

Zdrzemnęłam się na kanapie w dużym pokoju, który wyglądał trochę jak w starych filmach typu *Miś* albo *Alternatywy 4*. Następnego dnia przy porannej kawie Basia wyjaśniła mi, skąd ten wystrój.

— Nikt tu niczego nie zmieniał od lat — powiedziała smutno. — Najpierw dlatego, że ojciec pił, więc wiecznie brakowało pieniędzy. Kiedy był w ciągu alkoholowym, potrafił ukraść mamie wypłatę. Potem, gdy mama zachorowała, wszystko szło na wyjazdy, wiesz, włóczyliśmy się po lekarzach, kupowaliśmy zioła i suplementy. Człowiek naiwnie wierzył, że można oszukać zły los. Po śmierci mamy, to już ci opowiadałam, uciekłam z domu. Wiadomo było, że wszystko tu popadnie w ruinę, ale w tamtym czasie niewiele mnie to obchodziło. Dopiero kiedy i ojca dopadło racyzsko, a ja zaczęłam się nim opiekować w tych ostatnich tygodniach, dotarło do mnie, że to jest przecież mój dom. Tu się urodziłam, wiesz? Bo mama nie zdążyła do szpitala, urodziła mnie w wannie, wyobraź sobie. Tu się uczyłam mówić, chodzić, mówić... Kocham to miejsce.

Zwiesiła głowę. Nie znałam takich uczuć, my z ojcem zmienialiśmy lokum chyba ze trzy razy, zanim w końcu wylądowaliśmy na Bartodziejach. W mieszkaniu, gdzie spędziłam dzieciństwo, gdzie mieszkaliśmy przedtem razem z mamą, z pewnością już dawno dorastało nowe pokolenie.

— Ale teraz dom jest twój? — upewniłam się. — Możesz go sobie wyremontować i twoje dzieci będą stawiać pierwsze kroki w tym samym miejscu, gdzie...

— Niezupełnie — przerwała mi Basia. — Po śmierci taty, kiedy zaczęłam załatwiać sprawy spadkowe, okazało się, że nieruchomości jest zadłużona.

— Dlaczego?

— Tata nie spłacał jakichś kredytów, w okresach trzeźwości brał pożyczki na zakup maszyn rolniczych, na budowę zabudowań gospodarczych i tak dalej. Chciał hodować pieczarki, potem miał fazę na szklarnię, mówię ci, odjazd. Taka ułańska fantazja.

— I co teraz?

Basia rozłożyła ręce i powiodła wzrokiem po przybrudzonych ścianach. Na jednej z nich wisiało monidło przedstawiające przystojnego bruneta i ognistowłosą kobietę.

— Jakoś próbuję wiązać koniec z końcem. Miałam oszczędności, mówiłam ci, odkładałam na czas studiów; teraz nie zostało mi nic.

— Studia są za darmo — wtrąciłam.

— Tak, ale z czegoś trzeba żyć, prawda? Kupować jedzenie, płacić za opał, prąd i tak dalej. W tej chwili zarabiam tymi pierogami, to wystarczy, żeby przeżyć, ale długo nie pociągnę, muszę sprzedać dom i ziemię. Tyle tylko, że wcale nie jest łatwo znaleźć kupca. Nieruchomość zadłużona, dom wymaga remontu, niektóre zabudowania trzeba by wyburzyć, inne wykończyć, ziemia leży odłogiem... Może gdybym miała porządną pracę, wzięłabym kredyt, żeby spłacić tamte zobowiązania...

— Brać kredyt, żeby spłacić poprzedni? To chyba nie jest dobry pomysł — powiedziałam, dopijając kawę. — Słuchaj, coś mi teraz przyszło do głowy... Nie chciałabyś sobie trochę dorobić? Bo znajomi szukają opiekunki dla dziewczynki w wieku przedszkolnym, codziennie między dziesiątą a osiemnąstą.

Basia patrzyła na mnie w milczeniu.

— Dziecko jest cudowne, spokojne jak aniołek — dodałam. — To dziewczynka, której niedawno udało się pokonać nowotwór oka. Sama bym się nią zajęła, ale właśnie w tych godzinach pracuję. Co ty na to?

— Nie wiem — odparła Basia z namysłem. — Lubię dzieci, nie miałabym nic przeciwko... Ale nie jestem pewna, czy dałabym radę wszystko pogodzić. Wiesz, ja wstaję parę minut po czwartej, lepiej tony pierogów, rozwożę po barach. Nie wiem, czy wyrobię się do dziesiątej. A nawet jeśli, to bym tam wpadała z językiem na wierzchu...

— To nic — uspokoiłam ją. — To jest taka rodzina, że sama zobaczysz, jeszcze ci zrobią herbaty i każą się zdrzemnąć. Przecież to chodzi głównie o to, żeby ktoś był przy małej, ona nie potrzebuje, żeby ją przez cały czas aktywnie zabawiano.

Opowiedziałam Basi o rodzinie Mościckich, pomijając oczywiście sprawę pomocy finansowej, jaką otrzymali na leczenie oka Kornelki. Wyjaśniłam, jaka jest sytuacja Rafała, że mama pracuje, a tata ma stwardnienie rozsiane, ale choroba jest właśnie w remisji.

— Mój kuzyn na to choruje — powiedziała Baśka spokojnie. — Jedyne moja bliższa rodzina. Ale teraz mieszka we Francji, więc tyle w tym szczęścia, że nie musi się borykać z naszą służbą zdrowia. No nic, chętnie spotkam się z tym twoim Rafałem i pogadam o warunkach pracy. Czuję się zaintrygowana małą Kornelką, która tak pięknie maluje.

Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że taty nie ma. Zadzwoiłam do niego, ale nie odbierał. Napisałam więc tylko esemesa: „Tato, wszystko Ci wytłumaczę”. Po południu odwiedziłam Igę, bo chciałam jej powiedzieć o moim pomysle, żeby Basia zajęła się Kornelią. I oczywiście trochę się wyżalić.

Przyjaciółka wysłuchiwała mnie uważnie, pochwaliła pomysł z opiekunką dla dziewczynki, pocieszyła, że ze sprawy intrygi Igora wybrnęłam w gruncie rzeczy bardzo inteligentnie (na szczęście nie rozwinęła tematu, bo obawiałam się, że wszystkie przytoczone przez nią argumenty byłyby bardzo łatwe do obalenia), po czym opowiedziała mi o swoich zwariowanych snach oraz o tym, że ciągle chce jej się siusiu, ale kiedy już pójdzie do łazienki, okazuje się, że to była tylko kropelka.

— Może masz chore nerki? — zaniepokoiłam się.

— Skądże! — machnęła ręką. — Po prostu dziecko rośnie i macica zaczyna uciskać na pęcherz. Wyobrażasz sobie? Tam naprawdę jest mały człowieczek. Ja chyba do tej pory w to nie wierzyłam.

Położyła sobie rękę na brzuchu. Nie do wiary, jak strasznie pragnęłam móc zrobić i powiedzieć to samo. Chętnie bym nawet wstawała co piętnaście minut na tę kropelkę siusiu!

— Wracając do sprawy Mościckich — powiedziałam, odganiając smętne rozmyślenia na temat moich niespełnionych pragnień. — Zawiozę tam dzisiaj Basię, tak się umówiłam z Rafałem. Jeśli polubią się z Kornelką, to zaczniesz od przyszłego poniedziałku, a mama Rafała będzie mogła wrócić do pracy.

— Dopóki jeszcze ją ma. Słyszałam, że może być różnie.

— Właśnie. O tym też chciałam pogadać. Wiesz, tak mi przyszło do głowy, że teraz moja kolej. Wiesz, o co mi chodzi. Skoro już się uparłaś, żeby podzielić się ze mną wygraną, to chcę to wykorzystać. Na razie jest dwa do jednego dla ciebie.

— O co ci chodzi? — Iga znów złapała się za okolice pępka tym ruchem nie do porobienia, który potrafią wykonywać tylko kobiety w ciąży (i to, że jej brzuch był wciąż prawie zupełnie płaski, nie miało tu nic do rzeczy).

— Zrzuciłyśmy się na operację Kornelki i wtedy był remis — przypominałam. — Ale potem zatrudniłaś Rafała. I obie wiemy, że zrobiłaś to nie z realnej potrzeby posiadania szofera i pana złotej rączki, tylko żeby mu pomóc.

Patrzyła na mnie tylko, nie przytaknęła ani nie zaprzeczyła.

— Więc teraz moja kolej! — oświadczyłam triumfalnie. — Pomyślałam sobie, że jakoś tak namieszam, że w rzeczywistości to ja będę płacić Basi. Wiesz, że niby Rafał mi przekazuje pieniądze, a ja jej. I będę jej płacić więcej, dokładać coś od siebie. W ten sposób pomogę i Mościckim, i mojej przyszywanej siostrze.

— Nie gniewaj się, Agata, ale to jest okropnie głupie. Całe to przekazywanie pieniędzy. Po jaką kurkę Rafał miałby ci dawać pieniądze przeznaczone dla tej dziewczyny, skoro będzie ją codziennie widywał?

Przez dobrą chwilę usiłowałam zebrać myśli, bo nijak mi do tego wyводу nie pasowała kurka. Wreszcie zrozumiałam, że przyjaciółka miała na myśli „po jakiego grzyba”. Przyznałam jej rację.

— Więc co mam zrobić? — zapytałam. — Bardzo chcę pomóc, a nie wiem jak. Rafał nie przyjmie ode mnie pieniędzy. Od ciebie zresztą też nie.

— Przyjmie, jeśli będzie przekonany, że na nie zapracował — zauważyła Iga.

— Ale on pracuje dla ciebie. A Basia to już w ogóle. Szara strefa.

Iga popatrzyła na mnie z namysłem. Zmrużyła oczy, jakby coś knuła.

— Mam taki jeden pomysł — powiedziała wreszcie. — Może głupi, a może niegłupi. Jeszcze nie wiem. Więc tak: ja mam firmę, prawda? Założyłam ją, kiedy chciałam zatrudnić Rafała. Więc teraz ty przystąpisz ze mną do spółki. I zatrudnimy jeszcze Basię. Taki niewielki biznesik. Co ty na to?

— A czym będzie się zajmować nasza firma?

— Kwiatami — wyjaśniła. — Mnie cały czas chodzi po głowie sklep ogrodniczy. Ścisła współpraca z Wojtkowym Dream Garden. Wojtek by się zajmował meblami, altankami, zakładałby ogrody, pielęgnował i tak dalej. Robota fizyczna. A ja bym projektowała rabaty i hodowała kwiatki. Przecież będę potrzebowała fotografa, żeby mieć ładne fotki na witrynę sklepu. Bo sklep będzie i stacjonarny, i internetowy. Zresztą, jak się tak zastanowić, to do sprzedawania w tym stacjonarnym bardzo by się przydała osoba z doświadczeniem w handlu...

— Czyli mama Rafała — dokończyłam. — A jeśli lubisz wisienki na torcie, to mogę ci coś jeszcze podpowiedzieć. Znam miejsce, gdzie mogłabyś założyć centrum dowodzenia, że się tak wyrażę. Jest tam kilka budynków gospodarczych i nawet zaczątki szklarni. I ono, to miejsce, jest na sprzedaż, pod warunkiem, że jesteś gotowa przepłacić.

Idze zaświeciły się oczy. Co do mnie, świeciły mi się już od jakiegoś czasu.

Część II

Zima

Trafiona zatopiona

Pociąg bujał się rytmicznie na boki, a mnie zaczęły od tego bujania opadać powieki. Pozwoliłam im się zamknąć, zwłaszcza że nie miałam nic do roboty — książkę, którą wzięłam na podróż, połknęłam już w pierwszych godzinach jazdy, a porozmawiać nie było z kim (oprócz mnie w przedziale siedziała tylko jakaś para, która gdyby mogła, jadłaby sobie z dzióbków, a zresztą on miał szalik w paski).

Na granicy jawy i snu zaczęły do mnie wracać obrazy z ostatnich tygodni. Przygotowania do podróży, nerwy studzone przez Igę („Jakie znaczenie ma, co na siebie włożysz, ty wariatko, przecież nie jedziesz na podryw, tylko spotkać się z mamą!”), wielogodzinne rozmowy z Grzegorzem, które potem płynnie przechodziły w długi meje, chłodne (co ja mówię: chłodne — lodowate!) kontakty z Zoją i nieco tylko cieplejsze z tatą, któremu ostatecznie zdecydowałam się nie wyznawać prawdy, bo przypominałam sobie o słowie danym Igorowi. Najważniejsze, że tych dwoje się pogodziło. Pozostawało mieć nadzieję, że Igor nie namiesza już więcej. Chciałam nawet zagrozić mu jakimś sprytnym szantażem, ale po pierwsze, nie miałam na niego haka, a po drugie, nie zapisałam jego numeru telefonu.

No i najważniejsze — Basia! Wskoczyła w rodzinę Mościckich, jakby w niej była od zawsze. Już pierwszego wieczoru zaprzyjaźniła się z Kornelką, wdała się w długą dyskusję z panem Mościckim, który właśnie oglądał *Fakty* (na szczęście oboje mieli podobne poglądy na tematy polityczne, bo inaczej cały mój misterny plan mogliby wziąć diabli), pogawędziła z Rafałem na tematy motoryzacyjne („Jeździsz mazdą?! Serio? Suuuuuper!!!”), a przede wszystkim kupiła sobie sympatię pani Mościckiej (i całej reszty, łącznie ze mną) absolutnie cudownym ciastem z batatów, które podała ze śmietanką kokosową i z wiśniami.

Wbrew początkowym obawom udało się jej doskonale wszystko zorganizować. Raniutko lepiła te swoje pierogi, rozwoziła je po barach, po czym przyjeżdżała do Mościckich i tam jadła przyniesione ze sobą śniadanie, piła kawę, dawała się ograć panu Mościckiemu w szachy, po czym zabierała Kornelię na spacer. Przy okazji wymogła na jej ojcu, by im towarzyszył.

— To jest absolutnie nie do przyjęcia, jak pan żyje, panie Franku! — powiedziała po tygodniu pracy w naszej firmie (tak, weszłam w spółkę z Igą i całkiem oficjalnie zatrudniłyśmy Basię). — Stwardnienie rozsiane to nie jest jakiś wyrok, a pan się dobrowolnie zamknął w więzieniu. Tak dłużej być nie może. Po pierwsze, musi pan zacząć się ruszać. Po drugie, pozytywne nastawienie. Trzeba przestać dokarmiać chorobę. Teraz będziemy pielęgnować radość życia, ciekawość świata, dobre myśli i całą resztę.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Basia jest zwariowana, ale jednocześnie tak pozytywna, że sama zaprzagnęłam zwariować w ten sam sposób. Zaimponowało mi zwłaszcza jej nastawienie do napotykaných trudności.

— Nieuleczalna choroba — mruzczała do siebie, kiedy przywiozła mi Kornelkę na sesję ze szczeniaczkami pewnej uroczej charcicy afgańskiej. — Przecież to, że medycyna rozkłada ręce, nie znaczy, że my je mamy rozłożyć.

Zignorowałam to, bo musiałam zająć się klientem, a poza tym Kornelia i jej okrzyki zachwytu pochłonęły mnie do tego stopnia, że nie miałam głowy do rozmów z moją „duchową siostrą”. Jednak wieczorem temat do mnie wrócił. Zatelefonowałam do Basi, żeby zapytać, co miała na myśli.

— Bo wiesz, przypomni mi się ten kuzyn, co to mieszka we Francji. Napisałam do niego na Facebooku i podpytałam trochę o leczenie. Odpisał, że postawił na szukanie przyczyn i że trafił na takiego lekarza ze Stanów, McDougall się nazywa. Wprawdzie nie zajmuje się konkretnie stwardnieniem rozsianym, ale generalnie jego metoda działa przy chorobach z autoagresji, problemach neurologicznych i bardzo wielu innych. Byłam nawet na stronie, ale nie znam za dobrze angielskiego, więc niewiele rozumiałam. Na szczęście znalazłam książkę po polsku: *Zdrowie bez recepty*, doktor John McDougall, i wiesz co? — W jej głosie brzmiał czysty triumf. — On zaleca dietę wegańską! No, niezupełnie taką, jak moja i Zojki, bo my walimy na maksa orzechy, pestki dyni, olej kokosowy, oliwę do sałatek i tak dalej, a McDougall twierdzi, że tłuszcze roślinne też trzeba ograniczać... Ale tak sobie wymyśliłam, że

chyba zacznę Mościckim gotować. Co ty na to?

— Teoretycznie jestem za — odparłam ostrożnie. — Tylko nie jestem pewna, czy oni podzielą twój entuzjazm.

— Z panem Frankiem sobie poradzę — zaśmiała się Basia. — On dałby się pokroić za moje pierogi z kapustą i grzybami. Kornelka jest niemal zupełną wegetarianką, nie znosi mięsa, więc z nią też nie powinno być problemu, pani Mościcka je tyle, co ptaszek... Najtrudniej będzie z Rafałem.

— Dlaczego?

— Bo to okropny uparciuch i zakuty łeb. Ja się z nim kompletnie nie mogę dogadać. Cokolwiek bym wymyśliła, on staje okoniem. Nie podoba mu się, że każę ojcu spacerować, złościł się, gdy zabrałam oboje, tatę i małą, na basen; ostatnio skrytykował nawet to, że zapisałam Kornelkę do biblioteki. No powiedz, dlaczego on się tak czepia?

— Nie mam pojęcia — odrzekłam. — Jestem zdziwiona, szczerze mówiąc, bo ja znam Rafała od zupełnie innej strony.

— No właśnie. Przecież widzę, że przy tobie zachowuje się inaczej.

Przez niemal cały listopad rozmyślałyśmy z Igą nad naszą firmą. Po wielokrotnej burzy mózgów (w której uczestniczyli także Wojtek, Rafał, państwo Mościccy, Basia, a nawet Kornelka) nazwałyśmy ją „Kwiaty od serca”. Faceci biorący udział w naradzie złapali się za głowy w geście rozpaczy, natomiast my, kobiety, byłyśmy jednogłośnie zachwycone.

Uznałyśmy, że będziemy się specjalizować w roślinach cebulowych oraz bylinach rozmnażanych przez kłaczka. Co do mnie, nie miałam pojęcia, jakie znaczenie ma sposób rozmnażania, ale Iga kazała mi się nie wtrącać.

— Zostaw to mnie. Ty będziesz tylko od dwóch rzeczy: forsa i zdjęcia — powiedziała uspokajająco. — Forsę już wyłożyłaś, a zdjęcia będziesz robić, gdy będziemy miały sadzonki. Zamierzałam zapłacić komuś za zrobienie dla nas ładnej strony internetowej, ale wyobraź sobie, Rafał się wygadał, że zawsze chciał się tym zajmować. Więc w ramach szkolenia pracowników wysłałam, to znaczy wysłałyśmy, bo również za twoje pieniądze, naszego Rafała na kurs.

— Co ty nie powiesz? — zdziwiłam się uprzejmie. — A ile taki kurs kosztuje? Z ciekawości pytam.

— Akurat ten pięć tysięcy. Sto dziesięć godzin zajęć w czternaście tygodni, rusza pierwszego grudnia.

— Czyli już na wiosnę Rafał zrobi nam witrynę?

— No, na wiosnę to jeszcze nie — ostudziła moje zapały Iga. — Przecież my jeszcze nie mamy czego sprzedawać. Najpierw trzeba znaleźć dostawcę, zamówić cebulki, byliny, zrobić rozsady... Będę potrzebowała szklarni i kilku budynków, gdzie jest odpowiednia temperatura i dobre oświetlenie. A właśnie, wpadłam na pewien pomysł.

— Zamieniam się w słuch.

— Mówiłaś o domu Basi i tym gospodarstwie, że jest na sprzedaż, prawda?

— Prawda — przytaknęłam. — Dom jest niewielki, parterowy, myślę, że nadawałby się na biuro. Ważniejsze są te wszystkie zabudowania w podwórzu, no i ziemia...

— Właśnie — przerwała mi Iga. — Więc wymyśliłam, że wcale nie musimy kupować domu od Basi. Wystarczy, jeśli wynajmiemy od niej te budynki gospodarcze. Za naprawdę przyzwoite pieniądze.

— Serio? — zapytałam głupio, bo w pierwszej chwili nie rozumiałam, jak miałoby to pomóc mojej „duchowej siostrze”, a przecież cała ta akcja miała na celu właśnie udzielenie jej wsparcia.

— Serio, serio — roześmiała się Iga z zadowoleniem. — Wszystko to jest diabelnie serio. Będziemy jej płacić tyle, żeby mogła spłacić te ojcowskie długi. Dzięki temu zachowa rodzinny dom. W dodatku ma pracę, a Mościccy mają wspaniałą nianię. I wiesz co?

— Co?

— Nigdy bym nie uwierzyła, że tyle zwyczajnej radochy może człowiekowi dać widok czyjejs uśmiechniętej fasady.

Wiedziałam, że chciała powiedzieć „facjaty”. Ale nie poprawiłam jej, tylko mocno się do niej przytuliłam.

Kiedy pociąg minął Garwolin, zaczęłam się okropnie denerwować. Chyba ze trzy razy pytałam konduktora (całkiem przystojny, ale miał granatowy szalik), czy jedziemy planowo, choć przecież nie miało to żadnego znaczenia, bo nikt na mnie nie czekał. Wprawdzie mama pytała o godzinę przyjazdu, ale napisałam tylko, że jeszcze nie wiem, czy wybiorę się samochodem, czy pociągiem.

Na auto ostatecznie się nie zdecydowałam, ponieważ w południowo-wschodniej Polsce zapowiadali obfite opady śniegu, a ja nie miałam wielkiego doświadczenia w zimowych eskapadach. Wprawdzie Iga zaproponowała, że Rafał może mnie zawieźć jej cudną mazdą, ale po pierwsze, ja nie chciałam, żeby przeze mnie opuścił zajęcia na kursie (bardzo się ekscytował, opowiadając o jakichś językach programowania, hateemelach, dżawach i tak dalej), a po drugie Grzegorz Kapinos, słysząc o tej propozycji, natychmiast złapał się za głowę.

— Jak to? — zapytał. — Więc cały pani wysiłek, cały ten odwyk ma pójść na marne?

Chciałam mu powiedzieć, że taki wyjazd z Rafałem nie oznaczałby przecież, że od razu nieprzytomnie się w nim zakocham... Oczywiście istniało pewne niebezpieczeństwo, bo jednak, jakkolwiek by patrzeć, spalibyśmy w jednym hotelu, jedlibyśmy razem śniadania i kolacje, spędzilibyśmy ileś tam godzin w samochodzie... Wszystko to przy mojej kochliwości stwarzało ryzyko motyli w brzuchu, może więc rzeczywiście dobrze się stało, że pojechałam pociągiem. Z drugiej strony tak sobie myślałam — co komu przeszkadzają takie motyle? W jaki sposób odrobina fascynacji, wzajemnej adoracji i tak dalej mogłaby zepsuć to, co do tej pory osiągnęłam dzięki terapii?

A osiągnęłam wiele, moim nieskromnym zdaniem. Po pierwsze, zniknęły ponure myśli, cała ta depresja czy też zapowiedź depresji, z którą borykałam się w październiku. Po drugie, przestałam wybuchać płaczem, popadać w skrajne nastroje, stałam się dużo spokojniejsza. Po trzecie, myśl o tym, że tata zamierza się ożenić, nie wywoływała już u mnie paniki, że przestałam być potrzebna, lecz raczej troskę, czy ten związek będzie udany, czy mimo tak wielu i tak znaczących różnic tata potrafi być z Zoją szczęśliwy.

No i wreszcie ostatnia, najważniejsza zmiana — ta dotycząca mojego nastawienia do mamy. Wprawdzie Grzegorz zasugerował, abym była ostrożna i jeszcze nie świętowała zwycięstwa, bo równie dobrze nasze spotkanie w Dęblinie może skończyć się podobnie jak poprzednie — krzykiem, trzaskaniem drzwiami i całym morzem łez, ja jednak wierzyłam, że tym razem będzie inaczej. Rozmowy z ojcem uświadomiły mi, że nawet gdyby moi rodzice byli razem, gdyby mama wtedy nie odeszła — byłiby najniezszczęśliwszym małżeństwem pod słońcem. Ponieważ oboje pragnęli miłości, ale ani przez chwilę nie pragnęli siebie nawzajem.

Wagon zakołysał się gwałtownie, kiedy wjeżdżaliśmy na dęblińskie torowisko. Po cichutku, żeby nie zbudzić śpiących w swych objęciach zakochanych, wyszłam na korytarz. Byłam jedyną wysiadającą i kiedy znalazłam się na peronie, poczułam się okropnie samotna. Zgodnie z prognozą sypał drobny śnieg. Usiłowałam sobie przypomnieć, czy przed szesnastu laty dworzec wyglądał tak samo. Ale moja pamięć szwankowała, nie pamiętałam zupełnie nic.

W świetle latarni ulicznej płatki śniegu zdawały się lecieć do żarówki niczym małe ćmy. Walcząc z kompletnie niezrozumiałym wzruszeniem, wzięłam taksówkę i podałam adres hotelu, w którym zarezerwowałam nocleg. Kierowca zerkał na mnie w lusterku; chyba widział, że z trudem powstrzymuję łzy. Wreszcie dojechaliśmy na ulicę Towarową. Ledwie znalazłam się w pokoju hotelowym, otworzyłam laptopa i nie bacząc na to, że burczy mi w brzuchu i najpierw należałoby zejść na kolację, zaczęłam pisać do Grzegorza, żeby nie poddać się melancholii.

Panie Grzešku!

Nie ma Pan pojęcia, jak bardzo w tej chwili żałuję, że nie zdecydowałam się jednak na podróż z Rafałem. Nie dlatego, że to Rafał, tylko — że drugi człowiek. Samotność w takiej chwili jak ta jest dla

mnie czymś niezwykle trudnym. Chciałabym mieć z kim porozmawiać, opowiedzieć o niepokoju, który ogarnia mnie na myśl o jutrzejszym dniu; o wzruszeniu, które poczułam, wysiadając na dęblińskim peronie... Byłam całkiem sama, towarzyszył mi jedynie padający śnieg. Dziwne uczucie, proszę mi wierzyć. W Bydgoszczy rzadko jest się tak samotnym.

Siedzę w pokoju hotelowym, który wprawdzie wydaje się przytulny, ale mimo to jest mi w nim okropnie pusto. Może dlatego, że dostałam tu wielkie dwuosobowe łóżko, które dotkliwie uświadamia mi, że nawet gdybym bardzo chciała, nie miałabym z kim się w nim poprzytulać. Mam nadzieję, że tak jak Pan obiecywał, już wkrótce się to zmieni. I nie chodzi mi wcale o to, że gdy tylko zakończymy terapię, od razu rzucę się Rafałowi na szyję. Mam na myśli coś zupełnie innego. Poczuję się pewną siebie, dojrzałą kobietą i znajdę miłość, co do której nie będę miała żadnych wątpliwości, że tym razem to ta właściwa.

Tak naprawdę — wyznam to Panu szczerze — nie mam pojęcia, jak niby miałyby to zadziałać. Skoro jednak w tylu innych kwestiach Pana wskazówki okazywały się słuszne i skoro zupełnie przypadkiem jest to zgodne z wypowiedziami wróżki (w której wizje oczywiście ani trochę nie wierzę!) — to ufam, że i tym razem jakimś cudem ma Pan rację.

Jutro ostatni etap naszej wspólnej pracy — spotkanie z moją mamą. Czy ma Pan tremę? Nie tak okropną jak ja, rzecz jasna, bo w tej dziedzinie nikt mnie nie przebije. Ale czy troszkę się Pan denerwuje? Zaciska za mnie kciuki?

Jutro, zanim pójdę do restauracji na obiad z mamą, będę o Panu myślała. Dzięki temu w jakiś sposób będzie Pan ze mną. Zupełnie jakby trzymał Pan rękę na moim ramieniu — taki nienachalny, uspokajający gest. Jakby czuwał Pan, czy nie powiem albo nie zrobię czegoś, czego bym potem miała żałować.

Czy czyta Pan mój mejl w domu, czy może u siostry w Solcu, w tym żółtym domku przy Topolowej? Kradnę Panu czas przeznaczony na odpoczynek. Na usprawiedliwienie mam jedynie to, że to było Pańskie zalecenie — te moje zapiski i dzielenie się nimi z Panem.

Pójdę teraz na kolację, potem się położę i postaram się zasnąć. Choć niewątpliwie nie będzie to łatwe. Nie tylko dlatego, że denerwuję się przed tym, co mnie czeka jutro, ale także z powodu samotności i tęsknoty. To dlatego, że pokoje hotelowe mają w sobie straszny smutek. Tęsknię za naszymi sesjami, za domem, za własnym łóżkiem, za tatą i Igą, za Basią i Zoją, chociaż wciąż jest na mnie zła. Oczywiście także za Rafałem i Kornelką. Nawet za moim aparatem fotograficznym.

A najbardziej tęsknię za czymś nieokreślonym, co było tam, a czego nie ma tutaj.

Dobranoc

Agata

Nie poznałabym jej, gdyby nie uśmiechnęła się promiennie na mój widok. Była chuda jak patyczek, zupełnie inna niż zapamiętana przeze mnie kobieca mama z dzieciństwa. Zapewne z powodu tego wychudzenia jej twarz zdawała się ginąć w siateczce zmarszczek i bruzd. Cała jej postać była jakaś zapadnięta, zupełnie jakby moja mama zaczynała znikać.

Rozpięła płaszcz i podeszła do stolika, przy którym siedziałam już od dobrego kwadransa i dla uspokojenia recytowałam sobie w myślach treść króciutkiego listu, który rano znalazłam w skrzynce:

Pani Agato, poradzi sobie Pani doskonale, nie mam co do tego wątpliwości. Jest Pani zupełnie inną osobą niż szesnaście lat temu. Inną nawet niż przed dwoma miesiącami.

Bydgoszcz też za Panią tęskni.

Pozdrawiam i przez cały czas trzymam rękę na ramieniu

Grzesiek

— Przyjechałaś — powiedziała mama chropowatym głosem. Brzmiała jakoś obco. — Bałam się, że jednak zrezygnujesz, że cię tu nie zastanę.

Patrzyłam na nią i dziwiłam się, że ma tyle siwych włosów, że jej cera jest tak zniszczona, że ma pociemniałe od osadu zęby. Przecież pamiętałam ją piękną. Powinna była stracić młodość, ale nie urodę.

— Włosy ci wcale nie ściemniały — powiedziała, siadając naprzeciwko. — I nadal jesteś taka szczuplutka. Przecież to już pora się zaokrąglić.

Chyba zauważyła, że patrzę na jej wychudzone obojczyki, sterczące w wycięciu bluzki, bo zachnęła się i wykonała taki ruch, jakby chciała opatulić się nieistniejącym szalem.

— Masz rodzinę? — zapytała. — Powiedz coś. Nic nie mówisz.

— Nie, nie mam rodziny — odezwałam się wreszcie głosem tak nabrzmiałym od tłumionych emocji, że wydawał się obcy; zupełnie nie mój. — To znaczy mam... tatę.

Chciałam ugryźć się w język; przecież tamta nasza rozmowa przed laty była nieudana między innymi dlatego, że wciąż wspominałam o ojcu. Mama jednak uśmiechnęła się do mnie.

— Właśnie, co u Mariusza? Opowiedz mi trochę o was.

— Nie ma o czym opowiadać. — Zawahałam się, czy powinnam wspomnieć o Zoi. Po chwili uznałam jednak, że nie ma powodu, żeby to zataić. Skoro mama zapytała... — Tata się wkrótce żeni, będę więc miała przyszywane rodzeństwo.

— I ty mówisz, że nie ma o czym opowiadać?! — zawołała mama. — Agatko, przecież to fantastyczna wiadomość! Wiesz, ja się nawet kiedyś zastanawiałam, czy on nie jest, rozumiesz...

Nie rozumiałam. Patrzyłam na nią, usiłując pojąć, co ma na myśli.

— Jaki?

— Nie jaki, tylko kim. Czy nie jest homoseksualistą.

Zatkało mnie kompletnie. Nie byłam nawet w stanie zadać pytania, skąd coś takiego mogło jej przyjść do głowy. Mama najwyraźniej źle zrozumiała moje milczenie.

— Widzę, że tobie też to przeszło przez myśl — powiedziała. — No, ale skoro się żeni... W każdym razie już dawno powinien sobie kogoś znaleźć. Człowiek nie powinien żyć jak zakonnik. A ty? Kiedy się wybierasz za mąż? Jest ktoś w twoim życiu?

Zignorowałam te pytania. Chciałam już przejść do rzeczy. Niemal czułam, jak dłoń Grzegorza delikatnie dotyka mojego ramienia.

— Mamo... — odezwałam się drżącym głosem. — Przyjechałam do ciebie, żeby w końcu dokończyć pewną rozmowę sprzed wielu lat. Powiedziałas mi wtedy, że wasze małżeństwo było rodzajem układu, że było udawane.

Matka patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, które w wychudłej twarzy wydawały się nienaturalnie wielkie. Widziałam, że jest zmieszana i niepewna, ale nie odwróciła wzroku.

— Ja ci wtedy nie uwierzyłam — ciągnęłam. — Myślałam, że mówisz tak, żeby oczernić tatę, żeby w jakiś sposób ten magiczny czas, bo tak wspominałam dzieciństwo, zniszczyć, odebrać mu prawdziwość... Wiesz, o co mi chodzi?

Nie przytaknęła ani nie zaprzeczyła. Chciałam mówić dalej, ale podeszła do nas kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Wzięłyśmy rosół i zrazy wołowe z ziemniakami — wcale nie dlatego, że miałyśmy ochotę na taki akurat zestaw; po prostu to widniało na początku karty dań.

— O czym była mowa? — zapytała słabo mama, kiedy znów zostałyśmy same.

— O tym, że nie uwierzyłam ci wtedy, a teraz już wiem, że mówiłaś prawdę. Tata powiedział mi to samo. Że nigdy się nie kochaliście, że nie było między wami namiętności.

— Nie było.

— Wy tłumaczysz mi, dlaczego?

— Dlaczego co?

— Dlaczego się w ogóle pobraliście — wyjaśniłam. — To mnie strasznie gryzie. Po co robić takie rzeczy? To nie dziewiętnasty wiek, małżeństwa nie są aranżowane...

Nie powiedziałam jej całej reszty. Nie wspomniałam o tym, co któregoś dnia wytłumaczył mi Grzegorz: że według niego moje niepowodzenia w związkach brały się stąd, że podświadomie próbuję naśladować mamę. Stworzyłam sobie w wyobraźni jej obraz jako osoby niestałej w uczuciach i dlatego sama nie potrafię się „zakotwiczyć” w miłości. Podobno każda córka gdzieś na dnie serca nosi pragnienie, by być taka jak mama.

— Nie powinnam ci tego mówić — zaczęła mama powoli, odchylając się na krześle, ponieważ kelnerka akurat przyniosła zupę. — Ale powiem, bo to może być nasza ostatnia rozmowa. Nie, zaczekaj, daj mi powiedzieć! — powstrzymała mnie gestem, bo chciałam zaprotestować.

Wprawdzie nie zastanawiam się przedtem, czy to spotkanie stanie się początkiem naszych wzmożonych kontaktów, ale z pewnością nie planowałam też, aby miało stać się jakimkolwiek rodzajem pożegnania.

— Byłam niedawno bardzo chora — wyjaśniła mama. — Pewnie zauważyłaś, że kiepsko wyglądam. Wykryli u mnie raka piersi, miałam mastektomię, ale nikt nie daje mi pewności, że rozprawiłam się z chorobą. Lekarz mówi, że mogą pojawić się przerzuty i powinnam być przygotowana, że tym razem guzy będą nieoperacyjne.

Poczułam się tak, jakby ktoś tłukł mnie czymś miękkim w głowę — niby nie boli, ale człowiek mruży oczy i nie wie, co się dzieje. Słowa mamy docierały do mnie jakby z oddali. Chciałam zapytać, dlaczego mnie nie zawiadomiła, mogła przecież napisać list albo znaleźć mnie w Internecie, tak samo jak ja znalazłam ją... Dotarło do mnie jednak, że skoro wcześniej-tyle razy odrzucałam jej próby kontaktu, miała pełne prawo przypuszczać, że i tym razem zrobię to samo.

— Obiecaliśmy sobie z Mariuszem, że nigdy ci nie powiemy, jak z nami było naprawdę — ciągnęła mama, bezcelowo dziabiąc łyżką marchewkę w rosole. — Ale wiesz, tak sobie myślę, że jego ta sprawa gnębi tak samo jak mnie. A nawet jeżeli go nie gnębi, jeśli się na mnie wścieknie, będzie miał pretensje i uzna, że złamałam umowę i zachowałam się jak świnia, to przynajmniej będę w porządku w stosunku do ciebie. To też jest coś warte, prawda?

— O czym ty właściwie mówisz? — zapytałam drżącym głosem. — Mamo, za co tata miałby się na ciebie wściec?

— Z drugiej strony może ty też... Może w pierwszej chwili uznasz, że niepotrzebnie zburzyłam twój spokój, że nie powinnam była...

— Teraz to już musisz mi powiedzieć! — krzyknęłam, aż goście przy sąsiednim stoliku odwrócili głowy w naszą stronę. — Mamo, o co chodzi?!

— ...ale w ostatecznym rozrachunku na pewno przyznasz mi rację, że miałaś prawo wiedzieć.

Umilkłam. Patrzyłam na nią i w jakiś sposób doskonale wiedziałam, co chce mi wyznać.

— On nie jest twoim ojcem — wyrzuciła wreszcie matka. — Jesteś owocem lekko pijanej,

zwariowanej miłości, która trwała zaledwie cztery noce. To się stało w Jarocinie. Było cudownie, w rytmie bluesa, z głosem Rysia Riedla w tle... Chłopak miał włosy do pasa, to był taki typ wikinga, wiesz...

Zrobiło mi się niedobrze, jakby cieniutki makaron z rosółu zamienił się w jedną wielką kluchę.

— O czym ty mówisz? — wyjąkałam. — Jakiego znów wikinga?

— Był muskularny i opalony na złoto, choć na ogół chłopcy tego typu, wiesz, tacy niby-hippisi, to były blade i chude maszkarony. Kojarzył mi się z jakimś wilkiem morskim, tylko brody nie miał... — W głowie mamy usłyszałam rozmarzenie. — Poznaliśmy się pierwszego dnia na koncercie zespołu Mech... Dzisiaj nikt nawet nie pamięta, że istniał...

— Nic nie rozumiem — oznajmiłam już nieco pewniejszym głosem. — Dlaczego na koncercie? Poznałaś chłopaka na imprezie muzycznej i zrobiliście sobie dziecko? Jakim cudem?

— To był festiwal w Jarocinie — wyjaśniła mama, prostując się, jakby przybyło jej siły. — Wy dzisiaj macie Woodstock, a my mieliśmy Jarocin. Przez kilka dni na scenie grały amatorskie zespoły, to był rodzaj konkursu.

— Ale nadal nie rozumiem, jak można w takiej sytuacji...

Pytałam o szczegóły, ponieważ nie docierało do mnie, że rozmawiamy o moim poczęciu. O tacie, który nie był tatą. Chyba było mi łatwiej skupić się na nieistotnych sprawach, niż dopuścić do siebie myśl, że człowiek, z którym wiele lat temu zdecydowałam się zostać, nie był ze mną nawet spokrewniony.

— Można — odparła mama. — Rozkładało się śpiwory, gdzie popadnie. Niektórzy spali w namiotach, a niektórzy na ławkach, w trawie, w jakimś rowie za miastem... Czuliśmy się wolni. No a Remik był taki piękny...

— Remik? — powtórzyłam.

— Miał na imię Remigiusz. Rzadko się wtedy spotykało takie imiona wśród tych wszystkich Piotrków, Krzyśków, Andrzejów, Pawłów i Tomków.

— I co? — zapytałam, choć sama niedokładnie wiedziałam, czego dotyczy moje pytanie.

Wciąż byłam w szoku i nawet nie próbowałam zebrać myśli. Pędziły przed siebie, ganiały w kółko — w mojej głowie panował totalny chaos.

— Potem były kolejne koncerty... Nie pamiętam wszystkich, Exodus, Dezerter, Oddział Zamknięty, Dżem, a ostatniego dnia Martyna Jakubowicz...

— Przecież nie pytam cię o program festiwalu! — prawie krzyknęłam. — Mamo, na litość boską, rozmawiamy o tym, że jakiś chłopak jest moim ojcem!

Państwo przy sąsiednim stoliku znów rzucili nam pełne niesmaku spojrzenie. Mama zaczerwieniła się troszkę.

— Nie chłopak, Agatko, tylko mężczyzna. Ale weź pod uwagę, że jest ojcem tylko technicznie. Przecież tata nie przestanie być dla ciebie...

— Mamo, przestań — przerwałam jej. — Wyjdźmy stąd, bo się uduszę.

— Ale nic prawie nie zjadłaś.

Nie słuchałam. Gwałtownie wstałam, z hałasem odsuwając krzesło, co natychmiast zaalarmowało kelnerkę. Kiedy zapłaciłam za nas obie, bo w końcu to ja zaprosiłam mamę na obiad, szybko założyłam kurtkę, chwyciłam moją torbę podróżną i wyszłam z restauracji na zaśnieszony chodnik, nie oglądając się nawet, czy matka idzie za mną.

Szła. Prawie biegła.

— Remik nie miał pojęcia o mojej ciąży — mówiła, oddychając szybko. — Zaczekaj, nie pędź tak, nie nadążam. Agatko, słyszysz? On nie wiedział o niczym.

— Dlaczego?

— Dlaczego nie wiedział? Bo go nie zawiadomiłam. Zrozum, ja przecież właściwie nie znałam tego chłopaka... Zresztą nawet nie miałam adresu.

— Więc co zrobiłaś? Wrobiłaś w tę ciążę Bogu ducha winnego tatę?

— Wysłuchaj mnie, zatrzymajmy się gdzieś, bo ja tak nie mogę pędzić...

„Trzymasz mi tę rękę na ramieniu? Trzymaj, nie puszczaj ani na moment”, mówiłam w duchu do Grzegorza Kapinosa. „Zaciśnij palce tak, żeby zabolą, bo wtedy przebudzę się z tego koszmarne go snu. A najlepiej mocno mnie obejmij, bo zaraz się rozsypię”.

— Agatko, zwolnijmy — powtórzyła mama.

Tym razem posłuchałam.

— Odprowadź mnie na stację — powiedziałam słabo. — Chcę jechać do domu, do taty.

— Tak, wiem. Ale najpierw porozmawiajmy wreszcie do końca. Usiądźmy gdzieś, może na jakiejś ławce.

Rozejrzałam się, ale nigdzie nie było ławek. Zresztą nawet gdyby jakaś się znalazła, byłaby mokra od śniegu.

— Usiądziemy na dworcu — zdecydowałam. — A teraz przez chwilę nic nie mów. Pozwól mi ochłonąć.

Rzeczywiście, mama nie odzywała się przez jakiś czas. Burymi od rozdeptanego śniegu ulicami miasteczka doszliśmy wreszcie do dworca PKP. Za dnia wydał mi się mniejszy niż wieczorem. Usiadliśmy na ławce w czymś, co przy odrobinie dobrej woli mogło uchodzić za poczekalnię.

— Tata wiedział. — Mama natychmiast podjęła przerwany wątek. — To był rodzaj układu, mówiłam ci o tym, gdy byłaś u mnie pierwszy raz, choć nie miałam wówczas odwagi powiedzieć całej prawdy.

— A na czym niby polegał ten układ? — zapytałam już w miarę spokojnie. — Bo nie rozumiem, co on z tego miał. I zresztą co ty miałaś? W ogóle nic nie rozumiem.

— Sprawa była okropnie skomplikowana. Żeby móc się wczuć w moją sytuację, musiałabyś znać dziadka... Ale może to i lepiej, że go nie poznałaś.

— Twojego ojca? — upewniłam się.

— Tak. Jak pewnie pamiętasz, moja mama umarła bardzo wcześnie, zresztą także miała raka piersi; wychowywał mnie tylko tata. I miał na punkcie swojej córki absolutnego bzika.

— A co to ma wspólnego z ojcem? To znaczy z Mariuszem? — zająknęłam się; chyba zaczynało do mnie docierać, że nie jestem jego córką.

— Z ojcem niewiele, więcej ze mną. Mój tata był absolutnym tyranem. Nie wyobrażasz sobie, bo nigdy nie byłaś wychowywana w ten sposób... Weźmy na przykład punktualność. Tata powiedział: „Jeśli spóźnisz się raz, daruję ci. Drugi raz także ujdzie ci na sucho. Ale po trzecim razie będziesz chodziła z budzikiem na szyi”.

— Co takiego? — nie zrozumiałam.

— Z budzikiem. Odkręcił nóżki, a w tym miejscu zamocował rzemień, na tyle krótki, żebym nie mogła zdjąć budzika przez głowę. Nastawiał na przykład na szesnastą, usuwał te wszystkie pokrętła z tylnej ścianki oraz ten przycisk na górze, wiesz, blokadę dźwięku.

— Po co? — Nie mieściło mi się to w głowie. — Mamo, nic nie rozumiem.

— Żebym się nie spóźniała — wyjaśniła spokojnie. — Ten dźwięk był tak przeraźliwy, że wolałam rozstać się z koleżankami kilka minut wcześniej, byle uniknąć wstydu. Zresztą wstyd był i tak, wyobraź sobie noszenie na szyi budzika...

— Nie mogę. On nie był chory? No wiesz, nie miał jakichś problemów? — Nakreśliłam palcem kółko na czole.

— Może miał. — Mama zamyśliła się na chwilę. — Ale te jego głupie metody wychowawcze wynikały chyba z bezradności i panicznego lęku o mnie. W każdym razie zmierzam do tego, że byłam wychowywana w specyficzny sposób. Jak się pewnie domyślasz, bardzo się swojego taty bałam. Myśl o tym, że mam się przyznać, że dałam sobie zrobić brzuch, a co najgorsze, że nie znam nawet ojca dziecka, pamiętam tylko jego imię... Nie, wolałam umrzeć.

— Ale nie umarłaś — zauważyłam bezlitośnie.

— Bo akurat poznałam Mariusza. Zrozumiałam, że możemy sobie nawzajem pomóc. Ja potrzebowałam ojca dla dziecka i męża, przynajmniej na jakiś czas. A Mariusz wpakował się w kłopoty, zawałił sesję i wywalili go ze studiów, więc wisiał nad nim pobór do wojska, a na dodatek wplątał się w

jakieś manifestacje studenckie po zamordowaniu księdza Popiełuszki i snuli się za nim tacy nieciekawi faceci... Mój ojciec był dość wysoko w strukturach partyjnych, służył w policji, załatwił nam mieszkanie, więc sama rozumiesz, że dla Mariusza ten układ był korzystny. Zaczął pracować i jako jedyny żywiciel rodziny nie poszedł do wojska... Umówiliśmy się, że rozwiedziemy się dopiero, kiedy jednemu z nas zacznie się spieszyć do prawdziwego związku.

Wpatrywałam się tępo przed siebie; dopiero po chwili zauważyłam, że patrzę w pomarszczony dekolt jakiejś kobiety, która usiadła na ławce naprzeciwko i odwijała z folii kanapkę.

— Niedobrze mi — jęknęłam. — Chyba za dużo tego wszystkiego.

— A może ty też jesteś w ciąży? — zapytała mama.

Spojrzałam na nią i najpierw analizowałam, o co jej chodzi, a potem dostałam ataku histerycznego śmiechu. Śmiałam się i śmiałam, i nie mogłam przestać, aż wreszcie ten okropny śmiech niepostrzeżenie przeszedł w płacz. Kobieta z naprzeciwka podniosła się w popłochu i przesiadła się na najbardziej oddaloną od nas ławkę. Mama, która początkowo przyglądała mi się z troską, objęła mnie mocno i tuliła; moje łzy wsiąkały w jej kołnierz imitujący futerko.

— Jak ja mam teraz postąpić? — załkałam. — Jak to sobie wyobrażasz? Co ty narobiłaś, mamgo?! Mam wrócić do obcego faceta, którego nazywam ojcem? Nie uważasz, że powinnam próbować odnaleźć tego...

— Remigiusza — odpowiedziała mama.

Odsunęłam się od niej. Nagle zrobiło mi się bardzo niewygodnie w maminych ramionach; odczułam sztuczność tej sytuacji.

— Nie, nie uważam — powiedziała w końcu bardzo smutno. — Po pierwsze, to niemożliwe. Nie znam przecież jego nazwiska. Po drugie, co by ci to dało, nawet gdybyś jakimś cudem go znalazła?

— Nic. Zobaczyłabym go. Sama nie wiem.

— Jesteś do niego bardzo podobna. Fizycznie. Po nim masz te gęste blond włosy.

— A co to ma do rzeczy? Ja nie chcę go obejrzeć, jak się ogląda eksponat. Chyba... chciałabym go poznać.

— Po co?

Nie znalazłam odpowiedzi. Mama pokiwała głową z zawstydzonym uśmiechem.

— Był przystojny i cudownie całował. To ci musi wystarczyć.

— A ty nigdy nie chciałaś go znaleźć?

— Nie, Agatko. Przez pierwsze lata twojego życia wszystko się we mnie uspokoiło, poczułam się bezpieczna i niemal szczęśliwa... Wszystko się jakoś ułożyło, mój ojciec dał się oszukać, Mariusz wciąż godził się na ten nasz dziwny układ i nie wspominał o rozwodzie. Żyliśmy sobie spokojnie, ty się pięknie rozwijałaś, ja pracowałam od świtu do nocy, spełniałam swoje marzenie o prywatnym gabinecie, a Mariusz postanowił zająć się fotografią, powoli rozkręcał zakład...

— Jak wy to właściwie traktowaliście? — przerwałam, bo nie interesowały mnie szczegóły dotyczące kariery zawodowej, natomiast nie mogłam sobie wyobrazić tego ich „układu” w sensie emocjonalnym. — Żyliście ze sobą jak mąż i żona?

— Ależ skąd! Mieliśmy osobne sypialnie, ale wspólne gospodarstwo. Kochanie, wbrew pozorom wiele rodzin tak wygląda, tyle że na ogół jest to efekt rozpadu więzi, a u nas było wynikiem chłodnych ustaleń...

Mama chciała chyba powiedzieć coś jeszcze, ale metaliczny głos w megafonie zapowiedział, że za chwilę na peron wjedzie pociąg osobowy do Warszawy. Nie czekając na wyjaśnienia, natychmiast wstałam z ławki.

— Jadę — zdecydowałam. — Jest jeszcze wiele rzeczy, których nie rozumiem, ale w tej chwili chyba lepiej będzie, jeśli zostanę z tym sama. Zresztą z pewnością zadam także kilka pytań ojcu. To znaczy Mariuszowi.

— Zostań jeszcze — szepnęła mama, ale pokręciłam tylko głową i poszłam kupić sobie bilet.

Dreptała za mną. Zanim wyszłam ze stacji, przytuliłam ją, bo nagle poczułam się tak, jakby serce rozdzierało mi się na dwoje. To przecież moja mama, chudziutka i pomarszczona. Kiedyś była dla mnie

najważniejsza na świecie. Sama nie wiedziałam, czy i jak bardzo teraz jest ważna.

— Przez to wszystko nie porozmawialiśmy o twojej chorobie — powiedziałam. — Przepraszam, chyba jestem w szoku. Zadzwoń do ciebie, kiedy już się oswoję z tym wszystkim. Napisz mi numer na Facebooku, dobrze?

— Dobrze.

— Pa, mamó. Nie odprowadzaj mnie na peron, nie chcę, żebyśmy beczały.

Szybko wyszłam ze stacji, podnosząc kołnierz kurtki, bo wilgotne powietrze wciskało się w każdą szczelinę i sprawiało, że cała drżałam. Zresztą może drżałam z innego powodu. Wsiadłam do pociągu, zajęłam miejsce i zamknęłam oczy. Nie otworzyłam ich ani na chwilę, dopóki nie miałam pewności, że Dębłina nie widać już za oknem.

Moje myśli telepały się w rytm pociągu osobowego, który wiozł mnie do Warszawy. Dość długo czekałam na przesiadkę na Centralnym, powłóczyłam się więc po Złotych Tarasach; wchodziłam do wielu sklepów, ale w żadnym z nich tak naprawdę nic nie widziałam. Musiałam nawet coś przymierzać, bo później, już siedząc w przedziale, zorientowałam się, że mam kardigan założony na lewą stronę. Ale nie mogłam sobie przypomnieć, co mierzyłam ani czy dobrze leżało.

Kiedy podstawiono mój pociąg do Bydgoszczy, mogłam wreszcie zająć miejsce w kąciu, zakryć sobie twarz kurtką i cicho popłakać, choć właściwie nie byłam pewna, co mnie tak okropnie smuci: to, że mama wtedy odeszła, przedłożyła miłość do Karola ponad mnie i mój dziecięcy świat; czy raczej fakt, że nie jestem córką taty, że byłam okłamywana przez tyle lat (choć nie, to mnie raczej rozwścieczało), czy wreszcie — że mama była bardzo chora, a ja nie potrafiłam się tym przejąć tak, jak powinnam jako córka.

Wreszcie uspokoiłam się na tyle, aby napisać do Grzegorza. Wspomniałam, że spotkanie się udało, ale było smutne, że bardzo chcę mu już opowiedzieć o wszystkim, że właśnie jadę z Warszawy i będę w Bydgoszczy pod wieczór. Potem zadzwoniłam jeszcze do Igi, ale była z Wojtkiem na romantycznej kolacji, więc tylko powiedziała, że przyśle mi na dworzec Rafała, żeby mnie podrzucił do domu.

Rafał rzeczywiście czekał na mnie na peronie, a ja na jego widok zupełnie się rozkleiłam. Nie dlatego, że to był on; po prostu stanowił element dobrego, bezpiecznego życia, które na chwilę — gdy byłam w Dęblinie — stało się tak bardzo dalekie. Padłam mu w ramiona i przez kilka minut po prostu beczalam, a on śmiesznie poklepywał mnie po plecach. Nie było w tym nic romantycznego, zresztą trudno być romantycznym, kiedy człowiekowi cieknie z nosa, a nie ma w kieszeni chusteczki. Ale w tamtym momencie nie oczekiwałam niczego poza przyjaźnią, i to właśnie zaofiarował mi Rafał.

Kiedy dotarłam do domu, taty nie było. Pokręciłam się trochę po mieszkaniu, jednak samotność była nie do zniesienia. Ku własnemu zdziwieniu nie miałam ochoty na spotkanie z Igą, choć doskonale wiedziałam, że wysłuchałaby mnie i przyznałaby mi rację absolutnie we wszystkim, nawet w tym, w czym tej racji nie miałam.

Najchętniej spotkałabym się z Grzegorzem Kapinosem. Jemu jednemu mogłabym opowiedzieć wszystko, opisać co do najdrobniejszego niuansu stan mojej duszy, a on potrafiłby wyciągnąć jakieś pozytywy z tego wszystkiego — z tego, że czułam się oszukana nie tylko przez mamę, ale i przez ojca, to znaczy właśnie przez nie-ojca; z tego, że nie zdążyłam mamie powiedzieć, jak bardzo chciałam, żeby o mnie walczyła wtedy przed szesnastu laty i żeby rzuciła w diabły tego Karola. Bo przecież po to pojechałam wówczas do Dębli: aby usłyszeć „Córeczko, nie mogę żyć bez ciebie, wolę bez niego”.

I Kapinos byłby przy tym szczerzy, tego byłam pewna. Pomyślałam, że powinnam mu o tym napisać: że stał się dla mnie nie tylko terapeutą, ale także przyjacielem. Nie byłam jednak pewna, czy to byłoby właściwe.

Wzięłam prysznic i wypiłam dwie lampki wykwińskiego wina, które kiedyś — w przypływie szaleństwa — kupiłam w jakimś sklepie internetowym. Było tak diabelnie drogie, że dotąd go nie otworzyłam; każda okazja wydawała mi się na to zbyt błaha.

Podkręcona trunkiem uznałam, że jeśli natychmiast nie porozmawiam z ojcem, to po prostu eksploduję. Zadzwoniłam po taksówkę i kazałam się zawieźć do mieszkania Zoi. Byłam w wojowniczym nastroju, ponieważ doskonale wiedziałam, że nie jestem tam mile widzianym gościem.

Zoja otworzyła drzwi i uśmiech zamarł na jej ustach, ale nie przejęłam się tym.

— Muszę porozmawiać z tatą. To znaczy właśnie nie z tatą — powiedziałam hardo, nie zdając sobie sprawy, jak to dziwnie brzmi.

— A z kim? — zapytała, unosząc brwi.

— Z Mariuszem. Właśnie się dowiedziałam, że on nie jest moim ojcem.

Po czym, jak należało się tego spodziewać, rozkleiłam się zupełnie. Zoja najpierw po prostu

gapiała się na mnie z wyrazem osłupienia na twarzy, a potem bez słowa przygarnęła mnie do siebie. Choć niewątpliwie nadal miała do mnie żal o tamtą intrygę Igora, do której się przyznałam, tuliła moją zapłakaną głowę tak, jak mama na dworcu w Dęblinie.

— Chodź do środka — powiedziała po chwili, kiedy mój szloch zaczął trochę przycichać. — Tata jest w łazience. Ostatnio tu u mnie pomieszkuje.

— Niepotrzebnie — chlipnęłam. — Przenieście się do tamtego mieszkania, ja mam się gdzie podziąć.

Oczywiście nie miałam, ale w tej chwili byłam gotowa zamieszkać nawet pod mostem.

— To jest temat na zupełnie inną rozmowę — odparła Zoja spokojnie. — A teraz wyjaśnij, co miałaś na myśli mówiąc, że Mariusz...

— Nie jest moim ojcem! — dokończyłam. — Okłamywali mnie oboje, on i mama! Głównie on, bo to z nim spędziłam całe dotychczasowe życie! Gdyby powiedział prawdę...

Urwałam, ponieważ nagle uświadomiłam sobie, co wynika z tego zdania. Gdyby powiedział prawdę, to co? Zostawiłabym go jak mama, zamieszkałabym z nią i Karolem w Dęblinie? Nie, to przecież nie wchodziło w grę. Chociaż z drugiej strony... Czy jako szesnastolatka zostałabym z tatą, wiedząc, że nie jest moim biologicznym rodzicem?

Wszystko było tak pokręcone, że na nowo wybuchnęłam płaczem. A wtedy Zoja wzięła mnie za rękę i zaprowadziła jak krnąbrne dziecko do pokoju, gdzie nie wybrałam poduszki w żadnym kolorze, tylko usiadłam na gołym parkiecie, żeby zmanifestować, jak bardzo jestem nieszczęśliwa. Kiedy tata wreszcie wyszedł z łazienki, siedziałyśmy obie na podłodze, ciasno objęte, i kiwałyśmy się jak pingwiny.

— Co tu się dzieje? — zapytał wyraźnie skołowany.

Zoja uniosła głowę, ale nie wypuściła mnie z objęć.

— Zamierzałaś kiedyś powiedzieć prawdę? — odparła głosem zimnym jak lód. — Agacie i mnie? Ale zwłaszcza Agacie?

Teraz ja także podniosłam wzrok. Tata wyglądał tak, jakby dostał w głowę czymś bardzo ciężkim. Klapnął na poduszkę, nie zważając, że wybrał okropny prosiaczkowy róż.

— Gdzie ty byłaś? — zapytał cicho. — Mówiłaś, że jedziesz pozwiedzać...

— W Dęblinie.

— I Krystyna ci powiedziała? — sapnął z niedowierzaniem. — Obiecaliśmy sobie, że nigdy...

— Mama może umrzeć — odpowiedziałam, nie bacząc na to, jak brutalnie to brzmi. — Miała raka, jest po operacji. Uznała, że powinna wyznać mi prawdę.

— Co ty mówisz? — przeraziła się Zoja i objęła mnie mocniej. — Agatko, co ty musiałaś przeżywać...

Nie powinna była tak do mnie mówić, bo pod wpływem dobroci zawsze rozklejałam się jeszcze bardziej, a przecież płaczu miałam już powyżej uszu. Co by powiedział Grzegorz? Że to krok wstecz, że znów reaguję impulsywnie. Łzy w niczym nie pomogą.

Najdelikatniej, jak umiałam, wyswobodziłam się z ucisku Zoi. Żeby nie było jej przykro, chwyciłam ją za rękę.

— Staram się to wszystko zrozumieć — oznajmiłam. — To, że ożeniłaś się z dziewczyną, która była ci obojętna, że ona wyszła za ciebie... Że jestem owocem czegoś dziwnego, co nie było ani miłością, ani romanssem, tylko wakacyjnym seksem na festiwalu rockowym...

— Agatko... — zaczął ojciec, przerwał jednak, gdy napotkał moje spojrzenie.

— Ale przede wszystkim to, że żadne z was nie uznało za stosowne powiedzieć mi prawdy, gdy się rozstawaliście.

Zapadła cisza. Tata gniótł w palcach róg poduszki, Zoja zacisnęła dłonie na moich rękach tak, że aż bolało; ale taki ból był mi chyba potrzebny, bo wcale nie chciałam, żeby rozluźniła uścisk.

— Bałam się — wyznał w końcu tata. — Bałam się, że wyjedziesz z nią do tego Dębłina, a ja zostanę sam. Kiedy się z nią żeniłem, nie zamierzałem cię pokochać; myślałem sobie: „To tylko dziecko, jakoś dam radę”, zresztą Kryśka obiecywała, że nie spadnie na mnie wiele obowiązków, a potem się rozwiedziemy. To była umowa na parę lat. Miałem udawać kochającego męża, a w nagrodę rozkręcić

sobie zakład fotograficzny, no i uciec przed wojskiem. Skąd mogłem wiedzieć, że tak polubię to wszystko... Że moim największym życiowym sukcesem stanie się to, że nauczyłem cię jeździć na rowerku w dwa tygodnie... Że popłacę się jak bóbr, kiedy pierwszy raz powiesz „tata”. Że będę chciał zamordować przedszkolankę za to, że nie utuliła cię, gdy szlochałaś po moim odejściu...

Urwał, bo nie mógł mówić dalej. Wszyscy troje płakaliśmy jak bobry.

Następnego dnia obudziłam się tak spuchnięta, jakby ktoś mnie porządnie obił. Wróciliśmy z tatą do siebie na Bartodzieje, ponieważ Zoja uznała, że powinniśmy zostać sami i przegadać wszystko do ostatniego najdawniejszego wspomnienia. Ja jednak nie chciałam już rozmawiać. Chyba wiedziałam to, co wiedzieć chciałam — tata mnie kochał, najprawdziej i najmocniej, i pokrewieństwo nie miało to nic do rzeczy. Ja jego także kochałam najprawdziej i najmocniej. Więc właściwie w czym tkwił problem?

Po pracy wpadłam do Igi i oczywiście zdałam jej relację ze wszystkiego, co się wydarzyło.

— Kochana! — zawołała. — Ratujesz mi życie takimi fascynującymi historiami. Przynajmniej w twoim życiu coś się dzieje. Co za cudowna odmiana po tych wszystkich rodzajach pampersów, cenach śpioszków i wkładek lewitacyjnych.

— Na takie rzeczy masz jeszcze mnóstwo czasu — odparłam, ignorując fakt, że zamiast laktacji moja przyjaciółka zamierzała mieć „lewitację”. — Jeśli już teraz o tym rozmyślasz, to czym zamierzasz się zajmować tuż po porodzie? Zacznesz szukać dziecku dobrego uniwerku i miejsca w akademiku?

— Może masz rację, że to trochę za wcześnie — przyznała Iga. — Ale po prostu zaczęło mi odbijać. Nigdy nie sądziłam, że mnie to spotka. Godzinami oglądałam zdjęcia niemowląt i dziecięce ciuszki. Czytam o siuškach i kupkach, ha! powiem więcej: nawet o bekaniu i ulewaniu! Wyobrażasz sobie?

— Nie — wyznałam szczerze. — Gdyby chodziło o mnie, to co innego, ale że ty?

— No właśnie mówię, że mi odbija. Dlatego czym prędzej zmienmy temat. Co z tym twoim drugim ojcem? Zamierzasz go szukać?

— On był zdaje się pierwszy, a nie drugi — poprawiłam ją. — Nie, czekaj, to jest w ogóle jakieś głupie. Nie był ojcem wcale, w sensie że nawet nie wiedział, że mama jest w ciąży. Rozumiesz?

— Rozumiem. Ale odpowiedz: zamierzasz wszcząć poszukiwania?

— Niby jak? Mama zna tylko jego imię.

— Dziewczyno, w jakim ty świecie żyjesz?! Teraz są takie możliwości, że ludzie znajdują swoich krewnych sprzed wojny i w ogóle... Pisziesz na fejsie, że poszukujesz Remigiusza, blondyna z długimi włosami, który w tym a tym roku był w Jarocinie...

— I bzykał się z pewną dziewczyną podczas koncertu... Daj spokój.

— Ale może to by cię w jakiś sposób oczyściło z tej historii? Może postawiłabyś dzięki temu kropkę, rozumiesz. Miałabyś poczucie, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy...

— Wiesz co, chyba muszę to przemyśleć — ucięłam ostrożnie, bo sama nie wiedziałam, jak interpretować mętlik w moim umyśle. — I przedyskutować z terapeutą.

— Wszystko z nim musisz przedyskutować? — oburzyła się Iga. — Czy ty przypadkiem nie przesadzasz?

— To mi bardzo pomaga — wyjaśniłam. — Wiesz, może na przykład Kapinos powie, że za dużo tych rewelacji na jeden raz. Zresztą nawet nie jestem pewna, czy chciałabym zobaczyć tego całego Remigiusza. Za chwilę napiszę do Grzegorza, żeby miał czas przemyśleć całą sprawę. Dziś wieczorem mam sesję, obgadamy to i dam ci znać.

A figę. Sesji nie miałam. To znaczy teoretycznie miałam, ale nie z Kapinosem. Czyli w praktyce nie miałam wcale.

Tak sobie potem pomyślałam — kiedy już doszłam do siebie na tyle, żeby w ogóle cokolwiek logicznie pomyśleć — że czasami człowiekowi się wydaje, że stoi na pewnym gruncie, a tymczasem ten pewny grunt okazuje się podstępny bagienkiem, które nagle zaczyna go wsysać z paskudnym mlaśnięciem.

Napisałam do Grzegorza tyle listów, tyle szczerych wyznań w nich zawarłam, tak się wywnętrzałam i odsłaniałam, i... w ogóle brak słów. A tymczasem, kiedy przyszłam o naszej stałej godzinie na sesję, w ciemnozielonym fotelu zamiast Kapinosa o odstających uszach i brązowych oczach wrażliwej jałówki siedziała atrakcyjna brunetka z włosami ściągniętymi w tak ciasny koński ogon, że omal jej gałki nie wyskoczyły z oczodołów. W każdym razie takie odniosłam wrażenie; przez cały czas bałam się, że wyskoczą akurat w mojej obecności.

— Dzień dobry — powiedziała entuzjastycznie, kiedy weszłam. — Witam serdecznie, proszę sobie usiąść wygodnie. Nazywam się Jagoda Bąk i od dziś będę pani terapeutką.

— Słucham? — odezwałam się najmiłszym głosem, na jaki mnie było w tym momencie stać (czyli takim, powiedzmy... średnio lodowatym). — Ja przyszłam do pana Grześ...gorza. Kapinosa.

Dokładnie w momencie, w którym wypowiadałam jego imię, zmroziła mnie myśl, że może oto siedzi przede mną pani Kapinos. Przecież mogło być tak, że prowadzili we dwoje małżeński biznesik: na przykład on przyjmował pacjentki, a ona pacjentów (czytałam kiedyś, że kobiety lepiej się dogadują z mężczyzną szefem, zaś mężczyźni — z kobietą. Może to działało także w przypadku terapeutów).

„A może to bzdura”, odezwał się racjonalny głos w mojej głowie. I zresztą mniejsza z tym, kto się z kim lepiej dogaduje; to wcale nie musi być żona Grzegorza, po prostu źle się poczuł, na przykład wziął „kacowe”, i zastępuje go koleżanka.

Ale właściwie dlaczego „kacowe”, zadałam sobie natychmiast kolejne pytanie. Z kim niby Grzegorz miałby tak okrutnie nagrzeszyć, żeby aż brać „kacowe”? I dlaczego mnie nie uprzedził? Przecież nie dalej jak dziś napisałam do niego: o tym, czego dowiedziałam się od mamy, o reakcji ojca i Zoi, o pomysłe Igi. Spodziewałam się, że będzie mnie próbował odwieść od próby znalezienia Remigiusza. Oczekiwałam także pochwały i, mówiąc szczerze, cieszyłam się na nią jak dziecko. Bo przecież Kapinos powinien docenić moje starania, by mimo wszystko rozstać się z mamą w zgodzie. I jeszcze to, że doprowadziłam do ocieplenia stosunków z Zoją (choć oczywiście doskonale wiedziałam, że ona nadal uważa mnie za mąciwodę, nie ufa mi i ma do mnie żal) oraz że tak ładnie pogodziłam się z tatą. W sensie: wybaczyłam mu całe to podłe utrzymywanie mnie w nieświadomości przez tyle lat.

Tego wszystkiego spodziewałam się po dzisiejszej sesji. Jeśli się czegoś na sto procent nie spodziewałam, to tego, że Grzegorz mnie porzuci. I że jego miejsce zajmie brunetka z wytrzeszczem od ciasnej kitki.

— Pani Agato — mówiła tymczasem posiadaczka wspomnianego wytrzeszczu. — Proszę spocząć i się uspokoić. Jestem terapeutą o nie mniejszym doświadczeniu niż pan Grzegorz, tak więc może być pani pewna, że otrzyma pani ode mnie profesjonalną pomoc.

Chciałam odburknąć, że nie chcę od niej żadnej pomocy, ani profesjonalnej, ani amatorskiej, lecz powstrzymało mnie przed tym moje niewątpliwie dobre wychowanie. Usiadłam i patrzyłam na nią w milczeniu. Ze wszystkich sił starałam się nie wpaść w furię. Opcjonalnie: nie rozbeczeć się.

— Pan Kapinos nie może dłużej prowadzić pani terapii. Przekazał mi notatki i wszystkie niezbędne informacje...

— Jakim prawem?

— Słucham?

— Jakim prawem mój terapeuta przekazał pani, czyli, jakkolwiek by patrzeć, obcej osobie, informacje na mój temat?! — zapytałam, trzęsąc się ze zdenerwowania.

— To są informacje poufne, może być pani pewna, że obowiązują mnie te same zasady...

— Właśnie! — wrzasnęłam, bo po prostu dłużej nie wytrzymałam. — Poufne! Ja mu to wszystko

powiedziałam w zaufaniu!

— Pani Agato — odezwała się psycholożka, odczekawszy chwilę, jakby chciała się upewnić, że mój krzyk przebrzmiał na dobre. — Właśnie o to chodzi. Pani zachowanie tylko potwierdza, że decyzja pana Grzegorza była słuszna. Otóż zaczęła pani traktować terapię jak coś osobistego, a swego terapeutę jak przyjaciela. To jest bardzo poważny błąd i tak prowadzone sesje trzeba natychmiast przerwać.

— Dlaczego? — zapytałam płaczliwie. — A jeśli on naprawdę stał się moim przyjacielem?

— To tylko złudzenie — odparła ciepło. — W rzeczywistości terapeuta wychodzi z gabinetu i odcina się od spraw pacjentów. Nie myśli o nich. Przeciwnie. Robi, co w jego mocy, żeby zapomnieć.

Przełknęłam łzy. Jeszcze nie do końca docierało do mnie, co się wydarzyło, ale jedna rzecz była dla mnie jasna: nie zamierzałam opowiadać tej kobiecie o sobie. Nie mogłam. Nie chciałam. Nagle zrozumiałam, że nie potrzebuję żadnej terapii — potrzebowałam jedynie rozmowy z Grzegorzem. Właśnie z nim i z nikim innym. Chciałam, żeby mnie pochwalił. Żeby cieszył się z moich postępów w pracy nad sobą. Żeby był ze mnie dumny.

„Dlaczego?“, zapytałam siebie w myślach. „Czy dlatego, że posiadał on jakieś szczególne cechy jako psycholog? Chodziło o jego wiedzę, mądrość życiową, wrażliwość? A może o coś zupełnie innego?“

Nie zdążyłam sobie odpowiedzieć na żadne z tych pytań, bo Jagoda Bąk przystąpiła tymczasem do ataku.

— Proszę powiedzieć... — Tu zrobiła pauzę na zerknięcie do notatek, a ja zwróciłam uwagę, że nie ma takiego ładnego notesu jak Grzegorz. — Jak się powiodła rozmowa z matką?

— Słucham?

— Jak się powiodła rozmowa? — powtórzyła. — Jak przebiegała? Czy wyjechała pani stamtąd pogodzona z mamą, ze sobą samą, z waszą historią rodzinną? Czy też do głosu doszły jakieś niechciane emocje?

Przez chwilę gapiłam się na nią bezmyślnie, jakbym nadal nie rozumiała, o co pyta. Oczywiście rozumiałam. Nie wiedziałam tylko: po co. Po co miałabym się jej zwierzać, po diabła w ogóle był mi jakiś psycholog?

— Pani mnie wcale nie słuchała — powiedziałam, wstając. — Przecież już mówiłam: nie przyszedłam tu do pani i nie zamierzam z panią rozmawiać. Nie znam pani i pani nie zna mnie.

— I tak właśnie powinno być...

— Do widzenia — przerwałam. — Pozdrowienia dla pana Grzesia Kapinosa.

I wyszłam, nie zważając na to, że tym zdrobnieniem najwyraźniej ją zdenerwowałam.

Nie rozbeczałam się ani po drodze, ani w domu. Nie umiałam nawet zdefiniować tego, co czułam: czy było w tym więcej złości, rozczarowania czy smutku. Tata szykował późną kolację; na mój widok przykrył patelnię pokrywką i wyszedł mi naprzeciw do przedpokoju.

— Co tak szybko? — zapytał zdziwiony. — Zazwyczaj wracałaś znacznie później.

— Dzisiaj miałam ostatnią sesję — wyjaśniłam sztucznie wesołym tonem. — Taką podsumowującą. Jednym słowem, nie potrzebuję już żadnego głupiego terapeuty.

Głos zadrżał mi niebezpiecznie, kiedy mówiłam „nie potrzebuję“, więc czym prędzej zmieniłam temat.

— Co tam pichcisz? — zapytałam. — Pachnie grzybami.

— Tak, wykorzystałem trochę suszonych podgrzybków z zeszłego roku — odparł tata. — Na święta mamy przecież tegoroczne.

— Ale do czego wykorzystałeś?

— Zoja nauczyła mnie przyrządzać takie... no, jakby kotleciki z kaszy. Można z różnymi dodatkami, ale pomyślałem, że grzyby pasują idealnie.

— Zaciekawieś mnie. — Odsunęłam od siebie myśl o zdrajcy Kapinosie, choć w okolicy serca nadal czułam nieznośny ciężar. — Pokaż, co to za kotleciki.

Przez resztę wieczoru pichciliśmy razem: zblendowaliśmy ugotowaną kaszę jaglaną z grzybami

(tata wcześniej ugotował je i podduśił z cebulką), przyprawiliśmy wszystkim, co tylko przyszło nam do głowy, a ponieważ masa wyszła bardzo rzadka i za nic nie udało nam się ulepić z niej kotlecików, postanowiliśmy upiec coś w rodzaju babeczek w formie do muffinek. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Kiedy wreszcie poszłam pod prysznic, z brzuchem pełnym pysznych grzybowych babeczko-kotletów, byłam już w znacznie lepszym nastroju. „W skrzynce na pewno czeka na mnie list”, pomyślałam, wskakując pod kołdrę. Tak, Grzegorz na sto procent napisał, żeby się wytłumaczyć. Ale za karę nie sprawdzę dziś poczty. Niech wie, że nie jest najważniejszy na świecie.

Z niedowierzaniem kliknęłam „odbierz” jeszcze raz, a potem na wszelki wypadek ponownie. Ponieważ w niczym nie zmieniło to faktu, że w mojej skrzynce pocztowej znajdował się jedynie spam, zamknęłam laptopa, a następnie uruchomiłam go ponownie, by powtórzyć całą operację. Doskonale wiedziałam, że moje poczynania nie mają sensu, ale nie byłam w stanie się powstrzymać.

Zanim wypiliśmy kawę, ubrałam się, umalowałam i wyszłam do pracy, zalogowałam się do poczty jeszcze jakieś dwadzieścia razy. Nic z tego. Grzegorz do mnie nie napisał.

Próbowałam to wszystko jakoś zrozumieć, poukładać sobie w głowie. Pisałam do niego od dwóch miesięcy — sam polecił mi to robić. Na kilka ostatnich mejli odpisał, choć przecież nie musiał i choć w jakiś sposób było to niezgodne z naszymi wcześniejszymi ustaleniami. Zapewne dlatego zaczęłam go traktować jak przyjaciela — jak kogoś, kto nie tylko słucha, ale naprawdę ze mną rozmawia.

Dlaczego teraz przestał? Dlaczego nie chciał już prowadzić moich sesji? Co takiego zrobiłam (lub napisałam w którymś z listów), że mój terapeuta uznał naszą relację za... Jaka? Nieodpowiednią? Wykraczającą poza ramy profesjonalizmu? Szkodliwą dla którejś ze stron?

Nie mogłam o tym pogadać z nikim poza Igą, bo przecież nikomu innemu nie opowiadałam o przebiegu terapii. Zamierzałam przedłużyć sobie przerwę obiadową i wpaść z szybką wizytą do przyjaciółki, ale nie miałam sumienia zostawić taty — tego dnia mieliśmy wyjątkowo dużo klientów. Na domiar złego zadzwonił właściciel kwaciarni, który zamierzał otworzyć usługę poczty kwiatowej, i zamówił sesję bukietów, najlepiej „na już”.

— Co wolisz, tato? — zapytałam. — Zostajesz tu i walczysz z klientami czy jedziesz fotografować kwiaty?

— Nie, nie, kwiaty to robota dla ciebie — spłoszył się ojciec. — Jedź. A jeśli nie masz potem żadnej umówionej sesji, to nie musisz już przyjeżdżać. Dam sobie radę.

Nawet nie miał pojęcia, jaką mi sprawił radość tą propozycją. Pomyślałam, że po sesji bukietowej najpierw zajrzę do Mościckich, żeby pobawić się chwilę z Kornelką, bo bardzo się już za nią stęskniłam — a potem pognam do Igi obgadać sprawę Kapinosą.

Kwaciarz, który zamówił zdjęcia, okazał się bardzo przystojnym facetem w okolicach czterdziestki. Miał leciutko siwiejące włosy i kilka poziomych zmarszczek na czole, ale poza tym naprawdę był niczego sobie — co z tego jednak, skoro wokół szyi nosił grubaśny szalik.

— Przepraszam, że tak obcesowo — powiedział. — Dzwonię i od razu chcę sesję. Ale po prostu tak się złożyło, że tworzymy ofertę, dopiero rozkręcamy tę sprawę z wysyłką, a akurat była tu dzisiaj nasza florystka i przygotowała modelowe bukiety...

— Nic nie szkodzi — powiedziałam krótko. — Proszę pokazać, gdzie będę robić te zdjęcia. Bo ja nie wiem, czy jest dobre światło, czy nie muszę przynieść blend z samochodu.

Zaprowadził mnie do dość jasnego pomieszczenia, gdzie stały w wiadrach precudne bukiety skomponowane kolorystycznie. Nigdy nie znałam się na kwiatach, zresztą w niektórych wiązkach zauważyłam tak egzotyczne rośliny, że nawet gdybym się orientowała w tych popularniejszych gatunkach, na nic by się to nie zdało.

— Widzi pani, musimy je sprzedać jak najprędzej, żeby nie powędły — wyjaśnił kwaciarz. — Albert Bratek jestem, tak przy okazji — przedstawił się i zarumienił przy tym uroczo. — Nazwisko tematyczne, jak pani widzi.

Naprawdę był szalenie przystojny. „A gdyby tak zrobić na złość Kapinosowi i wdać się we flirt?”, przyszło mi do głowy. Powiedziałabym mu potem, że skoro zostawił mnie na pastwę pani Bąk z wytrzeszczem, to po prostu poczułam się zagubiona.

Zaledwie o tym pomyślałam, ogarnął mnie smutek. Kapinos miał w nosie, czy wdam się w romansik, czy też nie. Nie będę miała okazji zrobić mu na złość. I zresztą — jakie to było dziecinne, że w ogóle coś takiego przyszło mi do głowy. Komu zrobię psikusa: jemu czy sobie? To przecież mnie powinno zależeć, abym nie ładowała się w przelotne związki. A Albert Bratek, choćby

najprzystojniejszy, miał przecież szalik.

— Idę po blendy, bo tu jest jednak ciut za słabe światło — zdecydowałam. — I gdyby pan mógł, to proszę mi pomóc z deskami.

Wozilałam w bagażniku taki specjalny zestaw do fotografii kulinarnej i kwiatowej — kilka desek, z jednej strony pobielonych, a z drugiej pobejcowanych na ciepły brąz. W zależności od obiektów odwracało się ten niby-blat na odpowiednią stronę i pstrykało zdjęcia, a klient potem nie posiadał się ze zdumienia, że na fotografii widnieje taki piękny, stary stół.

Bukiety prezentowały się precyzyjnie na tej jaśniejszej stronie; zdjęcia wychodziły trochę w klimacie sielskim, ale nie jakimś przesadnie rustykalnym.

— To jak wy to robicie? — zainteresowałam się, bo przyszło mi do głowy, że można by pomyśleć z pocztą kwiatową podrzucić Idze. — Florystka przygotowuje bukiety i wtedy je rozsyła do klientów? A jeśli ktoś sobie zażyczy bukiet pojutrze, to co? Dostaje taki lekko przywiedły?

— Ależ to zupełnie nie tak działa — wyjaśnił pan Bratek, przyglądając się, jak kadruję żółty bukiet i malowniczo rozrzucam trochę płatków na białe deski. — Florystka opracowała, jak pani widzi, modelowe bukiety. Nadajemy im nazwy i zamieszczamy na stronie naszej poczty kwiatowej. Mamy kwaciarnie partnerskie, na razie w sześciu większych miastach, i one będą realizowały zamówienia. To działa jak sklep internetowy, tylko zamiast z lokalnego magazynu, towar jedzie do klienta z odpowiedniej kwaciarni.

— A oni tam będą umieli te bukiety ułożyć dokładnie tak, jak te tutaj? — zapytałam z powątpiewaniem.

— Między innymi po to potrzebne są dokładne zdjęcia — wyjaśnił kwaciarnik. — Ale też jest do tego szczegółowa instrukcja. O, tu na przykład pani widzi spis: żółte róże, białe goździki, limonium, gipsówka, do tego trochę zieleni i bukiet gotowy. Dokładnie spisane, ile czego dajemy, od dołu żółta kryza i już. Nazwaliśmy go „Pocałunek słońca”.

— Piękny — westchnęłam. — Ale najcudniejszy jest ten biały. Byłby idealny na ślub.

— Tak — przyznał właściciel kwaciarni. — Ma pani rację, że chyba najładniejszy.

„Tyle że mnie się nie przyda”, dokończyłam w duszy, bo nie mam nikogo, choć oczywiście gdybym nie posłuchała Grzegorza, być może od paru miesięcy byłabym z Rafałem, ale z drugiej strony on jest przecież taki młodziutki i na pewno jeszcze nie myśli o «zagniazdowaniu», a ja potrzebuję mężczyzny, nie chłopca”.

Tak oto moje myśli powróciły do Kapinosa, a wraz z nimi zaległa na moim sercu cała tona smutku. A w każdym razie gdzieś blisko serca, bo czułam ucisk w klatce piersiowej i ciężko mi było oddychać.

— Ja w zasadzie nie rozumiem, w czym problem — powiedziała Iga, marszcząc nos i gładząc się po wypukłym brzuszku.

— No jak to: w czym. W tym, że mnie nie uprzedził, niczego nie wyjaśnił. Przekazał mnie w cudze ręce jak przedmiot... I w dodatku bez pożegnania.

— Może jest chory — rzuciła po chwili namysłu. — Mamy grudzień, ludzie łapią infekcje.

— Też tak sobie pomyślałam. No, może niezupełnie miałam na myśli infekcję, raczej kaca, ale na jedno wychodzi. No i ta wyłupiasta Jagoda Bąk powiedziała, że chodzi o coś innego. O to mianowicie, że nasza relacja stała się dla Grzegorza... No, nie pamiętam, jak ona to ujęła, w każdym razie że niekorzystna. I w ogóle, że terapeuci nie są naszymi przyjaciółmi, że chcą o nas jak najprędzej zapomnieć.

— Ale przecież ten twój kłapouchy Kapiglut sam ci mówił coś bardzo podobnego. Niby nieznajomy z pociągu, nic o nim nie wiesz i te sprawy...

— Po pierwsze, nie mów o nim w ten sposób! — rozsierdziłam się, sama kompletnie nie rozumiejąc dlaczego. — Jeśli nie możesz zapamiętać jego nazwiska, to mów po prostu Grzegorz.

Iga podniosła ręce w obronnym geście. Była zupełnie zaskoczona. Zapewne ja wyglądałam podobnie, bo naprawdę zdziwił mnie własny wybuch.

— Po drugie — ciągnęłam — po co w takim razie dałby mi swój adres mejlowy i kazał do siebie pisać? A potem w dodatku odpisał raz i drugi?

— Nie mam pojęcia.

— A widzisz! — zawołałam triumfalnie. — Po prostu ja nie byłam dla niego jedną z dziesiątków pacjentek. Przestałam być wyłącznie problemem terapeutycznym, stałam się kimś więcej. I on dla mnie też był kimś więcej niż terapeutą.

Okłapałam znowu, ledwie wypowiedziałam te słowa. Tak, stał się kimś więcej. Ale kim?

— Zakochałaś się w nim? — zapytała czujnie Iga, jakby podsłuchiwała moje myśli.

Zastanawiałam się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Nie, chyba nie — odparłam wreszcie. — Przecież nie pisałabym mu o Rafale, gdybym była w nim zakochana.

— Mogłabyś pisać, żeby wywołać zazdrość.

— Daj spokój, to zupełnie nie w moim stylu. Zazdrości nie lubię i nie chciałabym jej w nikim wywoływać.

— No to skoro się nie zakochałaś w Kapi... w Grzegorz, to ja nadal nie wiem, w czym problem.

— Iga rozłożyła bezradnie ręce. — Nie przesadzaj. Trudno, nie wyszło. Zaprzyjaźniłaś się najwyraźniej znacznie bardziej niż on. I tyle.

— I tyle — powtórzyłam cichutko, bo zbierało mi się na płacz.

— Ale ja tu widzę pewne pozytywy. — Moja przyjaciółka podniosła się z fotela i poszła do kuchni po nową porcję mieszanki studenckiej, którą obie uwielbiałyśmy nieprzytomnie, przy czym ja najpierw wyżerałam nerkowce, a ona suszoną żurawinę. — I te pozytywy dotyczą wspomnianego Rafała. Przecież Grzegorz dał ci szlaban na miłość, a teraz, skoro się na ciebie rozkraczył, to już możesz się śmiało zakochać w Mościckim.

— Jakie znowu „rozkraczył”, Iga, zlituj się! — westchnęłam teatralnie. — Wypiął się, a nie rozkraczył. A co do Rafała, to niestety, przeszło mi. Byłam tam dzisiaj, żeby się trochę pobawić z Kornelką, pogadałam z Basią i panem Mościckim, fajnie było, ale kiedy przyszedł Rafał, nic mi nie drgnęło, nic się nie poruszyło.

— Co ma ci się ruszać i drgać! — parsknęła Iga. — Dawno się nie widzieliście i tyle. Ogra cię raz i drugi w *Carcassonne*, popatrz czule w oczy, potar mosi za rękaw...

— Nie, Iga — zakończyłam ten temat. — Ja już nie chcę takich przeżyć, tych małych flircików, romansików... W nosie mam te motyle w brzuchu...

— Albo w nosie, albo w brzuchu.

— W nosie — upierałam się. — Wiesz, o co mi chodzi. Nie chcę. Pragnę wielkiego uczucia, chcę być z dojrzałym, mądrym mężczyzną, z którym będę mogła rozmawiać godzinami, przy którym poczuje się bezpiecznie i zajdę w ciążę, i...

— Chcesz Kapiłguta — dokończyła uroczyście moja przyjaciółka. — Wiedziałam. Czyli jednak się w nim zakochałaś.

Najpierw wyłącznie czekałam. Sama nie wiem na co — pewnie głównie na list. Myślałam sobie, że Grzegorz napisze, że wyjaśni mi jakoś całą tę sytuację. Po kilku dniach — ponieważ mejl od niego wciąż nie nadchodził — zaczęłam czekać na różne inne rzeczy. Na sensowne (na przykład żeby przyszedł do zakładu „Babette” i poprosił o rozmowę) oraz bezsensowne (że do mnie zadzwoni, choć nie wiem, skąd miałby mieć numer, skoro mu nie dałam), a nawet całkiem głupie. Coraz głupsze, by być całkiem szczerą. Na przykład na to, że przeczytam w gazetach o jego uprowadzeniu.

— Czyś ty pomysły poskradała?! — zawołała z zgrozą Iga, kiedy zadzwoniłam i zwierzyłam jej się z takich myśli. — Dlaczego mieliby go uprowadzić?

— Nie „poskradałam” ani nie postradałam. Ani pomysłów, ani zmysłów — odparłam z naciskiem, choć oczywiście doskonale wiedziałam, że ona i tak nie zapamięta poprawnej formy. — Po prostu łatwiej byłoby mi to wszystko zaakceptować.

W słuchawce zapadła cisza, z czego wywnioskowałam, że przyjaciółka kompletnie mnie nie rozumie.

— Wiesz, gdyby na przykład ta zołza z wytrzeszczem okazała się zakochaną w nim do nieprzytomności psychopatyczną psycholożką, która odkryła, że mamy się ku sobie...

— A mieliście się oboje? — zapytała rzeczowo Iga. — Naprawdę? Czulaś, że on też?

— Nie — przyznałam uczciwie. — Daj spokój, nawet nie czulałam, że ja sama się ku niemu mam, a co dopiero, że on ku mnie. Ale dajmy na to. I ona by go porwała, zamknęła gdzieś i trzymała w piwnicy... Rozumiesz, wówczas byłoby mi łatwiej. Bo to by oznaczało, że on mnie lubi, że jemu też brakuje tych naszych spotkań...

— Ale musiałabyś go uwolnić — zauważyła.

— No tak.

— Więc na co czekamy? Sprawdźmy, czy został uprowadzony.

— Iga, wariatko! Przecież ja się wyglupiam!

— A ja mówię serio — upierała się. — Przecież można to sprawdzić. Umówię się na sesję i pójdę tam, i...

— No wiadomo, że nie został porwany... Tak tylko plotę...

— Ty głupia jesteś — uciszyła mnie. — Zakochałaś się, tak czy nie?

— Tak — zgodziłam się potulnie.

— To ja ci coś powiem. Obserwuję cię przecież i mam swój rozum, nawet jeśli jestem stuknięta przez piorun. Chcesz wiedzieć, co widzę?

— No, dawaj.

— Otóż widzę, że po raz pierwszy wzięło cię tak prawdziwie. Inaczej niż przedtem. Zawsze zakochiwałaś się po wariacku, od razu chlup, na głęboką wodę, i potem też tak impulsywnie, nie dzwoni, więc ja zadzwonię, żaden problem; obraził się, więc go przeproszę; odszedł, to niech się wypcha. Tym razem jest inaczej.

— Jak?

— Nie wiem, ty mi powiedz. Gdyby to był jeden z tych poprzednich razów, już byś tam pojechała. Stałabyś pod drzwiami i czekała, a gdy on by się pojawił, albo byś mu zrobiła awanturę, albo rzuciła się na szyję i płakała. A tymczasem ty wolisz sobie wyobrażać, że ktoś go porwał.

— Może to znaczy, że jestem zwyczajnie głupia?

— Mnie się wydaje, że to znaczy tylko i aż tyle, że się okropnie boisz. Zależy ci na nim tak bardzo, że wolisz każdą inną opcję niż tę najprostszą: że on nie odwzajemnia twoich uczuć. Innymi słowy: trafiona zatopiona. Już po tobie.

Zamyśliłam się. Do diabła, Iga mogła mieć rację. To mogła być wreszcie prawdziwa miłość, na którą czekałam tyle lat. Problem w tym, że obiekt westchnień mi się ulotnił.

— Wyjaśnij mi jeszcze raz, dlaczego po prostu do niego nie zadzwonisz — zażądała.

— Bo jest mi przykro. Natychmiast zaczęłabym beczeć i wyszłaby z tego głupia rozmowa, jakieś obwinianie, pretensje... A poza tym nie chcę się narzucać. Jeśli rzeczywiście jestem dla niego jedynie jedną z wielu pacjentek...

— No dobrze — przerwała. — Już rozumiem. Ale zostaje jeszcze mejl, z tym jest przecież łatwiej. Pamiętasz, jak kazałaś mi napisać list do Wojtka? Dlaczego nie zastosujesz tej samej metody?

— Przecież już napisałam. Nie odpowiedział.

— Napisz jeszcze raz.

— Nie. Nie umiem tak. W ostatnim liście napisałam, że nie mogę się doczekać, kiedy się spotkamy. On mi nie odpisał, nie przyszedł na sesję, a zamiast tego przysłał wytrzeszcza. Jak mogłabym do niego pisać po czymś takim?

W słuchawce zapadła cisza.

— Ty wiesz co? — odezwała się wreszcie Iga. — Ja naprawdę przeprowadzę akcję ratunkową. Bo już sama zaczynam podejrzewać, że twój uszaty terapeuta został porwany. A w każdym razie, że coś mu się stało.

Akcja ratunkowa została przeprowadzona w iście mistrzowskim stylu. Jak to określiła Iga: sam Jim Beam nie zrobiłby tego lepiej (oczywiście nie chodziło jej o gatunek whisky, lecz o Jamesa Bonda). Rafał zawiózł nas na parking nieopodal gabinetu Kapinosa i na moją prośbę stanął tak, abym przez cały czas widziała drzwi (choć nie wiedziałam dokładnie, dlaczego mi na tym zależy — przecież nie spodziewałam się, że Grzegorz zechce uciec na widok mojej przyjaciółki). Następnie na wszelki wypadek naciągnęłam na głowę kaptur i założyłam ciemne okulary, nie bacząc na fakt, że w zapadającym zmroku przestałam cokolwiek widzieć. Iga — ubrana w luźne ciuszki, żeby Grzegorz nie skojarzył jej brzuchatej sylwetki z moją przyjaciółką (bo przecież opowiadałam mu, że Iga jest w ciąży, i wydawało mi się, że taki bystry facet jak on natychmiast rozgryzłby całą intrygę) — poszła pod wskazany adres z fałszywym zamiarem umówienia się na terapię.

— Pamiętaj, poznasz go po uszach — zawołałam, zanim zatrasnęła drzwi auta. — I ma takie wrażliwe oczy, wilgotne, z rzęsami...

— Wariatka! — prychnęła moja przyjaciółka. — Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi ma uszy, rzęsy i wilgotne oczy.

Poszła.

— Nie możesz iść sama? — zapytał Rafał, który najwyraźniej kompletnie nic z tego nie rozumiał. Niecierpliwie pokręciłam głową.

— O ile mogę cokolwiek wywnioskować z waszego dziwnego zachowania — powiedział powoli — to ty chcesz tylko sprawdzić, czy ten facet z uszami i oczami tam jest, tak?

— Tak — potwierdziłam.

Rafał myślał przez chwilę.

— Nie możesz po prostu zapukać i zapytać, no nie wiem, „Dzień dobry, zastałam Jolkę”? Albo coś w tym rodzaju.

— Nie mogę. On nie może się domyślić, że ja go szukam.

— Dlaczego?

— Ambicja mi na to nie pozwala — wyjaśniłam z pewną wyższością, jak nastolatkowi, który niewiele rozumie, ale wydaje mu się, że jest już dorosły.

— Bez sensu — ocenił Mościcki. — Dla mnie te wszystkie podchody są głupie. Dlaczego dziewczyny nie mogą po prostu okazać chłopakowi zainteresowania? Chcecie równouprawnienia, tak? Ja jestem jak najbardziej za. Ale we wszystkich sprawach.

— Czyli co: my się mamy wam oświadczać? Ja mam kupić pierścionek zaręczynowy i mu wręczyć? — zachnęłam się.

— Jeżeli on nosi pierścionki, to oczywiście, czemu by nie? — zapytał Rafał z udawaną powagą. — Ale jeżeli woli na przykład zegarki, to nie widziałbym w tym nic złego.

— Wygłupiasz się.

— Troszeczkę — przyznał. — Ale trochę też mówię poważnie. Kobiety powinny nas uwodzić dokładnie w tym samym stopniu, w jakim same chcą być uwodzone. Nie rozumiem na przykład tych wszystkich waszych sztuczek, trzymania na dystans, unikania spojrzeń, udawania, że on cię nie interesuje...

Zamilkł. Ja także nic nie mówiłam, pogrążona w zadumie na temat tego, co właśnie usłyszałam. Czy mój rozmówca miał rację? Skoro pragniemy być traktowane tak samo jak mężczyźni, to może powinnyśmy zacząć od siebie — przyznać sobie te same prawa, które zostały im dane zwyczajowo, niejako z kulturowego rozpędu. Czyli nie muszę się wstydzić tego, że zakochałam się w facecie, który nie chce mnie więcej widywać — natomiast mam prawo zrobić to, co w takiej sytuacji zrobiłby mężczyzna: pojawić się pod jego drzwiami z bukietem kwiatów i powiedzieć: „Nie mogę przestać o tobie myśleć”. No, może zamiast kwiatów trzymałabym na przykład półmisek z pieczonym schabem. Albo coś w tym stylu. Chociaż w sumie... Grzegorz mówił, że lubi margerytki.

Iga wyszła już po paru minutach.

— Rzeczywiście ma wytrzeszcz — oznajmiła, wsiadając do samochodu. — Ale ogólnie ładna.

— Ja cię nie pytam o wrażenia — zdenerwowałam się, bo myśl o tym, że Jagoda Bąk może się podobać, wcale nie poprawiała mi humoru. — Mów, czego się dowiedziałaś.

— Że pan Kapinos obecnie nie przyjmuje, ponieważ przebywa na urlopie. I że ona przejęła tymczasowo wszystkich jego pacjentów.

— Na urlopie, mówisz? — Zamyśliłam się. — Czyli jedno wiemy na pewno: wszystko z nim w porządku. Może właśnie pławi się w ciepłku na jakiejś egzotycznej plaży. A ja tu wypłakuję oczy...

— No już nie przesadzaj, raz sobie pobeczowałaś, tak bardzo znowu nie wypłakujesz — zauważyła trzeźwo Iga. — A swoją drogą, to moim zdaniem jest całkiem możliwe, że ten urlop wiąże się na przykład z wypaleniem zawodowym. Może rzeczywiście za bardzo wziął sobie do serca twoje problemy i uznał, że musi się od tego odciąć.

W lusterku uchwyciłam zaniepokojone spojrzenie Rafała.

— Sprawy rodzinne — wyjaśniłam mu. — Wyciągaliśmy trupa z szafy. Tarmosiliśmy za siną rączkę.

Wzdrygnął się, ale o nic nie zapytał.

— Moim zdaniem to nawet dobrze, że go teraz nie ma — perorowała dalej Iga. — Pomyśl: masz trochę czasu, żeby ochłonąć. Minie parę tygodni, u ciebie się wszystko uspokoi, mam na myśli rodzinę. Jeśli naprawę tego chcesz, to znajdziemy twojego biologicznego ojca. I kiedy pójdziesz do Kapiglu... Grzegorza po tym urlopie, to będziesz już zupełnie inną osobą, ze wszystkimi sprawami z przeszłości załatwionymi i zamkniętymi na cztery spusty. Spokojną, zrównoważoną, chłodną...

Spojrzenie naszego kierowcy wyrażało teraz coś na kształt rozbawienia wymieszanego z absolutnym niedowierzaniem.

— Masz rację — odparłam. — Bardzo dobrze, że go nie ma, skunksa jednego, i że się wyleguje na tym rozgrzanym piasku. Przynajmniej się trochę opali, bo był jakiś niezdrowo blady. I ładniej wyjdzie na ślubnym zdjęciu, jak nabierze kolorków.

Wolałam się wygłupiać niż okazać, jak bardzo było mi przykro. Grzesiek pojechał sobie na urlop — w porządku, nic w tym dziwnego. Przekazał mnie bez słowa wyjaśnienia nowej terapeutce — to też jakoś bym przełknęła, w końcu mogli mieć takie obyczaje, może rzeczywiście tak się robi, żeby uświadomić pacjentom, że terapeuta jest w ich życiu na chwilę i nie wolno się do niego przywiązywać. Ale to, że nie odpisał mi na mejla, w którym wyraziłam radość z naszego spotkania — nie uprzedził mnie, że tego spotkania w ogóle nie będzie — to wydało mi się podłe. Za mocne słowo? Być może, jednak takie postępowanie dowodziło, że Kapinos w najmniejszym stopniu nie odwzajemnia moich uczuć, a to każdemu zakochanemu wydaje się właśnie... podłe.

W smętnych nastrojach wróciliśmy do siebie. To znaczy, Rafał odwiózł mnie i Igę do jej domu na Piaskach, odstawił mazdę do garażu, wypiliśmy herbatę i zjedliśmy przygotowaną przez Wojtkę zapiekankę z ziemniaków ze szpinakiem, obgadaliśmy kilka spraw związanych z firmą ogrodniczą, po

czym Mościcki pożegnał się i pojechał do domu. Ja także zaczęłam się zbierać.

Iga przytuliła mnie, kiedy wkładałam kurtkę.

— Daj sobie trochę czasu — szepnęła. — Sobie i jemu. Może ci to przejdzie, jak przechodziło tyle razy przedtem?

— Nie chcę, żeby mi przeszło — powiedziałam. — Ten jeden raz naprawdę nie chcę.

— Wiem o tym. Ale Kapiglut nie wie. Może on uciekł na ten urlop, bo się wystraszył? Przecież ty o nim właściwie nic nie wiesz... Może na przykład niedawno się sparzył i teraz boi się powtórki z rozrywki?

— Ale niby dlaczego miałby się bać? Nie, Iga, myślę, że jest znacznie gorzej. Prawda wygląda tak, że on wcale o mnie nie myślał w tych kategoriach. Ja sobie to wszystko wyobraziłam. I właśnie dlatego tak mi smutno. Bo nie mam już szans. Gdyby terapia trwała dalej, to mogłabym jakoś mu dać do zrozumienia, że się w nim... Że mi się podoba. Może polubiłby mnie, no wiesz, w ten inny sposób.

— „Nie mam już szans” — przedrzeźniała mnie Iga. — Ty głupia wariatko, kocham cię, ale nie mogę inaczej do ciebie mówić, kiedy pleciesz takie andruty. Przecież urlopu się nie ma dożywotnio, prawda? Odczekasz trochę, tak jak ci radziłam, przekonasz się, czy nadal o nim myślisz, czy ci nie przeszło. A wtedy pójdziesz tam i powiesz, że chcesz się umówić na sesję, bo tylko on potrafi sprawić, że jesteś szczęśliwa.

— Odmówi. Powie, że nie może wchodzić z pacjentką w taką relację.

— Wtedy ty go zaprosisz na kawę. I powiesz, że to nie musi być sesja. Że to musi być on.

— A jeśli mnie nie zechce?

— Wtedy zaczniesz rozpaczać. Ale dopiero wtedy, słyszysz? Teraz masz pozalatawać do końca sprawy rodzinne i zadbać trochę o siebie, bo kiedy on wróci z tego urlopu, to ma go aż wcisnąć w ziemię z zachwyty. Rozumiesz?

— Rozumiem — powiedziałam potulnie.

Nie wiem, jakim cudem ta rozmowa aż tak bardzo mi pomogła. Wiem jedynie, że kiedy wróciłam do domu, czułam się prawie szczęśliwa i wierzyłam, że nawet jeśli Kapinos kompletnie o mnie nie dba — uda mi się zdobyć jego miłość.

Życie toczyło się teraz niby wolniej, jak zwykle zimą, kiedy rano człowiek idzie do pracy nie do końca rozbudzony, a wieczorem wraca z poczuciem, że na świecie nadal panuje ciemna noc. Jednocześnie — nie wiedzieć kiedy — zrobiła się połowa grudnia, a zaraz potem nadeszły święta, to znaczy na szczęście nie nadeszły tak od razu, tylko zbliżyły się niebezpiecznie, mrugając do mnie z witryn sklepowych tandetnymi buźkami rumianych Mikołajów i przypominając, że okna mamy niepomyte, a szafki kuchenne niewysprzątane.

— Tato, w tym roku robimy wszystko razem — zarządziłam któregoś dnia. — Sprzątamy i pichcimy świąteczne potrawy. Skoro wkrótce wychodzisz za mąż... tfu, żenisz się, to pora zacząć się wdrażać. Ja byłam zawsze gosposia-samosia, ale Zoja niekoniecznie będzie chciała robić wszystko sama. Musisz się nauczyć.

— Po pierwsze, twoje pichcenie mi się na nic nie zda — zaprotestował ojciec. — Bo Zoja i tak nie tknie naszych potraw. Ani świątecznych, ani żadnych innych. A po drugie, kochanie, ślubu nie będzie.

— Dlaczego? — przeraziłam się.

— Przecież pamiętasz, co powiedziała. Że nie mogłaby mieszkać z tobą pod jednym dachem, skoro tak bardzo byłaś przeciwna naszemu związkowi.

— Ale już nie jestem, już wszystko zrozumiałam i żałuję...

— Tak, wiem. Ale ona się uparła. Nie chce i już. Będziemy sobie żyć jak dotąd, spotykać się na szachach i na działce.

Zamyśliłam się. Teoretycznie powinnam się cieszyć, przecież od początku chodziło mi o to, żeby zrezygnowali z tego ślubu. A jednak — po pierwsze, z powodu wyrzutów sumienia (bo jednak spiskowałam z Igorem w „Fanaberii”), a po drugie, ze względu na to, że sama w pewnym sensie padłam ofiarą tej intrygi — dostałam bolesnego prztyczka w nos. Igor dopiął swego, wygrał, a ja byłam bezsilna.

Po pracy zadzwoniłam do Basi i poprosiłam o spotkanie. Była jeszcze u Mościckich, więc podjechałam tam i przy okazji załapałam się na wspólne „tworzenie potwora”. Baśka zaproponowała, żeby każdy rysował własny fragment wymyślonego stworka i zaginał kartkę w taki sposób, aby kolejna osoba nie widziała, co wymyślił poprzednik. Oczywiście elementy stworzone przez Kornelię przewyższały nasze dzieła o kilka klas; bez trudu mogliśmy rozpoznać, że kolana, pępek, ręce i usta z zębami są jej autorstwa. Pan Franek okazał się także niezłym rysownikiem, dostał więc prawdziwą owację, zwłaszcza gdy przyznał, że jeszcze niedawno z trudem utrzymywał w dłoni ołówek.

Tuż przed siódmą do domu wrócili Rafał i pani Mościcka. Gospodyni uściskała mnie serdecznie, po czym wdała się w rozmowę z Basią; zdaje się, że ustalały menu na następny dzień. Ja tymczasem poszłam do przedpokoju i zakładałam buty. Po chwili przyszedł do mnie Rafał, a potem Baśka.

— Możemy jechać — oznajmiła, wyciągając swoje długie, rude kędziory zza kołnierza kurtki i rozsypując je na ramionach. — Spróbuj wegańskich gołąbków — zwróciła się do Rafała. — Powinny ci smakować. Ryż, grzyby i kapusta pekińska.

— Byłem na kebabie — burknął Rafał, nie patrząc na nią. — Nie jadam paszy, to dobre dla królików.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem. Gdybym nie widziała tego na własne oczy, nie uwierzyłabym, że ten przemiły chłopak może zachowywać się tak opryskliwie. Kiedy wyszliśmy z Basią od Mościckich, zapytałam ją, jaka według niej może być przyczyna takiego stanu rzeczy.

— Mówiłam ci, że on mnie nie lubi — powiedziała. — A poza tym chyba sama trochę zawiniłam. Któregoś dnia wdaliśmy się w dyskusję na tematy żywieniowe i nazwałam go ciasnym mózdzkiem.

— Dlaczego? — zapytałam. — Tylko dlatego, że ktoś ma inne poglądy niż ty, musisz go obrażać?

— Ależ ja nie mówię o poglądach, mówię o faktach. Powiedziałam mu po prostu, że ludzkość jest jak najgorszy wirus. Przyczyniamy się do śmierci tylu gatunków, degradujemy środowisko... Ech, szkoda słów, przecież nie będę ci tego powtarzać. W każdym razie od tamtej pory Rafał mnie zwalcza.

Ale ty lepiej powiedz, w jakiej sprawie chciałaś się ze mną spotkać.

Westchnęłam ciężko.

— Chodzi o Zoję — wyjaśniłam. — Wycofała się ze ślubu i za nic w świecie nie daje się przekonać. Wiem, że tata bardzo czekał na to nowe życie u jej boku... Nawet jeśli miał też trochę obaw.

— Chyba każdy je miewa — zauważyła Basia.

— No właśnie. Więc chodzi mi o to, żeby Zoję przekonać, że nie powinna ze względu na mnie...

— Ale tu nie chodzi o wspólne mieszkanie? — przerwała moje przyszywana siostra. — Bo przecież mówiłaś, że zamierzasz się przeprowadzić do faceta. Więc tak sobie po cichutku myślałam, że problem rozwiąże się sam.

— Ty wiesz? Masz rację.

— Pewnie, że mam.

Zamyśliłam się. Musiałam mieć jakieś zaćmienie umysłu (wywołane niewątpliwie ciężkim ogłupieniem z powodu niespodziewanej miłości), skoro nie zauważyłam tak prostego wyjścia z sytuacji. Kupię mieszkanie. Wykorzystam wreszcie pieniądze z wygranej Igi. Wyprowadzę się jak najprędzej, a kiedy już to zrobię, Zoja nie będzie miała żadnego powodu, aby odwlekać ślub z moim tatą.

Postanowiłam załatwić tę sprawę zaraz po świętach. Tymczasem jednak nie dawała mi spokoju jeszcze jedna myśl: że Igor postawił na swoim. Nie w tym rzecz, że byłam mściwa, ale zawsze lubiłam prostą sprawiedliwość: chciałam, żeby dobro zwyciężało, a zło dostawało po nosie.

— Na swój sposób właśnie dostanie po nosie — powiedziała Basia, kiedy zwierzyłam jej się z tych myśli. — Igor chciał rozdzielić matkę i Mariusza, jednak mu się to nie uda.

— Ale z drugiej strony zdobędzie to, czego pragnął: mieszkanie matki — odparłam. — Czyli przekona się, że warto było.

Basia zamyśliła się głęboko.

— To nic — rzekła po dłuższej chwili. — Pewnie masz rację, że przyjemnie byłoby zobaczyć, jak ten cwaniaczek żałuje tego, co zrobił. Ale jeszcze przyjemniej będzie wznieść toast za szczęście nowożeńców.

Zastanowiłam się przez chwilę nad jej słowami. Miała słuszość. Małe rewanże, zemsty i fochy nie wnosily do życia nic dobrego. Znacznie lepszym wyjściem wydawało się zignorowanie podłości Igora i po prostu pójście dalej, bez oglądania się za siebie.

— A największą karą dla podłego synalka będzie to — dodała jeszcze Baśka — że przekona się, jak bardzo mu się nie udało. Trzeba zrobić wszystko, żeby tych dwoje było szczęśliwych na przekór Igorowi.

— Może wpadniecie do nas na święta? — rzuciłam impulsywnie, zanim zdążyłam się nad tym zastanowić. — Wszyscy troje?

— Pomysł jest dobry. Trzeba to przedyskutować z Zojką, ale wstępnie mogę ci powiedzieć, że to może być fajne. Tylko nie na Wigilię.

— Dlaczego?

Basia zarumieniła się leciutko.

— Zaprosili mnie Mościcy. Jak się pan Franek dowiedział, że nie mam rodziców, od razu uznał, że muszę spędzić Wigilię z nimi, absolutnie nie ma mowy i w ogóle. A poza tym kto mu upichci wegańskie potrawy, tak powiedział.

— No, wigilijne menu to chyba jest wystarczająco wegańskie — zaśmiałam się, ale Basia zupełnie poważnie pokręciła głową.

— A gdzież tam — odparła. — Co powiesz o rybach? Rosną na krzaczkach? Czy raczej są to czujące stworzenia, które trzyma się stłoczone w brudnej wodzie? A jajka w ciastach to rośliny? A masło, mleko, śmietana, dodawane do niektórych potraw?

— Czy ty troszeczkę, ale tak troszeczkę nie przesadzasz? — zapytałam ostrożnie.

— Nie. Pomijam już kwestie etyczne, naprawdę; po tym, jak Rafał się do mnie zraził, postanowiłam nikogo więcej nie przekonywać. Ale pod względem zdrowotnym nie mam żadnych wątpliwości, że dieta roślinna jest dla pana Franka szansą na normalne życie.

— Jego choroba jest chyba nieuleczalna — zauważyłam.

— Tak twierdzą lekarze, gdy nie umieją sobie z czymś poradzić. A moim zdaniem jeśli coś się zrobiło, to można to odkręcić. Musi być jakaś przyczyna, tak czy nie?

— No... tak.

— Pan Franciszek nie palił, nie pił, w każdym razie niewiele... Nie zażywał w nadmiarze leków, nie robił w ogóle nic takiego, co mogłoby wywołać chorobę. Musimy więc założyć, że albo jadł coś, co mu szkodziło, albo czegoś w jego diecie brakowało. Niemal wszystkie badania wskazują, że za większość chorób cywilizacyjnych odpowiada mięso. No, nie tylko, bo także nabiał, w ogóle produkty odzwierzęce. Nie uważasz, że to się jakoś trzyma kupy?

Pokiwałam słabo głową. Nie miałam siły dyskutować, zwłaszcza że Baśka miała tyle energii, tyle zapału i wiary w to, co mówi, że moje ewentualne kontrargumenty nie miałyby zupełnie siły przebicia.

— Najważniejsze, że on sam uwierzył, że ma szansę sobie pomóc — zakończyła. — Podarowałam mu tę książkę. Pamiętasz? Mówiłam ci kiedyś, *Zdrowie bez recepty*. Przeczytał i zachwycił się tak samo jak ja. To już prawie miesiąc, jak odżywia się wyłącznie roślinnie, i twierdzi, że czuje się znacznie lepiej. No, nie samą dietą go leczymy, prawdę mówiąc, Zojka znalazła też doktora, który leczy choroby autoimmunologiczne tak zwanym protokołem Coimbry. Polega to na podawaniu bardzo wysokich dawek witaminy D3. Pod kontrolą lekarską, oczywiście. Umówiliśmy się, że po pół roku zrobimy mu komplet badań i sprawdzimy, czy jest lepiej. Bo on miał, wiesz, całą masę rozmaitych schorzeń. A ja wierzę ze wszystkich sił, że teraz już nie ma połowy z nich.

Jadąc do domu, rozmyślałam o tym, jak by to było cudownie być taką Basią — optymistką. Wierzyć w to, że każdy kolejny dzień przyniesie zmiany na lepsze. „Kiedyś chyba taka byłam”, podpowiedział jakiś głos w mojej głowie. Tylko potem mi wszystko oklapło. Czy to przez rozstanie z Krzyśkiem, czy te wszystkie inne sprawy, których istnienie uświadomił mi dopiero Grzegorz? Tego nie wiedziałam. Zdawałam sobie jednak sprawę, że odbudowanie dawnej pewności siebie i odtworzenie tamtej radości życia, która towarzyszyła mi jeszcze niedawno — zależy tylko ode mnie.

— Byłabym naprawdę bardzo szczęśliwa — powiedziała mama drżącym głosem.

— W takim razie jesteśmy umówione — zakończyłam prędko, bo nie chciałam się rozkleić. — Pa, mamo. Do zobaczenia. Wesołych świąt.

Trochę pod wpływem świątecznego nastroju, a trochę — namów Igi i Baśki (swoją drogą dobrały się jak w korcu maku, wariatki jedne!) parę dni przed Wigilią zadzwoniłam do mamy i zaprosiłam ją do siebie, kiedy już kupię mieszkanie. Tak naprawdę zadzwoniłam po to, aby złożyć mamie i Karolowi (-hurra! To dopiero zwycięstwo nad samą sobą!) życzenia świąteczne. Grzegorz byłby ze mnie dumny. Nie, jeszcze raz. Iga kazała mi mówić wszystko w czasie przyszłym. Podobno działa jak samospełniająca się przepowiednia. A zatem: Grzegorz będzie ze mnie dumny. Gdy się dowie, jaka jestem dorosła, dojrzała, zrównoważona i w ogóle. Gdy już mnie pokocha i będziemy razem.

Kochany Panie Grzegorzu!

To już tyle dni, tyle tygodni, odkąd widziałam Pana ostatni raz. Zbyt wiele. Zbyt długo. Bardzo tęsknię za naszymi rozmowami. Bardzo tęsknię za Panem.

Może już czas, żebym wyznała Panu całą prawdę. Zakochałam się w Panu jak pensjonarka. Zakochałam się w Pana brązowych oczach i długich palcach — patrzyłam na nie, gdy brał Pan długopis i udawał, że coś notuje w swoim notesie. Kiedyś pomyślałam, że ma Pan dłonie pianisty, a zaraz potem, że takie dłonie muszą cudownie pieścić kobiecą skórę albo na przykład wplątywać się we włosy i delikatnie rozdzielać je na pasma. Ale wtedy jeszcze nie byłam w Panu zakochana, po prostu odnotowałam to jako ciekawostkę. Zakochiwałam się w Panu bardzo powoli, niepostrzeżenie, aż mnie samą zaskoczyło, że ostatecznie zakochałam się naprawdę i do końca.

Pewnie się Pan uśmiechnie z przekąsem. Kto by traktował poważnie wyznanie miłości w wykonaniu kogoś, kto zwrócił się o pomoc do psychologa, bo jest zbyt kochliwy. Żalotne, prawda? Też tak uważam. Problem w tym, że tym razem nie chce mi przejść. Zawsze przechodziło, goiło się jak na psie, a tym razem nie chce.

Wie Pan, co jest najgorsze? Czego się boję najbardziej? Że nie zakochałam się w Panu prawdziwym. Że pokochałam obraz, który sobie wymyśliłam. Bo przecież nie znamy się, ja Pana nie znam. Podczas naszych spotkań mówiłam o sobie, a Pan niemal wyłącznie słuchał, niewiele więc wiem o Panu. Wyobraziłam sobie, że jest Pan wrażliwy, ale czy to prawda? Że lubi Pan dzieci. Że jest Pan empatyczny. Może kocham nieprawdziwy wizerunek, może wmawiam sobie istnienie Grzeška, którego naprawdę nie ma?

Pójdę dziś spać z nadzieją, że tak nie jest. Że istnieje Pan naprawdę i w dodatku dokładnie taki, jak sobie wymarzyłam. Jest Wigilia, magiczny dzień — podobno dziś marzenia mają szansę się spełnić. Niech się więc ziści to, o czym marzę: niech Pan okaże się cudownym, dobrym i mądrym facetem z poczuciem humoru i sercem gotowym do wielkiej miłości, i niech Pan pokocha właś-nie mnie, ze wszystkimi moimi wadami i słabościami; nawet jeśli ostatecznie nie uda mi się stać zupełnie taką, jak by Pan chciał.

I niechże Pan już wróci z tego urlopu!

Agata

Oczywiście nie wysłałam tego mejla, podobnie jak dziesiątków innych, które napisałam pod wpływem takich czy innych emocji, a czasem też pod wpływem wina wysączonego z Baśką albo z Rafałem i Wojtkiem przy partyjce *Carcassonne*. Iga twierdziła, że pewnego dnia uda jej się upić mnie na tyle, że w końcu odważę się wysłać choć jeden, ale nie miała szans. Po pierwsze, jeśli mowa o winie, to byłam zahartowanym w boju wojownikiem, a po drugie — w te wieczory, kiedy wina było naprawdę dużo, nie pisałam do Grzeška, tylko kładłam się na łóżku zwinięta jak embrion i cichutko płakałam. Nie mówiłam o tym nikomu, ale w głębi duszy miałam już pewność, że oto po raz pierwszy w życiu

przeżywam prawdziwą miłość — to, za co ludzie gotowi byli umierać, dla czego zdradzali ojczyznę, przyjaciół i rodzinę. Co opiewali w poematach. Paradoksalny był fakt, że naprawdę — jak napisałam w tamtym niewysłanym liście — nie znałam Grzegorza Kapinosa i właściwie zakochałam się w tym, co sobie jedynie wymarzyłam. Nie zmieniało to jednak faktu, że była to miłość szalenie zmysłowa. Nocami śniłam o dotyku jego szczupłych dłoni i subtelnych pocałunkach. Wyobrażałam sobie, że go rozdiewiczam (bo z jakiegoś powodu nabrałam pewności, że nie miał jeszcze kobiety) i uczę sztuki kochania, choć sama przecież nie byłam jej mistrzynią. Odgrywałam w myślach sceny naszego spotkania po długiej rozłące: jak zachodzę niby przypadkiem do gabinetu, udając, że chcę umówić się na sesję z wytrzeszczoną Jagodą Bąk, a tymczasem natykam się na Kapinosa; jak on mnie przeprosza i usiłuje się tłumaczyć, a wówczas ja mówię: „Rozumiem, panie Grzegorzu, nie chciał pan wchodzić w relację z kimś tak źle rokującym”...

Nie, zupełnie nie tak. Jak to w ogóle brzmi: źle rokującym?! Jak o koniu wyścigowym! W każdym razie mówię coś takiego, czemu on gwałtownie zaprzecza, i tak w wyniku tego zaprzeczania i przeproszania siebie nawzajem (choć nie wiedziałam dokładnie, za co mielibyśmy się przeproszać) on wziąłby mnie w ramiona, a ja nie miałabym nic przeciwko temu. Opcjonalnie, gdyby on nie wziął mnie w ramiona, ja mogłabym wziąć jego — w myśl równouprawnienia, o którym mówił Rafał. Ale niezależnie od tego, że uważałam się za kobietę dość nowoczesną, musiałam przyznać, że „wzięłam go w ramiona” brzmiało znacznie gorzej niż „on wziął mnie w ramiona”.

Tata entuzjastycznie zareagował na pomysł zaproszenia na święta Zoi wraz z rodziną, czyli z Igorem i Basią.

— Ale wszyscy razem to oni raczej nie przyjdą — powiedział — bo Igor nie przepada za swoją przyłataną siostrą.

— Wiem o tym — odparłam. — Ale nie musimy mu przecież mówić, że będzie także Baśka. Ona może wpaść później, że niby tak niezobowiązująco.

Tata spojrzał na mnie uważnie.

— Lubisz ją, prawda? — zapytał. — Basię polubiłaś, a Zoi nie?

— Tatusiu, lubię je obie. — Podeszłam do niego i przytuliłam się. Tak samo, jak to robiłam w dzieciństwie, potarłam nosem o jego sweter na ramieniu. — Tylko na początku nie mogłam zaakceptować Zoi. Nawet nie jej samej, tylko idei posiadana przez ciebie nowej kobiety.

— Nowej! — zachnął się. — Tak jakbym miał kiedykolwiek starą.

— Wiem, wiem. Tak się tylko mówi. Wiesz, te wasze sprawy, twoje i mamy, trochę mnie przerastały. Jako dziecko wyobrażałam sobie sielankę, którą mama zburzyła i którą można by odbudować, gdyby ona wróciła.

— Nie było sielanki.

— Teraz to rozumiem. Ale ty też musisz zrozumieć, że dla mnie była. To nasze wspólne życie to był raj na ziemi. Byłam szczęśliwym dzieckiem, dopóki mama nie wypowiedziała tamtego strasznego zdania, że odchodzi. Odchodzimy.

— Powinienem być z tobą o tym porozmawiać — zakłopotał się ojciec. — Oboje powinniśmy byli. Bo wiesz, wtedy, gdy zamknęłaś się w pokoju i beczalaś, i powiedziałaś, że nie chcesz więcej mamy widzieć, ona się kompletnie rozsypała. Powiedziała, że w takim razie zostaje, rezygnuje ze związku z tym swoim pilotem, z tamtej miłości... Ale ja nie chciałem dłużej ciągnąć tej fikcji, tego naszego udawania. Powiedziałem jej, żeby jechała, ty się w końcu uspokoisz i wtedy na chłodno zadecydujesz, z kim chcesz mieszkać. Że przecież możemy się jakoś dzielić tobą i twoją miłością. Inna sprawa, że tej miłości nie dawałaś nam jakoś specjalnie odczuć, byłaś już wtedy nastolatką i wystawiałaś kolce. Pewnie tego nie pamiętasz, ale głównie na nas warczałaś, strzelałaś focha za fochem.

— Nie pamiętam — przyznałam. — Ale dlaczego mi wtedy nie powiedziałaś, że mama nie chciała odejść beze mnie?

— Bałem się — przyznał tata. Rumieniec na jego twarzy i drżące ręce, z którymi nie wiedział, co zrobić, uświadomiły mi, jak bardzo się wstydzi tego, co wówczas zrobił. — Umierałem ze strachu, że

mnie zostawisz. Że Krysia powie ci prawdę o twoim biologicznym ojcu, a wtedy przestanę cokolwiek dla ciebie znaczyć.

Cmoknęłam go w policzek.

— Zwariowałaś? — powiedziała ze sztuczną wesołością, starając się ukryć wzruszenie. — Przecież ciebie było w moim życiu najwięcej. Kto ze mną zbierał kasztany i robił ludziki? Kto mnie nauczył pływać? Kto mi czytał na dobranoc?

— Bo mama wiecznie nie miała czasu. — Ojciec uznał za stosowne stanąć w obronie zapracowanej dentystki. — Dzięki niej dobrze nam się powodziło.

— Przecież wiem, tato. Jestem już duża, wszystko rozumiem. Myślę, że przydałoby nam się takie spotkanie w szerszym gronie i obgadanie tego wszystkiego. Chyba powinniśmy sobie wszystko powybaczać.

— My z Krysią to chyba nie bardzo. Nigdy nie mieliśmy do siebie żalu. Raczej ty nam musisz powybaczać.

— To się da zrobić — odparłam łaskawie, a przez głowę przemknęła mi cudowna wizja: ja w sukni ślubnej, przy mnie Kapinos w eleganckim garniturze, jego uszy czerwienią się z ekscytacji, a towarzyszą nam mama z Karolem i tata z Zoją, w zupełnej zgodzie. Wszyscy razem tańczymy na weselu do jakiejś odjazdowej muzyki — coś takiego jak w zakończeniu *Shreka*. Goście jedzą i piją, ktoś przysypia przy stole, Kornelka przymierza mój welon, a brzuchata Iga podjada dekoracje z weselnego tortu. Absolutny szczyt marzeń.

— A swoją drogą jak się mama czuje? — zapytał tata, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię. — Jesteście w kontakcie?

— Tak, tato. Dzwonię do niej co parę dni. Wiesz, nadrabiamy stracone lata.

— To dobrze, córuś. Czuję się paskudnie, kiedy nie chciałaś nawet otwierać jej listów.

— Ja chyba też czułam się paskudnie, tylko udawałam sama przed sobą, że jest mi wszystko jedno. Człowiek to jednak dziwna istota, nie uważasz?

— Tak — westchnął tata z głębi serca. — Bardzo dziwna. Więc co u niej?

— Lepiej — powiedziała krótko. — Obiecała, że gdy się spotkamy następnym razem, będzie wyglądała zdrowiej. Podobno już troszkę przybrała na wadze.

— To dobrze, córuś. To bardzo dobrze.

Przygotowania do świąt sprawiły, że w gorączkowym pośpiechu zapomniałam o łzach z powodu Kapinosa. Myślałam o nim często, właściwie codziennie — wpadłam w nałóg wyobrażania sobie, co on robi w danym momencie. Na przykład skrobiąc rybę, widziałam go siedzącego na pomoście i dyndającego nogami nad turkusową wodą jakiegoś egzotycznego morza, zaś ścierając kurz z szafek łazienkowych, karmiłam swoje stęsknione serce wizją Grzegorza biorącego kąpiel z pianką. Poza tym mieliśmy z ojcem bardzo dużo pracy w zakładzie, bo przed świętami zawsze wzrastało zapotrzebowanie na zdjęcia portretowe, którymi można by potem pochwalić się przed krewnymi przy świątecznym stole.

Tak czy owak, spędziłam ten czas, gotując, sprząając, piorąc, zawieszając firanki, zasłony, ozdóbki świąteczne, bombeczki i licho wie, co jeszcze. Zoja przyjęła zaproszenie na obiad w pierwszy dzień świąt; obiecała, że przyjdzie z Igorem. Baśka powiedziała, że postara się do nas wpaść, ale od razu zastrzegła, że atmosfera się skwasi, bo Igor zapewne zacznie być nieprzyjemny.

— Chyba że go leciutko upijesz — powiedziała. — Po wódce kocha cały świat, nawet mnie.

Obiecałam jej, że kupię dobry alkohol i popracuję nad miłością Igora do świata. Sobie natomiast solennie przyrzekłam, że po pierwsze, nie upiję się ani trochę, bo połączenie świąt, które zawsze mnie rozklejały, z alkoholem i nieszczęśliwą miłością mogłoby się okazać zabójcze dla mojej siły woli i godności osobistej — i kto wie, czy nie skończyłoby się na bardzo łzawym mejlu wysłanym do Grześka. No i po drugie, zabroniłam sobie beczeć. Będę myśleć o Kapinosie wyłącznie w sposób optymistyczny, pełen nadziei i wiary w naszą wspólną przyszłość.

Obiad świąteczny trwał w najlepsze, a Baški wciąż nie było. Tata nalał nam jeszcze po jednym. Zoja sączyła herbatę imbirową.

— A co wy właściwie jadacie na wigilię? — zapytałam, udając, że nie widzę pełnego kieliszka, bo przecież absolutnie nie chciałam się upić.

— To samo, co wy — odparła Zoja ze śmiechem. — Poza rybami, oczywiście. Większość potraw wigilijnych jest wegańska, nie zauważyłaś? W każdym razie może być wegańska. Na przykład wystarczy nie dodać śmietanki do klusek z makiem, a zamiast miodem dosłodzić je cukrem trzcinowym...

— To miód nie jest wegański? — zdziwiłam się szczerze. — Przecież powstaje z pyłku, z kwiatków...

Oboje z tatą spojrzeli najpierw na mnie, a potem na siebie. Pewnie mieli za sobą niejedną dyskusję w tym stylu. Tylko Igor dalej przeżuwał swojego pieroga, nie zwracając uwagi na temat rozmowy.

— Jeśli sądzisz, że produkcja miodu na wielką skalę odbywa się w taki sposób, że pszczołom nie dzieje się krzywda, to wiesz, że wiesz — powiedziała chłodno Zoja, co natychmiast przypomniało mi, że święta nie święta, ona nadal ma do mnie żal. — Poza tym warto zadać sobie pytanie, czy pszczoły na pewno robią ten miód dla nas.

Milczałam, bo nie miałam argumentów. To jasne, że nie dla nas, lecz dla siebie. Ale przecież jeśli trochę sobie weźmiemy, to dla nich nie zabraknie...

— Nie powiesz, że to wymiociny? — zapytał nagle Igor. — Że one ten miód wypluwają po kilka razy?

— Ty to powiedziałaś, ja już nie muszę — odpowiedziała spokojnie jego matka.

Igor wychylił kolejny kieliszek. Policzki zrobiły mu się purpurowe. Chciałam powiedzieć tacie, żeby więcej nie nalewał, ale było już za późno — nasz gość sam chwycił butelkę i napełnił szkło. Ponieważ my z tatą nie wypiliśmy jeszcze poprzedniej kolejki, dołał tylko sobie.

— Pszczoły czy nie pszczoły — wybelkotał. — Krowy czy nie krowy. Plwociny, wymiociny, wargi i powieki, zarodki i tak dalej. Od lat tego słucham i nie stałem się jeszcze ani trochę lepszym człowiekiem. I nawet w jednym procencie nie zrobiłaś ze mnie weganina. Dalej mam ochotę na chrupiący bekonik. A ty, Mariuszek, nie masz? Przyznaj się! — Chyba chciał żartobliwie trącić tatę w ramię, ale nie trafił; zawadził o szklankę i rozlał trochę kompotu z suszu na obrus.

— To nic — powiedziałam, widząc zaniepokojone spojrzenie Zoi. — Spierze się.

— Pij! — namawiał ojca Igor. — Nie napijesz się, Mariuszek? Ze mną, ze swoim nowym synem? Nie rób z siebie takiego świętoszka. Przecież wiem, że za kołnierz nie wylewasz. Z Tadzkiem piłeś, a ze mną się nie napijesz?

Tata zwrócił nic nierozumiejące spojrzenie na Zoję, a ona popatrzyła na niego z niewiele mądrzejszym wyrazem twarzy. Potem oboje wgapili się we mnie, jakby o coś pytali. Wzruszyłam ramionami i spuściłam wzrok. Przez chwilę panowała cisza, którą zakłócało jedynie mlaskanie Igora, bo teraz zabrał się za grzybki z jarskiego bigosu.

— Ty znasz Tadzka? — zapytała cicho Zoja.

— Skąd mam znać, nie znam — parsknął Igor. — Tylko Agata mi opowiadała o takim kumplu Mariuszka sprzed lat...

— Aha, rozumiem. — Matka nadal mówiła cicho, ale przerażająco ostro. — A o czym jeszcze ci opowiadała?

— Takie tam bzdury, że tatuś śmiga na tym swoim żółtym rowerku tyle kilometrów, że po Myślęcinku... — urwał. Chyba zaczynało do niego docierać, co się właśnie stało.

Poczułam coś w rodzaju gorącego dotyku na twarzy. Podniosłam oczy i napotkałam gniewne spojrzenie ciemnych oczu. Zoja wpatrywała się we mnie intensywnie.

— Przez cały czas się zastanawiałam — powiedziała chłodno — jakim cudem mogłaś rozpuścić te plotki, skoro nie znasz moich przyjaciółek. Podpytywałam je, żadna o tobie nie słyszała. „Albo tak

świetnie udają”, myślałam sobie, „albo Agata zna jakieś wyjątkowo przebiegłe sposoby, których nie rozgrzyzę, choćbym zastanawiała się całe wieki”. A tu, proszę, okazuje się, że miałaś kogoś do spółki.

Tym razem Igor raczył zatrzymać na mnie wzrok.

— Do spółki? — powtórzył bełkotliwie. — Do jakiej, kurwa, spółki?

— Nie przeklinaj, synu — zrugła go Zoja tak dobitnie, że aż się skulił. — Myślę, że oboje wiecie, o czym mowa.

Nie miałam odwagi podnieść wzroku, więc gapiłam się na talerz, na którym widniały resztki kompletnie nieudanej sałatki z buraczków i tofu (zrobiłam ją specjalnie dla Zoi, ale niestety, nie przewidziałam tego, że tofu smakuje jak papier i ma konsystencję plasteliny).

— Ja nie wiem! — Igor próbował zachować hardy ton, ale ku mojemu zdumieniu głos zaczął mu drzeć. — Nie mam pojęcia, o czym mowa i dlaczego znowu coś knujecie za moimi plecami!

Zdumienie odebrało mi mowę. Kto tu knuł za czymi plecami? Czułam się tak, jakby wszystko znienacka stanęło na głowie. Co gorsza, dokładnie w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Tata, chyba równie zaskoczony tym obrotem sprawy co ja, podniósł się odruchowo i poszedł otworzyć. Jak należało się spodziewać, była to Basia. Weszła w rozpiętej kurtce, z rozwianymi rudymi włosami i rumieńcami na policzkach.

— I jeszcze ona! — zawołał płaczliwie Igor, który najwyraźniej był znacznie bardziej zawiany, niż mi się przedtem wydawało. — A co zostanie dla mnie?!

Dopiero w tym momencie mnie olśniło. Przecież on przeżywał dokładnie te same dylematy, które jakiś czas temu stały się moim udziałem! Nie chodziło mu o mieszkanie, a w każdym razie nie tylko! Ech, że też nie było z nami Kapinosa — on potrafiłby nazwać to wszystko po imieniu.

— Więc o to ci chodzi — odezwałam się, nieświadoma faktu, że wypowiadam na głos własne myśli. — Wszystko dzieje się poza tobą, prawda?

Igor zwrócił na mnie pijane spojrzenie, tata i Zoja — zaskoczone, natomiast Baśka — pełne zrozumienia i sympatii.

— Nikt cię nie pytał o zdanie — ciągnęłam, teraz już z pełną świadomością, że to, co powiem, może nam jako rodzinie pomóc, ale też jeśli popełnię błąd, mogę wszystko nieodwracalnie zepsuć. — Najpierw rozstali się twoi rodzice. Potem Zoja zaczęła żyć własnym życiem, a na koniec znalazła sobie nową miłość i nie biorąc ciebie pod uwagę, zaczęła snuć plany dotyczące mieszkania.

— Nikt mnie nigdy o nic nie pytał — potwierdził ponuro Igor. — Nawet o to, czy chcę zacząć jeść kotlety z fasoli zamiast schabowych.

— Ale synku... — zaczęła Zoja, lecz gdy tata, który siedział obok niej na kanapie, przysunął się bliżej i objął ją ramieniem, natychmiast umilkła.

— Zastanowiłaś się kiedykolwiek, czego JA chcę? — zapytał jej syn, znów uderzając we łzawy ton. — Ale tak szczerze? Od samego początku, odkąd byłem smarkaty i potem, gdy zacząłem dorastać... Przez cały czas. Rozwód, wyprowadzka ojca, twoje decyzje, wyburzenie ściany, przez co musieliśmy spać w jednym pokoju, twoje sesje jogi, twoje wiedzmy przesiadujące u nas do nocy, twoja przybrana córka, która z nami zamieszkała... Nigdy nie zapytałaś, co myślę o tej czy innej twojej decyzji. A one dotyczyły także mnie, mojego życia.

Zoja milczała. Po jej gładkich, brzoskwiniowych policzkach ciurkiem płynęły łzy. Aż miałam ochotę wstać i otrzeć je serwetką.

— Tak, to ja rozpuściłem plotki o Mariuszu. To było gówniarskie, ale prawie się udało, prawda? — zapytał jeszcze Igor, próbując udawać chojraka, ale nikt nie dał się nabrać, bo przecież chojraki na ogół nie płaczą jak dzieci.

— Synku, przecież... Przecież kupiłam ci mieszkanie — wydukała Zoja. — A tamto wszystko... Nie masz pojęcia, jak żałuję niektórych moich decyzji...

— To Agata nie brała w tym udziału? — zapytał jednocześ-nie skołowany tata, który najwyraźniej podchodził do sprawy mniej emocjonalnie, ale raczej próbował rozumowo ogarnąć rewelacje przyszłego pasierba. — Chyba się pogubiłem.

Zoja popatrzyła na mnie z wyrzutem. Jej syn także; to znaczy, bez wyrzutu, za to z czymś w

rodzaju uprzejmego zdziwienia. Czułam na sobie również wzrok Basi i to on dodał mi otuchy.

— Skłamałam — wyznałam po głębokim wdechu na odwagę. Potem, mniej więcej w tym samym celu, sięgnęłam po napełniony wcześniej kieliszek i strzeliłam sobie jak z dubeltówki. — Już nie pamiętam dlaczego. A, nie, jednak pamiętam. Chciałam, żebyście się pogodzili, a wcześniej przyrzekłam Igorowi, że nie powiem nikomu o naszej rozmowie. Więc pomyślałam sobie, że skoro wiem, że to wszystko plotki... To w sumie nie ma znaczenia, od kogo wyszły. Ważne, żebyś wiedziała, że to bzdury, żebyś odzyskała zaufanie do taty... — zwróciłam się do Zoi. — Przepraszam. Nie mogłam powiedzieć ci prawdy.

— Zawsze można powiedzieć prawdę — odezwała się Basia po raz pierwszy. — Ale należy ją wypowiadać bez oceniania innych. Szósta Matka Klanowa mówi, że osoby, które powtarzają kłamstwa, czynią tak, ponieważ są zranione. Okłamują nawet same siebie.

Nic z tego nie zrozumiałam, ale najwyraźniej Zoja doskonale wiedziała, o czy mowa, bo spojrzała z wdzięcznością na swoją przyszywaną córkę i pokiwała głową.

— Mam kontakt do świetnego terapeuty — oznajmiłam, bo ten ostatni kieliszek jednak trochę zaszumił mi w głowie, w związku z czym uznałam, że zaprowadzenie Zoi i Igora do Kapinosa byłoby znakomitym pretekstem, by sprawdzić, czy mój wymarzony kłapouchy psycholog już wrócił z urlopu. — Zobaczycie, przepracujecie to i wszystko się ułoży.

Nie wiem, jak by to skomentowała ta czy inna Matka Klanowa (kimkolwiek ona w ogóle jest), ale zarówno Zoja, jak i jej syn zgodnie chlipnęli i pokiwali głowami. A potem przyszła żona mojego taty oznajmiła:

— To ja się chyba też napiję tej wódki.

Styczeń mijał jak szalony. Przede wszystkim dlatego, że wreszcie odważyłam się naruszyć nienaruszalne rezerwy finansowe — nadeszła pora, by kupić mieszkanie. Nadal miałam w związku z tym całą masę wątpliwości natury moralnej, bo przecież pieniądze na koncie Igi nie były moje, lecz jej.

— Kochana ty moja głupia wariatko — powiedziała moja przyjaciółka za którymś kolejnym razem, gdy zwierzałam jej się z tych zahamowań. — Ja po prostu z tobą nie wytrzymam i w końcu sama ci kupię to mieszkanie. Tylko żebyś potem nie narzekała, że okna nie takie i wychodzą nie na tę stronę, co byś chciała. I że pokój dziecięcy za duży, a znów twoja sypialnia za mała, czy coś w tym guście. Rozumiesz, co ja do ciebie rozmawiam?

— Rozumiem, co do mnie rozmawiasz — odparłam z zachowaniem jej stylu i gramatyki. — Ale nie akceptuję.

— To zaakceptuj. — Głos Igi brzmiał ostro i zdecydowanie. — Wygrałam tę forszę dzięki tobie, baranico jedna. Nie rozumiesz tego?

— Baranica to jest akurat coś całkiem innego — broniłam się. — Takie futerko, wiesz. Puchate od spodu. Kmicic takie nosił.

— On się Kmicic nazywał? — zdziwiła się Iga. — Dałabym głowę, że Obrzydłski.

— Nie, to aktor, który go grał, był Obrzydłski. Tfu, to znaczy Olbrychski — poprawiłam się. — Z tobą można całkiem zwariować.

— Dokładnie tak samo jak z tobą. To co, kupić ci mieszkanie?

— Nie, sama to zrobię.

— Na pewno? Przysięgnij! Na Pyszczka! — zażądała.

Pyszczkiem nazywali z Wojtkiem maleństwo, które miało się urodzić. Przysięga „na Pyszczka” stanowiła więc coś w rodzaju absolutnej świętości, której nikt z nas nie ważyłby się złamać.

— Na Pyszczka — powtórzyłam zrezygnowana.

W zasadzie byłam na to po prostu skazana. Oczywiście mogłabym też kupić mieszkanie na kredyt, ale sama przed sobą nie musiałam przecież udawać: takie rozwiązanie byłoby idiotyzmem w sytuacji, kiedy miałam do dyspozycji osiem milionów, które tylko czekały, aby je sensownie wydać.

— A właściwie dlaczego mieszkanie, nie od razu dom? — zapytał Wojtek któregoś wieczoru, gdy we trójkę przeglądaliśmy ogłoszenia. — Pomyśl, Agata, przecież pewnego dnia zrobi ci się w tych czterech ścianach za ciasno.

— Wtedy zastanowię się nad czymś większym — odparłam stanowczo. — Ale to już za własne pieniądze. Nie będę szastała nie swoją forszą i koniec dyskusji.

— W takim razie niech to mieszkanie będzie przynajmniej duże.

— Dwa pokoje w zupełności mi wystarczą.

— Trzy! — zawołała Iga, składając ręce jak do modlitwy. — Pomyśl, Aguś, różnie to w życiu bywa. No dajmy na to, że będę chciała do ciebie przyjechać na wakacje...

— Zwariowałaś? Z jednej bydgoskiej dzielnicy do drugiej będziesz jeździć na wakacje? — zdumiałam się. — To dziecko już ci chyba mózg uciska.

— Ale gdybyśmy stąd wyjechali? Kto bogatemu zabroni? Może wyemigruję i otworzę interes życia za oceanem? Może ja marzę o barze w Zanzibarze?

— Nie marzysz — przypomniałam jej. — Planujesz za to lokalną sprzedaż petunii i innych aksamitek.

Iga prychnęła lekceważąco.

— Petunie! Aksamitki! Mnie się marzy dębik ośmiopłatkowy — powiedziała. — To jest taka śliczna roślina, że nie masz pojęcia. Ma listeczki...

Nie usłyszałam, jakie listeczki ma rzeczony dębik, ponieważ moje myśli całkowicie pochłonęło ogłoszenie, które właśnie czytałam. Mieszkanie, według jego dotychczasowego właściciela, było przestronne i słoneczne. Pięćdziesiąt trzy metry kwadratowe z balkonem. Na Wyżynach — w jednej z

moich ulubionych dzielnic!

Z pałającymi policzkami wczytywałam się w szczegóły. Drugie piętro, blok ocieplony i ogrodzony. Duży parking wyłącznie dla mieszkańców — zero kłopotów z szukaniem miejsca! Coraz bardziej podobała mi się ta wizja.

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz? — zapytała Iga ze zniecierpliwieniem.

— Nie — wyznałam szczerze. — Bo właśnie znalazłam coś, co mi się piekielnie podoba.

Wyżyny, rozumiesz?

— No, rozumiem. I co?

— Trzy pokoje, balkon, meble w cenie mieszkania. Ciepło, bo w środku, nie przy ścianie szczytowej.

— Wysoko?

— Nie, drugie piętro.

— To dobrze. Nawet gdyby winda się zepsuła, to dasz radę z wózkiem.

— Do wózka to jeszcze bardzo daleko. Na razie nie mam nawet z kim uprawiać seksu, a co dopiero żeby planować zakup wózka.

— Nie masz pojęcia, jak to szybko pójdzie — orzekła Iga bardzo przemądrzałym tonem. — Zanim się obejrzyysz, już będziesz zaobrączkowana i z brzuchem.

„Bardzo bym chciała”, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno. Choć Iga była moją jedyną przyjaciółką, wolałam nie przyznawać się nawet przed nią, jak bardzo byłam zdeterminowana. Zresztą może „determinacja” nie była dobrym słowem. Gdybym rzeczywiście była zdeterminowana, byłoby mi wszystko jedno, z kim będę miała wymarzone dziecko. Tymczasem nie tylko nie było mi wszystko jedno, ale, co zaskakujące, sprawa macierzyństwa zeszła na dalszy plan. Chwilowo znacznie ważniejsze było dla mnie to, aby Grzesiek wrócił z urlopu i wreszcie odpisał mi na tamten bardzo, bardzo przeterminowany list. Nawet już nie pamiętałam, o czym wówczas pisałam. Pewnie o tym, że cieszę się na nasze spotkanie. Jak się tak porządnie zastanowić, to pisałam o tym w prawie każdym liście.

Mniej więcej w połowie miesiąca, kiedy sprawa zakupu mieszkania była już w toku, a ja po pracy zajmowałam się głównie buszowaniem w Internecie w poszukiwaniu inspiracji wnętrzarskich, zadzwoniła do mnie Zoja i poprosiła o kontakt do tego terapeuty, o którym wspominałam.

— Pojadę z tobą — oznajmiłam natychmiast. — Pokażę ci, gdzie to jest, umówisz się na wizytę. Wpadnę do ciebie jutro o piątej, urwę się wcześniej z pracy. Co ty na to?

— Dobrze. W takim razie ja też zamknę „Miskę mocy” nieco wcześniej.

Naturalnie wcale nie zamierzałam wchodzić tam razem z nią — było oczywiste, że zostanę w aucie i zaczekam. Ale i tak wymalowałam się tego dnia jak jakaś Doda i założyłam nowiutki sweter z Mohito, w kolorze delikatnego różu, z czarnymi kokardkami przy rękawach. Kompletna bzdura, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że było diabelnie zimno i nie tylko zapięłam kurtkę po samą brodę, ale nawet naciągnęłam kaptur na łepetynę, bo sama czapka nie wystarczała.

Zoja wróciła już po minucie, bardzo rozczarowana.

— Prosiłam o kontakt z tym psychologiem, o którym mówiłaś, ale zaproponowano mi jedynie jakieś kobiety. Jedna Bąk, a druga... nie pamiętam, jakieś techniczne nazwisko.

— A Kapinos? Jeszcze na urlopie? — zapytałam z niedowierzaniem.

— Ta babka twierdzi, że na zwolnieniu lekarskim. Nie potrafiła mi odpowiedzieć, kiedy wróci.

— I co? Umówiłaś się do tej z wytrzeszczem?

— Skąd wiesz, że ma wytrzeszcz? — ucieszyła się Zoja. — Znasz ją?

— Byłam kiedyś u niej — odpowiedziałam wymijająco. — Jednak mi się nie podobało. Dlatego polecam tylko Kapinosa. Ale oczywiście nie sugeruj się moim zdaniem, może akurat tobie będzie odpowiadała jej osobowość. Umówiłaś się?

— Tak. Mamy przyjść z Igorem w przyszły czwartek.

— Świetnie. Zawsze to jakiś krok do przodu.

Beztróskim tonem maskowałam niepokój. Co się mogło stać Grzegorzowi? Kto idzie na

zwolnienie zaraz po urlopie? Przez głowę przelatywały mi kolejne hipotezy, a jedna głupsza od drugiej. Wyobrażałam sobie, że może Grzesiek jest himalaistą i poodmrażał sobie wszystkie odstające części ciała. Albo na przykład był w Australii i pokąsało go coś jadowitego. Pajaki bądź mrówki morskie lub rekiny (okej, może nie są jadowite, ale lepiej, żeby nie kąsały).

W domu natychmiast usiadłam do laptopa i wysmażyłam długi, ciepły list o tym, jak bardzo się martwię i że proponuję spotkanie; mogę przyjechać do szpitala albo do Grześka do domu (aż się zaczerwieniłam na myśl o własnej nachalności) lub spotkać się z nim w jakiejś kawiarni, pijalni wód czy gdziekolwiek. Oczywiście nie wysłałam tego mejla, bo tuż przed kliknięciem „Wyślij” weszłam sobie do folderu „Wysłane” i przejrzałam moje ostatnie wiadomości. Jakkolwiek by się im przyglądać, wychodziło na jedno: że niemal w każdym akapicie na swój sposób wyznawałam Grześkowi jeśli nie miłość, to na pewno zainteresowanie. Skoro nie odpisywał od tak dawna — również wtedy, gdy był na urlopie — to widocznie owego zainteresowania nie podzielał. Nie było sensu się oszukiwać. A już na sto procent sensu nie miało narzucanie się mężczyźnie, który nie jest mną zainteresowany.

Rafał i Basia bardzo mi pomogli przy zakupie nowego lokum. Chciałam wyprowadzić się jak najwcześniej, ponieważ Zoja zgodziła się wreszcie na ślub i po długich dyskusjach ustalili z tatą datę na początku marca. Uznałam więc, że najpóźniej w lutym trzeba się przeprowadzić, żeby tata zdążył przygotować mieszkanie na przyjęcie nowej lokatorki. Igor, do którego po paru wizytach u wytrzeszczonej terapeutki wreszcie dotarło, że nikt nie zamierza mu niczego odbierać, zaprosił mnie któregoś dnia na kawę i najpierw przez pół godziny przeproszał, że zachował się jak świnia, a potem wyznał, że ma trochę problemów finansowych, więc zamierza sprzedać jedno z mieszkań, najpewniej tamtą kawalerkę kupioną mu przez matkę.

— Dlaczego nic wcześniej nie mówiłeś? — zapytałam.

— A po co? — obruszył się. — Zawsze musiałem radzić sobie sam, nigdy nikogo nie prosiłem o pomoc. Pokombinowałem i wyszło mi, że jak już będzie bardzo źle, to sprzedam mieszkanie i przeprowadzę się do matki. Nie byłoby to zbyt wygodne, ale przecież by mnie nie wygoniła. Więc sama rozumiesz, że kiedy usłyszałem o jej planach, wpadłem w panikę. To znaczy nie chodziło mi o samo zamążpójście, tylko o fakt, że mieszkanko ma być dla ciebie.

— Aż dziw bierze, że nie wpadłeś na pomysł, by się mnie pozbyć — zauważyłam z przekąsem.

— To byłoby skuteczniejsze niż całe to mieszanie w sprawach uczuciowych Zoi.

Igor się zachnął. Widziałam, że zrobiło mu się przykro.

— Ty chyba myślisz, że jestem jakimś potworem — powiedział. — A ja naprawdę żałuję tego, co się stało. Teraz miną lata, zanim ponaprawiam stosunki z matką.

— A naprawdę chcesz je ponaprawiać?

— Co masz na myśli? Przecież się zgodziłem, chodzimy do tego psychologa...

— Nie, chodzi mi o to, czy naprawdę tego chcesz. Zgodzić się a chcieć to dwie różne sprawy.

Opowiedziałam mu o tym, jak to szesnaście lat temu pojechałam do Dębina i jak bardzo nieudana była ta próba „ponaprawiania stosunków z matką”. Chyba właśnie dlatego, że w głębi duszy wcale tego nie chciałam. Musiało minąć wiele lat i ja sama musiałam się bardzo zmienić, abym tego naprawdę zapagnęła.

— Ty też miałaś trochę pod górkę, co? — zapytał Igor, przekrzywiając głowę i przyglądając mi się uważnie, jak to robią psy, gdy na przykład napotkają żuczka gnojarka (widziałam kiedyś taką scenę podczas sesji w hodowli jamników; wyszły z tego boskie zdjęcia!).

— No, miałam — przyznałam niechętnie. — Ale nie lubię o tym rozmawiać.

Dopiliśmy kawę i podnieśliśmy się leniwie. Było niedzielne popołudnie i właściwie nigdzie nie musieliśmy się spieszyć.

— Masz kogoś, Agata? — zapytał Igor, pomagając mi włożyć kurtkę. — Przepraszam, że tak pytam wprost, ale poznaliśmy się w niecodziennych okolicznościach, niejako od końca... I ta nasza znajomość mogłaby się przecież stać czymś więcej niż... No, ale nie chcę marnować energii, jeśli nie mam szans.

— Nie masz — odparłam z uśmiechem, starając się, by zabrzmiało to sympatycznie. — Oczywiście, że kogoś mam. Przecież właśnie do niego się wyprowadzam.

Mógł sobie być przystojny jak sam Gregory Peck, to nic nie znaczyło. I nic nie znaczył fakt, że tego dnia, choć było chłodno, nie miał szalika. Co z tego, skoro nie był Grześkiem Kapinosem. Nie miał wrażliwych krowich oczu z długimi rzęsami ani szczupłych dłoni pianisty. Uszy nie odstawały mu ani odrobinę. Nie, zdecydowanie nie miał żadnych szans.

— Nie przeszło ci, nic a nic? — zapytała Iga, kiedy wtarabaniłam się do ciepłego wnętrza mazdy. Pokręciłam smutno głową. Była połowa lutego. Mijały dwa miesiące od ostatniej sesji z Grzegorzem — dwa miesiące od jego ostatniego listu. Nie przeszło mi, nic a nic, dokładnie tak, jak powiedziała Iga. Wieczorami nadal leżałam zwinięta w ciasny supelek, cała zrobiona z tęsknoty; nadal czytałam własne mejle do terapeuty i jego nieliczne odpowiedzi, żeby udowodnić samej sobie, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Rafał wszedł, delikatnie — jak to on — zamknął drzwi i ruszyliśmy.

— Naprawdę nigdzie bliżej nie można kupić odpowiednich mebli? — zapytał z niedowierzaniem.

Nie wiedziałam, jak mu to wyjaśnić. Znalazłam w Internecie ogłoszenie o sprzedaży odrestaurowanego kredensu w stylu prowansalskim — i po prostu MUSIAŁAM pojechać go zobaczyć. Iga zrozumiała mnie natychmiast i uznała, że musi mi towarzyszyć w charakterze głosu rozsądku. Przy okazji — tak to określiła — możemy się trochę odchamić turystycznie i na przykład zwiedzić jakieś ładne miejsca, przespać się w sympatycznym hoteliku i tak dalej. Na wszelki wypadek zapowiedziałyśmy (ja tacie, a Iga Wojtkowi), że może nas nie być przez parę dni.

— Meble można kupić wszędzie — zrzędził dalek Mościcki. — A nie jechać przez pół Polski, żeby zobaczyć starą szafę.

— Marudzisz — oznajmiła Iga. — To tylko Napruta. Niedaleko.

Rafał milczał przez chwilę. W lusterku widziałam, że myśli o czymś intensywnie. Wreszcie na jego obliczu ukazał się wyraz zrozumienia i ulgi.

— No jasne, Piła — powiedział z głębokim westchnieniem. — Niech cię, Iga, z tobą człowiekowi nie grozi alzheimer.

— A co ma do tego alzheimer? — zapytała wesoło moja przyjaciółka.

— Ostatnio była taka audycja, mówili o zapobieganiu demencji. Że powinno się codziennie rozwiązywać krzyżówki, rebusy, a najlepiej łamigłówki słowne.

— W takim razie jako przyjaciele Igi rzeczywiście jesteśmy bezpieczni. — Roześmiałam się. — Wystarczy codziennie zadać jej pytanie w stylu „co właśnie czytasz”, „dokąd się wybierasz na wakacje” i tak dalej.

— Na wakacje to ja się wybieram na porodówkę — odpowiedziała ponuro. — I nie, nie mów mi, że to cudownie, bo nareszcie wezmę w ramiona moje wyczekane maleństwo. Wcale się nie cieszę. Ja się boję jak jasna cholera. Czy nie dałoby się tak jakoś... zasnąć i żeby mnie obudzili zaraz po?

— Za wcześnie — wtrącił się Rafał z miną znawcy. — Moja mama mówi, że „zaraz po” to jest właśnie jeszcze gorzej. Jak wróciła z Kornelką ze szpitala, to przez tydzień nie mogła usiąść ani się, za przeproszeniem, no wiecie, załatwić. Stwierdziła, że wolałaby urodzić jeszcze jedno niż znosić ten ból pierwszego tygodnia. No i piersi miała poranione do krwi.

Spojrzałam na niego z uznaniem. Mówił o tym w sposób naturalny — bez skrępowania, ze współczuciem, ale bez obrzydzenia, które często przejawiają mężczyźni, gdy mowa o fizjo-logii. Nie po raz pierwszy pomyślałam, że niezły z niego kandydat na męża.

— Z innej beczki soli — odezwała się Iga, która najwyraźniej chciała odpędzić wizję poranionych brodawek i zająć umysł czymś innym. — Agata, myślałaś o sprawie swojego ojca? Chcesz go odnaleźć?

— Raczej nie — odpowiedziałam. — Bo właściwie po co? Skoro on nawet nie wie o moim istnieniu....

— Ja bym nie szukał — odezwał się Rafał. — Bo założmy, że znajdziesz i że on okaże się jakimś okropnym, zapijaczonym tłuściochem? Albo bandytą?

— A może to właśnie będzie chudy, blady i łysy facecik z teczką pod pachą — dodała Iga. — Wiesz, nóżki jak patyczki i brązowe skarpetki podciągnięte do połowy białych łydek.

— I czarna nitka zwisająca z zębów. Bo wykałaczkę się skończyły.

Zachichotali oboje.

— Albo założmy, że to zwyczajny facet, który nie ma rodziny i jest po prostu samotny — powiedziałam chłodno. — Marzy o tym, żeby kogoś mieć.

Przyjaciółka spojrzała na mnie z uwagą.

— Rzeczywiście ci nie przeszło — orzekła. — Jesteś wyzuta z poczucia humoru. Nie, co ja mówię. Ty jesteś zwyczajnie smutna. Totalny dół. Pisałaś ostatnio do Grzesia?

— Już ci powiedziałam, że nie napiszę. Gdyby chciał kontaktu ze mną, odezwałby się.

— A może spróbuj randek z innymi facetami? — myślała głośno Iga. — W końcu nie bez powodu mówi się, że najlepszym lekarstwem na nieszczęśliwą miłość jest szczęśliwa miłość. Czy coś pokręciłam? — zapytała z niepokojem.

— Nie, chyba nie — uspokoiłam ją, choć szczerze mówiąc, nigdy nie słyszałam takiego powiedzonka; pewnie wymyśliła je na poczekaniu. — Ale muszę cię zmartwić: to nie działa.

— Próbowałaś?

Pokiwałam głową. A ponieważ Iga natychmiast zażądała szczegółowej relacji, opowiedziałam, choć właściwie nieszczególnie miałam o czym. Bo było to tak: któregoś styczniowego dnia do zakładu wpadł z bukietem kwiatów Albert Bratek. Ten sam, któremu kiedyś pomogłam, robiąc na cito sesję kwiatową.

— Pani Agato — powiedział z uczuciem. — Ja już jakiś czas nosiłem się z zamiarem, żeby przyjść i pani podziękować. Wszyscy w firmie mówią, że zdjęcia są wspaniałe, profesjonalne i naprawdę... no, artystyczne. Nasz sukces to co najmniej w połowie pani zasługa.

— Ależ co pan opowiada — krygowałam się, choć było mi przyjemnie. — Bukiety były takie śliczne, że nie mogłam sfotografować ich inaczej.

— Wiedziałem, że pani tak zareaguje. Ale ja mówię szczerą prawdę. Gdyby pani kiedyś potrzebowała kwiatów... No nie wiem: dla dziecka do szkoły, na urodziny... Bo wesele to już pewno było?

Zarumieniłam się.

— Pan pyta o moje? Nie, nie było. Ale niedługo żeni się mój tata, więc kto wie, może skorzystam. Albert Bratek popatrzył na mnie z błyskiem w oku.

— Czy ja dobrze rozumiem? — zapytał cicho, a mnie aż ciarki przeszły. — Czy pani jest wolna? To znaczy, że mam jeszcze szansę?

Taka czerwona, jak w tamtej chwili, nie byłam chyba nigdy.

— Panie Albercie — powiedziałam, gdy już odzyskałam rezon. — Na dwa pierwsze pytania odpowiedź brzmi: tak. Dobrze pan rozumie, jestem wolna. Natomiast z trzecim pytaniem mam kłopot. Bo widzi pan, moje serce nie jest wolne. Ono jest... złamane.

— W takim razie niech mi pani pozwoli przykleić plasterek — odparł. — Nawet jeśli się nie uda, to może choć przez chwilę zapomni pani, że boli.

Prosił bardzo ładnie, poetycko, a bukiet karminowych różyczek przybranych gipsówką był tak śliczny, że się zgodziłam.

— I co? — chciała wiedzieć Iga; zresztą Rafał też posyłał mi w lusterku spojrzenia wyrażające szczerze zainteresowanie. — Poszłaś z nim na randkę?

— Poszłam — przytaknęłam ponuro. — A nawet na dwie. Najpierw do uroczej knajpki na kolację. Cóż, z pewnością nastrój byłby przyjemniejszy, gdybym nie dostała koszarnej czkawki.

— Trzeba się było czegoś napić.

— Nie denerwuj mnie nawet, oczywiście, że się napiłam. Przez cały wieczór nic, tylko piłam. Kiedy w końcu czkawka mi przeszła, a stało się to mniej więcej w połowie drugiego litra wody mineralnej, nie miałam już w żołądku miejsca na penne z kurczakiem.

— Kurczak — odezwał się Rafał marzycielsko. — Jak ja bym zjadł kurczaka!

— A kto ci broni?

— Baśka — wyjaśnił ponurym tonem. — Ta dziewczyna szarogęsi się tak, że trudno wytrzymać. Mamy teraz cholerną kuchnię roślinną. Od rana do wieczora pierogi. I różne kasze, rany koguta! Jakaś szalwia hiszpańska...

— Kosmos — wtrąciła się Iga. — Ostatnio Basia mi mówiła o kosmosie ryżowym, żebym jadła, bo to dobre dla dziecka.

Wiedziałam, że chodzi jej o komosę, uznałam jednak, że to wszystko jedno.

— Ale to chyba dobrze dla twojego taty? — wróciłam do skarg Rafała. — Mówił, że czuje się teraz znacznie lepiej.

— Czuje się, czuje — powtórzył chłopak z przekąsem. — Tylko żeby nie ześwirował od tej paszy dla królików.

Wyraźnie widziałam, że ma jakiś problem, chwilowo jednak nie umiałam go zdiagnozować. Czyżby naprawdę nie lubił Basi? Chociaż, z drugiej strony, trudno było sobie wyobrazić, aby ktokolwiek mógł nie darzyć sympatią tego wiecznie uśmiechniętego rudzielca o słodkim głosie i wielkim sercu.

— Ale nie dokończyłaś o tej randce — dopominała się tymczasem Iga. — Co było dalej?

— Dalej było tylko gorzej — odparłam. — Jak się domyślasz, z brzuchem pełnym wody nie byłam w szczególnie romantycznym nastroju. Burczało mi, przelewało się i chyba z sześć razy musiałam wychodzić na siku. Pogadaliśmy trochę o biznesie kwiatowym, Albert pożalił się na żonę, z którą rozwiódł się siedem lat temu, ja się dla równowagi pożaliłam na Krzyśka, bo przecież nie będę opowiadać obcemu o Kapinosie.

— Ale potem było drugie spotkanie?

— Owszem. Powłóczyliśmy się po mieście, bo Albert uznał, że jest tak romantycznie, wszędzie jeszcze wiszą świąteczne światełka, odbijają się w Brdzie, no чудо. A że zmarzliśmy trochę, wstąpiliśmy na rybkę.

— Rybka! — jęknął Rafał i nawet na tylnym siedzeniu było słychać, jak zaburczało mu w brzuchu.

— Oj, tak, rybka — potwierdziła Iga.

— Nigdy więcej! — warknęłam. — Jak chcecie na rybkę, to beze mnie. Kiedy już zaczynaliśmy przechodzić na romantyczne tematy, wiecie, ile znaczy dla nas wierność i szczerłość w związku, takie tam... Dokładnie wtedy ość wbiła mi się w gardło. Zaczęłam charczeć i pluć, ale za diabła nie chciała wyleźć.

— I co? — zainteresował się Rafał. — Od strony czysto technicznej pytam, serio. Jak sobie poradziłaś?

— Tam niedaleko, przy Grodzkiej, mieszka siostra Alberta, więc poszliśmy do niej szybko, pożyczylimy pęsetę do brwi, rozdziawiłam się i Albert mi wyciągnął.

Iga spojrzała na mnie ze współczuciem i złapała mnie za rękę. Doskonale rozumiała, że po czymś takim między mną a niewątpliwie przystojnym kwaciarzem nic już nie może się wydarzyć.

— Ale ja i tak ciągle myślałam o Grzesku — uspokoila ją. — Zresztą Albert nosi szalik.

— To co, że nosi? — zaniepokoił się Rafał. Dopiero teraz zauważyłam, że wokół szyi ma owinięty piękny szalik w cieniutkie rude i zielone paseczki. — Od kiedy to szaliki dyskwalifikują facetów?

— Generalnie nie dyskwalifikują — wyjaśniłam. — Jedyne u mnie. Od dnia, w którym usłyszałam przepowiednię Wróżki Grubiak.

— Aaa, przepowiednia — ożywił się młody Mościcki. — No właśnie. Sprawdza się wam coś?

— Mnie to wiadomo — westchnęła Iga. — Buciki dziecięce już kupiłam. Zieleń i kwiaty też się sprawdzają, bo przecież rozkręcamy biznes ogrodniczy. Tylko góry i podróże mi zostały. Ale to pewnie dopiero jak dzidzius podrośnie.

Pokiwaliśmy w Rafałem głowami. Jakoś nie miałam ochoty rozmawiać o tym, co tamtego pamiętnego dnia usłyszałam od Wróżki Grubiak, ale spojrzenia Igi i młodego Mościckiego wwiercały się we mnie jak jakieś świdy.

— U mnie to jeszcze różnie może być — powiedziałam wymijająco. — Rzekłabym, że moje losy się ważą.

— Ale w sensie, że... — podpuszczała mnie Iga. — Co się niby waży?

— No, nie mogę powiedzieć — ucięłam. — Zabroniła.

— Przepowiedziała ci... — zaczął Rafał. — No wiesz, coś złego? Coś smutnego?

Coś mi mówiło, że on usłyszał podobne ostrzeżenie co ja, i że wróżka tak samo zabroniła mu o tym opowiadać.

— Dajmy na to — odparłam — ale mam absolutny zakaz...

— Aha — przerwał. — To jak ja.

Oboje spojrzeliśmy na Igę — ja normalnie, a Rafał w lusterku.

— Co się gagicie — prychnęła. — Przecież wam nie powiem. Zabroniła.

Z czego wniosek, że wszyscy usłyszeliśmy datę własnej śmierci. Z tego z kolei płynął kolejny wniosek, ale nie bardzo potrafiłam go zwerbalizować, bo nagle rozległ się pisk opon oraz głuchy odgłos uderzenia i auto zatrzymało się gwałtownie.

— Zabiłem go! — zawołał Rafał histerycznie, po czym osunął się na siedzeniu; oczywiście na tyle, na ile pozwolił mu zapięty pas.

— On zemdłał — szepnęła Iga jakoś nabożnie. — Pierwszy raz widzę. Zemdłał.

— Ale kogo zabił? Widziałas coś?

Pokręciła głową. Była przerażona i chyba jednakowo bała się omdlałego Mościckiego i ewentualnego trupa, którego mogliśmy mieć przed maską.

— Sprawdź — powiedziałam. Wsiadłam i pobiegłam zobaczyć, czy Rafał rzeczywiście kogoś uśmiercił.

Na asfalcie leżał pies. Średniej wielkości czarno-biało-brązowy kundel, niemiłosiernie chudy, brudny i zaniedbany, z zaropiałymi oczyma i okropnymi kołtunami. Bardzo lubiłam psy, które fotografowałam — one były śliczne. Ale ten tutaj zdecydowanie wyglądał paskudnie. W dodatku warczał na mnie i pokazywał zęby. Tylna łapa sterczała mu pod dziwnym kątem, jakby była wyłamana z biodra. Pod drgającym ciałkiem powiększała się kałuża krwi. Kiedy podeszłam bliżej, biedak zaskomlał ze strachu. Pewnie był w szoku.

Nie było sensu stać i gapić się na jego cierpienie, musiałam działać. Z wnętrza auta dobiegały rozpaczliwe okrzyki Igi, która nie mogła się zdecydować, czy powinna cucić Rafała, czy może raczej wysiąść i zobaczyć ewentualną ofiarę wypadku.

Otworzyłam drzwi od strony kierowcy.

— To pies — rzuciłam do Igi, żeby przestała już panikować. — Jest ranny, trzeba go będzie zawieźć do weterynarza, ale nie bardzo wiem jak, bo warczy i szczyrzy zęby.

Mówiąc to, jednocześnie poklepywałam Mościckiego po policzkach, a ponieważ to nie skutkowało, podniosłam mu wyżej głowę i porządnie uszczypnęłam w nos. Zdziałało. Zaczął mrugać i posapywać.

— Żyje — powiedziałam do niego, kiedy tylko na dobre otworzył oczy. — Ale coś mu się stało w tylną łapę. Trzeba go zawieźć do najbliższej lecznicy.

— Weź go na kolana czy coś — odparł Rafał słabym głosem. — Ja nie mogę... Boję się krwi.

— A ja się boję zębów, są groźniejsze niż krew — warknęłam. — Nie wezmę go, bo mnie pogryzie.

Rafał westchnął, odpiął pas i wysiadł. Podeszedł do psa, starając się zezować w bok.

— Rzeczywiście warczy — potwierdził. — Zarzucę na niego bluzę, widziałem to kiedyś w jakimś filmie. Gdy zwierzak nic nie widzi, to się uspokaja.

Rozpiął bluzę i błyskawicznym ruchem zarzucił ją na psiaka. Biedactwo miotało się przez chwilę, ale potem faktycznie ucichło. Pomyślałam, że trochę szkoda porządnego ubrania, bo natychmiast zaczęło przesiąkać krwią, ale zaraz potem przyszło mi do głowy, że to był prawdopodobnie jedyny sposób, i wstydziałam się tylko, że nie zaferowałam swojej kurtki. Mościccy oszczędzali każdy grosz, a ja nie musiałam tego robić.

— Teraz go weźmiesz? — zapytał tymczasem Rafał, trzęsąc się z zimna w koszulce z krótkim rękawkiem. — Nie powinien ugryźć. Tylko, niestety, ubabrzysz się trochę.

— Dawaj. — Odważyłam się i przejęłam rannego.

Z trudem wsiadłam, ułożyłam sobie na kolanach tłumoczek z przerażonym zwierzęciem

(oczywiście spodnie natychmiast zaczęły mi nasiąkać krwią) i ruszyliśmy.

— Iga, wpisz w Google „weterynarz Nakło” — poprosił Rafał. — Będziesz mnie pilotować.

Iga zaczęła pikać w komórkę, a ja delikatnie objęłam trzęsące się ciało.

— To my jesteśmy dopiero koło Nakła? — zapytałam, żeby nie myśleć o tym, że pies może nie przeżyć utraty takiej ilości krwi.

Rafał potwierdził mruknięciem, po czym na żądanie Igi skręcił w prawo. Przez jakiś czas nie odzywaliśmy się do siebie, nie licząc oczywiście wskazówek udzielanych przez moją przyjaciółkę i okazjonalnych przekleństw Rafała, kiedy coś na drodze szło nie po jego myśli.

— Myślicie, że o tej porze lecznice weterynaryjne są otwarte? — zapytała Iga.

— Już dziesiąta, powinny być — odparłam. — Widzicie, jak to dobrze, że nie wyjechaliśmy wcześniej?

Było to idiotyczne; gdybyśmy wyjechali wcześniej, ten pies po prostu nie przebiegłby nam przez drogę — w naszym obecnym stanie ducha nawet takie pocieszenie było jednak lepsze niż żadne. Wszyscy troje absolutnie histerycznie pragnęliśmy w tym momencie tylko jednego: żeby zapyziały kundelek przeżył.

Operacja trwała ponad godzinę. Lecznica teoretycznie otwarta była od jedenastej, ale ponieważ Iga wygooglała numer telefonu do doktora Paśnika, zadzwoniliśmy i używając czegoś w stylu szantażu emocjonalnego, zmusiliśmy go, aby przyjechał i ratował naszą ofiarę. Weterynarz okazał się śliczny jak z obrazka, z oczami niebieskimi niczym hollywoodzki amant; ale co z tego, skoro przyjechał w szaliku. „Swoją drogą”, pomyślałam, „jak to dobrze, że akurat jest zima. Latem nigdy nie dowiedziałabym się, których facetów powinnam wyeliminować w przed-biegach, bo nie pasują do przepowiedni Wróżki Grubiak”.

Iga nie wytrzymała napięcia; zamiast beczynnie czekać, postanowiła połaźić po sklepach i rozejrzeć się za miejscem, gdzie można coś zjeść, bo było jej niedobrze. Rafał nie mógł się pozbierać; chodził tam i z powrotem po ciasnej poczekalni, mrucząc coś do siebie. Ja trzymałam się najlepiej, ale także byłam bardzo przygnębiona.

— Co tam mówisz? — zapytałam, wylapując w mamrotaniu Rafała słowo „Baśka”.

Rzucił mi nieprzytomne spojrzenie, a potem klapnął obok mnie na plastikowym krzeselku.

— Znienawidzi mnie — szepnął. — Przecież ona by chciała uratować wszystkie zwierzaki świata. To kompletna wariatka, kocha nawet świnię. Jeśli ten psiak umrze, to już nigdy na mnie nie spojrzy.

Skrył twarz w dłoniach i nie chciał powiedzieć nic więcej, ale w zasadzie nie musiał, bo całe reszty się domyśliłam. A więc to tak. Miałam tu zakochanego po uszy faceta, który z jakiegoś powodu uznał za stosowne ukrywać swoje uczucie przed całym światem. A szczególnie przed obiektem westchnień — czyli Basią.

— Psu nic nie będzie — oznajmiłam z mocą. — Nawet o tym nie myśl. Zoja powiedziała mi kiedyś, że nie wolno wpuszczać do umysłu złej energii, bo jest toksyczna. A umysł stwarza rzeczywistość, rozumiesz. Nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale tak mi się wydaje, że to ma związek z pozytywnym myśleniem. Trzeba wierzyć, że wszystko skończy się dobrze. Nie tak, to inaczej, ale na pewno dobrze.

— Ha, trochę jak moja babcia — mruknął Rafał. — Też wierzyła, że wszystko będzie dobrze. Kiedy omal się nie utopiłem w korycie dla świń, babcia powiedziała ze stoickim spokojem: „Pan Bóg czuwa nad dziećmi, nic się nie mogło stać”.

— Serio? Dziś byśmy powiedzieli, że była nieźle wyluzowana jak na babcie.

Pokiwał głową.

— No cóż — westchnęłam. — Nie mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że Pan Bóg czuwa nad psami, ale to przecież nie przeszkadza nam wierzyć, że ten kundelek się wylize.

W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i wyszedł do nas zatroskany doktor Paśnik.

— Musiałem amputować — powiedział. — Niestety, staw biodrowy był w takim stanie, że nic się nie dało zrobić.

— I co teraz? — zapytałam głupio.

Rafał bezgłośnie poruszał zbielełymi wargami. Bałam się, że znowu zemdleje.

— Nic — odpowiedział weterynarz jakoś nazbyt, jak na mój gust, nonszalancko. — Człowiek może funkcjonować bez jednej nogi, to i pies może. Mógłby nawet bez dwóch. Ale bez jednej to już w ogóle, nawet biegać będzie, zobaczy pani. To znaczy, o ile przeżyje.

Rafał głośno wyraził oburzenie, a ja przez chwilę bałam się, że chce dać lekarzowi w zęby, bo dziwnie zamachał rękami.

— A co trzeba zrobić, żeby przeżył? — zapytał. — Jak o niego dbać?

— Na razie go wam nie oddam — rzekł Paśnik. — Zostanie u mnie przynajmniej do wieczora, dopóki jego stan nie będzie stabilny. I wtedy pogadamy. Proszę zajrzeć mniej więcej o dziewiętnastej, wtedy zazwyczaj pacjentów już nie ma, a ja jeszcze się tu kręcę. Państwo z Nakłą?

— Nie, z Bydgoszczy. A pies nie jest nasz.

— Tego się domyśliłem. Ludzie rzadko miażdżą łapy włas-nemu psu — powiedział weterynarz, a Rafał zrobił się już całkiem zielony na twarzy. — Zresztą muszę państwu powiedzieć, że on jest niczyj. Musieliśmy wyglądać jak znaki zapytania, bo natychmiast udzielili wyjaśnień:

— W szyję miał wrośnięty kawałek sznura. Usunąłem to świństwo, skoro już był pod narkozą. Skóra jest w fatalnym stanie, opuszki podmrażane, no i ogólnie kundelek jest skrajnie niedożywiony. Podejrzewam, że jakiś „dobry chrześcijanin” przywiązał go w lesie. Życie uratował mu śnieg, inaczej dawno zdechłby z odwodnienia.

— Ale to niemożliwe. Przecież by zamarzl. — Rafał jakby ocknął się z mentalnego niebytu.

— Zdziwiłby się pan, jak psy potrafią sobie radzić w takich sytuacjach. Pewnie wykopał jamę w śniegu. Widziałem kiedyś charta polskiego, który przeżył dwa tygodnie po tym, jak uciekł właścicielom w sylwestra, przerażony fajerwerkami. Znalazł sobie stóg siana i chował się w nim przed mrozem. W pobliżu był staw, rybacy wycinali tam przeręble. Ten pies podkładał kawałki lodu i je rozgryzał.

— Niesamowite — westchnął Rafał. — No dobrze, ale co my mamy zrobić z tym psiakiem? Ja go nie mogę przygarnąć, u mnie jest już za ciasno...

Obaj popatrzyli na mnie.

— Wykluczone — powiedziałam. — Nie mieszkam jeszcze u siebie, trwa remont. Jeszcze co najmniej tydzień. Gdy będę się mogła przeprowadzić, to wtedy... Wtedy pogadamy. Chociaż szczerze mówiąc, nie miałam w planach psa... No, nie patrzcie tak na mnie, panowie. W tej chwili naprawdę nie mogę go wziąć.

Zapadła cisza. Taka z gatunku tych bardzo niewygodnych.

— Ale przecież nie oddamy psa bez tylnej łapy do schroniska — dodałam po namyśle.

— A ta trzecia pani? — podsunął weterynarz.

— Ona to już w ogóle. Absolutnie. Nigdy nie przepadała za psami. Poza tym jest w ciąży.

— To w niczym nie przeszkadza.

Tere-fere. Mógł sobie mówić, co chce, ja wiedziałam swoje. Zapchlony, pewnie niemiłosiernie zarobaczony kundelek i Iga w ciąży — nie, te obrazki nie pasowały do siebie w najmniejszym stopniu. Rozumiałam też, że Rafał nie chce podjąć takiej decyzji bez konsultacji z rodzicami. U Mościckich naprawdę się nie przelewało, a ten pies będzie pewnie wymagał drogiego leczenia. Z drugiej jednak strony — gdybym sfinansowała jego kurację i karmę, Rafał mógłby chyba przechować tego nieszczęśnika do czasu, kiedy skończy się u mnie remont. Potem znalazłoby mu się nowy dom.

— Basi by się to spodobało — mruknęłam na poły do siebie, na poły do Rafała. — Przygarnąłbyś go tylko na jakiś czas. Wiesz, dopóki się nie przeprowadzę.

— Ale dlaczego nie możesz go zabrać do mieszkania ojca?

— Bo u nas jest pusto — wyjaśniłam. — Ten pies będzie przez jakiś czas wymagał opieki. Pewnie trzeba go będzie wynosić na dwór, żeby nie siusiał w mieszkaniu... Nas z ojcem nie ma w domu prawie przez cały dzień, a u was odwrotnie, zawsze ktoś jest w domu.

Rafał patrzył na mnie z powątpiewaniem.

— Obiecuję, tylko do czasu, aż będę się mogła przeprowadzić. Wtedy go zabiorę i albo znajdę mu odpowiedzialnych opiekunów, albo zatrzymam.

— Boję się, jak zareagują rodzice.

— W ostateczności, jeśli się nie zgodzą, poprosimy Basię. Ona ma tam na wsi tyle miejsca... Komu jak komu, ale jej na pewno się spodoba, że zająłeś się tym biedakiem.

— Masz rację. — Mościcki wyraźnie się rozpogodził. — No dobrze. — Teraz zwrócił się do doktora Paśnika. — Przyjedziemy po niego wieczorem.

Zapłaciłam za operację i wyszliśmy z lecznicy. Postanowiliśmy odszukać Igę, a potem wspólnie udać się na zakupy zoologiczne — musieliśmy przecież kupić jakieś miski, karmę i tak dalej. Rafał nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Byłam ciekawa, czy pogrążył się w marzeniach na temat reakcji Basi na fakt, że uratowaliśmy pieska — czy raczej oddał się smętnym rozmyśleniom o tym, jak zareagują rodzice.

— Ale Kornelia to się na pewno ucieszy — powiedziałam, żeby jakoś dodać mu otuchy. — Poza

tym pamiętaj, że to tylko na jakiś czas.

— A na jakim etapie jest twoja przeprowadzka?

— Malowanie ścian — wyjaśniłam. — Został jeden pokój. Potem trochę wywietrzymy i już można wstawiać meble. Podłóg nie wymieniam, bo są w świetnym stanie, w łazience tylko uparłam się na nowy kibelek i wstawiam wannę, bo był jedynie prysznic.

— No i dobrze. Oszczędność wody — zauważył Rafał.

Nie miałam ochoty mu wyjaśniać, że wanna stanowi element mojego marzenia o dziecku. Że w tym marzeniu było między innymi puszczenie baniek mydlanych w kąpeli i nakładanie pachnącej piany na mały brzusek. Mruknęłam coś niewyraźnie i wyciągnęłam telefon, aby zadzwonić do Igi.

— Jestem w fajnej knajpcie, czekam na was — powiedziała. — Okropnie mnie mdliło, a tu dają porządny bigos.

Pojechaliśmy do niej; jakimś cudem trafiliśmy, choć jedyne wskazówki, jakie otrzymaliśmy, brzmiały: „Prosto, prosto, potem w prawo i będzie taki plakat, żeby myć zęby czy coś, i już, mały czerwony budynek”. Plakat „żeby myć zęby” okazał się oczywiście reklamą towarzystwa ubezpieczeniowego, ale widniejąca na nim modelka miała rzeczywiście olśniewający uśmiech, a usta tak szerokie, że z pewnością mogłaby jeść szparagi w poprzek.

Nastrój poprawił nam się znacząco, po pierwsze dlatego, że psiak był już po operacji, a po drugie — bo bigos faktycznie okazał się niezły.

— No i wszystko się porządkowało — powiedziała do mnie Iga. — Nie kupisz kredensu, nie będzie stylu prowansalskiego.

Rafał, wybierając grzybki z kapusty, zaproponował:

— Może zrobimy tak: odwiozę was do Bydgoszczy, nastawię psychicznie rodziców, że przez parę dni będą mieli psa pod opieką, potem wrócę tu po czworonoga... tfu, po trójnoga, zawiozę go, prześpiemy się i rano wyruszymy do tej Piły, ale tym razem wcześniej.

— Jeszcze się zobaczy — ucięłam. — Nie wiadomo, jak ten biedak będzie się czuł. Pamiętam, jak kiedyś jeden hodowca dobermanów mi opowiadał, że po narkozie psy wymiotują i siusiają pod siebie. Jeśli tu też tak będzie, to przecież nie zostawisz rodziców z kłopotem. Najwyżej odczekamy kilka dni i dopiero wtedy ruszymy. A ostatecznie mogę po prostu kupić inny kredens. Meble to bardzo mały pikus w porównaniu z takim dużym pikusiem, który właśnie stracił łapę.

Ostatecznie Rafał nie odwiózł nas do Bydgoszczy. Zanim zjedliśmy bigos, Iga poprawiła swoją porcję deserem lodowym, ja napiłam się dobrego piwa, a Rafał pochłonął jeszcze dwa pieczone udka z kurczaka (na zapas, zanim wróci pod wegańską dykturę Baśki — tak powiedział, a ja udawałam, że nie słyszę skrywanej czułości w jego głosie), była już szesnasta. Tak więc ostatecznie trochę pokręciliśmy się po Nakle, poszliśmy do kina na jeden z tych filmów, w których każdy bohater, bez względu na wiek, wykształcenie i sytuację życiową zaczyna każdą kwestię od słowa na „k”, a gdy wreszcie, zdegustowani i nieco zmęczeni nadmiarem dźwięków i migających kolorowych świateł (bo film był kiczowaty i przypominał nieudolnie sklejone ze sobą fragmenty teledysków), wyszliśmy z kina, zbliżała się dziewiętnasta.

Doktor Paśnik nie dał nam psa — powiedział, że nie jest w wystarczająco dobrym stanie, aby go zabrać z lecznicy. Musiał zostać pod kroplówką. Ustaliliśmy więc, że nazajutrz odbierze go sam Rafał, bo nie było sensu jeździć we trójkę tam i z powrotem. Tymczasem zmęczeni i w minorowych nastrojach wróciliśmy do Bydgoszczy, Rafał odstawił Igę do domu, a następnie we dwoje wybraliśmy się do jego rodziców, by przygotować ich na tymczasową rewolucję, która niewątpliwie czekała ich w najbliższych dniach.

Kornelka — tak jak się spodziewałam — na wieść o tym, że nazajutrz Rafał przywiezie do domu psa, klaskała w rączki i aż podskakiwała z ekscytacji. Kiedy jednak usłyszała, że biedak ma trzy łapy, rozplakała się cichutko i łkała, dopóki Basia (która właśnie zbierała się do domu, bo niemal równocześnie z nami wróciła pani Mościcka) nie zapytała, jak pies się wabi.

— Nie ma imienia — odparł Rafał tym idiotycznym, opryskliwym tonem, którego używał w

rozmowach z moją przyszywaną siostrą.

Spojrzałam na niego karcąco. Myślałby kto, że robił wszystko, żeby tylko Baśka go, Boże broń, nie polubiła. Nie rozumiałam tego.

— Jak to nie ma imienia? — Kornelka jednym susem była przy bracie i zaczęła go ciągnąć za rękaw. — Rafałek, jak to nie ma? A jak się nazywał, kiedy miał cztery łapki?

— Nie wiemy. On był niczyj. Nikt go nie chciał.

Dziewczynka zacisnęła małe piąstki.

— Ale już nie będzie niczyj, prawda? — zapytała, wciąż jeszcze ze łzami w oczach.

Uznałam, że powinnam wkroczyć do akcji.

— Nie będzie niczyj, absolutnie — potwierdziłam. — Ja od razu zacznę mu szukać domu. Bo on jest duży, więc powinien mieć duży dom, najlepiej z ogrodem. A jeśli nikt go nie zechce, to zamieszka ze mną. Ale to dopiero po przeprowadzce. Tymczasem, jeśli mama i tata się zgodzą, pomieszka u was.

Państwo Mościccy nic nie mówili. Patrzyli na siebie, ale tego, co wyrażały ich spojrzenia, nie mogłam odczytać. Pociuszające było to, że w ich wzroku nie zauważyłam gniewu ani zniecierpliwienia.

— Zgodę musi wyrazić przede wszystkim Basia — odezwała się wreszcie gospodyni. — Bo to ona spędza tu niemal cały dzień. A co, jeśli ten pies okaże się kłopotliwy? Jeśli pod waszą nieobecność będzie niszczył meble albo brudził?

— Będziemy go ze sobą wszędzie zabierać — powiedziała Kornelia, składając rączki jak do modlitwy. — Mamo, proszę. Basiu, proszę.

— Są takie miejsca, w które nie można zabrać psa.

— Ja przecież w razie potrzeby zostanę ze zwierzakiem — wtrącił się pan Franciszek. — Dobrze wiem, co znaczy niepełnosprawność. Rafał psa potrafił, to oczywiste, że teraz trzeba mu pomóc stanąć na łapach. Dosłownie i w przenośni.

Swoją drogą, à propos niepełnosprawności — mężczyzna, którego w tej chwili miałam przed sobą, w niczym nie przypominał tamtego otyłego, schorowanego człowieka, którego poznałyśmy z Igą przed dwoma laty. Był znacznie szczuplejszy, wydawał się zupełnie zdrowy, a przede wszystkim — tryskał energią i optymizmem. Nie byłam tylko pewna, czy tak zazwyczaj wygląda remisja choroby, czy też była to zasługa rewolucji, jaką przeprowadziła w tej rodzinie Baśka.

Kornelka natychmiast pobiegła do taty i przytuliła się mocno, jakby całą sobą chciała podziękować za to, że stanął po jej stronie. Basia wzruszyła ramionami.

— Racja. Jak się zwierzaka skrzywdziło, to teraz trzeba pomóc — powiedziała chłodno, omijając Rafała spojrzeniem. Widziałam że chłopak najeżył się jak kaktus. — Damy sobie radę, zwłaszcza że to tymczasowe. W ogóle nie ma o czym mówić.

I tak oto zapadła decyzja o adopcji „trójnoga”. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że wraz z jego pojawieniem się w życiu rodziny Mościckich zacznie się nowa epoka.

Wracalam do domu pograzona w myslach o psie — jego los zajmowal mnie w tej chwili tak bardzo, ze zupełnie zapomnialam o rozczarowaniu z powodu nieudanego wyjazdu na zakupy. Zreszta czy naprawde potrzebowalam wielkiego kredensu? Po co czlowiek otacza sie mnostwem przedmiotow i sprzetow, skoro one nie daja mu szczescia?

Spodziewalam sie, ze taty nie bedzie w domu, powinien przeciez nocowac u Zoi. Ewentualnie, jezli zdecydowal sie spac we wlasnym lozku, powinien byc juz wykapany i przebrany w jedna ze swoich flanelowych pizam, bo zrobilo sie bardzo pozno. Tymczasem gdy weszlam do mieszkania i ostroznie, zeby nie halasowac, odlozylam torebke na komode, odkrylam, ze w kuchni pali sie swiatlo. Zajrzalam tam i zdembialam.

Byl kompletnie zalany. Siedzial przy stole, na ktorym rozpostarl „Gazete Wyborcza” i uzyl jej jak talerza — poniewieraly sie na niej okrucy chleba i kawalek pasztetowej. Na stole stal tez sloiczek z chrzanem oraz kubek z resztką herbaty, a na blacie przy zlewie — napełniony kieliszek i butelka po wódce.

— Tato — powiedzialam bezgranicznie zdumiona. — Co ty wyprawiasz? Dlaczego jesz na gazecie?

Ojciec podniosl na mnie nie do konca przytomny wzrok.

— Ja cie, kuźwa, kręcę — powiedzial. Nawet po pijaku nie umial porzadnie klac. — To juz jest poniedzialek?

— Nie, dopiero wtorek — odparlam, nie baczac na to, ze zabrzmialo to idiotycznie. — Poprzedni wtorek. To znaczy... ciagle jest dzisiaj.

— A, tyle to ja wiem. — Usmiechnal sie. — Dzisiaj jest dzisiaj. Filozoficznie rzecz ujmujac. Ale ze ja tyle palem i nic nie pamietam?! To chyba do pracy nie chodilem? — Stropil sie i kompletnie bez sensu spojrzal na zegarek.

— Nie rozumiesz, tato... — Podeszlam do blatu i golnelam sobie kieliszeczek (zrobilam to wylaczenie po to, zeby tata nie upil sie jeszcze bardziej). — Dzisiaj wyjechalam i dzisiaj wrócilam.

Zamierzalam wyjasnic powody — opowiedziec o psie i o tym, ze nazajutrz byc moze ponownie wyjezdzamy — ale nie zdazylam. Tata niespodziewanie zalal sie lzami.

— Naprawde? — zapytal retorycznie. — Wrócilas? Ja wlasnie mialem nadzieje... Nie, nawet nie nadzieje, cos mniejszego niz nadzieja. Ale wiesz, Zoja mowila, ze jezli sie czegoś bardzo chce, jezli sie cos projektuje w umysle, to sie spełni. Trzeba sie odprezyć, skupic, rozumiesz, tak jakby wejsc w inny stan swiadomosci. Taka jakby amatorska medytacja. I wtedy musisz sobie wyswietlic to, co chcesz, zeby sie wydarzylo. No wiec nie bardzo umialem to sprecyzowac, ale tak sobie po cichutku wyobrazalem, ze ty wcale tam nie jedziesz, nie szukasz tego... Remigiusza. Bo i po co? Zeby go zaprosic na slub? Zeby byl dziadkiem dla twoich dzieci? A ja kim bede?

Rozkleil sie jak chinskie buty na deszczu. Nie moglam na to patrzec.

— Tato, co ty wygadujesz? Przeciez ja pojechalam, zeby obejrzec kredens. Co ci w ogole przyszlo do glowy? Znalazlam takie ogloszenie, Krajenka koło Piły, odrestaurowany kredens w stylu prowansalskim... Co ty sobie pomyslales?

Tata plakal dalej, moze nawet rzewniej niz przedtem. Cos mi mowilo, ze nie wierzy w moje slowa.

— Ale uznalam, ze nie potrzebuję takiego mebla — dorzucilam. — Nie jade.

— Wcale? — Chlipnal.

— Wcale. Rozmyslilam sie.

Powinnam byla opowiedziec o potraconym psie i o tym, ze mielismy zamiar jechac nazajutrz. Ale uznalam, ze to teraz nieistotne. Tata przestal plakac i zaczal sie rozgladac po kuchni.

— Ozez ty! — wykrzyknal. — To ja wypilem cala butelczynie? Łaska boska, ze Zoja akurat ma ten swój zlot czarownic, bo chyba by mi nie darowala. Ona okropnie nie lubi pijakow.

Mówił coraz bardziej bełkotliwie, uznałam więc, że zrobię mu bulion z kostki rosółowej i zmuszę, by poszedł do łóżka. Z doświadczenia wiedziałam, że ostre kołysanie w głowie najlepiej po prostu przespać.

Rano tata był ciężko chory, więc sama pojechałam do pracy. Oczywiście już poprzedniego dnia wieczorem zadzwoniłam do Igi i Rafała, żeby im oznajmić, że nie jedziemy do żadnej Piły.

— Bardzo słusznie — wyraził swoją opinię Rafał. — Zresztą od razu mówiłem, że to był głupi pomysł.

Natomiast Iga koniecznie chciała to jeszcze przedyskutować.

— Nie potrzebuję stylu prowansalskiego — uciłam. — A zresztą może i potrzebuję, ale teraz jest zły czas. Tata pomyślał, że skoro wyjeżdżam na parę dni i nie mówię mu, dokąd i po co, to na pewno chcę odszukać tamtego faceta, wiesz, Remigiusza.

— Ja też ciągle mam nadzieję, że pewnego dnia zechcesz to zrobić.

— Może i przyszło mi to do głowy — przyznałam. — Tyle że chwilowo cała sprawa wydaje mi się niepotrzebna i okrutna. Bo pomyśl, to dotyczy nie tylko mnie. Pomijając już reakcję mojego taty, którego po powrocie znalazłam nabombanego w rurkę...

— We trzy — przerwała mi Iga. — Nabombać się można we trzy lub więcej. Jak jest mniej rurek, to nie jesteś jeszcze nabombana.

— Okej. No więc pomijając nabombanego tatę... Przecież gdybym nawet zorganizowała poszukiwania, ogłosiła rzecz w Internecie i ewentualnie odszukała biologicznego ojca, to... mogłabym mu okropnie namieszać w życiu.

— To prawda.

— Więc może lepiej, żeby wszystko zostało tak, jak jest?

— Może lepiej — przyznała Iga. — A poza tym zawsze możesz zrobić użytek ze swojej grubej forsy i zatrudnić prywatnego detektywa. Niech znajdzie tego twojego biologicznego tatusia, niech zbierze o nim informacje i wtedy postanowisz, czy coś z tym robisz, czy zostawiasz, jak jest.

Nie mogłam się nadziwić, że takie rozwiązanie nie przyszło mi wcześniej do głowy. To pewnie dlatego, że wciąż nie czułam się bogata — miałam to idiotyczne wrażenie, że miliony na koncie są pożyczone i że w jakiś sposób będę musiała spłacić zaciągnięty dług.

Tak czy inaczej, pomysł Igi uznałam za wart przemyślenia.

Tego dnia — po pracy i odwiedzinach w moim nowym mieszkaniu na Wyżynach, gdzie wstąpiłam tylko na moment, by ocenić postępy ekipy malującej ściany — powinnam była od razu wybrać się do Mościckich, bo przecież Rafał miał przywieźć „trójnoga” z Nakła. A jednak coś mnie tknęło i zrobiłam to, na co miałam ochotę od dawna, ale dotychczas nie znalazłam odwagi. Podjechałam pod gabinet Kapinosa, zaparkowałam i przez jakiś czas czekałam. Wiedziałam, że jeśli jest w pracy, to o dwudziestej pierwszej zapika jego komórka. A wtedy on delikatnie da do zrozumienia pacjentowi, że czas minął, pacjent wyjdzie, a zaraz potem gabinet opuści sam Grzegorz.

„Na pewno go nie ma”, powiedziałam sobie. Z całą pewnością za chwilę na ulicę wyjdzie Jagoda Bąk ze swoim wytrzeszczem. To znaczy, najpierw oczywiście pacjent lub pacjentka, ale zaraz potem ona.

Zaledwie to pomyślałam, z samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy wysiadła kobieta, a ja ze zdumieniem rozpoznałam w niej terapeutkę z wylupiastymi oczyma. Wyciągnęła z torebki telefon i wybrała numer, po czym chwilę odczekała, ale nie widziałam, czy prowadzi rozmowę. W mojej głowie zdążyło powstać pytanie: „Co ona tu robi, przecież powinna być środkiem?”, gdy nagle drzwi prowadzące do poradni psychologicznej otworzyły się i wyszedł z nich ON. Grzegorz. Grzesiek. Grześ.

Nie zdążyłam nawet odruchowo się skurczyć, schować głowy w ramiona — w ogóle nic nie zdążyłam zrobić ani nawet pomyśleć. Grzegorz rozejrzał się i bez wahania ruszył w stronę Jagody Bąk. Był ubrany w ciemną kurtkę, nie było widać, czy ma też szalik. Podeszedł, pocałował kobietę w policzek i oboje wsiedli do auta, po czym odjechali.

Tak po prostu. A ja tak po prostu siedziałam na parkingu i gapiłam się przed siebie, choć w rzeczywistości nie wiedziałam kompletnie nic. Tkwiłam w ciszy i ciemności.

Część III

Wiosna

Gdzie te fiołki?

Przecięgnęłam się z lubością i wpełzłam głębiej pod kołdrę, chcąc jeszcze przez chwilę przebywać w cudownej krainie z mojego snu. Nie pamiętałam dokładnie, co mi się śniło, ale na pewno był tam Grzesiek i kochaliśmy się na czymś miękkim. Po namyśle stwierdziłam, że był to jakiś rodzaj grubego materaca, takiego jak w parku trampolinowym. Cóż, nie należało doszukiwać się logiki w marzeniach sennych, natomiast, zgodnie ze słowami Zoi, należało zadać sobie pytanie, dlaczego ma się takie, a nie inne wizje.

Tu akurat odpowiedź nasuwała się sama. Grzesiek i miłość to wiadomo. Nie uprawiałam seksu od czasów tak dawnych, że wydawały się prehistorią. W Grzesku wciąż kochałam się miłością beznadziejną i romantyczną. A park trampolinowy — bo raptem trzy dni wcześniej byliśmy z Baską poskakać. Tak naprawdę wybrałyśmy się na prośbę Kornelki, która bardzo chciała „pofruwać”. Co do mnie, wcale nie zamierzałam iść, ale Basia mi wytłumaczyła, że przeprowadzka i przygotowania do ślubu taty to szalenie stresujące wydarzenia — i po prostu jestem winna swojemu ciału trochę szalonego ruchu, aby mięśnie mogły się rozluźnić, a umysł odreagować.

Zmęczyłyśmy się dość szybko i usiadłyśmy na jednej z ławek poza siatką zabezpieczającą, obserwując wyczyny Kornelii, która — leciutka jak piórko — naprawdę skakała niemal pod sufit.

— Jak się miewa Ares? — zapytałam, powoli uspokajając oddech.

— Świetnie. Gdybym nie widziała na własne oczy, jaką przeszedł metamorfozę, w życiu bym w to nie uwierzyła.

Westchnęłam. Ares, czyli nasz „trójnóg”, przez pierwsze dni pobytu u Mościckich był zupełnie dziki. W dodatku wyglądał jak siedem nieszczęść. Weterynarz zgolił mu sierść w miejscach, które wymagały interwencji medycznej, pies miał więc zupełnie łyse biodro, okolice ogona, szyję i kark. Początkowo zwierzak zwężał oczy w szparki, gdy tylko ktoś się do niego zbliżał. Warczał na wszystkich poza Kornelią i pewnie dlatego to ona pierwsza odważyła się go pogłaskać. Od tamtej chwili ufał jej bezgranicznie — to właśnie do niej po raz pierwszy samodzielnie wstał i podszedł, zataczając się na swych trzech łapach. Można powiedzieć, że musiał od nowa nauczyć się chodzić. Od kiedy jednak opanował tę sztukę, towarzyszył dziewczynce nawet w sypialni — kładł się przy jej łóżku i pilnował, by spała spokojnie.

Gdy wreszcie przeprowadziłam się na Wyżyny, zgodnie z umową zjawiłam się u Mościckich, by zabrać psiaka do siebie. Oczywiście w międzyczasie usiłowałam znaleźć mu dom, dałam ogłoszenie na Facebooku, Zoja podpytywała swoich znajomych; nikt jednak nie chciał przygarnąć trójnogiego kaleki. Uznałam więc, że zamieszka ze mną. Uzgodniłam z ojcem, że w porze obiadowej będę urywać się z pracy i zabierać psa na krótki spacer. Wygospodarowałam miejsce w holu, kupiłam porządne legowisko i matę na podłogę, żeby woda z misek nie niszczyła parkietu.

Najbardziej zdumiała mnie reakcja pana Franka. Że Kornelia będzie rozpaczać, tego się spodziewałam, w końcu zdążyła się z psiakiem zaprzyjaźnić. Ale że ojciec Rafała zacznie trzaskać drzwiami, a następnie zwyczajnie się obrazi i wyjdzie z domu — na to bym nie wpadła, choćbym myślała cały dzień.

— Ale o co chodzi? — zapytałam zdumiona.

Kornelia otarła łzy, bez słowa usiadła na podłodze, tuż przy psim kocyku, i zabrała się za rysowanie. Pani Mościcka, chyba równie zaskoczona co ja, postawiła przede mną talerzyk z wegańską szarlotką.

— Spróbuj — powiedziała. — Basia dziś upiekła. A co do Franciszka, to nie przejmuj się, on miewa takie humory.

Rafał uniósł brwi, z czego wywnioskowałam, że wręcz przeciwnie — jego ojciec dotąd humorów nie miewał.

— Może tata potrzebuje kogoś takiego — odezwał się po chwili.

— Jakiego? — Pani Mościcka zatrzymała się w pół kroku. — O czym ty mówisz, Rafałku?

Przecież to trzeba podejść do sprawy odpowiedzialnie. Mamy małe mieszkanie, Kornelka w przyszłym roku pójdzie do szkoły, nie będzie Basi, żeby psa wyprowadzić, a tata to sam wiesz, miewa lepsze i gorsze okresy...

Rafał wstał gwałtownie od stołu, odsuwając krzesło nieco zbyt głośno.

— Ty chyba nie chcesz wierzyć, że jemu się może na dobre polepszyć, co? — zapytał. — Że ta witamina D3 i dieta mogą podziałać?

— Co ma do tego terapia taty?! — zdumiała się jego matka. — Myślałam, że rozmawiamy o psie.

Chyba zamierzała powiedzieć coś jeszcze, ale urwała, bo drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł pan Mościcki.

— Jak oddajecie psa tylko dlatego, że ma trzy nogi — oznajmił — to i mnie oddajcie do jakiegoś ośrodka opieki społecznej czy gdzieś. Ze mną jest więcej zachodu.

— Ale Franiu... — zaczęła jego żona, lecz nie dokończyła, bo najwyraźniej nie znajdowała odpowiednich słów.

— Człowiek nie jest wreszcie sam — mruknął jeszcze pan Franciszek. — Ma do kogo gębę otworzyć. Ktoś go wysłucha. I dziecko ma najlepszego, najwierniejszego przyjaciela. Ale nie, niektórzy tego nie rozumieją. Niekiedy wszystko widzą w liczbach. Tyle i tyle kosztuje psia karma, tyle i tyle mamy metrażu...

— Mam gdzieś, ile kosztuje karma! — krzyknęła pani Mościcka, która najwyraźniej straciła zimną krew. — Baranie jeden, jeśli chcesz, to zatrzymamy tego psa! Chcesz?

— Chcę.

— Dobrze.

Kornelka wstała i podeszła do taty, który w międzyczasie opadł na fotel. Usiadła mu na kolanach i wtuliła buzię w jego ramię. Pani Mościcka bez słowa poszła do kuchni. Rafał mrugnął do mnie zawadiacko. Miałam dziwne wrażenie, że tych troje zawiązało jakiś tajny sojusz, ale nawet jeśli tak było, to trzymali fason i pozostali w konspiracji do samego końca.

— W takim razie nadajmy mu wreszcie imię — odezwała się pani Mościcka, wchodząc ponownie do pokoju, tym razem z miseczką ciasteczek. — Bo nie możemy wiecznie mówić „pies”.

Ojciec spojrzał na Rafała z kiepsko ukrywanym triumfem.

— Może Wacek — zaproponowała Kornelia, a jej brat, który właśnie brał łyk gorącej herbaty z cytryną, aż się opluł.

— Dlaczego Wacek? — zapytał.

— Nie wiem. — Dziewczynka wzruszyła ramionami. — Niedawno słyszałam, jak panowie koło kiosku rozmawiali o pieskach. I jeden powiedział, że ten drugi ma małego Wacka.

— To chyba jednak nie chodziło o pieski — powiedziała słabym głosem pani Mościcka. — Jakies inne propozycje?

— Amigo — powiedział Rafał. — To znaczy „przyjaciel” — wyjaśnił siostrzyczce.

— A może coś z mitologii — odezwał się pan Franciszek. — Co powiecie na Marsa?

— Mars to jest batonik — zaprotestowała Kornelka.

— W takim razie Ares. To też bóg wojny, tyle że grecki.

— Ares może być — zgodził się Rafał. — Brzmi dumnie. Wiecie, taki na przykład dog niemiecki to się może nazywać Fafik, Bobik albo Dyzio. Albo choćby — odchrząknął — Wacek. Nawet z byle jakim imieniem będzie wyglądał po królewsku. Ale pies taki jak nasz, biedaczysko na trzech nogach, to całkiem inna sprawa. Taki pies musi mieć dumne imię.

Tak oto zdecydowano, że Ares zostanie u Mościckich. Następnego dnia przywiozłam im zakupione przeze mnie legowisko oraz matę podłogową. Pies uznał, że jedno i drugie znakomicie nadaje się do jedzenia. Już pierwszej nocy rozpruł legowisko i porwał gąbkę ze środka na kawałki. Brzegi maty zjadał systematycznie przez kilka dni, aż wreszcie przybrała kształt stojących na niej misek. Dopiero wówczas trafiła do śmieci.

*

— Odplynęłaś totalnie. — Basia trąciła mnie łokciem. — Słuchałaś w ogóle, o czym mówię? Ocknęłam się. Kornelia skakała na trampolinach tak wysoko, że aż drętwiałam ze strachu, patrząc na jej wyczyny. Musiałam się rzeczywiście zamyślić.

— Przepraszam — powiedziałam. — Nie, szczerze mówiąc, wyłączyłam się. Ostatnie twoje słowa, które pamiętam, to że Ares przeszedł niesamowitą metamorfozę.

— No to przespałaś całą opowieść — zaśmiała się Basia. — Mówiłam o tym, że zjadł już cztery pary butów i chyba z dziesięć rolek papieru toaletowego.

— O rany — zmartwiłam się. — To pani Mościcka pewnie żałuje, że się zgodziła...

— Może i żałuje, ale o tym nie mówi. To jest w ogóle fantastyczna osoba, wiesz? Nie narzeka, nie skarży się, wszystko przyjmuje z pogodą ducha. Taka prawdziwa mama.

— Wiem. Bardzo ją lubię. Zresztą wszyscy Mościccy są sympatyczni.

— Ale posłuchaj, co dalej, bo nie dokończyłam. Oni zaczęli rozważać zmiany, rozumiesz? Pod wpływem tego psiaka, może trochę przez te zjedzone buty... To coś niesamowitego, kiedy się na to patrzy z boku. Ile ja się nagimnastykowałam, żeby przekonać ich do zmiany przyzwyczajęń żywieniowych... Wydawali się ludźmi, którzy czują się bezpiecznie wyłącznie wtedy, gdy mają codzienną rutynę, stały rytm, nawet jeśli w tym rytmie coś wyraźnie brzmi fałszywie. Na pozór kompletnie niereformowalni. A teraz... Sama w to jeszcze nie wierzę... Zaczęli rozważać przeprowadzkę na wieś, żeby Ares miał więcej miejsca. Wyobrażasz to sobie?

— Nie — odparłam szczerze. Byłam tak zdumiona, że chwilę trwało, zanim dotarł do mnie sens tych słów. — Jak to: na wieś? Przecież nie należą do osób zamożnych.

— Tak, to prawda. Ale uznali, że można by sprzedać mieszkanie i za te pieniądze kupić jakiś stary dom do remontu. Rafał potrafi sam zrobić wiele rzeczy, twierdzi, że dałby radę.

Kiedy mówiła o Rafale, na jej policzki wypełził zdradliwy rumieniec. „Aha”, pomyślałam, „wszystko mi się tu składa w ładną całość”.

— A jak tam między wami? — zapytałam, udając, że pytam ot tak, niby od niechcienia. — Stał się trochę miłszy?

— A gdzie tam — prychnęła. — On mnie nie cierpi i tyle. Zresztą przyznam szczerze, że na mnie też jego obecność działa jak płachta na byka. Kiedy się nie widzimy, naprawdę go lubię. — Tu zarumieniła się jeszcze bardziej. — Ale niech tylko się pojawi, od razu mam ochotę mu dokuczać.

— Pewnie w myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak — zauważyłam. — Spodziewasz się z jego strony przykrości, więc wolisz użądlić pierwsza.

— Coś w tym jest — przyznała Basia. — Ale wiesz, naprawdę uważam, że to bardzo wartościowy chłopak.

— Kiedyś się w nim podkochiwałam — wyznałam, zerkając na nią spod grzywki i obserwując jej reakcję. Tak jak się spodziewałam, Basia dla odmiany pobladła nieco. — Uważam, że jest bardzo przystojny.

— Coś was łączyło? — zapytała, udając, że ogląda sobie paznokcie. — On też... Ty też mu się... No wiesz?

— Skądże — roześmiałam się. — Lubimy się, ale po prostu w pewnym momencie poczułam, że nie ma szans na nic więcej. Zwłaszcza odkąd pojawiłaś się ty.

— A co ja mam tu do rzeczy? — Coraz gorzej wychodziło jej udawanie obojętności.

— Przecież to oczywiste, że on się w tobie kocha. Tylko nie mów mu, że ci o tym powiedziałam, błagam, nie zdradzaj mnie.

Basia milczała przez dłuższą chwilę, śledząc wzrokiem szaleństwa Kornelki, która w międzyczasie nauczyła się robić coś w rodzaju fikołków w powietrzu.

— Nie wierzę — powiedziała wreszcie moja przyszywana siostra. — Każdym spojrzeniem, każdym gestem okazuje mi coś dokładnie odwrotnego.

— Ponieważ boi się odrzucenia — odbiłam piłeczkę. — Robi to samo, co ty. Woli użądlić, zanim jego zaboli.

— Ale to absurd — Baśka rozłożyła ręce. — Błędne koło!

— Oczywiście. Ponieważ jednak jesteś aspirującą wiedźmą, znajdziesz sposób, żeby je przerwać. Zamilkła. Siedziałyśmy w ciszy jeszcze przez jakiś czas, każda zatopiona we własnych myślach. Kornelia mogłaby skakać w nieskończoność, ale w końcu dała się skusić obietnicą gofra z konfiturą, mogliśmy więc opuścić park trampolinowy. Potem pożegnałyśmy się i każda wróciła do swojego życia. No, może jeśli o mnie chodzi, to niezupełnie. Jeszcze przez chwilę zajmowałam się cudzym. Pojechałam mianowicie do siedziby firmy Dream Garden, gdzie znalazłam Rafała, zajętego malowaniem drewnianych donic kasztanową bejcą.

— Słuchaj no — zagadnęłam go. — Dowiedziałam się właś-nie, że rozmyślacie nad przeprowadzką na wieś. Prawda to czy nieprawda?

— Prawda — przyznał. — Życie na wsi jest lepsze i tańsze. Moglibyśmy mieć własny ogródek, zdrowe warzywa i owoce dla ojca, Ares by sobie hasał, mama miałaby kwiaty. Dla taty i Kornelii też byłoby lepiej, gdyby przebywali więcej na świeżym powietrzu. Odkąd Baśka zabiera ich na codzienne spacer... Nie masz pojęcia, jaka jest różnica. Tata ma nawet ładniejszą cerę, ruchy i spojrzenie inne, no po prostu niebo a ziemia.

— Kto by pomyślał — zauważyłam. — Taka sobie zwyczajna dziewczyna, poza lepieniem pierogów nic właściwie nie potrafi, nawet studiów nie skończyła... A tak jakoś fajnie wszystko się pozmieniało, odkąd została nianią Kornelki.

— Ja też nie skończyłam studiów — zaperzył się Rafał.

Na szczęście nie zapytał, czy ja studiowałam, bo cała moja misterna intryga posypałaby się jak domek kart.

— Ale ty byłeś w innej sytuacji — powiedziałam przebiegle. — Ona mogła się uczyć, a ty nie mogłeś. To jest w ogóle, że tak powiem, inny poziom. Za wysokie progi, moim skromnym zdaniem.

— Ale co: za wysokie progi? O czym ty mówisz?

— O tym, że ona na ciebie leci — wyjaśniłam. — Podkochuje się w tobie. Ale chyba czuje, że nie ma wielkich szans, bo udaje, że wcale cię nie lubi.

Rafał milczał przez parę sekund; wyglądał, jakby przeżuwał coś o kontrowersyjnym smaku.

— Mnie się zawsze wydawało, że wcale nie udaje. Naprawdę mnie nie cierpi. Uważa mnie za półgłówka. Zwłaszcza że kompletnie nie rozumiem tych jej wywodów żywieniowych, wiesz, białko, węglowodany. Dla mnie ziemniak to ziemniak, a dla niej skrobia. A najlepiej, żeby jeść na zimno, bo wtedy ta skrobia... coś tam. Widzisz? Nawet tego nie zapamiętałam. Mówię ci, Baśka mnie nie lubi.

— A gdzież tam! — prychnęłam na niego jak rozszluszczona kotka. — Wy, mężczyźni, jesteście tacy ślepi! Przecież dziewczyna próbuje się przed tobą popisywać. Kiedy rozmawiam z nią w cztery oczy, mówi tylko o tobie. Rafał to, Rafał tamto. Taki pracowity, taki dojrzały, sam wyremontuje dom, wszystko potrafi; nie gniewaj się, ale może człowieka zemdlić...

Nie odpowiadał, machał bez sensu suchym pędzlem. Udałam, że zerkam na zegarek (nie nosiłam zegarka, ale kto by zwrócił uwagę na taki szczegół).

— Słuchaj, muszę już lecieć, zagadałam się. Z tego wszystkiego nie powiedziałam, po co właściwie przyjechałam. Chciałam, żebyś wiedział, że gdybyście potrzebowali pieniędzy, na przykład pożyczki na ten dom na wsi, to pamiętaj, że ja dysponuję gotówką w dużych ilościach.

— Nie, Agata, przestań! — zawołał. — Nie wezmę ani grosza!

— Ale ja mówię o pożyczce — odparłam. — Jeśli masz pożyczać od banku i spłacać procenty, to chyba lepiej pożyczyć od przyjaciela i oddawać we własnym tempie, prawda?

— Nie ma o czym mówić — odpowiedział twardo. — Już mi i tak dosyć z Igą pomagacie. Nie rozumiesz, że ja tego długu nigdy nie zdołam spłacić? Zresztą nie chcę niczego pożyczać. Damy sobie radę. A jeśli nie damy, to się po prostu nie przeprowadzimy.

Uspokoiliłam go, że zrobi, jak uważa, nikt go przecież nie będzie namawiał, i w ogóle bardzo szanuję jego zdanie. Widziałam jednak, że wcale mnie nie słucha. Rozmyślał o tym, co powiedziałam mu o Basi. Z poczuciem, że osiągnęłam swój cel, pożegnałam się i pojechałam do zakładu „Babette”, gdzie do wieczora fotografowałam, kadrowałam, retuszowałam i tak dalej. Dobre samopoczucie nie opuszczało mnie przez kilka godzin — aż do chwili, kiedy po zamknięciu zakładu odebrałam telefon od

Igi.

— Pamiętasz, jak beczałaś, że twój Kapinos cmoknął w policzek tego wytrzeszcza? — zagaiła.

— Jasne, że pamiętam.

— Więc powiem ci coś na pocieszenie. Kapinosa to ty sobie możesz mieć w nozdrzach.

— Dlaczego? — nie rozumiałam.

Iga wstrzymała oddech, niemal fizycznie czułam w słuchawce, jaka jest podekscytowana.

— On nosi szalik! — zakomunikowała triumfalnie. — To nie jest ten jedyny, rozumiesz?! Byłam tam wczoraj, wracaliśmy z Wojtkiem z kina, a mnie okropnie się chciało siku. Więc upiekłam dwa konie z kopytami za jednym zamachem i poszłam tam, wiesz, brzuch do przodu, buzia w podkówkę, że niby cierpiąca ciężarna. Zapytałam, czy można skorzystać z toalety. On akurat wychodził, bo to było jakoś tuż po dziewiątej. Zaczekał na mnie, aż skorzystam z toalety, trzeba przyznać, że bardzo był szarmancki. Potem pozamykał i faktycznie poszedł do tej z oczami. Nie patrzyłam, czy cmokał ją, czy nie cmokał, bo coś innego przykuło moją uwagę. Po pierwsze, lewa łapa w gipsie. Chyba. W każdym razie tak to wyglądało. A po drugie... Miał na szyi grubaśny szalik. To nie o nim mówiła Wróżka Grubiak! To nie jest twój przyszły mąż! Rozumiesz, Agata?!

Rozumiałam, a jakże. Podziękowałam przyjaciółce za nowinę, udałam, że kamień spadł mi z serca; że czuję ulgę, bo to rzeczywiście dobre wieści; teraz przynajmniej wiem, że nie był mi pisany, więc nie muszę sobie nim zawracać głowy.

Ale tak naprawdę jedynym, co poczułam, był kolosalny smutek. Taki nie do opisania. I wcale nie z powodu tego szalika. Byłam smutna dlatego, że tak okropnie, okropnie tęskniłam za Grześkiem. A jednocześnie doskonale wiedziałam, że ambicja nie pozwoli mi pojechać do niego i prosić, by nadal był moim terapeutą, by pozwolił mi widywać się dwa razy w tygodniu i by łaskawie zgodził się czytać moje głupie listy. Co to, to nie. Jedyne, co mnie interesowało, to żeby mnie pokochał.

Drogi Panie Grzegorzu!

Nie.

Kochany Grzesiu!

Piszę do Ciebie prawie codziennie, wiesz? Nie, nie wiesz. Skąd miałbyś wiedzieć, skoro te listy lądują w koszu. Nie takie zwinięte w kulkę, jak w komediach romantycznych. Tylko w koszu elektronicznym.

Jest taki wiersz Poświatowskiej, może go znasz... To jest właściwie tekst o śmierci, ale ja wolę w nim widzieć te wersy, które dotyczą miłości takiej jak moja:

często myślę o tobie
często piszę do ciebie
głupie listy — w nich miłość i uśmiech

potem w piecu je chowam
płomień skacze po słowach
nim spokojnie w popiele nie uśnie
patrząc w płomień kochanie
myślę — co się też stanie
z moim sercem miłości głodnym

Moich słów nie trawi ogień — one sobie zwyczajnie więdną w tym koszu, którego ikonka tkwi w rogu pulpitu. Mało to poetyckie, prawda?

Tyle się zdarzyło ostatnio, tyle się dzieje przez cały czas... Opowiadałabym Ci o tym, gdybym nadal była Twoją pacjentką. Opowiedziałabym Ci, jak to się stało, że miałam zaopiekować się psem, którego nikt nie chciał, ale ostatecznie zakochali się w nim ludzie, którzy absolutnie nie brali pod uwagę posiadania czworonoga. Inna sprawa, że on jest trójnogiem; czwartą łapę stracił pod kołami naszego auta, kiedy wybrałam się na poszukiwanie kredensu w stylu prowansalskim. Jak to się dziwnie wszystko plecie, prawda?

Pewnie ucieszyłaby Cię wiadomość, że jestem teraz w kontakcie z Mamą i że naprawdę fajnie nam się rozmawia. Kupiłam sobie mieszkanie i mieszkam teraz sama; Mama ma mnie wkrótce odwiedzić. Oczywiście Zoja i Tata też wpadają od czasu do czasu.

Razem śmiałybyśmy się z tego, jak Iga przekręca imię psa Mościckich. Któregoś dnia Rafał przyjechał z nim do jej Domu Nad Rzeką. Wracał akurat od weterynarza (Aresowi śmierdziało z uszu — wyobrażasz sobie? Ludziom naprawdę leciutko odbija na punkcie zwierzaków! Kto to widział: wachać psu uszy!) i wstąpił, żeby pogadać z Wojtkiem o jakichś sprawach zawodowych. Iga była akurat w ogródku i wgapiła się w ziemię w nadziei na to, że jeśli będzie patrzeć wystarczająco mocno, to musi rośliny cebulkowe do szybszego wzrostu. W miejsce, gdzie jesienią posadziła tulipany, wtarabanił się oczywiście Ares, więc chwyciła grabie, które stały oparte o pergolę i zaczęła nimi machać z okrzykiem: „Armagedon!”. Taką ją zobaczyli Rafał i Wojtek, którzy akurat wyszli na taras, a że pies tymczasem uciekł, nie skojarzyli okrzyku „Armagedon!” z jego obecnością w ogródku. Wojtek opowiadał potem, że naprawdę całkiem poważnie zwątpił w jej zdrowie psychiczne, a Rafał prawie umarł ze śmiechu.

Skoro mowa o Rafale — opowiedziałabym Ci, jak to dzięki mojej niewinnej intrydze odważył się okazać uczucia niejkiej Basi, a Basia — jemu. Tych dwoje krążyło wokół siebie od jakiegoś czasu, lecz żadne z nich nie miało odwagi zrobić pierwszego kroku. Czasem myślę, że odrobinę podobnie było z nami. Tylko nie jestem pewna, czy Ty choć przez chwilę miałeś ochotę na ten pierwszy krok.

Jakie to głupie, że ludzie tak się boją śmieszności. Przecież gdybym wtedy, po przyjeździe z Dębłina, poszła do Ciebie i wyznała Ci: „Panie Grzegorzu, ja się w Panu beznadziejnie zakochałam i co teraz?”, to niby co by się stało? Nic by mi nie ubyło, prawda? Nawet gdybyś mnie nie chciał, nawet gdybyś powiedział, że kogoś masz.

Teraz coś weselszego: lada dzień ślub Taty i Zojki. Udało się nam zaprzyjaźnić, mnie i mojej przyszłej macosze. Chodzę na spotkania wiem, tak jak mi radziłeś, i nawet jeśli niektóre rzeczy kompletnie mnie nie przekonują, to otwieram się na to, co nieznanne. Nie wszystko okazuje się głupie, gdy się temu przyjrzeć — nawet jeśli wydawało się takie na pierwszy rzut oka.

Szkoda, że nie pójdziesz na ten ślub ze mną.

Szkoda, że nie wyślę tego listu.

Agata

Zoja wyglądała zjawiskowo. Miała na sobie długą, luźną, białą sukienkę z czegoś tak zwiewnego, że wydawało się płynąć za nią w powietrzu. Dopiero kiedy się przyjrzałam, zauważyłam, że kiecka składała się z kilku warstw, pod spodem sztywnych, na wierzchu zaś lekkich jak mgiełka. Dekolt i rozkloszowane rękawy zdobił delikatny haft. Całość sprawiała wrażenie rękodziela — znając już trochę kobiety, z którymi przyjaźniła się panna młoda, wiedziałam, że wrażenie to może okazać się trafne.

Tata był zdenerwowany jak pryszczaty maturzysta; ręce mu się trzęsły i uroczo się rumienił, a w odpowiednim momencie miał zupełnie mokre oczy. Wyglądał wspaniale w białej koszuli i ciemnych spodniach. Na prośbę Zoi zrezygnował z garnituru; uznała, że do jej nieco ludowej kreacji nie pasowałby tak oficjalny strój.

Urzędniczka w urzędzie stanu cywilnegoomal nie przewróciła się na widok Zojczyńskich dredów i tatuażu wyzierającego spod sukienki. Wśród zaproszonych gości było jednak tylu oryginałów, że panna młoda wcale nie wyglądała przy nich dziwnie — wręcz przeciwnie, w porównaniu z nimi wydawała się zupełnie zwyczajna i bardzo stonowana.

Po ślubie nastąpiła część mniej oficjalna, czyli poczęstunek, tańce i śpiewy. Zwłaszcza te ostatnie, bo na tańce jakoś nikt nie miał ochoty. Inaczej niż zwykle bywa na tego typu imprezach, nie zaproszono żadnej orkiestry czy choćby didżeja, za to kilku gości przyniosło własne instrumenty. Były więc trzy gitary, niestety, kompletnie ze sobą niezestrojone, akordeon, bongosy i flet poprzeczny. Początkowo to wszystko nie brzmiało zbyt dobrze, ale w miarę jak w butelkach ubywało alkoholu, muzykom przybywało animuszu, a nam, czyli publiczności, coraz bardziej podobały się grane utwory. Zresztą coraz lepiej też śpiewaliśmy — a w każdym razie głęboko w to wierzyliśmy, co przecież na jedno wychodzi.

Solennie sobie przyrzekłam, że będę się dobrze bawić — i do pewnego momentu udawało mi się dotrzymywać słowa. Śpiewałam na całe gardło te piosenki, których tekst kojarzyłam, a kiedy repertuar stał się dla mnie zbyt egzotyczny, skorzystałam z zaproszenia do orkiestry grzebieniowej — jeden z gości, aktor teatralny noszący interesującą ksywkę *Orgazm*, przyniósł siedem grzebieni i tyle samo kawałków papieru, po czym uczył każdego chętnego gry na tym niezwykle prostym instrumencie. Ja byłam chętna, a jakże, i wkrótce opanowałam tajniki tej sztuki na tyle, że mogłam dołączyć do zespołu.

Iga ze swoim brzuszkiem jak piłka (była połowa marca — zaczynał się siódmy miesiąc) krążyła wśród gości, odpowiadając po raz tysięczny na pytania w stylu „Jak się czujesz?“, „Już wiadomo, czy będzie chłopczyk, czy dziewczynka?“ oraz „Macie wybrane imię?“. Po raz pierwszy jej nie zazdrościłam. To znaczy nie zazdrościłam bycia w ciąży — bo innych rzeczy i owszem. Zwłaszcza pełnych czułości spojrzeń, jakie rzuciła w stronę swojego Wojtka, który odkrył, że wśród gości znajduje się pokaźne kółko miłośników piosenki żeglarskiej. Stanęli w kącie (bo tam była lepsza akustyka) i śpiewali na głosy jakieś sprośne kawałki w rodzaju *Sally Brown, jasna Mulatka*.

Baśka i Rafał nie pili — ona dlatego, że wzięła ze sobą Kornelkę, a on — bo podjął się pełnić obowiązki szofera. Co jakiś czas, kiedy wydawało im się, że nikt nie patrzy, dotykali się ukradkiem albo kradli sobie całusa. Obserwując te nieśmiałe gesty, czułam się jak stara, doświadczona kobieta, matka chrzestna ich miłości.

W pewnej chwili w tłumie gości mignęła mi twarz, której widok zasiał we mnie niejasny niepokój. Najpierw pomyślałam, że może chodzi o Igora, który pod wpływem alkoholu zaczął się do mnie zalecać w mało subtelny sposób. Ale nie, Igor siedział właśnie przy stole i ze swadą opowiadał jakiemuś łysemu z warkoczykiem o podróży do Armenii. Usiłowałam odszukać tamtą niepokojącą twarz tak, jak przewija się film — cofałam się wzrokiem od jednej głowy do drugiej. W końcu znalazłam. Aż się zapowietrzyłam na widok osoby, której nie spodziewałam się już nigdy spotkać. W niewielkiej grupce palącej papierosy przed wynajmowanym przez nas lokalem, widoczna tylko od pasa w górę, bo resztę zasłaniało okno, stała sobie, jak gdyby nigdy nic, Wróżka Grubiak. Ścisłej biorąc — chwiała się leciutko. I to z pewnością nie pod wpływem podmuchów wiatru.

Nie spuszczaając jej z oka, jakbym się bała, że zniknie, gdy tylko odwrócę wzrok, precyzyjnie

się do Rafała, który wlaś-nie pałaszował opiekane krążki cukinii.

— Spójrz — szepnęłam mu na ucho. — Tam, przez okno. Ta z wysoko upiętym kokiem. Papieros i szklanka z drinkiem. Kto to jest?

Popatrzył i przez chwilę na jego obliczu widać było wysiłek umysłowy. Potem czoło mu się wygładziło.

— To ta jasnowidzka — powiedział z ulgą. — Ta od przepowiedni.

— O kim mówicie? — zainteresowała się Basia, która wlaś-nie wróciła z Kornelką z toalety.

— O wróżce — wyjaśniłam. — Byliśmy u niej kiedyś, wszyscy troje.

— Ale gdzie ty niby widzisz wróżkę? — spytała Baśka z niedowierzaniem, a kiedy pokazałam jej palcem sylwetkę Wróżki Grubiak, roześmiała się serdecznie.

— Pani Wiesia? To ona dorabia jako wróżka? Nigdy bym nie pomyślała. Chociaż w sumie psycholog i wróżka to pokrewne profesje.

— Jaki znowu psycholog? — zapytałam nieprzytomnie, przez moment owładnięta głupią, dziką nadzieją, że gdzieś wśród gości jest też Grzegorz Kapinos.

— Wiesia jest psychologiem. O ile wiem, pracuje na uczelni, albo może pracowała. No wlaś-nie, być może po prostu przeszła na emeryturę i chce trochę dorobić — dywagowała Baśka. — W każdym razie to jest pani profesor. Zoja kiedyś się z nią przyjaźniła, ale potem im się znajomość rozlazła, bo Wiesia trochę za często zaglądała do kieliszka.

Tak, to było widać. Obserwowałam panią Wiesię przez jakiś czas, aż w końcu — jak to często bywa — przyciągnęłam jej spojrzenie. Na mój widok zmarszczyła brwi. Pewnie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się spotkałyśmy. Wreszcie nie wytrzymałam i ruszyłam w jej kierunku. Zdążyła wypalić papierosa i akurat wchodziła do lokalu. Nie byłam pewna, po co chcę z nią porozmawiać — ale z całą pewnością chciałam.

— Dzień dobry — zagaiłam. — Pani mnie pewnie nie poznaje.

— No wlaś-nie się zastanawiałam — odpowiedziała nieco tylko niewyraźnie. — Byłaś moją studentką, dziecino?

— Nie, raczej klientką.

Kątem oka dostrzegłam, że Zoja zmierza w naszym kierunku. Po chwili dołączyła do konwersacji.

— Znać się? — zapytała z uśmiechem.

— Tak — odparłam. — Choć bardzo powierzchownie. Pani Wiesia, przebrana za wróżkę, przepowiedziała mi to i owo.

Zoja zaczęła się śmiać.

— Pewnie datę śmierci — powiedziała. — Co, Wieśka? Nadal stosujesz te swoje sztuczki?

— O czym ty mówisz? Jakie sztuczki? To nie są żadne sztuczki — odpowiedziała z urazą Wróżka Grubiak. — To jest absolutnie uzasadnione psychologicznie. Widzisz, kochanie — ponownie zwróciła się do mnie — do wróżek nie trafiają ludzie szczęśliwi. Jeśli ktoś idzie do wróżki, to ma jakiś problem. Tak czy nie?

— Chyba tak — potwierdziłam niepewnie. — Albo jest zwyczajnie ciekawy — dodałam natychmiast, myśląc o Idze, bo przecież moja przyjaciółka nie poszła do wróżki z konkretnym problemem.

— Wybacz, że się wtrączę, ale nie zgadzam się z tym — rzekła Zoja. — Człowiek, jak to ujęłaś, „zwyczajnie ciekawy”, po prostu żyje. Budzi się rano i czeka z radością, co przyniesie mu kolejny dzień. Natomiast jeśli ktoś idzie do jasnowidza, to ma jakiś problem. Może robi to podświadomie, ale z pewnością szuka rozwiązania jakiegoś zagadnienia, z którym sobie nie radzi.

— Otóż to — potwierdziła Wróżka Grubiak i dopiła resztę drinka. — Przepraszam cię, dziecinko, chodźmy do baru, napiłabym się jeszcze tego ginu z tonikiem.

Poszłam za nią. Zoja po drodze odłączyła się od nas, bo tata przywołał ją gestem i błagalnym wzrokiem (rozmawiał wlaś-nie z jakimś interesującym typkiem, który miał króciutkie dredy sterczące we wszystkie strony).

— Widzisz, kochanie, zasada jest taka — kontynuowała pani Wiesia, gdy tylko nalano jej drinka, a kostki lodu zagrzechotały przyjaźnie o dno szklanki. — Mówię klientom, że muszą zmienić swoje życie. Nikt by tego nie zrobił, gdybym nie postraszyła, że stanie się coś złego, jeżeli mnie nie posłuchają.

— Więc podaje pani datę śmierci? A nie miewa pani nigdy reklamacji? — chciałam wiedzieć. — No, dajmy na to, że komuś przepowiedziała pani zgon w dwa tysiące szesnastym, mija ten wyznaczony czas, a on wciąż żyje.

— Reklamację się składa, gdy jest się niezadowolonym — pouczyła mnie z wyższością w głosie pani Wiesia. — A ludzie się przecież cieszą, że nie umarli, tak czy nie?

Chcąc nie chcąc, musiałam przyznać jej rację.

— Ponadto każdy z nich w jakiś sposób zmienia swoje życie. Trochę ze strachu, trochę przypadkiem, coś tam zawsze robią inaczej niż przed wizytą u mnie. Więc nawet gdybym miała taką reklamację, mogłabym klientowi powiedzieć, że ostatecznie poszedł inną ścieżką i dlatego nie trafił na mroczną polanę.

— A więc ten kit z polaną i z wydeptanymi ścieżkami wciska pani każdemu?

— Prawie każdemu. Nie zapominaj, że jestem psychologiem. Dobieram kit do pacjenta.

— Chyba klienta. Do wróżki nie chodzą pacjenci.

— Na jedno wychodzi.

— A szalik?

— Co: szalik? — nie zrozumiała.

— Każdej klientce pani mówi, że jej przyszły mąż nie nosi szalika?

— Czasem zmieniam na czapkę albo rękawiczki. Tak losowo, rozumiesz.

— Rozumiem — potwierdziłam ponuro. — Rozumiem jak jasna cholera. Kiedy sobie przypomnę, ilu przystojnych facetów spotkałam i nie dałam sobie szansy na znajomość, bo, do stu piorunów, nosili szaliki!

— Ach, bo teraz panowie są tacy zniewieściali — powiedziała z urazą Wróżka Grubiak. — Za moich czasów chodzili bez szalików i w dodatku porozpinani.

Nie miałam ochoty dłużej z nią rozmawiać. Wstrętna oszustka.

— Nie gryzie pani sumienie? — zapytałam jeszcze. — Naciąga pani ludzi na stówę i wciska im takie banialuki...

— Nie grzesz, dziecino, nie grzesz. Naciąganie to jest zupełnie co innego. Do mnie przychodzą z własnej woli, nikogo nie namawiam. Chcą porozmawiać, mają rozmowę. Szukają czegoś, a ja im pomagam to znaleźć.

— Niestety, nie zawsze skutecznie — rzuciłam z goryczą i odwróciłam się na pięcie.

— Jak się tak porządnie zastanowisz, to zrozumiesz, że ci pomogłam — usłyszałam jeszcze. — Nie mów, że nie naprawiłaś kilku spraw po wizycie u mnie. Nie uwierzę. Zaczekaj, porozmawiajmy...

Zignorowałam ją, poszłam sobie. Jej skrzypiący głos rozmył się w dziesiątkach innych; nawet jeśli coś jeszcze mówiła, to słowa te przepadły w gwarze. A jednak wciąż słyszałam jak echo: „Zrozumiesz, że ci pomogłam”.

Zdanie to wróciło do mnie także nad ranem, gdy bardzo zmęczona i nieco tylko podchmielona kładłam się spać. Moje piękne nowe mieszkanie pachniało jak ogród botaniczny — Zoja powiedziała, że nie ma tylu wazonów, by pomieścić wszystkie wiązanki i bukiety, więc obdarowała mnie i Basię kwiatami.

Cały świat albo jeszcze spał, albo — jak ja — dopiero kładł się do łóżka po sobotniej imprezie. Przyłożyłam głowę do poduszki i zamknęłam oczy, ale natychmiast znów rozchyliłam powieki, ponieważ zamiast słodkich snów pojawiła się pod nimi wizja zmarszczek Wróżki Grubiak. „Nie mów, że nie naprawiłaś...” Czy rzeczywiście tak było? Naprawiłam coś?

„Oczywiście”, odpowiedział natychmiast jakiś poważny, bardzo mądry głos w mojej głowie. Wyprostowałam kilka naprawdę ważnych spraw. Pogodziłam się z mamą i przynajmniej w niewielkim stopniu udało się nam nawiązać kontakt. Na tyle, by dzwonić do siebie od czasu do czasu i rozmawiać o sprawach ważnych i bzdurach. O tym, jak poznała Karola i że na spacerze nad Wieprz rozkleiły jej się

buty.

Co jeszcze? Przestałam się zakochiwać. No, to akurat nie była zasługa Wróżki Grubiak, lecz Grzeška, ale przecież zapewne wcale bym do niego nie trafiła, gdyby nie jej ponura przepowiednia. Nawet jeśli nie do końca wierzyłam w całe to gadanie o dacie mojej śmierci, aby się przed nią ustrzec, postanowiłam skorzystać z pomocy specjalisty. I to była bezsprzecznie zasługa pani Wiesi.

Czy zgodnie z jej sugestiami wydeptałam sobie własną ścieżkę? Czy odważyłam się pójść szlakiem wysokogórskim, gdzie jest wprawdzie trudniej, ale za to widoki są precudne i na końcu czeka nas nagroda — prawdziwy szczyt, a nie tylko marny pagórek?

Nie byłam pewna. Kiedy się nad tym zastanawiałam, odnosiłam wrażenie, że nie tylko na nic się nie odważyłam, ale przeciwnie — wręcz katastrofalnie stchórzyłam.

Potrzebowałam narady wojennej.

Wojtek wygrywał. Iga siedziała naburmuszona, ponieważ w tej rozgrywce *Carcassonne* wyraźnie miała pecha.

— Nie gram z wami więcej — powiedziała. — Niech zamiast mnie gra Baśka.

— Co to, to nie — zaprotestowała moja przyszywana siostra. — Ja się na razie przyglądam, bo jeszcze nie załapałam wszystkich zasad.

Rafał rzucił jej spojrzenie tak pełne czułości, że kogoś wrażliwszego mogłoby zemdleć.

— My gramy razem — oznajmił, jakby od tego, że Basia zagra sama, mogło jej ubyć. — A ty nie przesadzaj, Iga. Ostatnio wygrałaś trzy razy z rzędu.

— Dobra, zmieńmy temat — przerwałam tę bezsensowną dyskusję. — Wiadomo, że Iga ma humorki. Jakbyś ty miał na brzuchu rosnącego arbuza i musiał z nim nieustannie przez kilka miesięcy siedzieć, leżeć, chodzić, sikać i na przykład wiązać buty, to też byłbyś lekko rozdrażniony.

Rafał pokiwał głową z takim wyrazem twarzy, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że ciężowego brzucha nie odpina się na noc.

— Mieliście mi doradzić — ciągnęłam. — Bo nie jestem pewna, czy dobrze kombinuję.

— Ale co kombinujesz? — Iga nie zrozumiała. — Że z tym szalikiem to była ściema? Chyba wiedzieliśmy to od początku, prawda? Nie mów mi, że brałaś to serio. Przecież się wygłupialiśmy.

— Trochę brałam — przyznałam. — Ale nie do końca. Zresztą zostawmy w spokoju szalik. Wróżka powiedziała mi, że powinnam zejść z utartych szlaków i wydeptać własne.

— Chyba się pogubiłem — rzucił Wojtek, mimochodem zamykając drogę z karczmą i zgarniając w ten sposób podwójną liczbę punktów. — Ustaliliście już, że ta wiedźma to oszustka, tak? Że nabiera ludzi i wciska im banialuki. To po co w ogóle doszukujesz się sensu w jej poradach?

— Bo widzisz, próbuję do tego podejść od innej strony. Ona jest, jakkolwiek by patrzeć, doświadczonym psychologiem. Powiedziała, że powinnam pozmienić sobie w życiu to i owo. I powiem ci, że właściwie to jestem zadowolona, że jej posłuchałam. Tylko teraz, jeśli się zastanowić nad tymi „wydeptanymi ścieżkami”, to... nie wytyczyłam własnych szlaków. Ty jesteś od łażenia po górach, ty mi powiedz, jak to się robi.

— W Tatrach nie wolno wydeptywać własnych szlaków — odparł Wojtek. — Ale powiem ci, że gdyby było można... To w parę miejsc bym poszedł.

— Co wy w ogóle pitolicie o jakichś szlakach! — zdenerwował się Rafał. — Przecież ja ci już kiedyś mówiłem, Agata. Niby udajesz nowoczesną, niezależną i tak dalej. A tymczasem czaisz się na tego swojego Gluta na parkingu, wysyłasz przyjaciółkę, żeby sprawdziła, czy on w ogóle jeszcze istnieje... Gdzie tu sens? Chcesz go? Idź i powiedz mu o tym. Jeśli ci odpowie, że nie jest zainteresowany, to przeżyjesz to, co miliony facetów przeżywały od zarania dziejów. Odrzucenie. Odmowę. I tyle.

— Barszcz biały — rzuciła Iga.

— Co takiego? — zapytaliśmy chórem, bo nikt z nas nie zrozumiał.

— No wiecie, taka zupa, co się podawało kawalerowi, żeby mu dać do zrozumienia...

— A, czarna polewka, jasne. — Już pojęłam, o co jej chodzi. — Więc mówicie, że powinnam się przełamać i do niego napisać?

— Ale po co pisać? — Wojtek nie rozumiał. — Skoro można porozmawiać.

— Już zapomniałeś, jak to było z wami? — zapytałam sarkastycznie. — Gdyby nie list Igi, nigdy w życiu byście się nie zeszli. Tak czy nie?

— Taaak — potwierdził niechętnie. — Ale to była całkiem inna historia. Ja byłem przekonany, że ona mnie wodzi za nos. W łazience jeden facet, w szafie drugi, w schowku na mopy trzeci...

Basia wytrzeszczyła oczy. Iga machnęła w jej stronę ręką.

— Kiedyś ci opowiem — obiecała. — A tymczasem radźmy, co ma zrobić Agata.

— Niech idzie do niego na sesję.

— Ale ja nie chcę — powiedziałam. — Tam na parkingu znów będzie ta z wytrzeszczem. Grzesiek nie będzie chciał ze mną rozmawiać, wiedząc, że ona na niego czeka.

— W sumie racja — przyznała Iga. — Poza tym sama mówiłaś, że on zdecydował, że nie może prowadzić dłużej twojej terapii. Z jakiegoś powodu ta rola mu nie odpowiada. Tym bardziej więc powinnaś z nim porozmawiać na neutralnym gruncie. Może napisz, zaproś go na kawę i wymieć wszystko prosto w oczodoły.

Wojtek wzdrygnął się i nerwowo przetarł powieki. Widać jeszcze nie przywykł do frazeologizmów żony. Wszyscy patrzyli teraz na mnie z wyczekiwaniem.

— A jeśli on nie odczyta mejla? Albo jeżeli wytrzeszczona bzdziągwa ma dostęp do jego skrzynki?

— No to ja już nie wiem! — Iga nie wytrzymała mojego marudzenia. — W takim razie możesz po prostu pójść do niego do domu. Zakładam, że nie jest żonaty, może jeszcze nie mieszka z tą z oczami. Znasz adres?

— A gdzie tam! — Zdenerwowałam się. — Nie mam pojęcia... — Urwałam, bo coś mi się przypomniało. — Kiedyś tylko opowiadał mi o domku. Mały, żółty domek w Solcu Kujawskim. Jakaś taka botaniczna ulica...

— Myśl, myśl!

— Nie, właśnie nie myśl — wtrąciła się Basia. — Umysł ludzki jest jak pijana mała, która skacze z drzewa na drzewo. Dopóki usiłujesz schwytać tę nazwę, ona ci będzie uciekać. Udawaj, że wcale za nią nie gonisz, a sama do ciebie podejdzie.

Nie bardzo w to wierzyłam, ale w końcu Baśka była wiedźmą, a poza tym i tak nie mogłam się skupić. Podjęliśmy więc grę; Iga zbudowała miasto z katedrą, odrobiła straty i wygrała. Ja zajęłam ostatnie miejsce.

Kiedy sprzątnęliśmy karty i posegregowaliśmy pionki, Wojtek i Iga zaczęli omawiać z Basią i Rafałem szczegóły otwarcia centrum ogrodniczego. Szklarnia była już gotowa, a pomieszczenie na biuro — wyremontowane.

— Mamy jeszcze niespodziankę — rzucił Rafał. — Nikomu dotąd nie mówiliśmy. Pobieramy się z Baśką i postanowiliś-my... To znaczy, mam nadzieję, że rodzice się zgodzą... Przeniesiemy się całą rodziną do Basi na wieś.

— Gratulacje! — zawołał Wojtek z entuzjazmem.

— Ale to było przecież tak sprytnie pomyślane! — odezwała się płaczliwie Iga. W jej stanie łzy płynęły z byle powodu. — My miałyśmy wynajmować pomieszczenia na biuro i szklarnię, i ziemię, a Basia dzięki temu miała spłacić długi ojca i w ogóle. — Rzuciła mi rozpaczliwie spojrzenie. — Agata, pomóż!

— Ale przecież nie będzie trzeba — powiedział szybko Rafał. — To znaczy wynajmować okej, możecie, ale nie za takie pieniądze, jakie proponowałaś. Bo to był rozbój w biały dzień. Mam na myśli to, że chcieliście płacić za dużo.

— Czyli lepiej, jeśli sobie kupimy jakieś bzdury za te miliony? Żółty kibełek, który wygrywa radosne melodyjki, ilekroć postawi się klocka?

— Kochanie, uspokój się — odezwał się Wojtek. — Rafał ma rację. Oni chcą mieć poczucie, że wszystko jest uczciwie.

— Ale ty wiesz, jakie ona ma długi po tatusiu?!

— Długi spłacimy, przecież sprzedamy mieszkanie Mościckich na Topolowej — wyjaśniła Basia. — Oczywiście, o ile rodzice się zgodzą. Ale sami mówili, że chcieliby zamieszkać za miastem...

— Topolowa!!! — wrzasnęłam nagle. — Tak, oczywiście! To była Topolowa!

Wszyscy popatrzyli na mnie w milczeniu i z niezbyt mądrym wyrazem twarzy. Wreszcie Iga oprzytomniała.

— Czyli Kapinos mieszka nieopodal Mościckich? Na Osiedlu Leśnym?

— Nie, Topolowa w Solcu Kujawskim! Żółty domek, trzeba daleko iść, wzdłuż torów, tak mówił!

— No widzisz? — podsumowała Baśka. — Twoja pijana mała podeszła bliżej i pozwoliła się

schwytać. To teraz przemyśl, co chcesz powiedzieć Grzegorzowi, zrób się na bóstwo i jazda.

„Przemyśl, co chcesz powiedzieć”? Nic prostszego. Że się w nim zakochałam. Że to już tak długo, a mnie nie przechodzi, nie mijają nic a nic. Że kochałam nasze długie rozmowy, nie tylko te o mnie i moich problemach, może nawet te najmniej... Natomiast uwielbiałam, kiedy opowiadał o swoich siostrach i rozbrykanych siostrzeńcach, kiedy wspominał szkołę i ukochanego kundelka, który był najlepszym towarzyszem dzieciństwa. I że chciałabym, aby dał mi szansę. Bo nie jestem pustą, głupiutką trzpiotką, za jaką mógł mnie uważać. Zmieniłam się. Nie wybucham już płaczem z byle powodu i nie wpadam w skrajne nastroje. Wiem, że uroda życia nie tkwi w tym, by być adorowaną, by przeżywać małe uniesienia, szukać podniet i motyli w brzuchu. Umieję czekać na coś większego, wartościowego. Umieję wybaczać, dostrzegam własne błędy. To ty pomogłeś mi się zmienić, Grzegorz.

Co dalej? „Zrób się na bóstwo”. To także bułka z masłem. W dzisiejszych czasach, kiedy kupić można wszystko, od opiętego stroju Catwoman po sukienkę ze srebrnej folii i buty ze szkła; kiedy można zapłacić makijażystce, by namalowała nam dowolną twarz — naprawdę nie ma problemu. Choć z drugiej strony wydawało mi się to głupie. Bo właściwie kogo chciałam oszukać, że wyglądam lepiej, niż wyglądam?

Postanowiłam wcale nie robić się na bóstwo, tylko ubrać się i umalować zupełnie zwyczajnie. Chciałam stanąć przed nim i powiedzieć: oto ja. Znasz mnie już. Wciąż mam wady, ale nad nimi pracuję. Jestem, jaka jestem. Czy myślisz, że zdołałbyś mnie pokochać?

Wszystko pięknie. Tylko był problem z tym Basynym „i jazda”. Bo pojechać do Solca, pójść do żółtego domku i wystawić się na pośmiewisko, jeśli się okaże, że Grzegorz mnie nawet nie lubi albo że już nie pamięta o moim istnieniu — nie było wcale łatwo.

Najpierw oczywiście przestudiowałam mapę Google i nauczyłam się na pamięć drogi wzdłuż torów, którą pamiętałam z opowieści Grzegorza. Korzystając z funkcji Street View, przeszedłam kilka razy ze stacji na ulicę Topolową i z powrotem, a potem na wszelki wypadek odbyłam jeszcze wirtualny spacer po centrum miasteczka.

Wreszcie, w ostatnią sobotę marca, na tydzień przed Wielkanocą, odważyłam się i pojechałam. Pociągami. Nie byłam pewna, z czego wynika dobór środka lokomocji — bo przecież nie zamierzałam się upić z rozpaczy ani nie spodziewałam się, że ktoś mnie podejmie winem. Po prostu przeczuwałam, że będzie mi łatwiej, jeśli podejść pod żółty domek na piechotę, a w razie gdybym zobaczyła tam coś, co będzie bardzo nie po mojej myśli — po prostu odwrócę się i zwięję gdzie pieprz rośnie. Podjechanie samochodem byłoby czymś znacznie bardziej definitywnym, jeśli można tak to ująć.

Był pierwszy ładny dzień tej wiosny. Serce jakoś tak rozśpiewało mi się w piersi i chciało ulecieć w przestworza, zupełnie jakby siedział w nim mały ptaszek, tęskniący za wolnością. W takich okolicznościach przyrody łatwo było uwierzyć, że cała ta zwariowana eskapada może się dobrze skończyć. Maszerowałam dziarsko wzdłuż torów, zachwycając się świergoleniem ptaków, które najwyraźniej podobnie jak ja były w znakomitych humorach. Wreszcie doszłam do przejazdu kolejowego. Z moich wirtualnych wędrówek pamiętałam, że pora skrócić w lewo. Widziałam już żółty domek. Ulica Sosnowa, Klonowa, Lipowa i tak dalej. Serce niemal przestało mi bić z wrażenia. A co, jeśli Grzegorz jest żonaty? Jeśli ma dzieci? Wytworzyłam sobie w głowie obraz samotnego faceta, który pomieszkuje u siostry, aby uciec przed samotnością, ale przecież pewności nie miałam.

Na drżących nogach podeszłam do furki i równie drżącym palcem nacisnęłam dzwonek. Wpatrywałam się w drzwi w takim napięciu, jakbym siłą woli próbowała za jednym zamachem przywołać Grzeška, rozkochać go w sobie i sprawić, żeby ewentualne przeszkody w postaci żony albo narzeczonej zniknęły.

Nikt nie otwierał. Stałam chwilę, z sekundy na sekundę coraz bliższa płaczowi, ale nagle przyszło mi do głowy, że ktoś, kto ma dom z ogrodem, w taką pogodę prawdopodobnie grzebie w ziemi. Wsłuchałam się uważnie — poza świergotem ptaków i bzyczeniem nieco jeszcze trąconych pszczoł, udało mi się wyłapać coś w rodzaju mlaszczącego odgłosu szpadla przekopującego ziemię. Obeszłam

więc posesję i próbując zobaczyć coś spoza gęstej zasłony z tuj, zawołałam:

— Halo! Dzień dobry! Szukam pana Grzegorza Kapinosa!

Odgłos ucichł, a po chwili tuje rozchyliły się i ujrzałam — o niebiosy! — wielkie, wytrzeszczone oczy Jagody Bąk.

Ledwie zdołałam powstrzymać się od wrzasku. Oto spełniał się mój najgorszy koszmar. Stałam przed domem należącym do siostry Grzegorza. Z jego opowieści wynikało, że on sam pomieszkiwał tu od czasu do czasu. Jeśli pomieszkiwała z nim także Jagoda Bąk, to zaiste moja obecność tutaj nie miała najmniejszego sensu.

A jednak, skoro się powiedziało A, to trzeba powiedzieć również B. Udawać, że to pomyłka, nie mogłam — bo przecież wyraźnie powiedziałam, że szukam Grzegorza. Pozostało mi tylko jedno: grać rolę pacjentki, która szuka kontaktu ze swoim terapeutą.

— Szukam pana Grzegorza Kapinosa — powtórzyłam znacznie ciszej. — Byłam jego pacjentką i...

— Doskonale wiem, kim pani była — przerwała mi pani Bąk. — Nie wiem jednak, kim pani jest teraz.

— Słucham?

Najpierw przez kilka sekund po prostu przyglądała mi się w milczeniu. Potem wskazała mi gestem, abym podeszła do furki. Kiedy to zrobiłam, wpuściła mnie do środka, zdjęła gumową rękawiczkę i podała mi na powitanie okropnie spoconą dłoń. Próbowałam dyskretnie wytrzeć rękę o nogawkę spodni.

— Proszę, niech pani wejdzie — powiedziała Jagoda Bąk. — Bo widzę, że to nie wystarczy...

— Co nie wystarczy? — Nie rozumiałam. — Ja tylko chciałabym porozmawiać z panem...

— Grzesia nie ma — przerwała mi obcesowo. — Zapraszam, może usiadzimy na dworze; jest tak ładnie, że żal wchodzić do domu.

Nie miałam pojęcia, po co miałabym z nią siadać gdziekolwiek — wszystko jedno, czy wewnątrz, czy na zewnątrz. Było jednak coś takiego w jej głosie, jakaś siła i determinacja, że posłusznie poszłam za nią i usiadłam na drewnianym krześle stojącym przy stoliku, który kiedyś zapewne był brązowy, ale teraz, pod wpływem słońca i deszczu, przybrał rozmaite odcienie szarości. Słońce przyjemnie grzało mi lewy policzek. Przez kilka sekund nie pamiętałam, po co tu przyjechałam; po prostu było mi dobrze.

— Pani Agato — odezwała się Jagoda Bąk, wprawiając mnie w osłupienie. Nie spodziewałam się, że będzie pamiętała moje imię. — Proszę nie mieć mi za złe... Nie powinnam tego mówić, a jednak powiem: niech się pani odpiardoli od mojego brata.

Wspomniałam wcześniej coś o osłupieniu? Nie, to była tylko wprawka. Dopiero teraz osłupiałam. I to doszczętnie.

— Aaa... Ale o co chodzi? — wyjąkałam.

— O panią — odparła chłodno i najzupełniej spokojnie pani Bąk. — Chodzi wyłącznie o panią i o to, co pani zrobiła z moim bratem.

Najpierw patrzyłam na nią dość długo. W milczeniu i skupieniu. Potem, ni stąd, ni zowąd, wybuchnęłam płaczem. Bo przecież, do jasnej cholery, to nie ja zrobiłam coś z jej bratem! To on zrobił coś ze mną!

Inna sprawa, że jeszcze nie docierało do mnie, że oni są rodzeństwem.

— Pani mnie chyba z kimś myli — powiedziałam, kiedy znów jako tako panowałam nad głosem. — To nie może chodzić o mnie.

Jagoda nic nie powiedziała, tylko leciutko przekrzywiła głowę i przyglądała mi się z umiarkowanym zainteresowaniem.

— Ja się, proszę pani, zakochałam — wyjaśniłam. — Na zabój.

— Tak, słyszałam o pani... hm, przygodach natury uczuciowej — odparła. — Ale już pani tłumaczyłam, wtedy, w gabinecie, że Grzesiek nie może się dłużej zajmować tymi sprawami. Ja natomiast służę pomocą. Jestem psychologiem dłużej niż on, można powiedzieć, że ode mnie uczył się zawodu, więc...

— Ale ja się w nim zakochałam. W Grzegorzcu.

Jeśli to w ogóle możliwe, jej wielkie oczy stały się jeszcze większe. Zajmowały teraz pół twarzy.

— Widzi pani... O rany, trudno mi uwierzyć, że nie jest pani moją rywalką — sapnęłam. — Pani Jagodo, czy mogę być z panią szczerą? Nie wykorzysta pani tego, co powiem, przeciwko mnie?

— Za dużo seriali kryminalnych się pani naoglądała — roześmiała się chłodno moja rozmówczyni. — Nie jest pani aresztowana i nikt nie wykorzysta niczego przeciwko pani, jakkolwiek można to rozumieć. Ale powiem wprost: pani opowiada jakieś banialuki. To nie pani się zakochała, to mój brat się zakochał, i to tragicznie.

— W kim?! — zawołałam z rozpaczą. — Wiedziałam! Wiedziałam, że nie mogę mieć szczęścia w miłości! Jak już raz pokocham kogoś prawdziwie, to okazuje się, że mój wybranek jest zajęty!

— Niech się pani nie zachowuje jak, za przeproszeniem, Ania z Zielonego Wzgórza — pouczyła mnie spokojnie Jagoda. — Może niech pani opowie pierwsza. Bo ja, mówiąc szczerze, już niewiele rozumiem.

Zajrzałam jej w te wypukłe, ogromne oczy, które teraz wydały mi się podobne do oczu Grzeška (tylko on, rzecz jasna, nie miał wytrzeszczu — chociaż jak się tak porządnie przyjrzeć, to Jagoda też miała niewielki i naprawdę była całkiem ładna). Zobaczyłam w nich autentyczną ciekawość i coś na kształt życzliwości. Westchnęłam i zaczęłam mówić. Opowiedziałam o początkach; o problemie, z którym trafiłam do Kapinosa, choć dobrze wiedziałam, że akurat sprawa mojej kochliwości jest jej dobrze znana.

— Grzegorz zabronił mi wdawać się we flirty i powiem pani szczerze, że wydawało mi się to bardzo trudne. Chyba wmawiałam sobie, że Rafał, mój przyjaciel, podkochuje się we mnie... i wie pani, to tak trudno się oprzeć. Przyjemnie jest być adorowaną.

— Zapewne — wycedziła.

— Ale kiedy pojechałam do mamy do Dębłina, uświadomiłam sobie, że nie tęsknię za Rafałem, tylko za Grzegorzem. Siedząc w hotelowym pokoju, takim pustym i bezosobowym, myślałam o tym, co on w tej chwili robi. Nie mogłam się doczekać spotkania, chciałam mu opowiedzieć o rozmowie z matką, o tym wszystkim, czego się od niej dowiedziałam. Napisałam mu, że już jadę, ale nie odpisał.

— Te głupie listy! — warknęła Jagoda. — Od początku mu mówiłam, żeby w to nie brnął...

— Ale dlaczego? To taka metoda terapeutyczna...

— Bzdura! Nie ma takiej metody! To znaczy owszem, pisanie pamiętnika, zapiski wieczorne, listy do siebie, jak najbardziej, ale nie do terapeuty, na litość boską!

Milczałam, kompletnie zbita z tropu.

— No i co? — ponagliła mnie siostra Grzegorza. — Przyjechała pani do Bydgoszczy, a ponieważ Grześ nie odpisał, rzuciła się pani w ramiona Rafała, tak?

— W jakie znów ramiona? — zapytałam zdumiona. — O czym pani mówi?

— O waszym powitaniu na dworcu. O tym, jak pani łkała w jego objęciach. I jak mój brat omal się przez panią nie zabił!

Teraz to już nie mogłam wydobyć z siebie nawet jęku. Miałam wrażenie, że świat wokół mnie wiruje. Jagoda patrzyła na mnie triumfującym wzrokiem.

— Więc niech mi pani nie wciska kitu, że się pani kocha w moim bracie — ciągnęła. — Bo ja nie jestem taka znowu pierwsza naiwna.

— A... A... — Moje próby odzyskania głosu wypadały raczej żałośnie.

— Bee, bee — zakpiła sobie pani Bąk. — Nie ma co recytować alfabetu, droga pani. Płacz też nie robi na mnie wrażenia.

Ten chłód w jej głosie podziałał na mnie trochę jak zimny prysznic. Odzyskałam rezon.

— Na dworcu rzeczywiście wyplakałam się Rafałowi w mankiet — przyznałam, bo przypomniałam sobie tamtą scenę. — Wie pani, to były dla mnie trudne chwile. Dowiedziałam się od mamy, że nie jestem córką mojego taty. Tfu, to znaczy, że on nie jest moim tatą.

— Ooo — zdziwiła się uprzejmie.

— Tak. Bardzo chciałam porozmawiać o tym z Grzegorzem. Chciałam usłyszeć jego opinię: czy powinnam próbować odszukać biologicznego ojca. I chciałam się pochwalić, że udało mi się spokojnie

porozmawiać z matką. Dopiero kiedy okazało się, że w gabinecie siedzi pani, a nie on, uświadomiłam sobie, że wcale nie potrzebowałam terapeuty. Potrzebowałam Grzegorza. Zależało mi na aprobacie jego, nie czyjejkolwiek. A on nie chciał już ze mną rozmawiać. — Znowu weszłam na wysokie tony i mocno spocily mi się oczy. — Pomyślałam, że odezwie się po powrocie z tego swojego urlopu... Potem zrozumiałam, że tego nie zrobi. Uniosłam się honorem, postanowiłam, że nie napiszę więcej, kiedyś przecież przejdzie mi ten smutek. Ale nie przechodził. Z tygodnia na tydzień nie robiło się lżej, wręcz przeciwnie, tęsknię za nim coraz bardziej, coraz jaśniej widzę, że właśnie on jest mężczyzną, którego szukałam przez tyle lat...

— Bardzo aktywnie pani szukała, trzeba przyznać — docięła z przekąsem Jagoda Bąk.

— Słucham? Do czego pani pije?

— A właśnie, może napije się pani czegoś? — Zignorowała moje pytanie. Zresztą jakkolwiek by patrzeć, było ono retoryczne. — Kawy? Chociaż na kawę to chyba za ciepło.

— Pani Jagodo! — zdenerwowałam się ociupinkę. — Niech mi pani powie... Pani ma do mnie o coś pretensje?

Zbierała się w sobie; zupełnie jakby żuła gumę i zastanawiała się, czy ją wypluć, czy połknąć.

— Pani nie ma pojęcia! — wyrzuciła z siebie po chwili. — Grzesiek jest najwrażliwszym człowiekiem, jakiego znam. Jego żona okazała się funta kłaków niewarta... — Miał żonę? Pomyślałam, że niechybnie zemdleję, ale później, bo teraz chłonełam każde słowo. — I kiedy już jako tako stanął na nogi po rozwodzie, poukładał sobie wszystko w głowie, pojawiła się pani!

Milczałam wystraszona. Pojawiłam się, owszem, ale przecież niechcący! A poza tym nie zrobiłam nic złego. Bo pojawienie się chyba nie jest karalne!

— Czy pani wie — kontynuowała Jagoda, wymierzając we mnie oskarżycielsko palec — że on od pierwszego dnia kompletnie zbaraniał? Przeglądałam później jego notatki, już po wypadku, bo naprawdę chciałam panią przejąć, znaczy jako pacjentkę, musiałam się więc czegoś o pani dowiedzieć... A tam same serduszka i pani inicjały, no po prostu kompletne wariactwo!

— Miał wypadek?! — Dopiero teraz dotarły do mnie jej słowa. — Więc dlatego był na zwolnieniu? Co mu się stało?!

Rozpłakałam się znowu. Siostra Grzeška patrzyła na mnie z niesmakiem.

— Nie bez — powiedziała, niespodziewanie przechodząc na „ty”. — Przecież to było dawno. Już prawie okej, tylko jedną rękę musieli drugi raz złamać, bo się źle zrosła.

Wzdrygnęłam się i rozszlochałam jeszcze rzewniej. Jagoda Bąk westchnęła, podniosła się z krzesła i poszła do drewnianej szopki w podwórzu. Kiedy otworzyła drzwi, stało się jasne, że to kuchnia letnia. Wyniosła stamtąd rolkę ręczników papierowych i wręczyła mi ją.

— Skoro już musisz beczeć, to chociaż nie siąkaj nosem. Mam taką fobię.

Posłusznie wydmuchałam nos, a wtedy ona usiadła i opowiedziała mi wszystko po kolei.

Dwie godziny później kolebałam się z boku na bok w pociągu relacji Toruń — Bydgoszcz. Byłam sama w przedziale, mogłam więc swobodnie porozmawiać z Igą.

— Ale skoro był zakochany, to dlaczego ci wtedy nie odpisał? — sapnęła w słuchawkę moja przyjaciółka.

— Bo sobie złamał obie ręce. Właściwie obojczyki, ale całe ręce miał w gipsie. To się nazywa mieć pecha, nie uważasz? — relacjonowałam. Byłam kompletnie rozedrgana, ale przynajmniej już nie beczałam. — Słuchaj, to było tak: kiedy mu napisałam, że wracam z Dębłina, pojechał na dworzec. Sprawdzał sobie przyjazdy z Warszawy, wsiadł w auto i pojechał. Zamierzał mi zrobić niespodziankę... Nie śmiem nawet przypuszczać, że chciał mi coś wyznać, ale może tak, na pewno właśnie tak. Więc jednak w sumie śmiem przypuszczać. Tym bardziej zabolalo go, kiedy zobaczył mnie w ramionach Rafała...

— A co ty robiłaś w ramionach Rafała?

— Ryczałam — wyjaśniłam krótko. — Wiesz, ja wtedy przyjechałam załamana, bo dowiedziałam się o ojcu. No więc Grzesiek zobaczył, jak łkam w objęciach Mościckiego, i pomyślał to,

co każdy by pomyślał. Że przez cały czas go oszukiwałam, że miałam z Rafałem romans.

— Ale to brzmi: romans — zakpiła Iga. — Przecież Rafał jest jeszcze dzieckiem.

— Oczywiście, że jest. Ale pamiętaj, że Grzegorz widział w nim rywala. Wsiadł w samochód i... wyobraź sobie... zaczął jeździć bez celu po mieście. Na jakimś gównianym skrzyżowaniu pod koła wpieprzył się mu kot...

— Nie używaj wulgaryzmów, jestem w ciąży! — upomniała mnie Iga. Przez moment byłam skołowana, ale postanowiłam nawet nie próbować zrozumieć, o co jej chodzi.

— W każdym razie wjechał w słup ogłoszeniowy. Wiesz, taki betonowy walec. To się nazywa walec? Rany Julek, nie pamiętam. Wiesz, słup taki. Pasy nie zadziałały, albo może zadziałały nie tak, jak powinny, i miał złamane oba obojczyki i lewą rękę.

— O ja cię, kurde, kręcę.

— No właśnie.

— To dlatego ci nie odpisał? Chociaż w sumie, wiesz, gdyby mu zależało, to mógłby stopami. Kupiłam kiedyś takie kartki świąteczne, wydaje je chyba Altacet...

— Iga, przestań pitolić! — przywołałam ją do porządku. — Po pierwsze, UNICEF, a nie Altacet, a po drugie, to jest moja osobista tragedia, a ty mi tu wyjeżdżasz z pisaniem mejli stopami.

— Ale mógłby — upierała się. — Przyznaj, że mógłby.

— Guzik prawda. Bo on nie chciał! — odparowałam. — Uznał mnie za kłamczuchę, to raz. A po drugie, poprosił siostrę, żeby zlikwidowała jego konto pocztowe. To było konto tylko dla mnie, rozumiesz? Założył je specjalnie do naszej korespondencji. Oni się w ogóle zawsze naradzają całą rodziną, to znaczy z siostrami, nad uczuciowymi problemami każdego z nich. Przecież on ma cztery starsze siostry, wyobrażasz sobie? I one wsiadły na niego i wytłumaczyły mu, że jestem okropną wywłoką i musi o mnie zapomnieć.

— To jest jakieś... zboczone... — wykrztusiła Iga.

— Nie jest. Tylko my jesteśmy jedynaczki i tego nie rozumiemy. Ale sama idea mi się podoba.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

— Mnie w sumie też — przyznała moja przyjaciółka. — Zresztą to trochę tak jak ty i ja. Też się naradzamy. A czasami jeszcze Rafał. A ostatnio także Basia...

— No właśnie... — umilkłam.

— Opowiadaj dalej — zachęciła mnie Iga.

— Kiedy nie ma już czego opowiadać. Siostry wbiły mu do głowy, że musi się ze mnie wyleczyć. Jagoda postanowiła przyjmować jego pacjentów, w tym mnie. Ona ma etat w jakiejś szkole, ale pracuje tam do południa, więc popołudniami zasuwała w gabinecie Grzegorza.

— Daj spokój sprawom zawodowym, przejdź wreszcie do miłości!

— No i odbyła się wielka narada, i Grzesiek, który nie mógł sam nawet otworzyć laptopa, zażądał, żeby siostry napisały do mnie wiadomość, no wiesz, że nie będzie już moim terapeutą i tak dalej. Ale Jagoda przypomniała mu, że przecież już usunęła ten przeznaczony tylko dla mnie adres mejlowy, i w ogóle opieprzyła brata, że wpadł na ten głupi pomysł z mejlami, bo to jest łamanie zasad etyki zawodowej i całej reszty...

— Rozumiem.

— Grzesiek zamieszkał z nią, bo był całkiem zdany na czyjąś pomoc, nawet spodni nie mógł sam ściągnąć. Wyobraź sobie, że te ręce mu włożyli w gips takie jakby wyprostowane do przodu.

— Jasny gwint!

— To samo powiedziałam. Musieli go karmić, pomagać mu w toalecie, ubierać go i tak dalej.

— Kto? Siostry?

— Nie, na szczęście mąż tej Jagody jest mocno zaprzyjaźniony z Grzeskiem i zajmował się nim jak brat.

— Aha. No to rzeczywiście szczęście w nieszczęściu, że się trafił taki dobry szwagier.

— Potem zdjęli mu gips, ale coś się źle zrosło w lewej ręce i trzeba było jeszcze raz ją złamać.

— Auć! Przestań, bo od razu mam skurcze! — wrzasnęła Iga.

— Przepraszam. W każdym razie gips ma nadal; uparł się, żeby wrócić do pracy, bo twierdził, że od bezczynności zaczyna mu odbijać, ale nie może jeszcze prowadzić, więc Jagoda go zawozi i potem po niego jeździ.

— Aha, wszystko jasne. To dlatego codziennie czekała na dole. A dzisiaj tam Grześka nie było?

— Nie, pojechali gdzieś z tym szwagrem, zabrali ze sobą dzieci. Na jakiś piknik czy coś. Zresztą on już u nich nie mieszka, wrócił do siebie. Tylko na weekendy czasem wpada.

Umilkłyśmy obie. Pociąg zaczął zwalniać przy wjeździe na stację końcową, więc wcisnęłam głośnik w telefonie, aby mieć wolne ręce, i zaczęłam się ubierać.

— I co teraz? — zapytała w końcu Iga. — Jak się skończyła twoja rozmowa z wytrzeszczoną? Co zrobisz?

— Żadnych konkretów — odparłam i podniosłam się z miejsca. — Ona mi nie ufa. Po pierwsze, zapewniała, że on już o mnie nie pamięta. Po drugie, wołałaby, żebym się nie pojawiała w gabinecie Grześka, bo nawet jeśli coś ma między nami być, to musimy stanowczo zrezygnować z mieszania relacji zawodowych z prywatnymi. Musiałam jej przyrzec.

— Jest w tym trochę racji.

— Owszem — potwierdziłam. — Dlatego dałam słowo. Ale inna sprawa, że kompletnie nie mam pomysłu, jak to wszystko ponaprawiać. Tak po prostu pojechać pod przychodnię i poczekać na parking? Nie, to odpada, bo Jagoda też będzie tam czatować i zepsuje mi całą przemowę. A zresztą... Czy on mnie jeszcze lubi? Może rzeczywiście zapomniał?

— A czy ty jeszcze lubisz jego? Czy to nie jest tak, że pokochałaś zabronione jabłko? A co jeżeli teraz, kiedy się spotkacie, czar pryśnie?

Cała Iga. Gada głupoty, przekręca powiedzonka i bagatelizuje ważne sprawy, ale jak czasem coś powie, to człowiekowi trafia aż do rdzenia kręgowego. Czy gdzieś tam. W każdym razie w samo sedno.

— Słuchaj, muszę kończyć, bo wysiadam — rzuciłam do słuchawki, bo pociąg wjechał już na stację. — Wpadnę któregoś dnia po pracy, to obgadamy sprawę. Ja się póki co nie spieszę. Czekałam tak długo, to mogę poczekać jeszcze parę dni. Muszę to wszystko gruntownie przemyśleć.

— I bardzo dobrze — pochwaliła mnie przyjaciółka. — Całkiem po mojemu.

Cóż, prawda była taka, że zwlekanie nie było ani trochę „po mojemu”. Zawsze byłam impulsywna i działałam pod wpływem chwili. Tym razem jednak postanowiłam okazać się dojrzała i zrównowazona.

A gdyby tak wysledzić, gdzie mieszka Grzegorz? Można by poczekać na parking i dyskretnie jechać za nim, a potem zupełnie przypadkiem znaleźć się tam któregoś dnia... Spacerować na przykład z Aressem i natknąć się na Grześka idącego akurat po gazetę albo bułki, i opowiedzieć, co u mnie; nie wspominać, że jestem zakochana i że Jagoda opowiedziała mi wszystko, tylko dać naszej znajomości jeszcze jedną szansę... Zacząć całkiem od nowa.

Ha, to jest myśl!

Myśl myślą, a realizacja realizacją. Dwa razy zacząłam się na parkingu i ruszyłam za autem, do którego wsiadł Grzegorz — raz jechał z Jagodą, a za drugim razem z inną kobietą, co do której miałam wątpliwości, czy jest jego siostrą, ponieważ przywitani się dość czule.

Samo zaczajenie się jednakowoż nic mi nie dało. Tyle że zobaczyłam go z daleka. Był już marzec, a on nadal nosił szalik, zupełnie jakby chciał zrobić na przekór mnie albo Wróżce Grubiak.

— Mam w nosie szalik — mruknęłam pod nosem. — I tak będziesz mój.

Problem w tym, że mi uciekli. To znaczy, zgubiłam ich. I za pierwszym, i za drugim razem, ciamajda jedna, nie zdołałam utrzymać się za nimi w ruchu ulicznym, a przecież zapadł już wieczór i aut było zdecydowanie mniej niż w godzinach szczytu.

Zwierzyłam się z tego Idze — choć mówiąc szczerze, było mi trochę wstyd, że uciekam się do takich metod.

— Wstyd? — zawołała. — Jaki znów wstyd?! Wstyd to jest, jak krowa do studni nasika.

— Wtedy jest szkoda, a nie wstyd — poprawiłam ją. — I nie do studni, a do mleka. A poza tym to są kwestie bardzo indywidualne. To, czego wstydzę się ja, dla ciebie może być czymś zupełnie naturalnym. I na odwrót.

— Ale ja nie o tym chciałam mówić! — Iga machnęła ręką. — Ja mam takie może niepoprawne politycznie poglądy, że nie ma żadnego wstydu. Co wolno facetom, to i nam wolno. Masz prawo walczyć o szczęście i szukać miłości, czy to się komu podoba, czy nie.

— Mówisz jak Rafał. A dlaczego „niepoprawne politycznie”? — zapytałam.

— Bo wiesz, potwór gender mi w oczy zagląda. Co to kobiecie wypada, a czego nie wypada. Role męskie, role kobiece. Mam to w nosie. I powiem ci, że powinnaś po prostu zadzwonić i powiedzieć prawdę.

— Ale się boję — odparłam. — Jagoda powiedziała mi coś takiego... Niby nie chciała nazwać rzeczy po imieniu, ale tak jakby... że on kogoś ma.

— Co takiego? I dopiero teraz mi to mówisz?!

— Bo to nie było tak dosłownie... — plątałam się. — Najpierw powiedziała, że bym nie pojawiała się w biurze, bo Grzesiek nie powinien łamać etyki zawodowej. Natomiast kiedy zaproponowałam, że spotkam się z nim na gruncie prywatnym, ona się tak jakoś zmarszczyła i odparła: „Lepiej nie. On już zapomniał, zresztą od jakiegoś czasu...” i urwała. Rozumiesz?

— Rozumiem tylko tyle, że nie było tu ani słowa o tym, że Grzesiek kogoś ma.

— Ale to mogło być „od jakiegoś czasu się z kimś spotyka”.

— Mogło. Ale nie było.

— Więc co mam zrobić? — Rozłożyłam bezradnie ręce.

— Może po prostu namierzyć Glutka i przekonać się, czy chodzi na randki. Korzystając z usług profesjonalisty.

— Czyli?

— Czyli prywatnego detektywa.

— Wariatka! — prychnęłam.

— Wcale nie wariatka. — Iga strzeliła focha. — Zresztą skoro moje rady są takie głupie, to radź sobie sama.

— No już, nie wygłupiaj się — mruknęłam, przysuwając się do niej bliżej na kanapie i kładąc rękę na jej brzuchu, bo uwielbiałam czuć poruszenia i leciutkie kopniaki malucha. — Nie możesz się teraz obrażać, bo dziecko będzie humorzaste.

— Może i tak... — Zamyśliła się na kilka sekund, po czym potrząsnęła głową i rzuciła: — Dobra, powiem ci prawdę. Mam takiego jednego.

— Kogo? — przestraszyłam się, że mowa o kochanku.

— Coś jakby detektywa. To znaczy właściwie nie ja, tylko Wojtek kiedyś korzystał...

— Po co?

— Sama rozumiesz, ta jego pierwsza żona okropnie kręciła. A on chciał mieć pewność. Potem się tego strasznie wstydził. No ale kontakt do detektywa mamy, jakby co.

— Przecież to było lata temu. Od dawna może być nieaktualny. To znaczy, ten mężczyzna może się tym już nie zajmować.

Iga spojrzała na mnie wzrokiem Kota w Butach. Tego ze *Shreka*, oczywiście, bo kot z wersji oryginalnej to nie mam pojęcia, jak patrzył.

— Chciałam ci od razu powiedzieć, ale się bałam.

— Mów teraz.

— Ale nie będziesz się wściekać? — zapytała niewinnym, cieniutkim głosem. — Bo widzisz, ja już do niego dzwoniłam.

Milczałam.

— Ale nie obrażaj się tak od razu — powiedziała. — Przecież nic takiego się nie stało. — I natychmiast złapała się za brzuch ochronnym gestem.

Małpa jedna, manipulantka. Kochałam ją, ale w tym momencie byłam na nią zła.

— Jak to: nic się nie stało? — zapytałam. — Nie rozumiem, jakim prawem w ogóle się tym zajmowałaś!

— Ale co tu właściwie rozumieć? — zatrajkotała Iga. — No po prostu chciałam pomóc, więc wynajęłam go; nie przeczę, że przy okazji jest bardzo przystojny, ale przecież nie dlatego, no daj spokój, jestem już dorosła, w każdym razie...

Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu, a wtedy ja natychmiast weszłam jej w słowo, bo nie mogłam znieść mojej przyjaciółki w roli kiepskiej katarynki.

— I co? — zapytałam. — Konkrety.

— Konkrety? Proszę bardzo, tylko już się nie obrażaj. To było tak: pomyślałam sobie, że ty się być może za bardzo zapalasz do tej całej historii, a tymczasem faktycznie może być tak, że ten twój Grzegorz już się od dawna z kimś spotyka, i żeby cię uchronić przed ewentualnym sparzeniem...

— Konkrety miały być! — wrzasnęłam.

— Już mówię. Żyndram.

— Słucham?!

— Tak się nazywa detektyw. To jest konkret.

— Co takiego? Żyndram? — powtórzyłam z niedowierzaniem. — Wybrałaś go z powodu najbardziej... odjechanego nazwiska?

— Coś w tym jest — przyznała i zarumieniła się, jakby zamierzała zwierzyć mi się z jakiejś perwersji. — Ja mam chyba słabość do zet z kropką. Kiedyś, gdy szukałam sobie stylistki, wybrałam Żannę Gracz, bo mi się spodobało to, jak się nazywa.

— A ten detektyw jak ma na imię?

— Nie będziesz sobie żartować?

Położyłam sobie dwa palce na ustach, jak to robiłyśmy w dzieciństwie. Ten gest oznaczał, że przysięgam, a jeśli złamię przysięgę, niech zaniemówię na wieki. Howgh.

— Żytomir.

Nic nie mogłam poradzić na to, że parsknęłam.

— Przepraszam! — krzyknęłam natychmiast w obawie, że tym razem nasza dziecinna przysięga się spełni. — Nie śmieję się z imienia, słowo daję. Tylko z... z rodziców, który wykazali się niezwykłą wyobraźnią. Żytomir Żyndram? Naprawdę? A gdyby zechciał wyjechać za granicę? Kto by to wymówił?

— Może to patrioci i właśnie chcieli go zatrzymać w ojczyźnie — palnęła Iga. — Ale dobra, bądźmy poważne. W każdym razie nie mogłam znieść myśli, że ty się nastawisz na wielki happy end, pojedziesz tam, a on z jakąś cizią...

— I co? — powtórzyłam. — Konkrety. Ma kogoś?

Iga popatrzyła na mnie ze współczuciem i zanim zdążyłam się zastanowić, dlaczego tak patrzy, strzeliła:

— Nie wiem. To znaczy, ja nie powiedziałam temu detektywowi, że konkretnie to ma ustalić. Tylko poprosiłam, żeby przez kilka dni poobserwował Kapi... Grzeška i żeby notował, jak spędza czas, kto u niego bywa, takie tam drobiazgi. I powiem ci tak: jeśli przyjąć, że rzeczywiście kogoś ma, to wyszłoby, że kilka babek na raz. To znaczy nie na raz w sensie dosłownym, tylko wiesz, że spotyka się na przemian z kilkoma.

Czy oni powariowali — Iga i ten jej detektyw?

— Co za bzdury! — oceniłam. — Z tym Żyndramem to ja sobie muszę porozmawiać. Daj mi numer telefonu, ja muszę wszystko sama ogarnąć. To jest dla mnie wątpliwe moralnie, ale może masz rację, że cel uświęca środki.

Jak postanowiłam, tak uczyniłam. Zadzwoiłam do detektywa i umówiłam się z nim przy placu Wolności. Na spotkanie przyszedł facet jak malowanie: coś trochę jak redfordowaty Wojtek Kornecki, ten sam typ. Stało się dla mnie jasne, dlaczego podobał się Idze. Ponieważ wiosna rozpanoszyła się na całego, nie miał oczywiście szalika.

— Dzień dobry — powiedział głębokim, dźwięcznym głosem. Uścisnęliśmy sobie dłonie. — Żyndram. Prywatny detektyw.

— Kosecka.

— Agata?

— Tak. Skąd pan wie?

Zrobił bardzo tajemniczą minę, która zapewne miała oznaczać coś w rodzaju „Prooooozę pani, płacą mi za to, żebym wiedział różne rzeczy”. Podejrzywałam, że po prostu Iga mu o mnie opowiadała. Ku swemu zadowoleniu odkryłam, że kompletnie nie działa na mnie jego męska uroda. Nie był skromny ani uroczo niepewny siebie, nie miał więc tego, co tak lubiłam u Grzegorza. Nie mówiąc już o odstających uszach.

— Panie... — zawahałam się, bo forma „Żytomirze” jakoś nie chciała mi przejść przez usta. — Detektywie — zakończyłam wreszcie. — Mam dla pana zlecenie.

— Tego się domyśliłem. Chodzi o coś nowego czy ciąg dalszy tamtej sprawy?

— Ciąg dalszy.

Mówiąc to, mieniłam się na twarzy. Zdradziecki rumieniec to wypełzał na moje lico, to znów chował się, a ja rozmyślałam o tym, że Żyndram musi się ze mnie w duchu śmiać.

— Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. To jest raczkująca miłość — rzuciłam, aby mieć to już za sobą. — Nie chcę, żeby go pan śledził, obserwował i tak dalej. Proszę jedynie, aby pan dla mnie sprawdził, czy on... Czy kogoś ma. Tylko to jedno.

Detektyw przyjrzał mi się uważnie. Pokiwał głową.

— Raczkująca miłość — powtórzył. — To nie moja sprawa, ale powiem pani już teraz, jak to się skończy. Miłość bez zaufania nie wyrośnie. To tak, jakby pani wsadziła kwiaty w suche trociny zamiast w glebę.

— Ma pan rację — wycedziłam przez zęby. — To nie pana sprawa. Więc jak? Sprawdzi pan dla mnie ten drobiazg?

Pokiwał głową, patrząc mi w oczy.

— Chodźmy do jakiejś kawiarni — powiedziałam już bardziej ugodowym tonem. — Mam wściekłą ochotę na kawę. Zapodam sobie dawkę kofeiny, a wtedy łatwiej mi będzie znieść pogardę w pańskim spojrzeniu. I wówczas opowiem panu o Kapinosie.

Żyndram drgnął nieznacznie na dźwięk tego nazwiska; zapewne z powodu umiarkowanie przyjemnych skojarzeń. W każdym razie o nic nie dopytał. Poszliśmy do najbliższej knajpki, wypiliśmy po czarnej kawie, powiedziałam mu, co już wiem o moim ukochanym, a czego chcę się dowiedzieć — i umówiliśmy się na telefon, gdy tylko uda mu się zdobyć jakieś konkretne informacje.

Kiedy detektyw w końcu zadzwonił, bawiłam się akurat z Kornelią w dom. Siedziałyśmy pod stołem i udawałyśmy, że nasze dzieci (miś i zajęc z oberwanym uchem) płaczą z powodu ząbkowania. Baśka piekła bułeczki gryczane i od ich zapachu wszyscy mieszkańcy domu Mościckich chodzili poirytowani.

— Idę z Armagedonem na spacer — zdecydował w końcu pan Franek. — Dłużej nie wytrzymam. Jak wrócę, to już będą?

— To zależy, ile będziecie spacerować — odpowiedziała wesoło Basia. — Muszą się piec jeszcze dwadzieścia minut. A zresztą i tak nie mam gotowej ani pasty z fasoli, ani z awokado.

— Z awokado nie trzeba robić pasty — zaprotestował tata Kornelii, który obecnie był najzagorzalszym roślinożercą w tej części Europy. — Najlepsze jest takie rozkłaciane i na to ogórek kiszony. — A z fasoli zrobię, jak wrócę. Albo niech Rafałek pomoże.

— No przecież się nie rozdwoję — zaprotestował Rafał, który właśnie opisywał kartony z książkami i ze zdjęciami.

Rodzina Mościckich tkwiła właśnie w samym oku cyklonu zwanego przeprowadzką. Właściwie przyjechałam, żeby im pomóc z transportem gratów do domu rodzinnego Baśki, ale chwilowo był przestój, bo przewieźliśmy już to, co się dało, a resztę należało dopiero spakować. Nie chciałam się mieszać w coś tak w gruncie rzeczy osobistego, uznałam więc, że przydam się na coś, jeśli zabawię Kornelkę. A przy okazji wielką przyjemność sprawiała mi zabawa w bycie mamą kraciatego misia.

— Słucham — rzuciłam do słuchawki, gdy zadzwonił detektyw. — Agata Kosecka. Udało się?

— Owszem — usłyszałam aksamitny głos Żyndrama. — Ale chyba powinniśmy się spotkać i omówić sprawę. Nastąpiły nieprzewidziane komplikacje.

— Jakie znów komplikacje?

— Jutro o piętnastej w Dworku Nad Brdą? — zapytał. — Pracuje tam znajoma, zawsze jadam w niedziele obiady...

— Dobrze — przerwałam mu, bo wcale nie byłam ciekawa jego niedzielnych zwyczajów. I cholernie zaniepokoił mnie tymi komplikacjami.

Nazajutrz pojechałam do restauracji z bijącym sercem. Żytomir czekał na mnie z bardzo tajemniczym wyrazem twarzy.

— No to tak — zaczął, gdy złożyliśmy zamówienie. — Temu pani facetowi zdjęli gips. Przedwczoraj wrócił już bez niego, teraz jeździ na rehabilitację.

Wyciągnął z teczki kopertę ze zdjęciami, pogrzebał w niej przez chwilę i wyjął fotkę, na której masywna kobieta w białym fartuchu majstruje wokół łokcia Grzegorza. Aż mi się oczy zamglily na widok tych różowych uszu, które tak ślicznie odstawały.

Zdjęcie było kiepskiej jakości, zapewne robione z daleka i przez okno.

— Co ona mu robi? — zapytałam pełna niepokoju.

— Prostuje — wyjaśnił detektyw ze strasznie mądrą miną. — Po tylu miesiącach w gipsie on ma tę rękę zupełnie sztywną.

— Ale początkowo miał w gipsie w pozycji wyprostowanej.

— To nie ma nic do rzeczy. Po prostu wszystko mu tam zesztyniało, mięśnie i ścięgna. No ale nic, dojdzie do siebie.

— Skąd ta pewność?

Żyndram spojrział na mnie z pewną wyższością.

— Pogawędziliśmy sobie trochę z Marzenką — odparł. — Z tą rehabilitantką. Miła dziewczyna. Trochę tęga, ale ładna. I chętna.

— Rozumiem.

Detektyw poprawił włosy nonszalanckim ruchem, jakby chciał tym gestem powiedzieć: „Ma się

ten zwierzęcy urok”.

— Ale do rzeczy — podjął. — Otóż pani Agato, problem jest taki, że... pani śledzi kogoś, a tymczasem... pani także jest śledzona.

— Słucham?! — Omal nie udławiłam się łązanką (z grzybami i kapustą). — O czym pan mówi?

— O tym, że jeździ za panią ktoś na czerwonym motocyklu — powiedział spokojnie Żyndram. — Ten ktoś rzadko zdejmuje kask, dlatego nie udało mi się zobaczyć jego twarzy. Rejestracja na motorze jest lipna, więc są trzy opcje: albo wiedział, że pani mnie wynajęła, albo ma sprawki z policją, albo jest tak cholernie dobry, że na wszelki wypadek przewiduje możliwe ruchy przeciwnika.

— Czyli moje? — zatkało mnie ponownie. — Ja jestem przeciwnikiem? Ale dlaczego? Przecież ja nie mam wrogów!

Detektyw milczał, w skupieniu przeżuując żeberka w miodzie.

— Wracając jednak do klienta — powiedział, całkowicie ignorując moje przerażenie. — Wstaje bardzo wcześnie. Śpi sam. Codziennie rano śmiga po parku, w weekendy koło dziesiątej, a w dni powszednie bardzo wcześnie, przed siódmą.

— Co robi? — Nie zrozumiałam.

— Biega.

— Aha. Biega, czyli śmiga. Tak zaraz po zdjęciu gipsu?

— No właśnie też się zdziwiłem. Przedtem spacerował szybkim krokiem, a zaraz po uwolnieniu łapy zaczął biegać.

— Może się nie mógł doczekać — szepnęłam. — Może tak bardzo to lubi...

— Pewnie tak — westchnął Żyndram. — Ja, wie pani, byłem kiedyś z kolei szybownikiem. Kompletny bzik. Musieliśmy oddać treningowy skok ze spadochronem. Coś poszło nie tak, łupnąłem o ziemię, aż drzazgi poszły, a mnie chrupnęło w kręgosłupie i w następnym sezonie, niech sobie pani wyobrazi, już nie dostałem pozwolenia na loty. Nie przeszedłem badań lekarskich. Wie pani, co robiłem?

Rozłożyłam bezradnie ręce, pokazując, że nie wiem, oczywiście.

— Chodziłem na lotnisko, do aeroklubu na Biedaszkowie, zakradałem się do hangaru i wsiałem do szybowca. Zamykałem oczy i wdychałem zapach. Nie ma pani pojęcia, ile wspomnień mają w sobie zapachy.

— Mam pojęcie — odparłam z istic anielską cierpliwością. — Natomiast nie mam pojęcia, czy Grzegorz Kapinos ma kobietę. Czy się z kimś spotyka. A jest to dla mnie kwestia, że tak się wyrażę, odrobinę ważniejsza niż fakt, że zapachy kryją w sobie wspomnienia, że pan latał na szybowcach i że aeroklub jest na Biedaszkowie.

— Już wracam do rzeczy — zreflektował się mój rozmówca. — Zresztą mówiłem tamtej pani w ciąży. Otóż sprawa wygląda tak: pana Kapinosa odwiedzają różne panie. O różnych porach. Ale nigdy na noc — zastrzegł, widząc moją wydłużającą się minę. — Równie dobrze mogą to być sprawy zawodowe, rozumie pani...

— Sprawy zawodowe to on załatwia w gabinecie — przerwałam. — Jest psychologiem.

— No cóż, w takim razie to mogą być kontakty towarzyskie, sama pani rozumie... — płątał się Żyndram. — Niekoniecznie to, co pani myśli.

— Ja w ogóle nic nie myślę — ucięłam nie zważając, że brzmi to niezbyt inteligentnie. — Chciałam wiedzieć, czy ma kogoś na stałe.

— Nie ma.

— Czy z kimś mieszka.

— Nie mieszka.

— No i to by było na tyle — zakończyłam. — Teraz proszę mi jeszcze powiedzieć cztery rzeczy. Po pierwsze, czy coś mi grozi w związku z tym, że ktoś mnie śledzi. Po drugie, adres Kapinosa. Po trzecie, gdzie ten park. I po ostatnie, ile panu płacę.

— Na pierwsze pytanie odpowiem: raczej nie, choć oczywiście warto by się dowiedzieć, kto i na czyje zlecenie to robi. A co do reszty, już piszę...

Napisał mi adres mieszkania, rozrysował mapkę parku i wystawił rachunek. Wszystko pięknie,

tylko co teraz? Czy powinnam natychmiast go zatrudnić, aby wyszedł tego, kto kazał śledzić mnie? Czy raczej zignorować jego rewelacje, uznać je za próbę wyciągnięcia ode mnie pieniędzy? Ostatecznie zdecydowałam się na to drugie, obiecując sobie jednocześnie, że jeśli tylko zauważę gdzieś czerwony motocykl, natychmiast ponownie zadzwonię do Żyndrama.

Minęło trochę czasu, zanim odważyłam się cokolwiek zrobić w sprawie Grzegorza. Najpierw naradziłam się z mamą („Córku, to przecież nic nie znaczy, że tam u niego bywają jakieś dziewczyny; ważne, że żadna nie nocuje i że on nie sypia poza domem”) oraz z Igą („Ale może jednak odczekaj trochę, bo jeśli on tej ręki nie może zginać, to zero spontaniczności w łóżku...”). Potem zrobiłam się na bóstwo, po czym stchórzyłam i spędziłam wieczór przed lustrem w towarzystwie laptopa i butelki wina, którego ostatecznie nie wypilałam, ponieważ rozboleła mnie głowa od pisania mejla za mejlem, wzruszania się, usuwania mejla za mejlem i pisania od nowa — tylko po to, by znów się wzruszyć i skasować wszystko.

Wreszcie wybrałam się na spacer do rzeczonoego parku, wcześniej wypożyczywszy od Mościckich Aresa (albo Albatrosa, jak go ostatnio nazywała Iga). Niestety, w tym dniu Grzegorz najwyraźniej biegał o innej porze. Potem przez cały tydzień lało okrutnie, więc zrezygnowałam, już nie tylko dlatego, że zapewne w taką pogodę Kapinos odpuścił sobie trening, ale również z tego powodu, że w deszczu moje włosy stawały się strączkami, a ja sama — zmokłą kurą. Uznałam więc, że dla własnego dobra powinnam poczekać na sprzyjającą aurę.

Która nadeszła dopiero pod koniec marca.

Ares buszował w zaroślach. Przywoływałam go ciepłym głosem, udając, że wcale mnie nie irytuje fakt, iż z minuty na minutę staje się coraz bardziej spocona, ubłocila sobie nogawki, nad moją głową krążą setki wrednych muszek, a starannie ułożone włosy pod wpływem wilgoci zaczynają przyklejać się do czaszki. Ciepły głosik oraz sztuczny uśmiech na obliczu były na wypadek, gdyby za którymś krzakiem przebiegał akurat Grzegorz.

Po wielu deszczowych dniach nastąpiła ciepła sobota, jeden z tych dni, kiedy człowiekowi chce się śpiewać, myć okna albo chwycić grabie i zabrać się za porządkowanie skwerku przed blokiem. Od dwóch godzin krążyłam po parku z aparatem. Co jakiś czas rzeczywiście robiłam zdjęcia, ale znacznie bardziej byłam skupiona na wypatrywaniu Grzegorza. W pewnym momencie usłyszałam głosy dochodzące zza gęstych zarośli, pomyślałam jednak, że to nie może być Kapinos, bo nie gadałby chyba sam ze sobą. Z relacji detektywa wiedziałam, że mój terapeuta zawsze biega sam. Szukałam więc Aresa, który przepadł gdzieś i od jakiegoś czasu nie miałam go w polu widzenia.

Nagle usłyszałam głośny chłopot. „No tak, ten merdający wariat pewnie znów wskoczył do wody”, pomyślałam. Ruszyłam w kierunku, z którego dochodziły odgłosy taplania się — w leśnym bajorku lub opcjonalnie w jakiejś strudze.

Rzeczywiście, Ares się taplał, choć chyba nie było to z jego strony do końca zamierzone. Wyglądało na to, że wskoczył do jeziora niechcący, sądząc, że pokryta gęstą rzęsą wodną powierzchnia to zwyczajna łączka. Musiał wpaść pod wodę razem z łbem, bo rzęsę miał wszędzie: w uszach, na powiekach, na czubku łba. Spomiędzy zielonych listeczków dostrzegłam jego przerażone ślepie. Majtał przednimi łapami, ale pływanie szło mu kiepsko, zapewne z powodu braku tylnej kończyny.

— Dobrze, że masz jeszcze ogon — powiedziałam, odłożywszy aparat na pniak, który oceniłam jako w miarę suchy, i podeszłam do brzegu.

Nachyliłam się i wyciągnęłam rękę w kierunku psiego pyska, żeby móc złapać Aresa za obrozę, gdy tylko do mnie podpłynie. Niestety, nie przewidziałam, że brzegi sadzawki okażą się tak zdradliwe. Rozległo się miękkie mlaśnięcie, po czym skrawek ziemi, na której przykucnęłam i która wydawała się dość stabilna, osunął się do wody — a ja wraz z nim. Chłup! Znalazłam się po pachy w lodowatej wodzie. Prychając, zerwałam się na równe nogi — jezioro nie było specjalnie głębokie, sięgało mi zaledwie do ud. Na dnie spoczywało jednak mnóstwo gałęzi, w które oczywiście natychmiast się zaplątałam, przez co ponownie straciłam równowagę. Tym razem nie zjechałam na pupie, lecz upadłam twarzą do przodu; zdążyłam jeszcze wyciągnąć przed siebie ręce, co uchroniło mnie przed najedzeniem się rzęsy. Niewielka to była pociecha, wziąwszy pod uwagę fakt, że byłam już mokra dosłownie po szyję.

— Kurde jego balans! — wrzasnęłam. — To przez ciebie, głupi kundlu, tarmoszony piąte przez dziesiąte! Dupa, dupa, dupa blada, w mordę kopana!!!

Puściwszy tę oryginalną wiązanę, poczułam się znacznie lepiej; zaczęłam nawet dostrzegać humorystyczną stronę sytuacji. Ostrożnie, żeby tym razem nie zaplątać się w gałęzi, podeszłam do spanikowanego Aresa, podsadziłam go za zadek, żeby wydostał się na brzeg, a następnie sama wylazłam z wody. Rozejrzałam się w poszukiwaniu aparatu i wtedy je zobaczyłam.

Fiołki. Były tam. U samych stóp starego, omszałego drzewa rosły sobie cudne, małe kwiatuszki. Promienie słońca, przesiane przez nagie jeszcze konary, wydobywały ich delikatny kolor z głębokiej zieleni mchu i ze złocistości zeszlórocznych liści. „Cała w fiołkach”, zadzwieczało w mojej głowie.

— Gówno prawda. Cała w rzęsie, to tak. I cała w błocie — mruknęłam, wycierając ręce we włosy, jako że było to jedyne, co miałam na tyle suchego, żeby słowo „wycierać” zachowało swój sens. Chwyliłam aparat i po namyśle uznałam, że kiedy jest się tak mokrym i brudnym, nie ma znaczenia, czy się stoi, czy się leży. Położyłam się więc i nastawiłam ostrość.

— Wróżka może sobie być do dupy — mówiłam, pstrykając fotkę za fotką. — Ale fiołki są pierwsza klasa.

— Słucham? — odezwał się nagle znajomy głos zza pobliskiego krzaczka.

To nie mogła być prawda! Nie w tej chwili!!! Chciałam się zerwać na równe nogi, lecz niestety, nie przewidziałam, że w mokrym ubraniu mam nieco przesunięty środek ciężkości. A zresztą może to było coś innego, nigdy nie byłam mocna z fizyki. W każdym razie upadając, odruchowo chciałam ochronić aparat, przez co zaryłam brodą w ziemi tuż pod kępą kwiecica. Następnie zaś przez dłuższą chwilę plułam glebą oraz żdźbłami trawy i malutkimi fioletowymi płatkami.

Pokryte młodziutkimi listkami gałązki zaszeleściły, po czym wyjrzała zza nich wytęskniona, wyczekana głowa z odstającymi uszami i wielkimi, wilgotnymi jak u jałówki oczami. Grzegorz. Grzesiek. Grześ. Mój ukochany. A ja — cała utyłana, z ziemią w zębach i rzęsą wodną na pozlepianych w strączki włosach — wpatrywałam się w niego jak w zjawę z innego świata.

— To niesprawiedliwe — oznajmiłam wreszcie głosem pełnym urazy. — Dzień dobry. Taką ładną mamy wiosnę, pan nie ma szalika i w ogóle cała jestem w fiołkach.

I chyba chciałam powiedzieć coś jeszcze, na przykład: „Zakochołam się w panu, panie Kapinos”, ale krzaczkami zaszeleściły raz jeszcze i tuż za głową Grzegorza pojawiła się inna. Kobieta. Śliczna. O równie brązowych, równie wielkich i równie wrażliwych oczach. Ale dla odmiany z blond włosami do pasa. Odziana w czarną skórę. To znaczy nie głowa była odziana, tylko ta kobieta, tfu, tfu, niechby tak kostkę skrzyła. Albo wpięprzyła się do bajorka z rzęsą wodną.

— Co się stało, Grzesiu? — zapytała troskliwie, a mnie zrobiło się słabo.

Gwizdnęłam na Aresa i uciekłam, nie wypowiedziawszy już ani słowa. Jak łatwo sobie wyobrazić, w samochodzie wyłam i kłęłam na przemian przez całą drogę do domu. I dopiero kiedy dojechałam, wydmuchałam porządnie nos i zdecydowałam, że mogę już wysiąść, dotarło do mnie, co widziałam podczas jazdy we wstecznym lusterku. Po pierwsze, przypominałam sobie, że gdy wsiadałam do auta, zobaczyłam, jak z lasu wychodzi odziana w skórzany kombinezon kobieta, zakłada kask, wsiada na motor i odjeżdża. Po drugie, motor ów, piękny, czerwony i błyszczący, mignął mi potem ze trzy razy podczas jazdy.

Aha! Mój umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach! Więc to jest spisek! Albo nie wiem co, ale wygląda spiskowato! Kobieta na motorze jest ukochaną Grzegorza i łązi z nim do parku (choć przecież powinien być tam sam), a w wolnych chwilach mnie śledzi. Ale dlaczego?! Przecież teoretycznie między mną a Kapinosem nic się nie wydarzyło. Wszystkie wyznania, wszystkie czułe sceny rozegrały się jedynie w mojej głowie! Dlaczego ona miałaby mnie śledzić? Czy on jej o mnie opowiadał? Jeśli tak, to co mówił, skoro właściwie nie było o czym?

Miałam w głowie kompletny chaos. Po wejściu do domu najpierw zagoniłam Aresa do łazienki i nie bacząc na jego wściekłe protesty, oplukałam go pod prysznicem, następnie zawinęłam w ogromny ręcznik i sama włożyłam do wanny. Potem wytrąbiłam niedopite wcześniej wino, aby nie myśleć o tym, jak wyglądałam z ziemią i fiołkami w zębach; pozwoliłam Aresowi nadgryźć jeden z moich kapci, pogadałam trochę do lustra (w monologu tym, wstyd się przyznać, dominowały dość ordynarne określenia, którymi obdarzałam samą siebie), a na koniec zadzwoniłam do Rafała.

— Mam prośbę — powiedziałam. — Przyjechałbyś po Aresa? A mnie przy okazji podrzuciłbyś do Solca Kujawskiego? Wiem, że to trochę nie po drodze...

— Ale pierdzigrosikiem? — zapytał niepewnie.

— Nie no, pierdzigrosikiem to nie. — Zapomniałam, że on na co dzień nie dysponuje mazdą Igi. — Dobra, nie było rozmowy.

— Zaczekaj, może wezmę terenówkę Baški — powiedział. Słyszałam, że w tle toczy się jakaś rozmowa, po czym odezwał się znowu: — Nie ma problemu, jadę. Nadźgałaś się czy co?

— Wyczuwasz wino przez słuchawkę?

— Nie, tylko mówisz z jakąś taką determinacją w głosie.

— O tak — potwierdziłam. — Determinacja to jest dobre słowo.

Z tą samą determinacją wcisnęłam dzwonek przy furtce żółtego domku przy ulicy Topolowej. Determinacja nie opuściła mnie także, kiedy wkraczałam do długiego, pomalowanego na beżowo holu

ani gdy chwyciłam za klamkę i wchodziłam do pokoju, prowadzona przez Jagodę Bąk. Tak, byłam zdeterminowana. Byłam gotowa walczyć. Zamierzałam zapytać, czy siostra Grzegorza wie coś o babsztylu na czerwonym motorze, który najwyraźniej rzeczywiście mnie śledził.

Oklapałam dopiero, kiedy przekroczyłam próg i znalazłam się w samym środku babskiej narady wojennej, w której oprócz Jagody Bąk i dwóch nieznanymi mi kobiet brała udział — o niebios! — długowłosa laska w skórzanych rurkach. Ta sama, która towarzyszyła Grześkowi w parku.

A więc to tak. Wszyscy są przeciwko mnie. Cały świat. Oprócz Igi, Baški, Rafała i tak dalej. Ale czułam się tak, jakby naprawdę cały świat. Chciałam chyba coś powiedzieć, oskarżyć Jagodę o spiskowanie przeciw bratu, ale emocje wzięły górę. Zrobiło mi się miękko w kolanach, białło przed oczyma i bardzo gorąco na karku, pod włosami. Postąpiłam jeden krok, potem drugi, ale na nogach z plasteliny chodzi się bardzo trudno. Pomyślałam, że powinnam usiąść, po czym elegancko, w milczeniu, jak dama — zemdlałam.

Cuciły mnie podobno dość długo, aż w końcu Patrycja (ta od motoru) wpadła na pomysł, żeby wlać mi do ust odrobinę koniaku. Ponieważ nienawidziłam tego trunku, ocknęłam się natychmiast.

— Nie rób jaj — zastrzegła od razu Jagoda, kiedy tylko otworzyłam oczy. — Dobra, już ci wierzę, zależy ci na Grzesiu, okej. Niech będzie. Tylko mi więcej nie mdlej.

Pokręciłam głową, że niby nie mam zamiaru, ale nadal było mi słabo. Dopiero kiedy jedna przez drugą naradzały się, co by mi zrobić do picia i czy nie szkoda dla mnie porządnego trunku, uświadomiłam sobie, że rano wyszłam do tego parku bez śniadania, a po powrocie do domu jedynym produktem spożywczym, jaki w siebie wcisnęłam, było wino. Ale nie powiedziałam im tego, bo uznałyby, że pijaczka i że szkoda dla mnie Grzegorza.

Wreszcie najsympatyczniejsza z nich — jak się potem okazało, Małgosia — zaparzyła mi kubek herbaty i podała pajdkę z powidłami śliwkowymi. Zapał, z jakim rzuciłam się na kanapkę, sprawił, że po chwili miałam przed sobą cały talerz tego specjału. Zaspokoiwszy głód poczułam się na siłach, by powiedzieć, po co przyjechałam. Nadal nieufnie spoglądałam na Patrycję, choć już się zorientowałam, że jest ona jedną z czterech siostr Grześka.

— Zaraz, zaraz — przerwała mi Jagoda, gdy opowiadałam, co się wydarzyło. — Skąd niby wiedziałas, że ktoś cię śledzi?

— A, bo... Pomyślałam... — plątałam się. — No dobrze, powiem wam, będziemy kwita. Wynajęłam prywatnego detektywa.

— Wiedziałaś! — krzyknęłam Patrycja, uderzając się w impetem (i głośnym kłaśnięciem) w udo obleczone w skórę. — Do diabła, ten cholerny Żytomir! Przechytrzył mnie! Pracowaliśmy razem w jednej agencji — wyjaśniła, widząc moje zdziwione spojrzenie. — Ale każde z nas rozkręca teraz własny interes. No dobrze, ale po co był ci potrzebny, za przeproszeniem, detektyw?

— Chciałam tylko wiedzieć, czy Grzesiek kogoś ma — tłumaczyłam. — Tylko to jedno. Zamierzałam się z nim spotkać i wyjaśnić wszystko, wyznać, co czuję i wytłumaczyć, że z Rafałem nic nie było...

— Sratatata — burknęła Patrycja. — Z Rafałem nic nie było! Nadal bywasz u niego, gdy jest ta ze wsi i gdy jej nie ma. I nadal próbujesz się wkupić do rodziny. To dziecko zabierzesz na spacer, to psa...

— Nic nie rozumiecie! — zaperzyłam się. — „Ta ze wsi” to Baška, moja przyszywana siostra, i właśnie ja ją spiknęłam z Rafałem. Dziecko wypożyczam z potrzeby serca! A psa z powodu wyrzutów sumienia. Bo trochę z mojego powodu stracił tylną łapę.

Siostry zażądały wyjaśnień, więc ich udzieliłam. Kiedy opowiadałam, jak bardzo chcę zostać matką, rozbeczałam się, a Małgosia chlipnęła raz i drugi dla towarzystwa. Od razu wydawała mi się sympatyczniejsza od innych.

— A ten przystojniak z kwiaciarni? — zapytała Patrycja. — To niby też jedynie przyjaciel?

— Nie — przyznałam ponuro. — To była próba leczenia złamanego serca. Nieudana kompletnie.

— No, nie wiem — zakpiła Jagoda. — Patrycha mówiła, że po tej drugiej kolacji pojechaliście

do niego i dość długo nie wychodziliście.

— Bo mi wyciągał ość z gardła! — rzuciłam w nerwach, ponieważ już traciłam cierpliwość. — Dziewczyny, czy wyście powariowały?! Zresztą to było mieszkanie jego siostry, przecież byśmy się nie bzykali w towarzystwie!

Patrzyły na mnie bez życzliwości. Jedyne wzrok Małgosi miał w sobie coś w rodzaju współczucia i zrozumienia. Nie ufały mi. Kochały tego swojego młodszego brata ponad wszystko i postanowiły go chronić przed pustą, głupią dziewczuchą, która niechybnie podziurawi mu serce. Czyli przede mną.

— Co mu naopowiadałyście? — zapytałam.

— To, co uważałyśmy za prawdę. — Jagoda wzruszyła ramionami. — Że jesteś nimfomanką. Że go skrzywdzisz. Że uwiodłaś Rafała, a jednocześnie umawiasz się z tym od kwiatków. Mniej więcej tyle. Rozbeczałam się. Łkałam i łkałam, aż wreszcie wyczerpała mi się amunicja.

— Dajcie mi szansę — wyszeptalam. — Chcę się z nim spotkać i opowiedzieć wszystko, jak było naprawdę. Nie macie pojęcia, jakie to dziwne... Mija tyle miesięcy, a mnie się nic nie zbliżniło. Wszystko jeszcze ciepłe.

— O czym ty właściwie mówisz? — prychnęła czwarta z sióstr, Joanna, która dotąd prawie się nie odzywała. — Nigdy nie było ciepłe, nie było nawet letnie. Wy sobie jedynie wyobrażaliście, że coś się między wami dzieje. Oboje fantazjowaliście na temat wielkiej miłości.

— Więc on też? — ucieszyłam się. — Naprawdę?

I rozbeczałam się na nowo. No tak. To by było na tyle, jeśli chodzi o moje postanowienie, by nie wpadać skrajne nastroje.

Wiele tygodni później Małgosia powiedziała mi, że właśnie te łzy przekonały je o szczerości moich uczuć. Kto by to pomyślał? Tak się starałam nie być beksą, nie szlochać przy każdej okazji, a tymczasem siostry Grzegorza uznały, że czego jak czego, ale takich ilości słonej wody nie da się wycisnąć z siebie na zawołanie.

Tamtego dnia Patrycja odwiozła mnie do domu na swoim motocyklu — i abym nie zmarzła, obłożyła mnie gazetami; dopiero na to założyłam kurtkę.

— Nie becuj już — powiedziała mi szorstko na pożegnanie. — Co się wkręciło, to się odkręci. A Żyndramowi powiedz, żeby się walił.

Oczywiście niczego takiego mu nie powiedziałam. W ogóle z Żyndramem spotkałam się dopiero po wielu miesiącach w okolicznościach, których żadne z nas się nie spodziewało.

Co dokładnie zrobiły i jak to załatwiły siostry Grzegorza, tego nie wiem i nigdy się pewnie nie dowiem. Tak czy owak, pewnego kwietniowego dnia, kiedy tata z Zoją nadal spędzali swój przedłużający się miesiąc miodowy w Indiach, a ja usiłowałam poradzić sobie z potrząskanym na kawałeczki sercem, zszarganymi nerwami przed wizytą mamy i Karola oraz lękiem o Igę, która codziennie dzwoniła z nowiną, że zaczyna rodzić, do zakładu „Babette” przyszedł niecodzienny klient. Miał odstające uszy, w owej chwili czerwone i błyszczące od nadmiaru emocji, wielkie oczy, szczupłe dłonie i całą resztę tego, w czym byłam zakochana. A w spoconej dłoni ścisnął zmaltretowany bukiet fiołków.

— Przypomniałem sobie — powiedział zakłopotany do granic możliwości. — Pani powiedziała wtedy w parku: „cała w fiołkach”. A ja nie pamiętałem, z czym mi się to kojarzy. I już wiem. To była przepowiednia tej wróżki, prawda?

— Prawda — przyznałam. — Ale wie pan, panie Grzegorzu, ta cała wróżba okazała się kosmiczną bujdą. Ta kobieta mówiła, że pan nie będzie nosił szalika, a przecież pan nosił. Zresztą potem, gdy z nią rozmawiałam, z tą całą Wróżką Grubiak, na ślubie mojego ojca, to ona przyznała, że wszystkim mówi to samo. No wie pan: że jeśli nie zmienią swojego życia, to stanie się katastrofa, bla bla bla. I z tym szalikiem to też tak standardowo. Ale mniejsza z tym. Czy pan przyszedł, bo... potrzebne panu zdjęcie do dokumentów? Czy może raczej pan się ze mną umówi na randkę?

— To drugie — odpowiedział z zapałem. — A czy pani umówi się ze mną, nawet jeśli te fiołki mi kompletnie zdechły?

Kilka miesięcy później — a dokładnie sześć (Grzegorz zaznaczał to w kalendarzu i odliczał każdy dzień) — wróciliśmy do tematu.

— Wiesz, jedna sprawa nie daje mi spokoju — powiedział, gładząc czule moją łydkę. — Z tym szalikiem. Bo tak się składa, że ja rzeczywiście nigdy nie nosiłem szalika.

— Kłamczuch — zamruczałam. — Iga cię widziała. I ja później też, na własne oczy. Zresztą ładny miałeś ten szalik.

— Jagusia mi kupiła — wyjaśnił. — Ja jej o tym wszystkim opowiadałem, wiesz, jak to w trakcie terapii. Nie mogłem się z ciebie wyleczyć. Kiedy cię zobaczyłem w ramionach Rafała, wtedy na dworcu, gdzie przyjechałem z nadzieją, że całe to twoje pisanie o trzymaniu ręki na ramieniu oznacza to, co sobie wymarzyłem... więc kiedy już walnąłem w ten słup, siostra urządziła mi w szpitalu kilka sesji. I wbiła mi do głowy, że po pierwsze, ty byś mnie totalnie unieszczęśliwiła, a po drugie, że to nie ja jestem mężczyzną z wizji tej twojej wróżki. Kupiła mi wtedy szalik i wręcz zmusiła mnie, żebym go nosił. Chodziło o to, bym sam siebie przekonał, że nie mogło chodzić o mnie.

— Żartujesz? — podniosłam się na łóżku i owinięłam kołdrą. — Czyli pani Wiesia naprawdę ma dar jasnowidzenia?

— Nie wiem — odpowiedział i przyciągnął mnie do siebie. — W sumie jednak moglibyśmy pogadać z nią raz jeszcze... Nie mówię, że tak od razu, ale właściwie nie jesteśmy już tacy młodzi... i

może warto by wiedzieć, kiedy należałoby się zacząć rozglądać za tymi bucikami.

Pocałowałam go raz, potem drugi, a potem na jakiś czas straciłam rachubę. Kiedy nasyciliśmy się sobą, Grześ poprosił:

— Zadzwoń do niej któregoś dnia. Moglibyśmy pójść razem.

Nie odpowiedziałam, bo właśnie zaczęło mi się robić błogo i sennie. Grzegorz zawsze miał do mnie pretensje, że po seksie zasypiam jak facet, zamiast z nim porozmawiać. Tym razem jednak nie zdążył się oburzyć, ponieważ także zasnął.

Do wróżki ostatecznie nie zadzwoniliśmy. Najpierw przez kilka tygodni jakoś o tym zapominaliśmy; temat wracał jedynie w rozmowach późnym wieczorem, kiedy już nie wypadało zawracać pani Wiesi głowy. Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym drżącym głosem oznajmiłam Grześkowi, że to już. Że możemy zacząć rozglądać się za bucikami.

Pobeczeliśmy sobie oboje. I to nie tak, że tylko oczy się nam spociły. Nie, naprawdę płakaliśmy z radości. Tym, co najbardziej kocham w Grześku, jest fakt, że nie wstydy się łez.

Oczywiście pomijając odstające uszy.

Zapomniałabym — z Żyndramem spotkałam się na jednej z absolutnie fantastycznych rodzinnych kolacji, kiedy to po wielu perypetiach wrócili do siebie z Patrycją. Było to jedno z tych niezapomnianych spotkań, o których potem latami krążą anegdoty. Siostrzeńcy Grześka ukradli wtedy wujkowi Mateuszowi paczkę papierosów i nakarmili nimi rybki w akwariu, mały Antoś Kornecki podczas przewijania na komodzie w salonie celnym łukiem nasikał na telefon pana Franciszka, Zoja usiłowała nauczyć nas wszystkich wprowadzania umysłu w stan alfa, tata nabombał się w trzy rurki leczniczą nalewką z orzecha sporządzoną według receptury jakiejś starej ciotki, a ja i Baśka porównywałyśmy, która ma większy brzuch, choć w rzeczywistości u żadnej z nas nie było jeszcze widać ciąży.

Właśnie tamtego wieczoru poczułam coś, na co czekałam przez tyle lat — zupełnie jakby od środka musnęło mnie w brzuch skrzydełko motyla. To był drżący, delikatny dotyk i jeszcze przez kilka godzin wsłuchiwałam się w siebie, niepewna, czy to się stało naprawdę. Kiedy zrozumiałam, że tak, stało się — zabrakło mi słów, żeby opisać Grześkowi, jak szczęśliwa i spełniona się poczułam. A ponieważ on także nie bardzo radził sobie ze wzruszeniem, pozwoliliśmy, aby wszystko powiedziały za nas nasze dłonie.

Kiedy urodziła się nam córeczka, Grześ poprosił, żebyśmy nadali jej imię Viola. Uznałam, że to strasznie pretensjonalne. W dodatku przez V! Viola Kapinos, no proszę bardzo, bez przesady. Ale kiedy odwiedziła mnie w szpitalu okrągłutka jak kulka Baśka, która wciąż marzyła, że po narodzinach malucha zacznie studiować ziołarstwo i fitoterapię, aż klasnęła w dłonie z zachwytem.

— *Viola odorata!* — zawołała. — Fiołek wonny! Jedna z najwdzięczniejszych roślin leczniczych! To dobra wróżba i tak świetnie nadaje się na imię! Już sobie wyobrażam... jej ulubionym kolorem będzie fiołkowy, będzie używała tylko perfum z nutą fiołków...

Plotła coś jeszcze, ale już nie słuchałam. Moja córeczka była ósmym cudem świata, niezależnie od tego, jakie imię jej nadamy. Miała maleńkie, idealnie wykończone paznokietki, zawinięte na koniuszkach rzęsy i śmieszny wicherek na karku. Kiedy do niej mówiłam, marszczyła brewki i wpatrywała się w skupieniu w jakiś punkt na moim czole.

Viola? Dlaczego by nie? Skoro mam być cała w fiołkach, to naprawdę cała, od stóp do głów, do serca, do samego środka.